

JOSIE LLOYD & EMLYN REES

CHŁOPAK Z SĄSIEDZTWA

Tłumaczenie: Monika Wiśniewska

*Naszym Tatusiom,
w podziękowaniu za okulary przeciwsłoneczne...*

PODZIĘKOWANIA

Prosimy, by podziękowania przyjęli: Vivienne, Jonny, Euan, Doug, Carol, Kate, Diana, Emma, Sarah, Gili & Karen z Curtis Brown; Lynne, Andy, Thomas (będzie nam ciebie brakowało!), Ron, Dave, Simon, Grainne, Mark, Glenn, Susan & Karen z Random House; Di za jej wsparcie; Dawn Fozard za słowo „dramat”; David i Gwenda, i Savage’owie za ucieczki; Giną Ford za książkę i Tallulah za to, że z nami wytrzymała.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

FRED

- Akcja! - woła z zewnątrz Eddie, a ja przechodzę przez drzwi prowadzące z salonu prosto na zalany słońcem taras na dachu.

Mimo że znajdujemy się na samym szczycie czteropiętrowego budynku, nie czuje się nawet najmniejszego powiewu wiatru. Baczenie przyglądam się falującej panoramie miasta: kominom, dachom i wieżowcom. Migoczący w oddali, powoli poruszający się sznur pojazdów na Westway wydaje z siebie dziwnie przytłumiony dźwięk, jakbym obserwował go zza ogromnej ściany z pleksiglasu. Mój Londyn: miasto, w którym możesz być tym, kim masz ochotę; miasto, gdzie każdego dnia tysiące istnień ma swój początek i koniec.

Starając się nie zerkać na Eddiego (już dwa razy prosił, żebyśmy tego nie robili), siadam i wpatruję się w obiektyw trzymanej przez niego kamery.

- Dzień dobry - zaczynam sztywno. - Nazywam się Fred Wilson i jestem...

- Cięcie.

Tym razem jednak patrzę na Eddiego. Siedzi, tak jak i ja, na białym, plastikowym krześle ogrodowym i jest goły od pasa w górę. Jego lewą ramię niczym tatuaż oplata cień rzucany przez kabel telefoniczny. Jest ode mnie kilka lat młodszy, a jego skóra lśni od kremu do opalania z najsilniejszym filtrem (Eddie nie uznaje opalenizny, klóciłaby się z jego czarną skórzaną kurtką).

W moim gardle powoli rodzi się jęk frustracji. To już piąte cięcie w ciągu pięciu minut. Mam obawy, że kolejne może się dla kogoś okazać śmiertelne.

- Co tym razem? - wybucham, zaczynając żałować, że uległem prośbie o pomoc w realizacji jego pierwszego (a co za tym idzie - niezbyt ambitnego) projektu w szkole filmowej.

Eddie ma zakłopotany wyraz twarzy, a jednocześnie stara się nie roześmiać. Widziałem już, jak na podobną minę zarywa panienki w barach. Ten grymas całkowicie je rozbraja i powoduje, że gapią się na niego bezradnymi, pełnymi zachwyty oczami.

Eddie ma niebieskie tęczęwki, choć ich urokliwej barwy zwykle nie można dostrzec, ponieważ mruży oczy, co jest konsekwencją odmowy noszenia zalecanych przez lekarza okularów w sytuacjach innych niż oglądanie telewizji, a to z kolei wynika z założenia Eddiego, że bez okularów wydaje się kobietom przystojniejszy.

- Chyba tylko wtedy, gdy same są zezowatymi dziwadłami - oznajmiłem mu przed kilkoma miesiącami. Było to twierdzenie, któremu (jak można było przewidzieć) bardzo

szybko zaprzeczył.

Miał zresztą do tego pełne prawo. Nonszalancja Eddiego działa na kobiety. (Przyznała to nawet Rebecca, bądź co bądź moja ukochana). Eddie ma zadziwiająco urozmaicone życie uczuciowe - zwłaszcza w porównaniu z moim - i niejednokrotnie zastanawiałem się, czy moje jest tak stabilne z tego prostego powodu, że nie zezuję.

- Przepraszam - mówi wreszcie. - Po prostu...

- Po prostu co? - domagam się wyjaśnienia, gdy widzę, jak ten samozwańczy Lou Reed odgarnia z twarzy ciemne włosy i najwyraźniej brakuje mu słów. - Nie, nie - kontynuuję, tak by nie miał czasu odpowiedzieć. - Pozwól mi zgadnąć. Chodzi o moje paznokcie, co? - Unoszę dłonie w górę. - Są... za długie? A może brudne? - Ale Eddie potrząsa głową. - Zbyt paznokciowate? - zgaduję.

Na jego twarzy pojawia się wszechwiedzący uśmiech.

- Twoim paznokciom niczego nie brakuje.

- W takim razie o co ci chodzi? O mój chód? Moją postawę? Uśmiech? Sposób, w jaki zakładam nogę na nogę? - Unosi wysoko brwi. - Dalej, panie Scorsese - mówię, odchylając się do tyłu. - Nie musi pan owijać w bawełnę. Jakoś to zniosę.

Eddie wzdycha.

- Jesteś zbyt sztywny - oświadcza wreszcie. - Tak, jakbyś... jakbyś grał. A nie o to tu chodzi.

Jego krytyka nie jest dla mnie żadną niespodzianką, nienawidzę być poddawany dokładnej analizie, nie cierpię tego od czasu, gdy byłem nastolatkiem.

- Ostrzegałem cię, że nie jestem w tym dobry - mówię, wzruszając ramionami.

- Nie chodzi o to, że jesteś... niedobry - odpowiada. - Jesteś... - Ale znowu nie potrafi znaleźć odpowiedniego słowa.

- Po prostu - próbuje jeszcze raz - to, co mówisz: „Dzień dobry, nazywam się Fred Wilson i jestem... „. To nie może być tak.

- Dlaczego?

- Bo ludzie tak nie mówią.

- Jacy ludzie?

- Tacy jak my.

- Tacy jak my?

- Tak. No wiesz, prawdziwi ludzie... Ludzie na ulicy.

- Ale my jesteśmy teraz na dachu - zauważam.

- Użyłem przenośni.

- Aha.

- Po prostu staraj się nie mówić tak, jakbyś czytał wiadomości w telewizji, ale bądź sobą - radzi. - Coś w rodzaju: „Cześć, jestem Fred Wilson...”, i tak dalej. No i odpręż się. To tylko głupie szkolne zadanie. Nikt poza opiekunami mojej grupy nigdy tego nie zobaczy.

- Odprężyć się? - pryham. - Łatwo ci powiedzieć. To ty chodziłeś do szkoły aktorskiej.

- A mój agent nie dzwoni do mnie już od sześciu miesięcy - przypomina mi ponuro.

Dlatego właśnie Eddie pracuje wieczorami jako kierownik baru Nitrogene w King's Cross, dlatego ten kurs filmowy jest dla niego taki ważny i tylko dlatego zgodziłem się mu pomóc.

- W porządku - mówię. - Spróbuję jeszcze raz.

Eddie mruczy coś o dostrojeniu dźwięku, a ja z powrotem daję nura do salonu i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami opieram się o ścianę przy drzwiach, czekając na umówiony sygnał.

Dwa otwarte, wychodzące na ulicę okna przysłonięte są jasnozielonymi zasłonami. Po mojej prawej stronie od drewnianej podłogi aż do białego sufitu ciągną się półki wypełnione płytami, książkami i gazetami. Pomiędzy regałami rozpycha się wielki telewizor, wideo, DVD, kablówka i satelita, a także najnowsze oferty Sony, Microsoftu, Nintendo i Segi. W plątaninie kabli poniewierają się gry. Meble - jakkolwiek jest ich mało - są przede wszystkim praktyczne. W kuchni stoi niewielki sosnowy stół i kilka krzeseł, a na środku salonu pyszni się trzyosobowa sofa, celowo odwrócona w stronę telewizora.

Rebecce się tutaj nie podoba. Nie lubi panującej u nas atmosfery tymczasowości.

- Jesteś tym, gdzie mieszkasz - stwierdziła pewnego razu tak jakoś tajemniczo, a ja nie byłem pewny, czy miała na myśli to, że czuć ode mnie pleśnią i powinienem złapać za odkurzacz, czy też po prostu mieszkam w nieodpowiedniej części miasta. Nie mając ochoty zaprzętać sobie tym głowy, zrobiłem to, co czynię zazwyczaj, gdy wiem, że wymiana poglądów między nami zmierza donikąd - byłem cicho.

Mieszkanie pod numerem 3 przy St Thomas's Gardens 9 jest jedyną nieruchomością, jaką kiedykolwiek posiadałem. Mieszkam tu już od czterech lat i gdyby nie Rebecca, chętnie spędziłbym tutaj następne czterdzieści. Jest wystarczająco duże dla dwóch osób (Eddiego i mnie), ale za małe dla trzech (Eddiego, mnie i Rebecki). Sam nie wiem, dlaczego nie zadałem sobie zbyt wielkiego trudu przy jego urządzeniu - może po prostu wystarczało mi, że mogę to miejsce nazwać swoją własnością, umeblowanie zawsze będzie dla mnie sprawą drugorzędną.

Wprowadziłem się tutaj na kilka miesięcy przed tym, zanim zacząłem spotykać się z

Rebeccą, i aż do niedawna ona tolerowała moje mieszkanie, tak jak inni godzą się z obecnością starych, nieznośnych przyjaciół w życiu ich drugiej połowy. Na razie dała mi spokój, ale prędzej czy później i tak zostanie odtrącone dla dobra naszego związku.

Parę nocy w tygodniu śpię tutaj sam, natomiast pozostałe spędzam z Rebeccą w jej wypieszczonym mieszkaniu w Maida Vale. Taki układ przyjęliśmy na początku naszego związku i nigdy otwarcie go nie kwestionowałem. Do niedawna nie robiła tego także Rebecca.

Prawdę powiedziawszy, sędzę, że obojgu nam odpowiadało zachowanie odrobiny wolności, zanim podejmiemy wiążącą decyzję. Oczywiście skończyło się to w dniu naszych zaręczyn. Od tamtej pory problem, kto gdzie śpi i dlaczego, roztrząsany jest bez końca, a ja ciągle muszę odpierać ataki Rebecki, która próbuje przekonać mnie do sprzedaży mojego mieszkania i zamieszkania z nią.

Jednak mimo nieuchronności połączenia naszych światów w jeden wspólny, jakaś część mnie sprzeciwia się temu. Może i to mieszkanie nie jest niczym nadzwyczajnym, ale jest moje i ciężko pracowałem, by tak się stało. Jest ono dla mnie strefą bezpieczeństwa i niezależności. Rebecca jednak tak tego nie postrzega. Dla niej moje mieszkanie jest lokatą kapitału, środkiem, który - w połączeniu z pieniędzmi ze sprzedaży jej mieszkania - zapewni nam lepszą i bardziej świetlaną przyszłość. Podjęła już co do tego decyzję, a w ciągu ostatnich kilku lat przekonałem się, że Rebecca zawsze dostaje to, czego chce.

Przez chwilę przyglądam się swojemu odbiciu w wiszącym na ścianie lustrze. Mam szare oczy i krótkie, przylegające do głowy, ciemnobrązowe włosy. Wyglądam jak z krzyża zdjęty, ale zupełnie się temu nie dziwię. W ten pierwszy od miesiący wolny dzień już o świcie byłem na nogach, aby odwieźć Rebeccę na Heathrow.

- Akcja! - woła ponownie Eddie, a ja wychodzę na taras i po raz kolejny siadam na krześle.

- Eee, cześć - mówię do kamery, czując taką samą pewność siebie jak i wcześniej. - Jestem Fred Wilson i... i Eddie chce, żebym opowiedział coś o sobie, co zresztą czynię pierwszy raz, odkąd się znamy. Więc... więc to idzie tak.

Tyle że to idzie dokładnie donikąd. Waham się więc, dumając nad podstawami mojej egzystencji. Mówienie o sobie - dlaczego jestem tym, kim jestem, i co do tego doprowadziło - nigdy nie należało do moich ulubionych czynności. Nie dla mnie koncentrowanie się na drobiazgach, wolę postrzegać wszystko w sposób globalny.

Spoglądam na kolano i odganiając z niego osę.

- Pracuję jako kierownik marketingu w firmie internetowej, gdzie zajmuję się

najświeższymi wiadomościami. - Szczerzę do kamery zęby w szerokim, zawodowym uśmiechu i dla lepszego efektu zmieniam akcent na amerykański, streszczając raczej kiepski scenariusz naszej najnowszej reklamy telewizyjnej. - Pewnie słyszeliście o nas - kontynuuję. - Jeżeli nie, koniecznie powinniście nas odszukać w sieci. Dzięki złączom i przewodom możemy być obecni w waszych domach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dostarczając najświeższe wiadomości i dodatkowo oferując inne, najwyższej jakości usługi wychodzące naprzeciw waszym potrzebom. - Uśmiecham się bez tchu i wciągam powietrze, żeby móc dokończyć. - Uwierzcie mi: już nigdy nie będziecie chcieli czytać gazet.

Mój uśmiech blednie i pochylając się, wyciągam spod krzesła dzisiejsze wydanie „The Timesa”. Rozkładam gazetę i konspiracyjnie zerkam ponad nią w obiektyw kamery.

- Ostatnie zdanie to, rzecz jasna, bujda. Ale reszta, jak to w reklamie, jest bliska prawdy. Właściwie moja praca nie jest taka łatwa i przyjemna, jak by się mogło wydawać - wyznaję. - Na przykład godziny pracy potrafią dać nieźle w kość, a poza tym jesteśmy zależni od amerykańskich inwestorów, którzy w każdej chwili mogą się wycofać... Ale wiecie co, nie jest tak źle. Nic, czym można by się chwalić, ale jest to jednak jakaś praca.

Jest ona oczywiście czymś lepszym niż jakąś tam pracę, ale nie chcę wymądrzać się na ten temat przy Eddiem, którego kariera zawodowa napotkała ostatnio coś w rodzaju muru nie do przebicia. Tak naprawdę to całkiem lubię to, co robię. To znaczy, pewnie, nasze produkty i usługi nie są doskonałe, ale właśnie dlatego praca nad nimi jest niezłym wyzwaniem: udoskonalać je, by stawały się coraz lepsze. I właśnie takie jest moje zadanie w firmie: krok po kroku rozszerzać rynek i kierować naszą ofertę do młodzieży, zapewniając w sieci dostęp do gier i zakupów, a także wiadomości i spraw bieżących, w czym akurat jesteśmy całkiem nieźli.

Kładę gazetę na kolanach.

- Eee, co jeszcze? - pytam, bębniąc z roztargnieniem palcami po papierze i głowiąc się, co by tu dodać.

Kilka sekund później, ciągle z pustką w głowie, rzucam Eddiemu spojrzenie pełne irytacji, a on w odpowiedzi mówi bezgłośnie:

- Rebecca.

- No tak - odpowiadam, mimowolnie czerwieniąc się z powodu tak oczywistego przeoczenia. - Rebecca. To dziewczyna, z którą za miesiąc się żenię. Eddie będzie moim drużbą. Rebecca I A jest w tej chwili w Sztokholmie, w podróży służbowej. Także pracuje w branży marketingowej... w wydawnictwie... właśnie tam się poznaliśmy... i... i jest cudowna... to moja najlepsza przyjaciółka i, eee, bratnia dusza... Bratnia dusza? Boże, to tak kluchowato

brzmi. - Moje policzki płoną. - Eddie, czy możemy zmienić ten kawałek? Ale Eddie mnie ignoruje.

- Serdeczne dzięki - warczę. - A więc gdzie ja byłem? Praca... Rebecca... kluchowate uwagi... co dalej?

- Cięcie.

- Co znowu? - pytam, patrząc, jak Eddie zwalnia przycisk nagrywania. - Myślałem, że idzie zupełnie dobrze.

- Nie było źle - odpowiada z uśmiechem, spokojnie wciskając inny przycisk, który z kolei uruchamia osłonę obiektywu. - Ale muszę się odlać. - Odstawia kamerę i wstaje. - Zaraz wracam - rzuca.

Obserwuję, jak wchodzi do środka, a zacienione drzwi wydają się go połykać niczym jakieś mistyczne wrota. Odchyłam się w fotelu i zamykam oczy przed oślepiającym słońcem.

Rebecca...

Rebecca pochodzi z niezwykle tradycyjnej rodziny, kochającej się i zapewniającej jej członkom poczucie bezpieczeństwa. Rodziny pod każdym względem różniące się od mojej. Rebecca uważa to, rzecz jasna, za coś naturalnego, ale ja myśląc o takim domu, w głębi duszy czuję mieszaninę podziwu i zazdrości.

Thorn House, wiejska rezydencja jej rodziców, mieści się na płaskim wierzchołku wzgórza w Oxfordshire, z którego rozciąga się widok na niewielką wioskę Shotbury. Jest to rozległy georgiański dwór, chlubiący się ośmioma sypialniami i kortem tenisowym. Dodatkowo należy do niego około czterdziestu akrów ziemi, w większości wydzierżawionej miejscowemu rolnikowi na pastwiska, a częściowo zagospodarowanej na trawniki i ogrody otaczające rezydencję.

Nie tak dawno byłem w ich największym ogrodzie. Jest to płaski teren o powierzchni przynajmniej dwóch akrów, otoczony wysokimi murami z szarego kamienia. Powietrze było ciężkie od zapachu lawendy. Z miejsca, gdzie leżałem - na plecach, na chłodnych płytach ścieżki - widziałem jabłonie i śliwy, migotanie ścianek szklarni i, może trochę niespodziewanie jak na tę porę roku, małe, nagie, blade piersi Rebecki, które podskakiwały, gdy siadała na mnie okrakiem.

- O rany, nie mogłam się tego doczekać - przyznała, odgarniając z twarzy kasztanową grzywkę. - Już myślałam, że ten obiad nigdy się nie skończy.

- Opowiedz mi o tym - mruknąłem zachęcająco.

- Zwróciłeś uwagę? - spytała, zaczynając się poruszać. - Pastor ciągle gapił się na mój

dekolt. Nawet - kontynuowała, poruszając się nieco szybciej - kiedy nucił pierwsze takty *Jerusalem*. Strasznie... mnie... to... podnieciło - wymruczała.

- Ale on ma coś koło siedemdziesiątki - zauważyłem, mając w pamięci uprzejmego, siwowłosego staruszka, skubiącego herbatniki i popijającego herbatę.

- Nie... chodzi... o to... że... to on... mnie... podniecił - wyjaśniła Rebecca - ale... sam... pomyśl... robienia... tego... z duchownym.

- Rozumiem - odparłem, mimo że było dokładnie na odwrót.

Nagle zwolniła tempo i pochyliła się, aż jej twarz znalazła się nad moją. Na usta spadło mi kilka kropel potu z jej czoła.

- Nałożyłbyś dla mnie koloratkę, gdybym ci ją kupiła?

- Eee, no jasne - rzekłem, nie chcąc wytrącać jej z rozpędu. Na twarzy Rebecki pojawił się uśmiech, który momentalnie uwydatnił jej kości policzkowe. One oraz intensywnie zielone oczy podkreśliły koci charakter jej twarzy, a ja poczułem się dziwnie, zdany na jej łaskę i niełaskę.

- Wiedziałam, że się zgodzisz - powiedziała.

Zamknęła oczy, a ja leżałem pod nią, patrząc, jak wielką sprawia sobie przyjemność. Nie znaczy to, że mnie też nie było miło. Wprost przeciwnie. Jednak mimo to - pomijając moją satysfakcję - właśnie w ten sposób postrzegałem (i nadal tak czynię) Rebecę w trakcie seksu: pełne samozaspokojenie. Dokądkolwiek zabierały ją zamknięte oczy, ja na pewno nie byłem tam zaproszony. Co więcej, moja obecność w ogóle nie była konieczna.

Trochę czasu minęło, zanim w pełni to sobie uświadomiłem. Gdy zaczęliśmy ze sobą sypiać, założyłem (teraz widzę, że dość naiwnie), że - albo dzięki czystemu zwierzęcemu magnetyzmowi, albo też udanej kombinacji feromonów - to właśnie ja jestem katalizatorem jej nienasyconego apetytu seksualnego i ekstatycznych uniesień. Jednak już po kilku miesiącach zaczęło do mnie docierać, jak mało w tym całym procesie znaczy moja osoba. Byłem świadkiem fantazji Rebecki, narzędziem potrzebnym jej libido, osobistym asystentem, ale na tym koniec.

- O Boże - jęknęła nagle. - Ja... chyba... zaraz...

Ale zanim jej się to udało, w ogrodzie rozległ się męski głos, wołający ją po imieniu.

- Cholera jasna - rzuciła przez zaciśnięte zęby, pośpiesznie się ze mnie zsuwając. - Tata.

Minutę później siedzieliśmy spokojnie, oboje całkowicie ubrani, na żelaznej ławeczce ogrodowej, gdzie podszedł do nas ojciec Rebecki.

George Dickenson jest szczupłym mężczyzną, ma co najmniej metr osiemdziesiąt pięć

wzrostu, młodzieńczą, wyprostowaną sylwetkę i szeroką, kwadratową szczękę. Jest dla mnie miły od chwili, gdy się poznaliśmy. Wie, że mój ojciec nie żyje, więc traktuje mnie jak syna, a ja z kolei zawsze staram się okazywać mu szacunek, na jaki zasługuje rodzony ojciec.

- Och - odezwał się, obejmując ramieniem Rebecę. - Tutaj jesteście. Wszędzie was szukałem.

Rebecca strząsnęła nitkę zwisającą z kieszeni jego pasiastej koszuli z krótkim rękawem. Tak jak George, jego córka jest szczupła, zgrabna i ma ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, niewiele mniej niż ja.

- Pokazywałam Fredowi nasze ogrody - oświadczyła. - O tej porze roku są takie piękne.

- Byliście już nad stawem? - zapytał mnie George.

- Nie.

- Od twoich ostatnich odwiedzin zdążyłem zarybić go pstrągami - oznajmił. Uniósł głowę, po czym przyjrzał się uważnie niebu i przyglądał dłonią przerzedzającą się siwe włosy. - Jest jeszcze jasno - doszedł do wniosku, uśmiechając się najpierw do Rebecki, a po chwili i do mnie. - O wpół do siódmej Mike je karmi. Moglibyśmy pójść i popatrzeć, jeżeli chcecie... - zaproponował.

- Pewnie - zgodziłem się. Odwrócił się do Rebecki.

- A ty? - spytał.

- Ryby - prychnęła, krzywiąc się. - Obrzydliwość. Nie, wolę wrócić do domu i wziąć prysznic.

- Jak chcesz - powiedział George, po czym pocałował ją w czoło i ruszyliśmy wzdłuż ścieżki.

Niski kamienny murek oddzielał staw od kortu tenisowego. Biorąc przykład z George'a, usiadłem na nim. Razem obserwowaliśmy, jak Mike, facet w średnim wieku, który mieszka we wsi i pomaga George'owi, wrzuca garście karmy do całkiem sporego, okrągłego stawu. Na powierzchni momentalnie pojawiały się pstrągi, nadając mu wygląd gara z gotującą się wodą.

George właśnie skończył opowiadać mi, jak to w dzieciństwie on i jego siostra Julia (która w wieku szesnastu lat spadła z konia i skrzyła kark) przychodzili tutaj w lecie, by się ochłodzić.

- Dzieciństwo to magiczny okres - stwierdził. - Wtedy właśnie zaczynasz uczyć się życia. To jest tak, jakbyś dostał pusty arkusz i pozwolono ci namalować na nim wszystko, na co tylko masz ochotę. A co się tam znajdzie, zależy wyłącznie od ciebie. - Popatrzył na mnie.

- Ty i Becky... - dodał badawczo. - Dzieci... Czy bierzecie je pod uwagę?

- Dzieci? - Drażniłem się z nim bez złości. - Czy nie powinniśmy może zacząć od jednego?

- Masz rację, oczywiście - przyznał ze śmiechem, wyciągając z kieszeni koszuli cygaro i zapalniczkę. - To nie moja sprawa. - Ale zapalając cygaro i tak ciągle się we mnie wpatrywał.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy - przyznałem, ulegając widniejącej w jego oczach tęsknej ciekawości. - Odkąd się poznaliśmy, oboje jesteśmy tak zajęci, wiesz, praca zabiera nam mnóstwo czasu, a teraz jeszcze przygotowania do ślubu.

Przytaknął ze zrozumieniem, ale wiedziałem, że taka odpowiedź go nie zadowala.

- Ciągłe jesteśmy młodzi - dodałem słabo, nagle uświadamiając sobie, jak ważna jest dla niego właśnie ta kwestia.

- Tak - odparł, w końcu odwracając wzrok i w zamyśleniu zaciągając się cygarem. - I macie przed sobą całą przyszłość. Po co się spieszyć?

Przez minutę albo dwie siedzieliśmy w milczeniu, a ja patrzyłem przed siebie ponad murami i drzewami, które dzieliły nas od Thorn House.

Wtedy George ponownie się odezwał:

- Myślałem, żeby na wesele, jeśli oczywiście będzie ładna pogoda, rozstawić na trawniku przed domem duży namiot.

- Byłoby uroczo - zgodziłem się.

Mikę wrzucił do stawu ostatnią garść karmy i zawołał:

- W takim razie do jutra, George!

- W porządku, Mikę! - odkrzyknął mój przyszły teść. - Sześć tygodni - rzekł, odwracając się do mnie. - Nie za wiele. To będzie ważny dzień, nie? Kiedy nasza Becky z panny Dickenson stanie się panią Wilson.

Nawet po tych wszystkich latach Wilson, moje nazwisko, wciąż brzmiało dla mnie niczym dźwięki wygrywane na rozstrojonym pianinie.

- Tak - odparłem, wyobrażając sobie, jak tańczę w tym namiocie z Rebeccą. - Szczęściarz ze mnie.

- Ze mnie też - oświadczył George. - Sam nie wybrałbym dla niej lepszego męża.

Kiwnąłem z wdzięcznością głową, a on popatrzył w dal.

- Powinniśmy już iść - rzekł, spoglądając na zegarek. Biorąc z niego przykład, wstałem, po czym ramię w ramię ruszyliśmy w stronę domu. Ogrody znajdowały się w pełnym rozkwicie, a jaskółki zataczały koła nad dachami. Słońce chyliło się już ku zachodowi

i na ziemię zaczęły się kłaść długie cienie. To była wspaniała chwila i celowo starałem się ją zapamiętać, zachować dla potomności, bojąc się - jak zawsze, kiedy wszystko wydaje się układać zbyt dobrze - że nie potrwa długo i nic już nie będzie w stanie jej dorównać.

Usłyszałem, jak stojący obok George wzdycha.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia ty i Becky będziecie tutaj tak szczęśliwi, jak Mary i ja jesteśmy teraz - rzekł, ruszając dalej. - Jestem bardzo dumny, wiesz, bardzo dumny z was obojga i naprawdę bardzo zadowolony.

Zrównałem się z nim i bez słowa szedłem tuż obok, wdychając zapach jego cygara i wsłuchując się w chrzęst naszych butów na zwirowej ścieżce. Może George miał rację i pewnego dnia oboje z Rebeccą zastąpimy tutaj jego i Mary. Zastanawiałem się, czy może właśnie w tym miejscu odnajdę spokój i zadowolenie z życia.

To wszystko działo się dwa tygodnie temu. Teraz - na tarasie, gdzie czekam na ponowne pojawienie się Eddiego - zegar wskazuje godzinę pierwszą, jest piątek, połowa czerwca roku dwutysięcznego, ewentualnie roku pluskwy milenijnej, zależnie od tego, czy dałeś się wciągnąć w całe to zakichane marketingowe szaleństwo.

Ja nie. Stało się tak, przyznaję, częściowo z powodu osobistej awersji do kupczenia jakimikolwiek symbolami. Ta psychoza bierze się głównie stąd, że mam z tym do czynienia w pracy. Ale mój brak milenijnego szowinizmu można przede wszystkim przypisać wrodzonemu lękowi przed momentem, w którym zmienia się wiek.

Nie chodzi mi o upicie się i obserwowanie sztucznych ogni rozświetlających niebo nad świątecznie udekorowaną panoramą Londynu. Byłem tam, byłem częścią dwumilionowego ludzkiego akordeonu, który rozciągał się i wznosił okrzyki na obydwu brzegach Tamizy. Podobnie jak reszta paskudnie zmokłem. Powietrze przenikał zapach należącego do nas wszystkich potu. Robiłem to wszystko, delectowałem się każdą sekundą i za nic w świecie bym tego nie przepuścił. Kiedy mówię, że przerażał mnie ten moment, mam na myśli tylko i wyłącznie to. Chodzi mi dokładnie o chwilę, kiedy wiek dwudziesty nieubłaganie odchodzi w przeszłość.

Ponad rzeką obserwowałem jak Big Ben niczym sędzia na meczu bokserskim, przy wtórze coraz głośniejszego tłumu, odlicza ostatnie sekundy starego milenium i ogłasza nowe. I dokładnie w tamtym momencie, kiedy zobaczyłem to na własne oczy i usłyszałem na własne uszy, wreszcie dotarła do mnie straszliwa prawda: przyszłość, moja przyszłość - część mego życia, która dotąd wydawała się niesłychanie odległa - nagle stała się teraźniejszością.

- Kocham cię, skarbie - rzekła do mnie Rebecca.

- Ja ciebie też - odparłem.

Wzięłem ją w pijackie objęcia, pocałowałem jej mokrą od deszczu twarz i przypatrywałem się niezliczonej ilości fajerwerków, rozdzierających atramentową głębię nocnego nieba. Jednak gdzieś w środku mnie nadal panowała ciemność. Czułem, jak chłodna ręka śmierci drapie zakrzywionymi paznokciami w ściany mojej duszy.

Ależ skąd, powiedziałem sobie, to nie może być prawda. Przecież rok dwutysięczny nie mógł już nadejść, no nie? Ale gdziekolwiek spojrzałem, wszędzie widziałem odpowiedź twierdzącą. W niewielkich, prawie niewidocznych zmarszczkach w kąciach oczu Rebecki, kiedy podekscytowana przypomniła mi, że już po raz czwarty wspólnie witamy Nowy Rok: tak. W jej długiej do ramion fryzurze, którą wciąż uważałem za nową, mimo że - jak sobie uświadomiłem - swoje kasztanowe loki obcięła już ponad dwa lata temu: tak. W znajomym dotyku jej dłoni wtulonej w moją, w naszych palcach splecionych ze sobą tak, jakby rosły razem niczym winorośle: tak. I tam, na małym, nieudanym zdjęciu polaroidowym, którym rzucił we mnie Eddie: twarz nieco bardziej szara, niż pamiętam, linia włosów dziwnie dalej, niż to sobie wyobrażałem, a widok zwisającego z mych ust papierosa w jakiś sposób mniej w stylu Jamesa Deana, niż bym sobie tego życzył. Tak, tak i jeszcze raz tak!

Właśnie wtedy z ciężkim sercem, razem z Rebeccą, Eddiem i resztą naszej bandy, ruszyłem Westminster Bridge powoli do domu. Dwa tysiące lat cywilizacji, dumałem, i jakiz był mój w nią wkład? Czy wynalazłem koło? Nie. Czy to ja jestem autorem teorii względności? Też nie. Czy przyśnił mi się pomysł stworzenia stron www? Akurat, nie mnie. Więc co takiego zrobiłem z moim wyznaczonym czasem? Praca, w której jestem dobry? Tak, jeżeli chodzi o to, to nawet mi się powiodło. Kobieta, w której się zakochałem i którą nadal darzę uczuciem? Tak, to też udało mi się osiągnąć.

Jednak ani jedno, ani drugie nie było czymś ponadczasowym. W każdej chwili mogą mnie zwolnić z pracy. Związek mój i Rebecki może się rozpaść. Za dużo piłem... Za dużo paliłem... i mogłem przez to umrzeć. Nawet teraz ścianki moich żył mogą się rozszerzać, tworząc torbiele... Tętniak może być tuż - tuż. I jeżeli naprawdę takie ma być moje przeznaczenie, w takim razie kto będzie o mnie pamiętał? Jaki napis zostanie wyryty na moim nagrobku? Tu spoczywa Fred Wilson, który nigdy niczego nie osiągnął? Cóż innego można by napisać? Nie byłem religijny. Nie interesowała mnie polityka. Nie rozmnożyłem się. Oto z każdą sekundą starzałem się, z każdym kolejnym oddechem zbliżałem się do śmierci, a cóż takiego uczyniłem, by zapisać się we wspomnieniach potomnych? Nic - taka była prawda. Zupełnie nic. Jechałem na najslabszym biegu. Ociągałem się. Odkładałem prawdziwe życie na później.

No cóż, teraz nadszedł czas, by coś z tym zrobić. Nadeszła pora na postanowienia noworoczne. Tyle że to nie był taki zwyczajny Nowy Rok, więc postanowienia też nie mogą być ot, takie sobie. To będą postanowienia na nowe milenium, powzięte po to, by trwać tysiąc lat i by zmienić koleje losu - mojego losu - na zawsze.

Na pierwszy ogień poszły fajki. Po raz ostatni zaciągnąłem się marlboro light, po czym posłałem go w przestrzeń, obracającego się i iskrzącego niczym mały wirujący fajerwerk. Po chwili wyciągnąłem z kieszeni całą paczkę, zmiażdżyłem ją w dłoni i odsunąłem się od Rebecki i reszty. Na poboczu, uwolniwszy się od tłumu, wgramoliłem się na niestrzeżoną policyjną barierkę i zeskoczyłem na fragment nieoświetlonego terenu nad brzegiem rzeki.

Natychmiast przycichł hałas towarzyszący tłumowi. Idąc naprzód, rzuciłem zgniecioną paczkę papierosów w czarne, wirujące wody Tamizy. Stojąc tam, z odpowiednio surowym gmachem Parlamentu przed sobą, uroczyście poprzysiągłem, że już nigdy nie będę palił. Nie nęciła mnie perspektywa kolejnego ataku bronchitu, podobnego do tego, który zatkał mi gardło ubiegłego listopada. Napaliłem się już tyle, że wystarczy do końca życia.

- Co ty robisz? - dobiegł mnie głos Rebecki. Wyrwany z zadumy, stwierdziłem, że wpatruje się we mnie znad barierki. Podniosła kołnierz kurtki, a czapkę narciarską nasunęła głęboko na czoło. Nie dałem sobie ani chwili do namysłu. Teraz nadszedł czas na działanie. Jeżeli papierosy były moim pierwszym postanowieniem, w takim razie Rebecca będzie drugim.

- Chodź tutaj! - zawołałem. Wykrzywiła twarz z niechęcią.

- Ale tam jest brudno.

Podszedłem do barierki i stanąłem dokładnie pod Rebeccą. Unosząc ręce, rzekłem do niej:

- Skacz. Złapię cię. Nic ci nie będzie.

- Ale dlaczego? - zapytała, wpatrując się we mnie podejrzliwie.

- Dlatego.

- Dlatego, że co?

- Dlatego, że mam ci coś do powiedzenia, a muszę to zrobić na osobności.

Wstawiona, przestąpiła z nogi na nogę.

- Czy to nie może poczekać, aż wrócimy do domu? - poprosiła. - Zaraz zamarznę.

- Nie, nie może - odparłem twardo. - Zaufaj mi. Nie będziesz żałować. Zobaczysz.

Zmrużyła oczy.

- Lepiej, żeby tak było - rzekła bez uśmiechu, po czym niechętnie wspięła się na

barierkę i osunęła w moje ramiona.

Delikatnie postawiłem ją na ziemi.

- Nie ruszaj się - poleciłem jej, szybko cofając się kilka kroków.

Zamrugła, uważnie lustrując teren w poszukiwaniu czającego się niebezpieczeństwa.

- Pospiesz się - rzuciła. - To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórę.

- Chciałbym się dowiedzieć... - zacząłem.

Ale zanim zdążyłem cokolwiek dodać, mój głos zanikł niczym radio samochodowe w długim tunelu. Otworzyłem usta, żeby rozpocząć jeszcze raz, ale spotkało mnie to samo. Miałem uczucie, jakby w moich ustach nie było ani kropli śliny, a język stał się szorstki jak u kota.

Rebecca spojrzała na mnie jak na pijaka, leżącego na progu jej ulubionego markowego butiku.

- Jeżeli to ma być żart... - rzuciła ostrzegawczo. Energicznie potrząsnąłem głową, ale nadal nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Co się dzieje? - pomstowałem w duchu. Dlaczego tak mi zaschło w ustach? Czy to ja sam? Przecież podjąłem decyzję, no nie? Przecież tego właśnie chciałem, prawda? Od pięciu lat chodzimy ze sobą. To piękna i błyskotliwa dziewczyna. Umiemy się wzajemnie rozśmieszać, a seks jest fantastyczny. I kocham ją. Oczywiście, że tak.

Czy w takim razie sprawiła to myśl o stworzeniu własnej rodziny, o wyjściu z deprymującego cienia rodziców? Nie, przecież stabilizacja to coś, czego pragnąłem. A może po prostu bałem się, że Rebecca mi odmówi? Czy właśnie dlatego zaniemówiłem? Oczywiście, że rozważałem taką ewentualność. Bóg jeden wie, że nie jestem doskonały, a jeżeli On to wie, szczerze wątpiłem, by Rebecca pozostawała w błogiej nieświadomości. Ale jeśli odrzuci moją propozycję... Nic nie mogłem na to poradzić i naprawdę nie powinno mnie to od razu zniechęcać do oświadczeń.

Schyliłem się i klęknąłem.

Rebecca przypatrywała mi się w panującym półmroku.

- Nie masz chyba zamiaru puścić pawia? - spytała z niepokojem.

Bez słowa potrząsnąłem głową i ujrzałem, jak moja towarzyszka wydaje westchnienie ulgi. Poklepałem nierówną ziemię tuż przede mną.

- Co? - zapytała, pochylając głowę, by strzepnąć z dzinsów jakiś paproch. - Chyba nie oczekujesz, że klęknię koło ciebie, co?

Pokiwałem głową. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Zapomnij o tym. Jesteś zalany. A teraz wstawaj, zanim cię ugryzie jakiś szczur.

Desperacko wciągnąłem do płuc powietrze.

- Proszę - wycharczałem. - Proszę... Dla mnie...

- Chyba oszalałam - odparła, grzebiąc w torbie i wyciągając zwinięty egzemplarz „Time Out”. Schyliła się i rozłożyła go na ziemi. - Oby było warto. - I uklękła na nim.

- Będzie - zaskrzeczałem, ujmując jej dłonie. Nie sądzę, bym kiedykolwiek widział kogoś równie pięknego. - Nie sądzę, bym kiedykolwiek widział kogoś równie pięknego - rzekłem do niej ze wzruszeniem i wysiłkiem, a z oczu trysnęły mi łzy.

- I to wszystko? - spytała, bezskutecznie starając się ukryć rozczarowanie. - Czy właśnie to chciałeś mi powiedzieć?

Uroczyście potrząsając głową, wziąłem głęboki wdech.

- Pragnę... - zacząłem piskliwie. Wreszcie, przesuwając dłońmi po jej udach, nabrałem więcej powietrza i wyrzuciłem z siebie: - ... ciebie, Rebecca. Pragnę...

Wpatrywała się we mnie z rosnącym niedowierzaniem. Po chwili przyjrzała się moim dłoniom błędzącym po jej udach.

- Tutaj? - zapytała. - Teraz?

- Tak - wycharczałem. - Dokładnie tutaj i teraz. - Boże, to była najważniejsza kwestia, jaką kiedykolwiek wypowiedziałem.

Z zapartym tchem czekałem na jej reakcję i wtedy coś w mojej twarzy musiało ją poruszyć, gdyż nagle zmiękła.

- No cóż - oświadczyła z błyskiem w oku. - Muszę przyznać... myśl o tym, że ci wszyscy ludzie są tak blisko...

- Słucham?

- ... no i ci policjanci... na tych swoich wielkich czarnych ogierach... którzy mogliby w każdej chwili nas nakryć...

- Co?

Ale ona już nie słuchała.

- Nie wspominając już o możliwości aresztowania... i... - Przymknęła oczy. - Mmm... kajdanki... - Zagubiony, patrzyłem w milczeniu, jak Rebecca rozważa coś przez kilka sekund, prz gryzając dolną wargę. - W porządku - zdecydowała wreszcie. - Zgadzam się.

- W porządku? - upewniłem się.

To nie było ani spodziewane przeze mnie natychmiastowe rzucenie się w ramiona, ani też stanowcze i oschłe odrzucenie moich oświadczeń.

- Ale będziemy musieli zrobić to szybko - dodała.

- Szybko? - Rozmawialiśmy przecież o całym wspólnym życiu.

Wtedy Rebecca wstała.

- Masz szczęście, że nie włożyłam majtek - oświadczyła, patrząc na mnie zalotnie, po czym rozejrzała się podekscytowana. - Gdzie to zrobimy? - wysyczała. - Mam się oprzeć o barierkę? A może o ten słup? - Wtedy zauważyła wyraz mojej twarzy i dodała karcąco: - Nie mów mi, że nagle obleciał cię strach...

W końcu oświeciło mnie i pospiesznie pociągnąłem ją z powrotem na ziemię.

- Nie - wyrzuciłem z siebie. - Ty nie rozumiesz. Ja... Ja nie pragnę ciebie...

Czułem, jak cała się spina.

- Ale...

- Nie, to znaczy oczywiście, że cię pragnę, ale chodzi mi o coś więcej... Chodzi o to, że pragnę ciebie... - wytłumaczyłem. - To znaczy teraz... na zawsze... - Zdesperowany zawahałem się. - Rozumiesz?

- Myślałam... - Gdy to, co powiedziałem, zaczęło do niej docierać, zbliżyła twarz do mojej, patrząc mi prosto w oczy. - Ty chyba nie... ?

- Tak - wyszeptalem. - Tak. Pragnę, byś za mnie wyszła. Nareszcie! Wydusiłem to z siebie. Utkwiłem wzrok w jej oczach i bez tchu czekałem na odpowiedź.

Przez chwilę nic nie mówiła, a zamiast tego wpatrywała się we mnie w napięciu. Po chwili powoli, ale pewnie, jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- O mój Boże! - zachłysnęła się, wyglądając na skołowaną, a potem zaczęła się śmiać. - A ja myślałam, że chcesz... O mój Boże! - zapiszczała, zarzucając mi ręce na szyję. Ścisnęła mnie tak mocno, że myślałem, iż pękną mi żebra. - Oczywiście, że się zgadzam, Fred. - Westchnęła, wydychając na moją twarz ciepłe powietrze. - Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

Otwieram teraz oczy i pierwszą rzeczą, którą widzę, jest paczka czerwonych marlboro Eddiego, leżąca na parapecie niedaleko pustego krzesła, na którym siedział. Słońce praży nieubłaganie, a ja czuję nagłe ukłucie zazdrości. To właśnie dokładnie od tych papierosów zacząłem jako nastolatek i w ten piękny dzień przypominam sobie inne piękne dni z mojej młodości, godziny tracone na włóczeniu się bez celu i paleniu w lesie niedaleko wsi, w której dorastałem, kiedy upływający czas nie miał dla mnie żadnego znaczenia.

- OK - mówi do mnie Eddie, ponownie się pojawiając. Siada na krześle, podnosi kamerę i kieruje ją na mnie. Osłona obiektywu cicho się odsuwa. - Opowiedz mi trochę o swojej przeszłości i starczy na dzisiaj.

- Ale o czym? - pytam ze znużeniem, czując jednocześnie ulgę, że prawie skończyliśmy.

- Nie wiem. - Zastanawia się przez chwilę. - Rodzina. Opowiedz mi o niej.

Eddie oczywiście już to wszystko słyszał, ale powtarzam dla dobra jego projektu.

- Mój ojciec nie żyje - mówię. - A matka mieszka w Szkocji.

Eddie kiwa ręką, dając mi chyba znać, że to za mało.

- Mama nigdy ponownie nie wyszła za męża, ale ma kogoś. - Przed oczami pojawia mi się obraz Alana, pięćdziesięcioletniego nauczyciela, z którym mieszka. - Poznała go w kościele. Jest całkiem miły w jakiś taki spokojny sposób, ale tak naprawdę nigdy go dobrze nie poznałem. Ma własne dorosłe dzieci.

Myślę o mamie i o tym, jak bardzo się od siebie oddaliśmy w ciągu tych lat, które nastąpiły po śmierci ojca. Zamiast zbliżyć się we wspólnym smutku po stracie, uczyniliśmy dokładnie na odwrót. I myślę jeszcze o tym, jak bardzo byłem zadowolony, kiedy mama związała się z Alanem, ponieważ to oznaczało, że nie jestem już jedyną odpowiedzialną za nią osobą.

- Nie spotykam się z nią tak często, jak powinienem - dodaję. - Im człowiek jest starszy, tym bardziej odsuwa się od rodziny.

Eddie nie odpowiada. Wie, że mama prawie nigdy do mnie nie dzwoni.

- Myślę, że jest szczęśliwa - kończę - a przecież o to właśnie chodzi w życiu...

Eddie nadal zdaje się czekać, więc trochę niechętnie kontynuuję:

- Mój ojciec zmarł na zawał, kiedy miałem piętnaście lat. Kolejny sygnał od Eddiego.

Wzruszam ramionami.

- Staram się o nim nie myśleć - dodaję. - Tak jest łatwiej. Nie mam zamiaru mówić nic więcej, ale wtedy przypominam sobie, jak ojciec często siadał na brzegu mojego łóżka i nucił mi do snu.

- Kiedyś pragnąłem, żeby wrócił - przyznaję. - Miałem nadzieję, że - szukam na niebie odpowiednich słów, po czym pochylam głowę - że w jakiś sposób przestanie być martwy. Nie wiem... to pewnie głupio zabrzmiało, ale chodziło o to, że miałem do niego tak wiele pytań, pytań dotyczących jego życia, a potem, cóż, potem już go nie było i nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy nie poznam odpowiedzi. Podejrzewam, że każdemu przytrafiło się coś takiego... - mówię, żałując, że zacząłem w to brnąć, postanawiam więc skończyć. - Już na zawsze pozostanie jakiś żal.

Przez chwilę panuje cisza, po czym Eddie wyłącza kamerę i opiera ją o udo.

- Dzięki - mówi. - Mam już sporo materiału do obróbki. - Pochyliła się i wpatruje we mnie. - Dobrze się czujesz? - pyta.

- Taa - odpowiadam. - A czemu miałyby być inaczej?

- Twoja twarz - wyjaśnia. - Jest cała czerwona. Chyba za długo siedziałeś na słońcu.

Dotykam palcami czoła, po czym przyglądam się im uważnie: lśnią od potu.

- Nic mi nie jest - powtarzam i nawet udaje mi się uśmiechnąć. - To pewnie tylko zwykłe odwodnienie.

W kuchni nalewam sobie szklanę wody, ale nadal nie mogę się pozbyć gorąca, które się we mnie nagromadziło. Ponownie napełniam szklanę, idę do sypialni i zatrząskuję za sobą drzwi. Kładę się na łóżku i wpatruję w sufit, żałując, że w pokoju nie ma żadnego wentylatora, który schłodziłby moje rozpalone ciało.

Zamykam oczy i staram się zasnąć. Ale nie mogę. Zamiast snu pojawiają się nieproszone wspomnienia. Zbyt zmęczony na walkę z nimi, ulegam, przyglądając się obrazom z dzieciństwa i okresu dorastania, które migoczą w mojej głowie niczym niemy film. To jakiś nieuporządkowany łańcuch zdarzeń i obrazów: gry, w które bawiłem się z kumplami podczas przerw na drugie śniadanie, sposób, w jaki latem używaliśmy szkieł powiększających do wypalania naszych imion na podeszwach butów, a także zimowe dni, spędzane na obrzucaniu się śnieżkami. Potem pojawiły się inne wspomnienia, wcześniejsze, które nie nawiedzały mnie od lat.

Mój ojciec otrzymał na chrzcie imię Miles i nie pamiętam, bym kiedykolwiek zwracał się do niego inaczej. Kiedy byłem dzieckiem, stanowił dla mnie niewyczerpane źródło tajemnic. Miał nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dokładnie tyle, ile ja mam teraz, a jego oczy były osadzone głęboko i blisko siebie jak u wilka.

Poza tymi cechami jego wygląd nieustannie się zmieniał. Wąsy, broda i baczki pojawiały się i znikaly. Nogawki spodni rozszerzały się i zwężyły, i jednego tygodnia były w grochy, a następnego w paski. Kiedy dorastałem, wydawało mi się, że gdy tylko przyzwyczailem się do jego wyglądu, natychmiast się zmieniał, przybierając inną postać.

Jedynie jego nieobecność w domu pozostawała niezmienna. Pracował w Londynie, w West Endzie, czasami przez całe tygodnie bez przerwy, jak się wydawało. Stało się to regułą, odkąd mama urodziła mnie, jego jedyne syna.

Moja mama, Louisa, często opowiadała mi, jak to Miles przyszedł do mojego pokoju w dzień moich siódmych urodzin, by pocałować mnie na dobranoc. Większość tej historii sam zresztą dobrze pamiętam.

Znalazł mnie skulonego w szafie pod stertą swetrów z wyrazem totalnego przerażenia na twarzy. Miał na sobie błękitną marynarkę i jaskraworóżową koszulę z długimi kłapami, które pokrywały się z liniami jego obojczyka. Przy koszuli brakowało jednego perłowego

guzika, dzięki czemu kępka włosów na brzuchu wystawała na zewnątrz.

Kiedy zapytał mnie, co tam robię i dlaczego celuję w niego z pistoletu - a dokładniej w jego masywny, kowbojski pas z mosiężną sprzączką - strzeliłem mu prosto między oczy. Czarna gumowa strzałka z przyssawką chybotwała się tam i z powrotem na grzbiecie jego nosa i Miles, ogromnie zdumiony, skupił się na niej, a ja w tym czasie przedarłem się między jego nogami i pomknąłem przed siebie.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy nerwowe nawoływanie mamy doprowadziło do tego, że z mojej nowej kryjówki - która mieściła się w pralni, pomiędzy odkurzaczem i mopami - dobiegła ostrożna odpowiedź, która nareszcie wyjaśniła, co mnie tak przeraziło. Utkwiły mi w pamięci łagodne, brązowe oczy mamy, wpatrujące się we mnie, kiedy się odezwałem.

Miles, który przyszedł pocałować mnie na dobranoc, nie był, jak cicho oznajmiłem, moim ojcem. Miles, który przyszedł mnie pocałować, nie mógł być moim ojcem, ponieważ mój ojciec - prawdziwy Miles - za nic nie opuściłby mojego urodzinowego przyjęcia.

Istniało tylko jedno możliwe wytłumaczenie tej sytuacji: Miles, który dostał się do naszego domu, jest oszustem; najpierw rozprawił się z prawdziwym Milesem, a teraz zamierzał zrobić to samo ze mną. Poradziłem mamie, żeby albo zadzwoniła po policję, albo przyłączyła się do mnie i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Jakieś pół godziny później zgodziłem się wreszcie porozmawiać z fałszywym Milesem. Usiadłem przy okrągłym stole w jadalni, mieszczącej się tuż przy kuchni. W szyby delikatnie uderzał słaby deszcz. Za oknem panowała całkowita ciemność, a jedyne światło w domu rzucała mosiężna lampa z abażurem w chińskie smoki, która stała na małym stoliku przy drzwiach. Mama opierała się o brązową, kuchenną szafkę, a Miles siedział naprzeciwko mnie.

- Jeżeli jesteś prawdziwym Milesem - zacząłem zgodnie z wcześniejszą sugestią mamy - to powiedz, ile mam lat.

Miles niespokojnie poruszył się na obrotowym krześle, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. Siorbnął łyk herbaty i popatrzył na mnie nabiegłymi krwią oczami.

- Siedem - odparł.

Miał gruby głos, a jego akcent był niezbyt przyjemną mieszaniną nabytego - londyńskiego i wrodzonego - zachodniego. Odstawił kubek i podrapał się po trzydniowej szczecinie porastającej jego szczękę, co zabrzmiało jak odpinanie rzepu.

- Wczoraj miałeś jeszcze sześć - ciągnął dalej. - Dzisiaj skończyłeś siedem.

Przez chwilę rozważałem jego słowa, po czym obrałem inną taktykę, by go zdemaskować.

- Jakie jest słowo szyfr? - spytałem. Zmrużył oczy i zmarszczył czoło.

- Jakie słowo szyfr? - zapytał, głośno wycierając dłonią nos. Celowałem pistoletem dokładnie w mały znak na jego nosie, który pozostał po moim poprzednim strzale.

- Gdybyś był prawdziwym Milesem - oświadczyłem z nutą ostrzeżenia w głosie - wiedziałbyś, o co chodzi.

- Aha - odparł, kiwając ze zrozumieniem głową. - To słowo szyfr. - Oparł się na krześle i bębnił nierównymi paznokciami w stół. Powstrzymując ziewnięcie, beznamiętnie wpatrywał się we mnie. Po chwili w jego oczach pojawił się błysk. - Dlaczego chcesz, abym ci je powiedział? Czyżbyś je zapomniał?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie udowodnij to - rzucił mi wyzwanie, krzyżując ręce na piersiach.

Otworzyłem usta, by po chwili je zamknąć. Nie dam się tak łatwo nabrać.

- Nie - odpowiedziałem stanowczo.

Pochylił się w moją stronę, a gdy zrobił srogą minę, na jego czole pojawiły się zmarszczki.

- Dlaczego nie?

Odpowiedziałem mu takim samym grymasem.

- Bo to tajemnica. O to właśnie chodzi. Miles pogroził mi palcem.

- Ale jeśli mi go nie powiesz, skąd mam wiedzieć, że jesteś prawdziwym Fredem?

Poczułem się znieważony.

- Bo jestem! - Prysnałem śliną, a pistolet w mojej dłoni zachwiał się. - A kim miałbym być?

- Z tego, co wiem - odparował - ty możesz być oszustem...

- Nie! - sapnąłem. - To nie fair. To ty jesteś oszustem. - Ująłem mocniej pistolet i zacisnąłem zęby. - I jeśli nie powiesz mi słowa szyfru, zaraz cię...

Wtedy ojciec szybko się uśmiechnął, a jego uśmiech odpowiadał mojemu wyobrażeniu o prawdziwym Milesie: promienny, ale krzywy, jednocześnie rozbajający i niebezpieczny.

- Sierżant Pepper - powiedział.

Otworzyłem usta ze zdumienia; to właśnie było to słowo.

Opuściłem pistolet i walcząc z nagłym uczuciem zmęczenia, spuściłem nogi na dół. Przeciągnąłem czubkami palców po grubym kremowym dywanie, który wyglądał tak, jakby został zdarty z grzbietu olbrzymiej owcy, a potem przesunąłem lewą nogę jeszcze dalej i kuląc palce tak, że uchwyciły dywan, zapytałem:

- Dlaczego nie byłeś na moim przyjęciu?

Miles spojrział pospiesznie na mamę, po czym znowu na mnie.

- Musiałem się spotkać z bardzo ważnymi osobami. Uniosłem głowę. Nie mogłem się powstrzymać.

- Ludźmi z rządu? - spytałem z przejęciem. Ponownie zerknął na mamę, a potem zasłonił usta, tak że tylko ja je widziałem, i wyszeptał:

- Tak.

Mama mruknęła coś pod nosem, podeszła do oszklonej szafki i wyjęła papierosa z przechowywanej tam srebrnej papierošnicy.

- O czym rozmawialiście? - wysyczałem, podciągając kolana pod brodę.

Miles konspiracyjnie pochylił głowę, tak że znajdowała się tuż nad stołem. Spomiędzy jego kłykci wydostawał się wężyk dymu.

- Czy mogę ci ufać? - spytał. - Chodzi o to, że jest to trzymane w największej tajemnicy...

Energicznie pokiwałem głową.

- No pewnie...

Rozejrzał się nerwowo, jakby mógł nas słyszeć ktoś poza mamą. Dopiero wtedy, wyraźnie usatysfakcjonowany, uniósł do ust palec wskazujący i oznajmił:

- W Londynie widziano Kapitana Carnage'a. Odwróciłem się na krześle, prześwietlając wzrokiem ciemne kąty pokoju. Kapitan Carnage to największy złoczyńca na całym świecie. Mógł przerazić kogoś na śmierć samym spojrzeniem. Rządowy Supertajny Agent Specjalny Miles był jego zaprzysiężonym wrogiem. A ja jako jedyna osoba nie szpieg na świecie wiedziałem o istnieniu Kapitana Carnage'a. Miles przymknął oczy, a jego twarz złagodniała.

- Posłuchaj, Fred. - Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. - Przepraszam, że nie byłem na twoim przyjęciu.

Drgnąłem przestraszony widokiem gałęzi wyłaniającej się z ciemności za oknem.

- A jeśli Kapitan Carnage przyszedł tutaj za tobą? - zapytałem. - Co będzie, jak włamie się do domu, kiedy będziemy spali?

Miles podniósł mnie z krzesła.

- To nie ma żadnego znaczenia, dopóki wszyscy będziemy pogrążeni we śnie.

- Dlaczego? - spytałem, gdy niósł mnie w stronę schodów.

- Dlatego - odparł i zaczął się wspinać na górę, nie zwracając uwagi na zgrzyt, jaki wydawały moje palce przesuwające się po drewnianej poręczy - że kiedy śpimy, zamykamy

oczy i niczego nie widzimy. Także złych ludzi. A źli ludzie nie mogą nas przerazić, kiedy ich nie widzimy. To samo odnosi się do Kapitana Carnage'a. A więc tak długo, jak twoje oczy są zamknięte, on cię nie może skrzywdzić.

- A co będzie, jak dorwie ciebie? Co, jeśli dorwie ciebie, a potem obudzi mnie? Co wtedy?

- Wtedy będziesz miał to do ochrony - odparł Miles, wyciągając z kieszeni koszuli okulary przeciwsłoneczne. Założył mi je i świat nagle stał się ciemny. - To jest rozwiązanie rządowe - wyjaśnił. - W stu procentach chroniące przed Carnage'em. Nikt ani nic nie może cię skrzywdzić, kiedy masz je na nosie.

Mocno uściskałem Milesa i zamknąłem oczy. Kochałem go. Kochałem go całą moją duszą i wiedziałem, że to, co mówi, jest prawdą.

Lata dzieciństwa Milesa nie były tak bez troskie jak moje. Rzucił szkołę w Warminster, kiedy miał piętnaście lat, zaraz po ucieczce z domu rodziców (których zresztą nigdy nie poznałem). Matka Milesa zmarła przy porodzie, a jego ojciec był właścicielem sklepu spożywczego i weteranem wojennym. Służył kiedyś w marynarce, lubił sobie popić i notorycznie karał pięściami Milesa za przestępstwo, którego nieświadomie się dopuścił, przychodząc na świat.

Kiedy Miles jeszcze żył, a ja podrosłem na tyle, by móc to usłyszeć, nigdy nie uchylał się od opowiedzenia mi prawdy o swojej młodości. Przedstawiał siebie jako poszukiwacza przygód, korsarskiego ducha, który żeglował przez życie, ustanawiając po drodze własne zasady. Był dumny, że udało mu się zająć tak daleko. Jeżeli gdzieś po drodze złamał jakieś prawa, to tylko dlatego, że to one były niewłaściwe.

Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych poznał moją matkę, mieszkał w walącym się domu na przedmieściach Oksfordu i właśnie znalazł swoją spokojną przystań, dostarczając miejscowej braci studenckiej najwyższej jakości haszysz.

Ojciec mamy, Frederick, był zamożnym prawnikiem, mieszkającym niedaleko Aberdeen. Tak jak i babcia wyznawał surowe zasady prezbiteriańskie. Umarł na raka jelita, kiedy miałem jedenaście lat. Był uprzejmym i hojnym mężczyzną, który nie mógł znieść przebywania w tym samym pomieszczeniu co Miles. Moja babcia nadal żyje, ale cierpi na alzheimera. Mama mieszka w tej samej wsi w Szkocji i opiekuje się nią.

Gdy mama spotkała Milesa, studiowała historię na uniwersytecie oksfordzkim. W ciągu dwóch lat, kiedy mieszkała z dala od rodzinnego domu, spotkała więcej niespokojnych duchów, niż podczas spędzonego pod kloszem dzieciństwa i okresu dorastania.

Chrześcijaństwo wymieniła na duchowość i towarzyszące jej ideały hippisowskie (zamiana, którą w późniejszym życiu dramatycznie odwróci). W Milesie, chłopaku z tak wyraźnie niewłaściwej strony barykady, dojrzała antidotum na to, co wtedy uważała za ośmieszające i nudne. On z kolei zobaczył piękność, która od razu bezgranicznie go zaakceptowała.

Nie musiał jej zbyt długo przekonywać, by rzuciła Oksford bez zdawania egzaminów końcowych, ale na zawsze zraził tym do siebie przyszłych teściów. Zaopatrzeni w jego gotówkę, ukryty towar i małą wagę, przemierzali kraj, ostro imprezując. To była podróż, która miała pomóc w odkryciu ich własnego ja i która - taką mieli nadzieję - będzie trwać całe życie. Ale wtedy, w lutym 1969 roku, tego samego miesiąca, kiedy naukowcy z Cambridge dokonali sztucznego zapłodnienia, Milesowi udało się zapłodnić jajeczko w łonie mojej matki.

Jednym zgubnym uderzeniem ciąża wybiła mamę z dotychczasowej bez troski. Gdzieś wewnątrz niej zakiełkowało poczucie odpowiedzialności. Sześć miesięcy później w urzędzie stanu cywilnego w Aberdeen ona i Miles pobrali się. (Rodzice mamy odmówili wzięcia udziału w tej uroczystości, mimo że to właśnie nadzieja na pojednanie z nimi była głównym powodem, dla którego mama zgodziła się na ślub). Urodziłem się kilka miesięcy później w szpitalu Charing Cross. Ważyłem niecałe trzy i pół kilograma i miałem niebieskie oczy, które później zmieniły kolor na szary. Mama moje narodziny wspomina jako moment, w którym na nowo odkryła wiarę w Jezusa.

Przygotowując się na moje przyście na świat, rodzice wynajęli nędzne mieszkanie w Islington. Mama nalegała także, by Miles znalazł jakąś stałą pracę. I znalazł - jako barman w modnym barze w Soho. Dorabiał sobie, prowadząc na boku jakieś interesy. Tak właśnie poznał ludzi o podobnym sposobie myślenia, którzy później stali się jego współnikami.

Mama zupełnie nie pasowała do tego środowiska. Zamiast starać się w nie wtopić, w trosce o swoje dziecko nalegała na wyprowadzenie się z Londynu. Ojciec, mając najwyraźniej jakieś swoje powody, zgodził się i kupili dom we wsi Rushton, w hrabstwie Hertfordshire, gdzie spędziłem następne trzynaście lat mego życia.

Miles nadal pracował w Soho, gdzie w połowie lat siedemdziesiątych wreszcie udało mu się otworzyć własny nocny klub, który nazywał się Clan. Dojazdy zajmowały mu bardzo dużo czasu i z biegiem lat mama i ja widywaliśmy go coraz rzadziej i rzadziej.

Rushton jest położone w dolinie, w dogodnej odległości od parku safari Woburn, ogrodu zoologicznego Whipsnade i kanału Grand Union. Nie byłem tam już od dobrych dziesięciu lat. W Rushton nie ma żadnej wielkiej arterii, ale główna ulica, Hemel Hempstead, przecina je dokładnie w połowie, biegnąc równolegle do wartkiej rzeki Elo, na której, w

północnej części wioski, znajduje się most.

Kiedyś jakiś starszy chłopak naopowiadał mi, że pod mostem mieszka troll z ostrymi zębiskami i w ciągu kilku następnych lat zawsze, gdy wracałem z Cubs, przebiegałem w tym miejscu tak szybko, jak tylko potrafiłem, by nie zostać schwytany za nogi, wciągnięty w przejmująco wilgotną głębię i pożarty.

Wieś liczy około siedemdziesięciu domów. Większość z nich została zbudowana w latach pięćdziesiątych na wzgórzu, na zachodnim brzegu rzeki. Wschodnia strona to starsze domy, niewielkie chaty i surowy gotycki kościół. Najdawniejszy nagrobek, jaki udało mi się znaleźć na cmentarzu, niewidoczny pomiędzy płataniną jeżyn, pochodzi z 1568 roku. Spoczywa tam mężczyzna zwany David Jeremiah Johnson, który przez wiele tygodni nawiedzał mnie w koszmarach sennych.

Tuż przy kościele mieści się gospoda Kaczka i Łabędź. Na początku mama dość często do niej zaglądała, ale z czasem, kiedy jej związek z Milesem zaczął się rozpadać, przeniosła swoje uczucia na Kościół, coraz bardziej kurczowo trzymając się jego stabilnych podwalin, jakby starała się wyrwać z własnego świata, który powoli, ale nieubłaganie, coraz bardziej się od niej oddalał.

Za kościołem i gospodą znajduje się Dom Pamięci, zbudowany dla uczczenia młodych mężczyzn z Rushton i okolic, którzy oddali swoje życie za króla i kraj podczas pierwszej wojny światowej. Jeszcze dalej są błonia, pub Gordon Arms i szkoła podstawowa w Rushton, instytucja edukacyjna, gdzie nauczyłem się nazywać kolory tęczy, a także czytać, pisać, dodawać i odejmować.

Wzgórze na zachodnim brzegu Elo przecina długa, stroma aleja, wysadzana wysokimi dębami, które aż przerażają swoją trwałością i wyniosłością. Pewnego razu zjeżdżałem sobie wolno gokartem w dół wzgórza, z zamiarem przejechania slalomem między wszystkimi dwudziestoma dwoma drzewami po lewej stronie drogi. Udało mi się ominąć dwadzieścia jeden, po czym straciłem równowagę i zatrzymałem się z impetem na ostatnim dębie. Uderzyłem w chropowatą korę i rozciąłem sobie skórę na łokciu, tak że miałem siedmiocentymetrową szramę. Gokarta zostawiłem w uścisku drzewa. Wyglądał jak duża huba, a ja do dzisiaj mam bliznę, przypominającą o tej kraksie.

Mieszkałem w domu zwanym Orchard View, który mieścił się na samym końcu alei, przy bocznej drodze, noszącej nazwę Hill Drive. Został zbudowany w 1947 roku, tym samym, w którym urodził się Miles (ta zbieżność w dzieciństwie niezmiernie mnie fascynowała), a jego nazwa pochodziła od znajdującego się tam niegdyś sadu* z jabłoniami.

Tak jak i Miles, posiadłość przechodziła niekończące się metamorfozy. Pamiętam, że

dachówki zmieniały się zgodnie z porami roku, a ściany zewnętrzne najpierw były białe, potem żółte i niebieskie, po czym znowu białe. Stawiano i rozbierano dobudówki i garaże, które miały być schronieniem dla kolejnych samochodów, a także zaspokajać wymogi rządzącej architekturą mody. Nie inaczej działo się wewnątrz. Tapety i inne akcesoria były wymieniane i unowocześniane, czasami nawet co miesiąc. Pamiętam, że jedynie antyki, które kochała mama, pozostawały w naszym domu na swoim miejscu.

Wkrótce po przeprowadzce do Orchard View* [Orchard (ang.) - sad. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)] Miles przebudował poddasze i tam właśnie miałem swój pokój. Pierwszej nocy spałem na dolnej połowie mojego podnoszonego łóżka, przykryty kołdrą w żołnierzki i fioletową narzutą, z której latem powstawał wigwam. Zabawki trzymałem w specjalnej dużej szafce, a sufit pokrywały świecące gwiazdki i naklejane planety.

Dwa okna pozwalały obserwować ciemne, nocne niebo. Z jednego mogłem wyglądać do ogrodu na tyłach domu i do domku na drzewie, należącego do mojej sąsiadki Mickey. Mickey miała tyle samo lat co ja i była kiedyś moim najlepszym kumpem. Czasami wcześnie rano, przy dobrej pogodzie, wpatrywałem się w najwyższe gałęzie, próbując dostrzec namalowany przez Mickey w przedszkolu obraz Jezusa, za który dostała nagrodę. Drugie okno w moim pokoju wychodziło dokładnie na odległe o jakieś półtora metra okno sypialni Mickey.

Kiedy byliśmy młodszy, latem Mickey i ja otwieraliśmy w nocy okna i szeptaaliśmy do siebie albo puszczaaliśmy papierowe samolociki. Innym razem próbowaliśmy się postraszyć, głuchą nocą pukając sobie w okna kawałkami bambusa, rosnącego na działce taty Mickey.

Pewnego wieczoru podczas ferii bożonarodzeniowych, gdy Mickey i ja mieliśmy po piętnaście lat, niezauważony podglądałem przez szparę między zasłonami, jak się rozbiera. Kiedy odpięła stanik i stanęła przed lustrem, rozczesując włosy, wiedziałem, że nigdy już nie będzie między nami tak jak dawniej.

Na tyłach naszych ogrodów płynął szeroki, choć płytki strumień, który spływał ze wzgórza do Elo. Leżące za nim pole i las należały do Jimmy'ego Dugheada, złośliwego farmera, który palił skręty i przywiązywał martwe kruki oraz szczury do należących do niego płotów, wzmocnionych drutem kolczastym.

Wszystkie dzieci we wsi panicznie się go bały, głównie z powodu historii opowiedzianej przez Tommy'ego Wilmota, chłopaka o kilka lat starszego ode mnie i Mickey. Legenda głosiła, że pewnego razu Jimmy Dughead przyłapał Tommy'ego na zastawianiu w jego lesie sideł na króliki. Zamiast zaprowadzić chłopaka na policję, Dughead uniósł swoją

dwunastomilimetrową dubeltówkę i wycelował ją w klatkę piersiową Tommy'ego. Oświadczył chłopakowi, że daje mu dwadzieścia sekund, po czym otrzyma taką lekcję kłusownictwa, jakiej nigdy nie zapomni. Spanikowany Tommy zdołał uciec, a jego tyłek nie został podziurawiony gradem pocisków. Przeżył, a potem opowiedział o tym, co mu się przytrafiło. Już nigdy nie postawił nogi na ziemi Jimmy'ego Dugheada i mówił, że poważny byłby się na to jedynie człowiek umysłowo chory.

W pełni zgadzałem się z Tommym Wilmotem, ale Mickey miała odmienne zdanie. Ona nie bała się nikogo, nawet Jimmy'ego Dugheada. Oświadczyła, że ziemia Dugheada - ponieważ wszyscy boją się tam chodzić (nawet jej starszy brat Scott)

- jest najbezpieczniejszym miejscem do ukrycia czegoś. A Mickey i ja mieliśmy coś do schowania: nasz wspólny skarb. I właśnie dlatego, gdy miałem lat dziewięć, a Mickey już dziesięć, przeczłgaliśmy się na środek pola za naszymi domami i zakopaliśmy tam starą puszkę po czekoladkach Quality Street. Staraliśmy się zapamiętać to miejsce, znajdujące się dokładnie pomiędzy czterema drzewami. Chcieliśmy zostawić tam pudełko aż do Halloween. Okazało się wkrótce, że nasz plan, podobnie jak i wiele innych w tamtych czasach, miał swój słaby punkt.

Dwa tygodnie po tym, jak zakopaliśmy nasz skarb, Jimmy Dughead wypuścił na pole swojego medalowego czarnego byka. Wążący grubo ponad pół tony buhaj był prawdziwym potworem, wszyskowiedzącym i zdolnym do przebiegnięcia galopem przez pastwisko w kilka sekund. Lubił przebywać w tej części pola, gdzie ukryliśmy puszkę, a dzieci nienawidził nawet bardziej niż jego właściciel. Mickey i ja co najmniej osiem razy próbowaliśmy odzyskać to, co prawnie należało do nas, ale jakby wyczuwając naszą frustrację, byk nie ruszał się wtedy z miejsca i nic nie rozpraszało jego uwagi na tyle długo, byśmy mogli osiągnąć nasz cel.

Po południu w samo Halloween Mickey przedstawiła mi ostateczny plan odzyskania skarbu. Zapewniła, że tym razem na pewno wypali. Powiedziała, że w dniu dzisiejszym odniesiemy triumf nad Jimmym Dugheadem i jego wrednym bykiem.

Okazało się także, że jest to dzień, w którym Mickey Maloney uratowała mi życie.

Siadając na brzegu łóżka, czuję się ospały i zdezorientowany, jakbym właśnie przebudził się z drzemki na plaży. Przesuwam dłonią po karku, który okazuje się cały spocony. Wstaję, przechodzę przez pokój i wyglądam przez okno, modląc się o chłodny powiew wiatru, ale zamiast tego bucha we mnie jedynie chmura spalin.

Wzdycham zły na samego siebie. Nie lubię myśleć o Milesie i o przeszłości. Nie chcę

za nim tęsknić. Nie potrafię jeszcze raz przejść przez to wszystko. Odsuwanie na bok wspomnień o moim ojcu stało się zwyczajem, do którego zmusiłem się po jego śmierci. To był pomysł mamy, tak samo jak przeprowadzka do Szkocji, zmiana nazwiska i rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

Samoobrona - podejrzewam, że tym właśnie było jej zachowanie. W każdym razie i tak nie podlegało to żadnej dyskusji. Tak się po prostu działo. Tak było i tak musiało być. Pewnego wieczoru poszedłem spać jako Fred Roper, syn Milesa Ropera, by następnego ranka obudzić się jako Fred Wilson (panieńskie nazwisko mamy), syn Louisy Wilson.

Tej samej nocy znikła także prawda o Milesie. Narodziła się nowa, wygładzona wersja wydarzeń. Mój ojciec stał się zwyczajnym człowiekiem, który po prostu umarł na zawał. Od tamtej pory tego scenariusza się trzymałem, a Eddie, tak samo jak Rebecca i jej rodzina oraz wszyscy inni moi znajomi przyjmowali go bez żadnych zastrzeżeń. Ani moja matka, ani ja nigdy nie rozmawialiśmy z nikim o tym, jak naprawdę umarł Miles, podobnie jak nigdy nie mówimy o tym, kim był naprawdę.

A jeśli chodzi o piętnastolatka, który nazywał się Fred Roper i lata temu dorastał w Rushton... cóż, on już po prostu nie istnieje.

Słyszac odległy głuchy odgłos grzmotu, spoglądam w górę i przez chwilę obserwuję, jak przez zamglone niebieskie niebo przedziera się jumbo jet, pozostawiając za sobą postrzępioną białą linię. Potem opuszczam głowę i przypatruję się korkom, tworzącym się cztery piętra niżej, wysłuchuję też trąbienia klaksonów i gniewnych pokrzykiwań. „O rany, ale spiekota!” - mówią pewnie. Nikomu nie życzyłbym utknięcia w samochodzie w taki upalny dzień.

ROZDZIAŁ DRUGI

MICKEY

Joe nienawidzi, gdy się spóźniam. Nie podoba mu się też sposób, w jaki prowadzę samochód.

- Powinniśmy mieć auto z napędem na cztery koła - mruczy, z groźną miną obserwując moje manewry.

- Wystarczy, że mamy cztery koła - odpowiadam rozsądnie, zjeżdżając z chodnika i wciskając się w niekończący się sznur pojazdów. - To nie wieś, skarbie.

Joe niedbale opiera się o rozprute siedzenie mojego brudnego białego vana i nic nie mówi, ale i tak wiem, że uważa rowery górskie za absolutnie niezbędne każdemu nowoczesnemu londyńczykowi. Nazwijcie mnie dziwaczką, ale w obrębie Londynu nie zdarzyło mi się ostatnio dojrzeć żadnej góry.

Spoglądam przez szybę na niebo. „O rany, ale spiekota!” - jak to kiedyś określaliśmy. Panuje dzisiaj tak wyjątkowo śródziemnomorska pogoda, że wszyscy uderzają się w czoło i nie mogą uwierzyć, że nie zainstalowali w swoich samochodach klimatyzacji, a ja przez cały dzień marzę o plaży i morskiej bryzie. A w vanie z otworów wentylacyjnych wydostaje się ciepłe, pełne kurzu powietrze, które osiada na moim lśniącym od potu czole. Sięgam po ciepłą puszkę dietetycznej coli, która chybotnie się w uchwycie na desce rozdzielczej, i pociągam z niej spory łyk.

- Chcesz trochę? - Kiwam puszką w stronę Joe, ale on rzuca mi wyniosłe spojrzenie. Ma jasną, delikatną skórę, ciemne włosy i pieprzyk na lewym policzku, dzięki któremu wygląda ładnie, a właściwie prawie pięknie. - Rozchmurz się, niedługo będziemy na miejscu - wzdycham, ale Joe w odpowiedzi krzyżuje ręce na piersi i spogląda przed siebie na długi sznur samochodów. Wyciągam rękę, by dotknąć jego włosów, ale od ostatniego strzyżenia stał się bardzo czuły na ich punkcie, więc oczywiście się uchyla.

- Zawsze tak mówisz. Utknęliśmy w korku na dobre.

W eterze pojawiają się wiadomości, więc próbuję znaleźć w radiu coś weselszego. Wyznaję zasadę, że jeśli wydarzy się coś naprawdę poważnego, to i tak się o tym dowiem. A tymczasem staram się unikać wywoływanego przez wiadomości odrętwienia i nie słuchać ich co pół godziny. To trudniejsze, niżby się mogło wydawać. Każda stacja przemyca strzępki informacji pomiędzy piosenkami. Jeżeli nie dotyczą one jakiejś gwiazdy pop, która urodziła następne dziecko i nadała mu idiotyczne imię, albo też skorumpowanego polityka cierpiącego na raka prostaty, to na pewno jest to coś przygnębiającego, starannie emitowanego na tle

jakiejś muzyczki funky. Tysiące ludzi zginęły podczas trzęsienia ziemi - bum, bum, bum. Setki ofiar ataku terrorystycznego - heeej, hooo! Efekt cieplarniany wymknął się spod kontroli. Trzymam palec na przycisku, aż trafiam na moją ulubioną stację z muzyką country i zaczynam uderzać palcami w kierownicę w rytm gitary Hanka Williamsa.

Z fatamorgany, którą tworzą rzędy nagranych karoserii i ogromna ilość spalin, wyłaniają się dwaj faceci, najwyraźniej zajmujący się myciem szyb w samochodach. Powoli przechodzą między pojazdami, niosąc niczym broń ociekające mydlinami gąbki i brudne szmaty i w pewien sposób onieśmielając zapatrzoną w nich publiczność. Mam dziwną pewność, że zmierzają prosto do nas.

Podchodzą do vana w chwili, gdy sznur aut w żółtym tempie zaczyna się posuwać naprzód. Podnoszę odmownie dłonie i mówię bezgłośnie przez szybę:

- Nie, dziękuję.

Popelniam jednak poważny błąd, nawiązując z nimi kontakt wzrokowy. Mężczyzna, który właściwie niedawno przestał być nastolatkiem, ma na czole zawiązaną brudną bandanę. Pochyla się i z plaśnięciem opuszcza mokrą gąbkę na przednią szybę. Mocuję się ze sztywną rączką na drzwiach, opuszczam minimalnie boczną szybę i próbując innego sposobu, nachylam się do szpary, tak aby mogli mnie usłyszeć.

- Przykro mi - mówię, wruszając przepaszając ramionami. - Nie mam forsy.

Nie zwracając uwagi na moją grzeczną odmowę, mężczyzna błyskawicznie unosi wycieraczki i przejeżdża gąbką po szybie, pozostawiając mokrą brązową smugę. Chwilę później wyciąga dłoń w oczekiwaniu na zapłatę. Joe grzebie w papierkach po cukierkach i spinkach do włosów, upchniętych w pojemniku pomiędzy skrzynią biegów a wentylatorem. Kładę mu dłoń na ramieniu.

- Nie rób tego - ostrzegam cicho, ale drugi mężczyzna już zauważył, że Joe znalazł monetę jednofuntową, którą trzymam w pogotowiu na parkometr.

- Tylko tyle mamy.

- I tak za dużo - szepczę.

Powinniśmy już ruszać, mam coraz mniej czasu. Obaj przyglądają się nam złośliwie, bez mała śliniąc się na widok pieniędzy po naszej stronie szyby. Biorę je od Joe i pospiesznie przeciskam przez szparę. To stara sztuczka, facet musiał już mieć przygotowaną inną monetę w dłoni, gdyż zaczyna coś krzyczeć, z oburzeniem pokazując mi brudnego pensa i udając, że to właśnie jego otrzymał ode mnie. Zaniepokojona jego złośliwym wyglądem, szybko zamykam okno, prawie przytrzaszkując mu palce. Mężczyzna krzyczy i pluje ze wstrętem na przednią szybę.

- Zostaw ją w spokoju! - woła z oburzeniem Joe, odwracając się na siedzeniu i patrząc na mężczyznę, który wymachuje pięścią w stronę naszego odjeżdżającego samochodu.

Raz po raz naciskam przycisk, dzięki któremu na szybie pojawiają się strugi wody ze spryskiwaczy. Ślina przekształca się najpierw w smugę, a po chwili znika zupełnie. Jednak jej obecność wciąż wisi w powietrzu. Joe prostuje się na siedzeniu, a ja wyciągam rękę i dotykam jego ramienia.

- Nie martw się, kochanie. Nie myśl już o tym.

- Ale dlaczego on to zrobił? - Joe wygląda na wytraconego z równowagi, a ja głaszczę go po policzku, dumna, że mój mały syn wziął mnie w obronę. - Przecież mu zapłaciłaś.

- Wiem - mówię, patrząc na uroczą twarz Joe, i zastanawiam się, jak, u licha, mam wyjaśnić mojemu dziewięcioletniemu dziecku, że świat potrafi być okrutny i mało przyjemny.

- Po prostu próbują swoich sztuczek - staram się zbagatelizować to, co się stało.

Spoglądam we wsteczne lusterko i widzę, że mężczyźni zdążyli już upatrzeć sobie kolejne ofiary. Czuję, jak szybko bije mi serce, i jedyne, czego w tej chwili pragnę, to uciec stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Ale dlaczego?

- Pewnie dlatego, że są biedni - wyjaśniam, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie. - Ludzie robią czasem dziwne rzeczy, chcąc zdobyć pieniądze.

Joe milczy, podczas gdy ja skręcam na skrzyżowaniu i wjeżdżam w krótką wyboistą uliczkę.

- Chodź, wniesiemy zakupy do środka - mówię i uśmiecham się, by rozładować napięcie.

Jestem bardzo dumna z mojej kwaciarni. Z zewnątrz kazałam ją pomalować na liliowo, a specjalnie zatrudniony człowiek świetnie się spisał, umieszczając nad oknami srebrno - biały napis: KWIACIARNIA U MICKEY. Od razu rzuca się w oczy i wygląda przy tym szykownie i zapraszająco pomiędzy znajdującym się na rogu niechlujnym komisem z używanymi meblami a staroświeckim czerwonoszarym wejściem do mieszczącej się obok agencji nieruchomości Jamesa Petersa. Przez szybę widzę Kevina, używającego pomady do włosów głównego agenta, który rozmawia właśnie przez telefon. Macham do niego, ale ten bufon nie reaguje. Wygląda, jakby się rozpląwał z gorąca w swoim prążkowanym garniturze. Pociąga nerwowo za węzeł przy krawacie, gdy niewątpliwie recytuje komuś swoją stałą śpiewkę.

To właśnie Kevin wynajmował mi lokal na kwaciarnię i sądzę, że jeszcze nie przeboleał faktu, iż udało mi się wynegocjować całkiem korzystne warunki. Uznał to za

osobistą zniechęcą, zwłaszcza że to nie kto inny, ale on pokazywał nam to miejsce, kiedy zjawiliśmy się tu po raz pierwszy.

- A więc myśli pani o tym, tak? - rzekł, głęboko zaciągając się papierosem, podczas gdy ja i Joe sadowiliśmy się na skórzanych siedzeniach w jego samochodzie. - Londyn jest, podobnie jak sąsiadujące ze sobą wsie, połączony w jedną całość. I to miejsce - wołał, starając się przekrzyczeć łoskot ciężarówek, kiedy wyrzucał przez okno papierosa - nie jest wyjątkiem. Chce pani spokojnego wiejskiego życia? Proszę bardzo. Te eleganciki z centrum wprowadzają się tutaj całymi tabunami... - Kevin odwrócił się i spojrzał na mnie, pogwizdując z zadowoleniem. - Tak między nami, kotku, to przeżywamy teraz prawdziwy boom.

Kevin miał oczywiście na myśli swój (bez wątpienia wypomadowany) tyłek, a ja nie mogłam się powstrzymać, żeby mu o tym nie powiedzieć. Podejrzewam, że właśnie dlatego teraz konsekwentnie mnie ignoruje. Nie chciałam być nieuprzejma, tyle że według mojego doświadczenia „wiejskie życie” nie oznacza tysięcy obcych sobie ludzi upchniętych w szeregach przebudowanych wiktoriańskich domów i w betonowych blokach, żyjących w strachu przed złodziejami, wandalami albo i sąsiadami, którzy mogą chcieć się do siebie odzywać. Nie ma w nim też miejsca na linie autobusowe, ciągły nadzór kamer i miejsca parkingowe dla mieszkańców. Gdyby to miejsce było choć trochę „wiejskie”, Joe mógłby bez strachu zostawić przed sklepem rower, a ja nie zamykałabym samochodu, pędząc do kasy na stacji benzynowej. Mogłabym także w spokoju wypakować zakupy z samochodu.

Zamiast tego włączam światła awaryjne i ustawiam Joe na straży przy vanie.

Lisa otwiera drzwi od kwaciarni i staje w progu, a w powietrzu rozbrzmiewa odgłos zamontowanego przeze mnie dzwonka. Po chwili zagłuszają go klaksony przejeżdżających samochodów, a ja i Joe natychmiast kierujemy spojrzenia na Lisę, która zdaje się niczego nie zauważać. Ma dwadzieścia trzy lata, a w jej głowie nawet nie pojawi się myśl, że komukolwiek mogą się spodobać jej długie zgrabne nogi, burza drobnych loczków i oliwkowa cera.

- Okropne korki - jęczę, gdy zziębiona zbliżam się do niej z zakupami.

- Pozwól, że ci pomogę - proponuje. - Musisz przystopować, Mickey. Inaczej się wykończysz.

Lisa jest moim pogotowiem ratunkowym. Czasami sędzę, że to niebiosa mi ją zesłały, kiedy otwierałam kwaciarnię. Od tamtej pory pracuje ze mną. Wynajmuję jej także pokój w naszym mieszkaniu na górze i bez niej nie dałabym rady związać końca z końcem. Jej pomoc jest też nieoceniona, gdy muszę gdzieś wyjść i proszę, by zwróciła uwagę na Joe. Jednak

mimo tych wszystkich wspaniałych cech Lisa posiada zaskakującą umiejętność ciągłego zamartwiania się. Rozstraja ją to coś nieuchwytnego w ludzkim życiu. Wszystko jest w najlepszym porządku, kiedy ma się zmierzyć z ułożeniem najbardziej odjazdowego bukietu, jaki kiedykolwiek widziały ludzkie oczy. Poproś ją o zamówienie towaru na cały tydzień, a zrobi to z zamkniętymi oczami. Ale będzie obgryzać paznokcie, martwiąc się o dobrą karmę albo dobierając odpowiednie olejki do wieczornej kąpieli. Zawsze się z nią drażnię, kiedy ma atak zakłócający jej równowagę yin i yang, ale nigdy dobrze na tym nie wychodzę, ponieważ kiedy już nie ma się o co kłopotać, zaczyna uważać się nade mną.

- Powinnaś wreszcie odpocząć, naprawdę - powtarza, patrząc, jak przeskakuję po dwa stopnie i wbiegam z zakupami na górę.

- Dzięki temu nie muszę uprawiać żadnej gimnastyki - sapię i wracam do samochodu.

- Coś się działo? - pytam, ignorując jej zatroskane spojrzenie.

- Mamy pierwszy zgon - odpowiada, upychając pęki goździków w wiadrze przy oknie.

- Marge przyjęła zamówienie.

Rzucam spojrzenie ponad Lisa i widzę Marge, moją drugą pracownicę, siedzącą na taborecie za ladą na końcu kwaciarni. Liże kciuk i palec wskazujący i przewraca kartkę jakiegoś plotkarskiego magazynu, jak zawsze niezwykle tym zaabsorbowana. Pudełko czekoladowych herbatników jest już do połowy opróżnione.

- To świetnie. Na kiedy?

- Na wtorek. Złożyli kompletne zamówienie na pogrzeb. Marge ich namówiła. - Lisa wydaje się tego nie pochwalać, ale ona robiłaby wszystko za darmo, gdyby tylko mogła.

- Super. To powinno uchronić mnie przynajmniej na tydzień przed tymi sępami z banku.

Lisa marszczy czoło, słysząc mój ton, więc delikatnie ściskam jej ramię.

- Urządzimy tej biednej starej duszyczce specjalne pożegnanie, godne KWIACIARNI U MICKEY. Nie martw się.

Joe wyciąga z kieszeni jojo i posepnie się nim bawi, szurając nogą po chodniku, gdy tak czeka przy samochodzie. Ma na sobie długie szorty oraz workowaty T - shirt i wygląda tak, jakby czekał, aż jego ciało dorośnie do tego ubrania.

- Tylko nie mów niczego zawstydzającego - mruczy.

- E tam! W takim razie nie mam w ogóle po co jechać - przekomarzam się z nim.

Patrzy na mnie spode łba.

- Jestem po twojej stronie, pamiętaj o tym - dodaję nieco łagodniej. - Okay?

- Okay - zgadza się Joe. - Jedź już, bo jesteś spóźniona. Wymieniam z Lisa

porozumiewawcze spojrzenie i tłumię śmiech.

Święty Łukasz jest podobno najlepszą podstawówką w okolicy i miałam szczęście, że udało mi się zapisać tam Joe. Wiele przerażających ufryzowanych mamusiek wozi swoje latorośle błyszczącymi samochodami przez niekończące się dzielnice, by odstawić je przed drzwiami tej szkoły. Mnie zajmuje to pięć minut.

Kiedy tam zajeżdżam, szkolny korytarz jest przepelniony i nie wiem, czy to popołudniowe słońce przeświecające przez ogromne okna, czy też jest to moja naturalna reakcja na przebywanie w budynku szkolnym, ale natychmiast czuję się ospała i muszę walczyć z pokusą schowania się za najbliższą szopą na rowery i zapalenia papierosa. Zamiast tego uśmiecham się do uwijającej się w bufecie pani, która rozdaje herbatę, po czym trzymam moją przepisową zieloną filiżankę i spodek na wysokości piersi, powoli popijając gorący napój i starając się wyglądać odpowiedzialnie, dostojnie i poważnie, czyli tak jak powinna wyglądać matka uczącego się w tej szkole dziewięciolatka.

Nie zwracając uwagi na hałaśliwy tłum przekrzykujących się rodziców, wymęczonych nauczycieli i ciągly zgrzyt zbyt małych, przesuwanych po podłodze szkolnych krzesełek, prześlizguję się pod ścianą i czytam tekst pod ogromnym malowidłem wykonanym w różnych odcieniach zieleni, które ukazuje zagładę puszczy amazońskiej. Jako że po zakończeniu spotkania z rodzicami niewątpliwie ogromna ryza papieru znajdzie się w koszu na śmieci, więc przedsięwzięcie wydaje mi się bezcelowe, ale ja nigdy nie należałam do osób, które widzą natychmiastowy pożytek płynący z edukacji. Nie mogę powiedzieć, by moja szkoła dała mi jakiegokolwiek korzyści, i nie jestem przekonana, czy wszystko, czego Joe uczy się u Świętego Łukasza, pomoże mu w dalszym życiu. Wygląda jednak na to, że nikt nie jest zainteresowany tym, by nauczyć dzieciaki czegoś użytecznego, na przykład jak wyłożyć kafelkami łazienkę, wypełnić zeznanie podatkowe czy też zmienić koło w samochodzie. No ale z drugiej strony Joe ma dopiero dziewięć lat.

Joe opowiadał mi o swoim nauczycielu, panu Sastry, ale i tak nie jestem przygotowana na spotkanie z tak uderzająco przystojnym mężczyzną. Nie jestem także przygotowana na to, że jest on bez wątpienia młodszy ode mnie. Ma niewielką kozią bródkę, czekoladową skórę i szare oczy. Wbija we mnie świdrujące spojrzenie, gdy wreszcie wciskam się w zbyt małe krzeselko.

Przez chwilę panuje cisza.

- Przepraszam za spóźnienie. - Odsuwam niesforny kosmyk włosów za ucho.

Macha ręką, jakby nie miało to żadnego znaczenia, i zaczyna przewracać kartki dziennika, patrząc na rzędy ocen, a po chwili ze stosu pod biurkiem wygrzebuje zeszyty Joe.

Dziwnie się czuję, jakbym szpiegowała własnego syna. Jestem podejrzliwa wobec większości nauczycieli, zwłaszcza kiedy jest to koniec długiego, niewątpliwie męczącego spotkania z rodzicami. Gdy pan Sastry omawia poszczególne przedmioty i wyjaśnia uspokajająco, że Joe należy do najzupełniej przeciętnych uczniów, jestem przekonana, że tak naprawdę nie wie, o czym mówi. To znaczy do momentu, kiedy gdzieś pomiędzy plastyką a matematyką nauczyciel robi pauzę i splata swoje długie palce.

- Chodzi o to... Joe jest... jak by to powiedzieć...

- Słucham? - pytam nagle zaalarmowana.

- Jest samotnikiem. On... cóż, zachowuje się jak odludek. Czy w domu wszystko jest w porządku?

Nie wiem, co odpowiedzieć. W mojej głowie pojawia się obraz syna siedzącego w pojedynkę w kącie klasy i czuję narastającą panikę. Joe to fantastyczny chłopak. Dlaczego nie jest najbardziej popularnym i lubianym dzieciakiem w klasie?

- Nic mu nie jest - kłamię. - Gdy się go lepiej pozna, potrafi być niezłym łobuziakiem. Tak naprawdę często bywa duszą towarzystwa. - Uśmiecham się do pana Sastry'ego, a on odpowiada skinieniem głowy, mimo że ciągle ma sceptyczny wyraz twarzy.

- Ja nie krytykuję, proszę mnie dobrze zrozumieć - mówi. - Po prostu dzielę się z panią moimi obserwacjami.

Po chwili pokazuje mi zeszyt do matematyki mojego syna, a ja zaczynam się wiercić na krześle, widząc wszystkie jego błędy.

- To rodzinne - przyznaję żałośnie. - Nie przypuszczam, by został w przyszłości księgowym. I dzięki Bogu - dodaję, starając się przybrać jowialny ton.

Pan Sastry uśmiecha się słabo i zamyka zeszyt.

- Proszę się nie martwić. Damy sobie radę z Joe. Razem nam się uda.

Gdy już siedzę z powrotem w wanie, zalewa mnie fala współczucia dla samej siebie. Nie jestem tego tak pewna jak pan Sastry. I nie czuję z nim żadnej wspólnoty. Po raz pierwszy od wieków pragnę, aby w takich chwilach ktoś był przy mnie - partner, który podtrzymałby mnie na duchu i rozwiął moje obawy. Chciałabym, aby ktoś mi powiedział, że jestem dobrym rodzicem i że nie wyrządziłam krzywdy memu synowi, przenosząc go do nowej szkoły i kompletnie nowego otoczenia. Chcę, by powiedział mi, że nawet jeżeli Joe jest cichym dzieckiem, to i tak nie ma się czym niepokoić. Chcę, by nie było niczym nadzwyczajnym, że Joe nie prowadzi bujnego życia towarzyskiego i nie nawiązuje wielu przyjaźni. Ale przede wszystkim pragnę zapewnienia, że mu wystarczam. A gdzieś w środku nie daję mi spokoju myśl, że jest dokładnie na odwrót.

Czasami nienawidzę tej druzgocącej odpowiedzialności, jaką niesie ze sobą bycie samotną matką. Nie jest przyjemna świadomość, że wszystkie podejmowane przeze mnie decyzje mają wpływ na Joe. Wygląda na to, że od kiedy tylko się urodził, każde wypowiedziane przeze mnie słowo, każdy mój ruch pozostawił na nim ślad i w pewien sposób go ukształtował. A gdy myślę o tych niezliczonych błędach, które popełniłam, i o tym, jak niedoskonałą jestem matką, mam ochotę wszystko przewinąć i zacząć jeszcze raz.

Mamrocząc pod nosem, spoglądam twardo w boczne lustro. Prawda jest taka, że Joe nie będzie doskonałym człowiekiem bez względu na to, jak bardzo będę się starać. Sam będzie musiał iść przez życie, popełniając własne błędy, a ja nie mogę być za nie wszystkie odpowiedzialna. Jedyne, co mogę zrobić, to kochać go z całej siły. A jeśli dorośnie i będzie uważał, że jako rodzic zawiodłam na całej linii, cóż, wtedy po prostu moim obowiązkiem będzie pożyczanie mu pieniędzy na dobrego psychoterapeutę. Wypalam dwa papierosy i dopiero wtedy udaje mi się zapanować nad wewnętrzną paniką. Jestem w połowie trzeciego, kiedy wpadam na pewien pomysł.

ToyZone jest wciśnięty pomiędzy duży sklep DIY* [DIY (ang.) - skrót od „do it yourself, zrób to sam.”] i magazyn ze skórzanymi meblami na North Circular. Nazywają go dziecięcym rajem; ja uważam go za piekło na ziemi dla nieszczęsnych rodziców. Prawie poddaję się, gdy widzę, jak daleko muszę zaparkować. Kiedy przechodzę przez drzwi obrotowe, uświadamiam sobie, że w zasadzie nie mam czasu na żadne zakupy. Powinnam już być w domu, ale jestem zdecydowana wytrwać w podjętym w aucie postanowieniu.

A wymyśliłam, że kupię synkowi latawca. Ma to być gest symbolizujący solidarność, a także pewna rekompensata za bycie dzieckiem i obowiązek użerania się ze szkołą. Ma mu pokazać, że troszczę się o niego i że nie jestem jednym z tych rodziców, którzy idą na wywiadówkę, a potem wracają do domu i wyżywiają się na swoich pociechach.

Teoretycznie plan jest prosty, choć obmyślony pod wpływem impulsu, ale w praktyce potrzeba aż trzech odzianych w zielone, przepecone koszulki sprzedawców, by skierować mnie do właściwego działu. Wygląda na to, że żaden z nich nie ma pojęcia, co to w ogóle jest latawiec, a ja się nawet nie dziwię. Zabawki, których można użyć na świeżym powietrzu, nie są tu najwyraźniej artykułami priorytetowymi. Po chwili gubię się w labiryncie regałów i półek, wszystkich zapełnionych grammi komputerowymi, gadżetami i konsolami. Wydaje mi się, że są ich tysiące, każdego możliwego rodzaju i koloru. Zatrzymuję się, by obejrzeć z bliska jedną z gier, wyglądającą na wyjątkowo brutalną. Biorę do ręki pudełko z odpowiednio dobraną szatą graficzną i potrząsam głową na widok eksplodujących kosmitów. Wiem, że to o niej właśnie marzy Joe, i odwracam pudełko, aby sprawdzić cenę.

Około półtora metra ode mnie stoi mężczyzna. Ma na sobie ciemne dzinsy i koszulkę i wpatruje się we mnie, a właściwie w grę, którą trzymam w ręce. Już mam zamiar uczynić jakiś nonszalancki komentarz na temat ceny, która jest rozbojem w biały dzień, kiedy coś w jego profilu sprawia, że zaczyna mi walić serce.

Nerwowo podchodzę do niego.

- Przepraszam?

Mężczyzna pospiesznie się odwraca, odkłada na półkę oglądaną przed chwilą grę i zaczyna się ode mnie oddalać.

Biorę głęboki wdech i także idę naprzód, zrównując się z nim po kilku krokach.

- Fred? Czy to ty? - pytam badawczo, mimo iż gotowa jestem założyć się o wszystko, że to on.

Mężczyzna zatrzymuje się, a ja dotykam jego ramienia. Powoli odwraca się i gdy nasze spojrzenia się krzyżują, mój żołądek robi fikółka.

Ogarnia mnie dziwaczne uczucie: mam wrażenie, jakbym cofnęła się w czasie.

- Fred Roper. Mój Boże... To naprawdę ty - mówię zdławionym głosem.

Przez chwilę na twarzy Freda maluje się panika.

- To ja, Mickey - ciągnę, przykładając dłoń do klatki piersiowej.

Fred niepewnie rozgląda się i drapie po głowie. Wreszcie odwzajemnia moje spojrzenie, a jego usta układają się w półuśmiech, tak znajomy, a jednocześnie tak zapomniany, że zapiera mi dech w piersiach.

- Cześć, Mickey - odpowiada, mrugając.

Mówi to tak, jakbyśmy po raz ostatni widzieli się w zeszłym tygodniu, ale ja wciąż ze zdumieniem potrząsam głową. Jego głos jest niższy, niż pamiętam, ale przecież minęło tyle lat.

- Fred? - powtarzam z powątpiewaniem.

Ciągle nie mogę uwierzyć, że to naprawdę on. Bez słowa przyglądamy się sobie. Wokół oczu Freda widać drobne zmarszczki, a jego twarz przyciemniona kilkudniowym zarostem stała się bardziej pociągła. Jest niezaprzeczalnie przystojny. Do twarzy mu z tą dorosłością i gdy tak mu się przypatruję, wydaje się czymś oczywistym, że ten mężczyzna z modnie obciętymi włosami wyklął się z miękkołosego, nieśmiałego nastolatka, którym był, gdy widziałam go po raz ostatni. Mimo to nie potrafię powstrzymać się przed badaniem jego twarzy w poszukiwaniu tak dobrze znanych mi kiedyś cech. Są wszystkie, tyle że udoskonalone, a efekt zdumiewa mnie tak bardzo, że czuję, jak moje policzki robią się coraz bardziej czerwone.

- Ledwie cię rozpoznałam. Wyglądasz... Wyglądasz tak inaczej - mówię niemądrze.

Fred przytakuje, najwyraźniej czując to samo w odniesieniu do mnie.

- Jak... Jak leci? - pyta.

- Dobrze, dzięki - odpowiadam, ale nogi lekko mi się uginają, a dłonie wyraźnie zwilgotniały.

Fred kiwa głową, jakby akceptował moją absurdalnie nieadekwatną odpowiedź.

- A tobie?

- Świetnie. - Tłumi nerwowy śmiech. - Tak, wszystko świetnie.

Z otaczających nas zewsząd głośników rozległ się głos reklamujący jakieś niesamowite promocje w dziale Sony, ale Fred nadal wpatruje się we mnie, a ja z zakłopotaniem przestępuję . - * z nogi na nogę.

Uświadamiam sobie w tej chwili, że jakaś część mnie od bardzo dawna czekała na tę chwilę, ale teraz, kiedy ona nareszcie nadeszła, wszystko wydaje się dziwnie surrealistyczne, prawie nierzeczywiste. Jest tak zwyczajnie i spokojnie, natomiast ja zawsze wyobrażałam sobie, że ponowna konfrontacja z Fredem będzie miała przebieg burzliwy i dramatyczny. Sądzę jednak, że nic nie zdoła pokonać dramatyzmu naszego ostatniego spotkania.

Na to wspomnienie moje ciało przebiega dreszcz i wbijam wzrok w tenisówki. Jestem w pełni świadoma niekorzystnego jaskrawego oświetlenia i tego, jak bardzo musi ono podkreślać moje i tak wyraźne odrosty. Nie chodzi o próżność, ale teraz żałuję, że nie wysiliłam się bardziej i że tak się zaniedbałam. Jestem przekonana, że czułabym się dużo lepiej, gdybym miała na ustach choć odrobinę szminki. Chociaż, szczerze mówiąc, nie wiem, czy tak właśnie by było. Nie sądzą, by nawet kompletny makijaż ułatwił mi to spotkanie.

- Kupuję prezent dla syna - wyrzucam z siebie. - Ma dziewięć lat - dodaje.

- Będzie nią zachwycony. - Fred kiwa głową w stronę pudełka w moich dłoniach. - Grafika jest niesamowita.

- Nie - odpowiadam pośpiesznie, odkładając grę na pierwszą z brzegu półkę. - Mam zamiar kupić mu latawiec. Rozglądałam się tylko.

- Och - mówi Fred.

- Tak naprawdę nie pochwalam tego wszystkiego - wyznaję, kiwając głową w stronę pudełek. - Gdyby tylko miał okazję, Joe przesiedziałby przed komputerem cały dzień. No cóż, chyba wiesz, jak to jest?

Fred przytakuje, ale nie rozwija tego tematu.

- Chyba po prostu chcę, aby Joe trochę pobiegał. Tak jak my, kiedy byliśmy w jego wieku.

Na wspomnienie naszej przeszłości Fred przygryza wargę. Zapada cisza, a ja jestem w pełni świadoma odgradzającego nas od siebie muru. Tysiące pytań ciśnie mi się na usta, ale nie mam odwagi zadać ani jednego. Zamiast tego panuje dojmująca cisza.

- Jestem właścicielką kwaciarni. Niedaleko stąd, na Kensal Rise. Proszę - wyrzucam wreszcie z siebie, przerywając napięcie. Z kieszeni dżinsowej bluzy wyciągam jedną z moich firmowych wizytówek i podaję mu.

Fred bacznie ją ogląda. Trzyma niewielki prostokąt ostrożnie i z szacunkiem, a ja wskazuję na adres.

- Mieszkam nad kwaciarnią.

Spogląda na mnie, a ja jestem pewna, że się czerwienię. Częściowo spodziewam się, a częściowo nawet chcę, by zwrócił moją wizytówkę. Tak się jednak nie dzieje.

- Cóż, wpadnij kiedyś - dukam, zastanawiając się, co zrobić z dłońmi, które najwyraźniej wymykają mi się spod kontroli. Splatam palce. - Na kawę albo coś w tym rodzaju.

Fred wkłada wizytówkę do kieszeni.

Dochodzący z mojej komórki dźwięk sprawia, że podskakuję. Wyciągam ją z torby i z przepaszającym uśmiechem odwracam się, by ją odebrać. Dzwoni Joe.

- Cześć, kochanie, spóźnię się trochę - mówię, zasłaniając dłonią drugie ucho, by cokolwiek usłyszeć.

- Jestem głodny. Czy moglibyśmy zjeść dziś paluszki rybne? - pyta Joe.

- Pewnie - odpowiadam z roztargnieniem. - Będę za jakieś piętnaście minut, dobrze? Kocham cię.

Wciskam czerwony przycisk i z uśmiechem odwracam się do Freda. Tyle że jego już nie ma. Przede mną jest tylko puste przejście między regałami. Z zaskoczeniem rozglądam się wokół, zastanawiając się, jak mógł się tak po prostu rozpląnąć. Jeszcze raz oglądam się na wszystkie strony, a mój żołądek kurczy się z rozczarowania, gdy uświadamiam sobie, że na pewno nigdzie go nie ma. Przez chwilę mam ochotę się rozplakać.

Wciąż się za nim rozglądam, gdy zmierzam do działu z latawcami, ale po Fredzie nie pozostał nawet ślad. Jestem tak oszołomiona, że nie potrafię się skoncentrować. Latawce są dużo droższe, niż przewidywałam, i dygoczę lekko, nim decyduję się na jeden z mniejszych. Kiedy docieram do samochodu, nadal się trzęsę, zadziwiona niezwykłością i zarazem normalnością spotkania z Fredem. Ze wszystkich ludzi, których mogłam ponownie spotkać, trafił się Fred, cholera jasna, Roper.

Tak jak przewidywałam, kiedy wracam do domu, Joe gra w swoim pokoju na

komputerze. Żaluzje są odsłonięte, ale okno zamknięte. W pokoju panuje nieziemski zaduch, a łóżko i podłogę przykrywa gruba warstwa ciuchów i książek. No i oczywiście rozrzucone rolki. Joe klęczy na krześle, a joystick aż podskakuje w jego dłoniach, gdy mój zaabsorbowany grą syn energicznie przyciska różne guziki. Staję w drzwiach i przyglądam mu się, podczas gdy elektroniczna melodyjka osiąga crescendo, a on boksuje ręką powietrze.

- Yess!

- Cześć, komputerowy maniaku - mówię z czułością.

Odpowiada mi uśmiechem, po czym zsuwa się z krzesła. Momentalnie potyka się i podskakuje z twarzą wykrzywioną na pół bólem, a na pół rozbawieniem.

- Ała! - piszczy. - Mam w nogach mrówki!

- Dobrze ci tak - chichoczę i odwracam się, a on kuśtyka za mną. - Chodź.

Nasz salon z aneksem kuchennym jest pomieszczeniem przechodnim. Jedną ścianę od podłogi do sufitu stanowią przeszklone drzwi, wiodące na otoczony żelazną balustradą balkon. Nigdy nie otwieramy okien, głównie z powodu panującego na zewnątrz hałasu, ale także dlatego, że balkon mógłby nie wytrzymać ciężaru donicy z kwiatami, nie mówiąc już o dorosłej osobie. Razem z Lisa rozwiesiliśmy wokół okien długie fałdy różnokolorowego muślinu, które sprawiają, że pokój wygląda przestronnie, mimo że jest w nim miejsce jedynie na sofę, stół z telewizorem i wideo oraz rozklekotane czarne biurko ze sklejki, zavalone papierową robotą z kwaciarni.

W drugi kąt pomieszczenia wciśnięty jest aneks kuchenny. Podłogę między lodówką a stołem (około metra kwadratowego) pokrywa czarnobiałe linoleum w kratkę. Ta niewielka przestrzeń zapchana jest różnymi drewnianymi drobiazgami, z których większość rozpada się przy najmniejszym dotknięciu. Obiecałam sobie, że gdy tylko uzbieram trochę pieniędzy, kompletnie wszystko przemebluję. Joe mówi, że powinniśmy napisać do jednego z tych programów telewizyjnych dla majsterkowiczów, ale wątpię, czy znalazłoby się tutaj wystarczająco dużo miejsca dla ekipy telewizyjnej. Poza tym widok obcych osób myszkujących w moich rzeczach byłby zdecydowanie zbyt upokarzający.

Joe przygląda mi się, pocierając stopę. Otwieram lodówkę i wyjmuję puszkę dietetycznej coli.

- No i jak było? - pyta wreszcie.

- Strasznie - drażnię się z nim. - Dowiedziałam się, że jesteś naprawdę okropny. Przeszkadzasz na lekcjach, hałasujesz i...

- Mamo - mówi z wyrzutem. Szczypię go lekko w policzek.

- Uważają, że jesteś świetny - mówię. - Ale to mogłam im sama powiedzieć.

Joe uśmiecha się wstydliwie.

- Mam coś dla ciebie - oznajmiam radośnie. - Popatrz. - Podaję mu torbę i ściskam w dłoni zimną puszkę z colą, czekając na reakcję Joe. - Podoba ci się?

- Co to jest? - pyta mój syn, wyciągając z reklamówki długą paczkę.

- Latawiec, a cóż by innego? - W moim głosie pobrzmiewa nutka dezaprobaty.

- Aha - odpowiada sceptycznie. - Dzięki.

- Możesz puszczać go w parku - dodaję zachęcająco.

- Z kim?

Milczę przez chwilę, a moje serce boleśnie się ściska.

- Ze mną, jeśli będziesz chciał.

Joe odkłada latawiec na stół, a ja z trudem przełykam ślinę.

- Spotkałeś się z panem Sastry? - pyta, wpychając ręce do kieszeni.

- Yhy.

- Co ci powiedział? - W głosie Joe słyszę podejrzliwość. Chcę mu dokładnie przekazać, co powiedział pan Sastry.

Chcę także błagać go, by wyznał, czy czuje się nieszczęśliwy, i zapytać, dlaczego jest taki cichy w szkole, ale jakoś udaje mi się powstrzymać. To by go tylko wprawiło w zakłopotanie.

- No cóż - zaczynam ostrożnie. - A jak sądzisz, co powiedział?

- Pewnie, że jestem kiepski z matmy.

- Nie mówił, że jesteś kiepski. Nie jesteś najlepszy w klasie, to wszystko - odpowiadam. - Ale to przecież nic takiego. Nie musisz być świetny ze wszystkiego.

Joe wygląda na przygnębionego i już widzę, że popełniłam błąd. Zbyt dobrze mnie zna i potrafi rozpoznać z tonu mojego głosu, kiedy nie jestem z nim zupełnie szczerą. Odebrał to jednak jako krytykę. Tak samo zresztą jak i ja.

- Joe? - proszę. - Joe. To nie ma znaczenia. Też byłam słaba z matematyki...

- Wiedziałem, że będzie okropny. Nienawidzę go - oświadcza Joe.

Nie patrząc na mnie, odwraca się i rozkłada na sofie. Ruszam w jego stronę, żeby jakoś to wszystko wytłumaczyć, kiedy ze swojego pokoju wychodzi Lisa.

- Nie widziałaś mojej maty do jogi? - pyta, wpychając do niewielkiego plecaka butelkę wody mineralnej i ręcznik. Przebrała się już na zajęcia i kątem oka zauważam, jak zgrabnie wygląda w obszernej koszulce i nowych spodenkach.

- Nie, nie widziałam - mamroczę.

- Joe? - pyta, odkładając plecak na sofę, i zaczyna rozglądać się po salonie, unosząc po

kolei wszystkie poduszki i zaglądnąc pod biurko. - Widziałeś ją? Jeszcze wczoraj tutaj była.

Joe wzrusza ramionami i odwraca się do telewizora, a ja wycofuję się do kuchni, zdając sobie sprawę, że straciłam szansę na wyjaśnienie wszystkiego.

Kiedy wreszcie kładę się do łóżka, nie mogę zasnąć. Ze wszystkich stron otacza mnie hałas. Pod podłogą pobrzękują rury, a zza ściany sypialni słyszę stłumiony śmiech nieznanych sąsiadów oglądających telewizję. Na zewnątrz, kilka metrów dalej, warczy nocny autobus, przez co szyby w oknach aż wibrują, a ponad wszystkim unosi się warkot motocykli dostawców pizzy, poruszających się po ulicach niczym olbrzymie owady.

Wstaję, narzucam na siebie znoszony szlafrok i drepczę do kuchni. Latawiec nadal leży na stole, tak jak Joe go zostawił, i rzuca na ścianę długi cień. Teraz wiem, że ten prezent nie był strzałem w dziesiątkę. Powinnam była posłuchać Freda i kupić grę komputerową. A może najlepiej było nie kupować niczego.

Ze znużeniem kucam przy rozklekotanej dolnej szufladzie. Trzymam tu wszystkie mało potrzebne drobiazgi: stare szczotki do włosów, kable od lodówki, kolekcję nigdy niewysłanych kuponów konkursowych, poplamione kawą koperty i sto jeden innych równie użytecznych przedmiotów, których ciągle nie udaje mi się wyrzucić. Przekopuję się przez to wszystko w poszukiwaniu zestawu dla pasażerów samolotów; Scott, mój brat, dał go Joe podczas ostatniej wizyty. Wewnątrz zapinanej na zamek błyskawiczny kosmetyczki znajdują się nylonowe skarpetki, chusteczki higieniczne, miniaturowa pasta do zębów i szczoteczka, grzebień, przepaska na oczy i to, czego szukam: piankowe stopery do uszu.

Nie zwracając uwagi na rysunek trupiej czaszki i napis „Wstęp wzbroniony!” na drzwiach pokoju Joe, cicho otwieram drzwi, aby na niego popatrzeć. Leży pod kołdrą na plecach, pogrążony w twardym i bezgłośnym śnie niczym jakaś mumia. Jego twarz spowija delikatna, zielona poświata, dochodząca z włączonego monitora. Bezszelestnie wsuwam się do pokoju i wyłączam komputer. Joe nie porusza się, gdy składam na jego czole nielegalny, czuły pocałunek. Wygląda tak poważnie, że przez chwilę czuję niepokój.

Dotykam lekko jego włosów i walczę z pokusą, która mnie nachodzi, od czasu gdy był mały, aby się pochylić i sprawdzić, czy wciąż oddycha. Chce mi się płakać, ale jakoś powstrzymuję łzy. Zamiast tego opadam na kolana przy łóżku Joe i przez długą chwilę wpatruję się w jego twarz, jakbym chciała zapamiętać każdy milimetr skóry, długie rzęsy i kształt brwi. Pragnę, by czas zatrzymał się na sekundę i zachował mojego synka takim, jaki jest właśnie w tej chwili.

Wracam do swojego pokoju na palcach, mimo że wiem, iż Joe się nie obudzi, i

wciskam stopery do uszu. Gdy kulę się na boku i wsłuchuję we własny oddech, pomarańczowe światła kolejnego przejeżdżającego tuż za oknem autobusu wspinają się po brązowej szafie z lat pięćdziesiątych, przemykają po łuszczącej się beżowej farbie na suficie i docierają do zawalanej stertą ciuchów deski do prasowania.

Ciągle nie mogę zasnąć, mimo że czuję się wykończona. Leżę więc, wpatrując się bezmyślnie w róg poduszki. Czuję się zupełnie pozbawiona odwagi, tak jakbym się potknęła i upadła, a świat w sekundzie obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Tak wiele czasu zajęła mi ucieczka przed przeszłością i czynienie obietnic na przyszłość, że teraz czuję się nieco zagubiona i skołowana. Odsunęłam od siebie to, co się kiedyś wydarzyło, umieściłam wspomnienia w osobnej szufladce, którą zamknęłam na klucz, przeklęłam i udawałam, że wszystko było zupełnie inaczej. Jednak te nierozwiązane sprawy pozostały gdzieś tam wewnątrz mnie. Ciężko się do tego przyznać, ale nie czuję się jak nieustraszona samotna matka, krocząca odważnie i z podniesioną głową w stronę świetlanej przyszłości. Wydaje mi się po prostu, że jestem tchórzem.

To spotkanie z Fredem tak mnie wytrąciło z równowagi. Nowy Fred ze swoją dorosłą twarzą ciągle pojawia się w mojej głowie, jednocześnie przyćmiewając i ożywiając wspomnienia rzeczywistą obecnością. Jakby nie było żadnych spędzonych osobno lat, natychmiast powraca stare, dobrze znane uczucie zdrady i bólu. Raz po raz przełykając ślinę, ciągle na nowo odtwarzam w pamięci nasze spotkanie. Tyle że tym razem stawiam mu czoło w sklepie z zabawkami, rzucam grę komputerową na ziemię niczym rękawicę i pytam dlaczego. Tylko tego pragnę się dowiedzieć. Dlaczego wyjechał tak nagle? Dlaczego nie zadzwonił ani nie napisał? Dlaczego po tym wszystkim, co się zdarzyło, najwyraźniej zupełnie przestałam go obchodzić?

Przekręcam się na plecy i próbuję wygodnie ułożyć, ale gniew siedzi na mojej klatce piersiowej niczym prychający kot. Nie wiem, czy bardziej jestem zła na Freda, czy też na samą siebie za to, że nasze spotkanie było żałośnie uprzejme, kiedy tak naprawdę powinnam go stłuc na kwaśne jabłko. Zamiast tego paplałam jak najęta, nie dając mu nawet dojść do głosu.

Ale nawet gdybym jeszcze raz nieoczekiwanie na niego wpadła, wątpię, bym miała dość odwagi, żeby stawić mu czoło. Co bym mu powiedziała? Że mam do niego pretensję? Że to jedno wydarzenie z naszej młodości na zawsze zmieniło bieg mego życia? Czy rzeczywiście jest prawdą, że wszystko, co mnie spotkało, odkąd widziałam go po raz ostatni, jest wyłącznie winą Freda? Czy też chodzi raczej o to, że jestem zła, ponieważ nasze dzieciństwo powinno było trwać trochę dłużej?

Przez cały ten czas żałowałam, iż skończyło się tak nagle, że w końcu zapomniałam, jak to naprawdę jest być młodym. A teraz, kiedy próbuję o tym myśleć, brakuje mi dzieciństwa. Tęsknię za nim ze względu na siebie, ale głównie z powodu Joe, gdyż dawno, dawno temu nie były mi potrzebne żadne gry komputerowe ani samotne wieczory spędzane w swoim pokoju, ponieważ miałam Freda. A tam, gdzie był Fred i ja, tam zawsze pojawiała się przygoda.

Szare, nisko wiszące chmury mknęły po październikowym niebie, gdy napięłam wszystkie mięśnie, przygotowując się do akcji.

Pomimo braku słońca przysłoniłam dłonią oczy i patrzyłam z ukosa na zbocze pola, czekając, aż Fred znajdzie się na właściwej pozycji.

Nagle dojrzałam go po przeciwnej stronie błotnistego pastwiska. Pośród otaczającej nas zewsząd szarości wyróżniał się pomarańczowym płaszczem przeciwdeszczowym. Nie zgodził się go zdjąć, oświadczając, że wbrew temu, co twierdzą inni, Miles powiedział mu kiedyś, że byki nie rozróżniają kolorów. Zbyt dobrze znałam upartą naturę Freda i wiedziałam, że nie warto się z nim kłócić.

Czułam, że się pocę, rozpięłam więc kurtkę i wykonałam umówiony wcześniej gest: wyrzuciłam w górę ramiona, niczym Olga Korbut* [Olga Korbut - radziecka gimnastyczka, która na olimpiadzie w 1972 roku zdobyła trzy złote medale.] przygotowująca się do wykonania potrójnego salta w tył. Jednocześnie poczułam ukłucie strachu, gdy zobaczyłam, jak z ogromnego dębu sfruwa samotna chuda sroka i siada na ogrodzeniu niedaleko mnie. Jak to było w tym starym powiedzeniu? Jedna zwiastuje smutek, dwie radość...

Dopiero po chwili przestałam się rozglądać za towarzyszem sroki i skoncentrowałam się na czekającym nas zadaniu. Ten moment nadszedł. To była wojna.

- No i dobrze - mruknęłam pod nosem, zacierając ręce, po czym klęknęłam i pociągnęłam za chybotliwy kawałek siatki na dole ogrodzenia. Trochę musiałam się nagimnastykować, ale w końcu udało mi się precyzyjnie przycisnąć na drugą stronę. Płaszcząc się przy płocie, z łomoczącym sercem spojrzałam przed siebie i dostrzegłam, że Fred wdrapał się już na kamienny murek po drugiej stronie pola i trzymał naszą broń skierowaną prosto w szare niebo. A pomiędzy nami znajdował się nasz olbrzymi, brutalny i owłosiony wróg: byk Jimmy'ego Dugheada.

Na chwilę wszystko zamarło, a w przesyconym wilgocią powietrzu unosił się strach. Jedynymi dźwiękami, które słyszałam, było dudnienie mojego serca i odległe szczekanie psa. Niedługo wszystkie dzieciaki we wsi przebiorą się w stroje czarownic i duchów, po czym rozpocznie się świętowanie Halloween. To była nasza ostatnia szansa i tym razem nie mogło

się nie udać.

Poprzedniego wieczoru oboje siedzieliśmy u mnie w pokoju i łamaliśmy sobie głowę nad nowym planem, jednocześnie słuchając płyt i wynajdując w słowniku brzydkie słowa.

- Już wiem - oznajmił Fred, a jego twarz rozpromieniła się, ale prawie natychmiast z powrotem się przygarbił. - Nie, nie - mruknął.

- Co? - zapytałam, odkładając na bok słownik.

- Nie, nic. Nieważne.

- Fred - upierałam się, spuszczając nogi na podłogę. - Musimy odzyskać puszkę ze skarbem. Jest tam cała nasza forsa. Jeśli jej nie zdobędziemy, nie będziemy mogli kupić ani jednego losu na loterii.

Oboje mieliśmy obsesję na punkcie głównej nagrody, którą były bilety do cyrku w Londynie. Chodziły słuchy, że chluba Rushton, Andy Buckley, samotny magik mieszkający tutaj w ogromnym domu, podarował je swojej gosposi, która z kolei przekazała je jako najważniejszą wygraną dzisiejszej loterii.

- Ale... - zaczął Fred. Westchnął ciężko. - Nie. Nie uda się nam. Chociaż może moglibyśmy...

- No dalej - popędziłam go.

Fred popatrzył na woreczek z grochem.

- Miles ma...

Niedane mu było dokończyć, ponieważ moja mama nagle otworzyła drzwi do pokoju. Na głowie miała oczywiście ogromne wałki, które przysłaniała lśniąca chustka. Jej oczy były szkliste, co wieczorami często się zdarzało. Jej niebieską podomkę na dole zdobiła lamówka z puszkami. Popatrzyła na Freda i na mnie.

- Jesteście głodni? - zapytała bez entuzjazmu. Potrząsnęłam głową.

- Jedliśmy niedawno kanapki, prawda, Fred?

Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowaliśmy, to przygotowująca kolację mama.

- Och, tak - przytaknął Fred. - Dziękujemy bardzo, pani Maloney.

Mama zacisnęła usta, lekko skinęła głową i bez słowa wyszła z pokoju, głośno zamykając za sobą drzwi.

- Miles ma... - syknęłam podekscytowana, poganiając Freda, by dokończył zdanie.

- Pistolet startowy.

- Co?

- Wiesz, taki jak w szkole. Używa się go do rozpoczynania biegu. Robi głośne bum,

ale ma tylko ślepe naboje.

- Skąd Miles ma taki pistolet? - zapytałam ze zdziwieniem.

- Kiedyś był sportowcem - odparł z dumą Fred. - Powiedział mi o tym, gdy pewnego razu przyłapałem go na chowaniu pistoletu na miejsce.

Płyta się skończyła i zatrzeszczała falująca w pustych rowkach igła. Przez chwilę zastanawiałam się, po czym usiadłam po turecku i zaczęłam bezmyślnie bawić się kostką Rubika, opracowując jednocześnie plan.

- Już wiem - rzekłam wreszcie. - Jedno z nas musi pójść na koniec pola i przyciągnąć uwagę byka, podczas gdy drugie przeskoczy przez murek i wykopie skarb. Gdyby byk zrobił się niebezpieczny, możemy wystrzelić z tego pistoletu, żeby go przestraszyć...

- Mickey, nie możemy - przerwał Fred, pochylił się i zdjął igłę z płyty.

- A to dlaczego?

- Miles by się wściekł.

- Nie musiałby się o tym dowiedzieć. Tylko pożyczymy pistolet, potem odłożymy go na miejsce. Jeżeli będziemy musieli go użyć, powiemy wszystkim, że to była petarda. Proste.

Ale teraz, kiedy spoglądałam na byka Jimmy'ego Dugheada i wydostającą się z jego drgających, paskudnych nozdrzy parę, nasz plan nie wydawał mi się już taki prosty. Było jednak zdecydowanie za późno na zmiany, posuwałam się więc naprzód niczym matador i starałam się przyciągnąć uwagę buhaja, głośno wyśpiewując wiązanekę wszystkich przebojów Abby, jakie tylko pamiętałam. Byk Jimmy'ego Dugheada nie podzielał jednak mojego entuzjazmu.

- No chodź, chodź - mruknęłam, robiąc krok naprzód i śpiewając nieco głośniejsze. - Take a chance on me! - ryknęłam, machając rękami i tańcząc coś w rodzaju kankana, co wcale nie było takie proste w czerwonych kaloszach.

Tym razem udało mi się zwrócić uwagę byka. Parsknął i drapnął kopytem w ziemię, podczas gdy ja podskakiwałam w rytm *Dancing Queen*. To wystarczyło. Wydawało się, że buhaj niczym postać z kreskówek stanął dęba, odchylił się, by nabrać więcej rozpędu, a po chwili ruszył przez pole w moją stronę.

W tym czasie Fred przeskoczył przez murek i wbiegł na pastwisko, z zapamiętaniem szukając miejsca, gdzie zakopaliśmy skarb - dokładnie pośrodku pomiędzy czterema wielkimi dębami.

- Dancing Queeeeeeeeeen! - w połowie śpiewałam, a w połowie wrzeszczałam, gdy byk Jimmy'ego Dugheada pędził w moim kierunku. Tracąc pewność siebie, podbiegłam z powrotem do ogrodzenia i pospiesznie precisnęłam się przez szparę na drugą, bezpieczną

stronę.

Nie zachwyciło to zwierzęcia, które parskało i gniewnie trącało kopytem kawałek futra z mojego kaptura, pozostawiony na siatce. Odskoczyłam nieco w tył i starałam się, by byk nadal wykazywał zainteresowanie moją osobą, ale szybko znudziły go moje bojaźliwe awanse. Wtedy właśnie odwrócił się i dostrzegł Freda, który teraz znajdował się dokładnie pośrodku pola i powoli brodził w lepkim błocie, bacznie wpatrując się w ziemię.

- Fred! - wrzasnęłam. - Fred, uważaj!

Zaskoczony Fred uniósł głowę i dojrzał zmierzającego w jego kierunku buhaja. Moje serce waliło jak oszalałe, gdy próbował wyciągnąć z kieszeni płaszcz pistolet.

- Fred! Szybko! - krzyczałam, rzucając się na ogrodzenie i z przerażeniem obserwując, jak byk pędzi w jego stronę.

Spanikowanemu Fredowi udało się wreszcie wydobyć pistolet. Trzymał go w trzęsących się dłoniach, wyciągnął przed siebie, a naciskając spust, wykrzywił twarz i odrzucił głowę do tyłu.

Rozległ się potężny, rozdzierający uszy huk.

Z otwartymi ustami i bez tchu przyglądałam się, jak byk przez chwilę się chwieje, po czym z głuchym odgłosem pada na ziemię. Fred upuścił pistolet, a ręce zwisały mu luźno po bokach. Wpatrywał się w przerażająco niewielki odstęp, który dzielił go od potężnego zwierzęcia.

W ułamku sekundy przedarłam się przez ogrodzenie i z chlupotem popędziłam do niego przez błoto, a w moich uszach ciągle dudniło echo ogłuszającego wystrzału.

- Fred, Fred, nic ci się nie stało? - wysapałam, dobiegając do niego i szarpiąc go za ramię.

Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała, gdy najpierw energicznie przytaknął, a po chwili pokręcił głową.

Popatrzyłam na leżącego byka i powoli do niego podeszłam. Z bliska wydawał się jeszcze potężniejszy. Jego nakrapianą różową skórę pokrywała gruba, upstrzona błotem sierść. Cuchnęło od niego tak paskudnie, że aż poczułam mdłości. Zakaszlałam i przyciskając rękaw kurtki do nosa, ostrożnie szturchnęłam bestię nogą. Skóra na potężnej masie mięśni zmarszczyła się. Odskoczyłam na bok i przywarłam do Freda.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, aż zaczęła nas oślepiać mżawka, a stopy coraz bardziej grzęzły w błotnistej ziemi.

- Musiał mieć zawał - rzekłam wreszcie. - Jasny gwint. Tak jak doktor Lawson.

Jeżeli chodzi o zawały, mieliśmy prawo uważać się za ekspertów, jako że zaledwie

przed kilkoma tygodniami przytrafiło się to na poczcie naszemu miejscowemu lekarzowi, natomiast wkrótce potem, przed kioskiem, z tego samego powodu przewróciła się pani Turnball. W szkole do perfekcji przećwiczyliśmy reanimację dwóch zazwyczaj zwawych mieszkańców Rushton, a teraz wyglądało na to, że chyba odnieśliśmy sukces: na śmierć przeraziliśmy byka Jimmy'ego Dugheada.

- Chodź, szybko. Zabierzmy skarb. Kto wie, czy on się wkrótce nie przebudzi - ponagliłam, ale Fred się nie poruszył.

Nie mógł wydobyć z siebie głosu, wyciągnął więc rękę w stronę byka, a ja, nieco zdezorientowana, podążyłam wzrokiem za jego trzęsącym się palcem. Dopiero wtedy zrozumiałam, o co chodzi Fredowi. W głowie buhaja, z boku widniał mały okrągły otwór, z którego sączyła się brunatna krew.

Zobaczyłam swoją zszokowaną twarz odbijającą się w czarnym, otwartym oku byka, gdy powoli schyliłam się, by podnieść ubłocony pistolet. Znałam prawdę, jeszcze zanim dotknęłam wciąż gorącej broni.

- Rany, Fred - wyjąkałam, przenosząc wzrok z pistoletu na jego pobladłą twarz. - Ten pistolet jest prawdziwy. Zastrzeleń go. Ale żadne z nas nie miało czasu na zastanawianie się nad ogromem tego, co się wydarzyło, ponieważ ziemia zaczęła wibrować jak podczas trzęsienia ziemi. Odwróciłam się i ujrzałam Jimmy'ego Dugheada, który pędził po zboczu wzgórza swoim dużym traktorem. Kiedy zobaczył, jak stoimy nad jego powalonym medalowym bykiem, uniósł się na siedzeniu, grożąc nam pięścią niczym wściekły wiking.

- Uciekamy! - wrzasnęłam, chwytając dłoń Freda i upychając pistolet w kieszeni, gdy biegliliśmy przez pole. Na czworakach przedarliśmy się przez szparę w ogrodzeniu i popędziliśmy w stronę potoku, oddzielającego teren Jimmy'ego Dugheada od naszych domów.

- Wy sukinsyny! Dorwę was! - darł się Jimmy Dughead, a jego głos gonił nas, niosąc się echem po całym wzgórzu.

Popchnęłam Freda w krzaki jeżyn i przedarłam się przez nie tuż za nim, brodząc po kolana w strumieniu. Zupełnie zapomniałam o specjalnie ułożonych kamieniach, dzięki którym można było suchą nogą przedostać się na drugą stronę. Fred wypchnął mnie na mulisty brzeg i razem pobiegliliśmy do ogrodu za moim domem. Padliśmy bez tchu na ziemię tuż przy stercie kompostu taty.

Oboje wiedzieliśmy doskonale, że Jimmy Dughead nas rozpoznał i że nie mamy czasu do stracenia. Jeśli nas dorwie, zrobi z nas marmoladę. Zdjęłam z nóg kalosze i wylałam z nich sporo wody.

- Chodźmy do wsi. Tam nas nie znajdzie - rzekłam, a Fred przytaknął. Podskakując podczas ponownego wkładania kaloszy, przyglądałam się, jak Fred pędzi do miejsca, gdzie leży mój motorower, i podnosi go. - Szybko! Dawaj, Fred - popędziłam go, wskakując za nim na długie siodełko i mocno przywierając do jego pleców.

Ale Jimmy Dughead najwyraźniej przejrzał nasz plan, ponieważ gdy chwiejnie przejeżdżaliśmy obok samochodu taty, dojrzeliliśmy, że prowadząca na jego farmę brama jest już otwarta. Kiedy wydostaliśmy się na drogę, w naszych uszach dudnił odgłos zbliżającego się traktora.

- Dogoni nas! - krzyknął Fred przez ramię, nareszcie odzyskując głos.

Przemknęliśmy aleją koło domostw sąsiadów, dokładnie po wybojach, których zazwyczaj staraliśmy się unikać. Policzki nas piekły, a zęby szczękały, gdy przyspieszaliśmy, pędząc w dół najbardziej stromego wzgórza na całym świecie, a gdzieś za nami wył traktor.

Gdy wjechaliśmy do wsi, Fred nie był w stanie zapanować nad pedałami, więc zgodnie wrzeszczeliśmy, gdy same obracały się w szaleńczym tempie. Niczym odczepiony wagonik kolejki górskiej przejechaliśmy przez brukowany most, o mały włos nie tracąc wszystkich zębów. Pędziliśmy coraz szybciej, nie mogąc zahamować, a do wyboru mieliśmy nieuchronną śmierć albo Jimmy'ego Dugheada. Zupełnie bez kontroli przejechaliśmy między zaparkowanymi na ulicy samochodami, wjechaliśmy na trawnik, a potem przelecieliśmy kawałek w powietrzu i wylądowaliśmy na parkingu koło Domu Pamięci, zderzając się z koszami na śmieci, co wreszcie pozwoliło nam się zatrzymać.

Jęcząc i pocierając głowy, pozbieraliśmy się z ziemi i usiedliśmy. Fred odrzucił na bok jakieś kości od kurczaka, które zaplątały się w jego płaszcz, i potarł kark, ale - co niewiarygodne - oboje wyszliśmy z tego bez szwanku. Kiedy wyswobodziliśmy się już z pokryw od koszy, pozbieraliśmy motorower i oparliśmy go o ścianę, po czym ostrożnie wyjrzeliliśmy zza rogu na drogę. Nie było ani śladu Jimmy'ego Dugheada, który najwidoczniej wybrał dłuższą drogę, by ominąć wąski, wyboisty most. Jednak nasze serca nadal waliły w szaleńczym tempie.

- Chodźmy do pubu - wyszeptał Fred ciągle bez tchu.

- Udawajmy, że nic się nie stało. Tam będzie dzisiaj masa ludzi.

Skinęłam głową i trzymając się blisko siebie, przemknęliśmy pod tylną ścianą Domu Pamięci na jego drugi koniec. W ciszy dotarliśmy do tylnego wejścia, uspokoiliśmy Elsie, kulawego psa pasterskiego, i wślizgnęliśmy się do środka.

Wewnątrz było ciepło, a w powietrzu unosił się dym papierosowy. Oprócz szurania stołów i krzesel ustawianych przez gospodynię, które przygotowywały pub na wieczorną

zabawę, rozlegał się jedynie trzask ognia. Kobiety przykrywały stoły długimi papierowymi obrusami i kładły na nich owinięte folią półmiski z jedzeniem.

Fred i ja właśnie skradaliśmy się pod tarczą do rzutek, kiedy otworzyły się tylne drzwi i poczuliśmy przeciąg.

- Gdzie są te przeklęte bachory? - wrzasnął Jimmy Dughead. Szybki jak błyskawica Fred pociągnął mnie za rękaw w dół i schowaliśmy się pod ostatnim stołem. Przez szparę między obrusami obserwowaliśmy, jak Erie, właściciel pubu zwanego Gordon Arms, cały się nadyma.

- Tutaj nie ma żadnych dzieci, Jim.

- Załatwili Herculesa - pienił się Jimmy Dughead. - Mojego medalowego byka - ciągnął, wchodząc do środka. - Mam zamiar obedrzeć te skurwysyny żywcem ze skóry - zagrzmiął i nawet twarze na zwisających z belki kuflach wydawały się krzywić z przerażenia. - Zastrzelili go.

Na chwilę w pubie zapanowała cisza, a wszystkie rozmowy zamarły. Znaleźliśmy się w pułapce. Trudno było niezauważenie wymknąć się tą samą drogą, którą przyszlismy. Pozostało nam jedynie posuwanie się naprzód.

- Zastrzelili go? Z pistoletu? - zapytała Sue, żona właściciela, wychodząc zza baru.

- Szybko! - syknął Fred, a ja podążyłam za nim na czworakach pod długim rzędem stołów.

- Nie bądź śmieszny, Jimmy.

Usłyszałam nad sobą znajomy śmiech Milesa, a tuż obok mnie dojrzałam jego modne, ozdobione chwastami buty. Na chwilę zamarłam, ale zaraz pociągnęłam go za nogawkę spodni, a on uniósł obrus. Bez słowa podniosłam pistolet, tak aby Miles mógł go zobaczyć. Przez ułamek sekundy myślałam, że wyciągnie mnie spod stołu za ucho i wystawi na gniew Jimmy'ego Dugheada, ale zamiast tego bez słowa wziął ode mnie broń i jak gdyby nigdy nic ukrył ją w kieszeni płaszcza, a jego twarz pozostała niewzruszona. Prawie niezauważalnie poruszył głową, nakazując nam się ulotnić, i poczułam jego but na moim tyłku, gdy zmykałam w popłochu za Fredem.

Widziałam, jak do stołu zbliżają się potężne nogi Jimmy'ego Dugheada.

- To był twój chłopak, Roper. Przysięgam. I ta wasza sąsiadeczka.

- A powiedz mi, Jim, skąd dzieciaki miałyby broń? - usłyszałam spokojny głos Milesa, gdy przekradałam się za Fredem, obcierając sobie dłonie i kolana o wyszczerbione brązowe kafle. Dotarliśmy do końca stołów, gdzie wpadłam z tyłu na Freda.

Dostrzegłam szansę w chwili, gdy Dwutonowa Teresa, nasza szkolna kucharka,

wytoczyła się z kuchni z tacą pełną bułek do hot dogów, pchnęłam więc Freda i w okamgnieniu przemknęliśmy do kuchni. Pochyleni, prześlizgnęliśmy się koło rzędu nierdzewnych garnków i wypadliśmy tylnymi drzwiami do ogrodu, gdzie przekradliśmy się między rzędami suszących się na linkach ręczników.

Dopiero na moście zatrzymaliśmy się zgięci w pół, żeby złapać oddech.

Trzymając dłonie na kolanach, Fred spojrzał na mnie.

- Co zrobimy z pistoletem?

- W pubie oddałam go Milesowi - wysapałam, a serce waliło mi częściowo ze strachu, a częściowo z podekscytowania.

Fred wyglądał na prawdziwie zaszokowanego tą informacją.

- O rany, Mickey. Będziemy mieli poważne kłopoty. Miles kazał mi przysiąc, że nigdy go nie dotknę.

Wyprostowałam się, wzięłam głęboki wdech i odgarnęłam opadające na twarz włosy.

- Po pierwsze, on w ogóle nie powinien posiadać broni - oświadczyłam. - To nielegalne.

- Sądzisz, że będzie miał teraz kłopoty z policją? - zapytał Fred.

Wzruszyłam ramionami.

Fred głośno pociągnął nosem i wytarł go rękawem swego płaszcza przeciwdeszczowego. Jego blade policzki pokrywały jaskrawoczerwone plamy.

- Co teraz zrobimy?

- Będziemy musieli uciec z domu - odparłam. Ucieczka z domu była czymś, co często sobie wyobrażałam, ale za każdym razem, kiedy już się zdecydowałam, tyle czasu zajmowało mi ułożenie listu pożegnalnego i zastanawianie się nad tym, co ze sobą zabrać, że gdy wreszcie zaczynałam się przypatrywać małej skórzanej walizce, leżącej na szafie w moim pokoju, zawsze odchodziła mi na to ochota. Albo też zdążyłam porządnie zgłodnieć. Oczywiście nigdy dotąd nie rozważałam ucieczki z domu w sposób spontaniczny, pod wpływem chwilowego impulsu, tak jak teraz. Ale w zaistniałych okolicznościach, bez skarbu, gdy byliśmy poszukiwani przez Jimmy'ego Dugheada za zamordowanie Herculesa i z pewnością w ogromnej niełasce u Milesa oraz moich rodziców, którzy gdy tylko się o wszystkim dowiedzą, zamkną mnie w moim pokoju na cały rok - wyglądało to na wyśmienity pomysł.

- Na pewno przejedzie tędy jakiś samochód - rzekłam, kurcząc palce u nóg z powodu przemoczonych skarpetek.

- Ale to może potrwać całe wieki - zaprotestował Fred, a jego twarz spoważniała, gdy

zrozumiał, że nie żartuję.

- No to po prostu będziemy musieli poczekać - odparłam, po czym podskoczyłam i siadłam na murku, a pod sobą czułam zimne kamienie. Nie mogłam przestać się trząść.

Dość długo żadne z nas w ogóle się nie odezwało.

Machając nogami i nudząc się śmiertelnie, oboje wpatrywaliśmy się w rzekę. Jeszcze nigdy nie widziałam, by miała tak wysoki poziom. Zazwyczaj latem czysta woda wolno przepływała nad leżącymi na dnie, pokrytymi mchem kamieniami, pozwalając dojrzeć ławice małych, czarnych rybek walczących z nurtem. Dzisiaj jednak rzeka miała co najmniej półtora metra głębokości, była ciemna, spieniona i płynęła bardzo szybko, unosząc ze sobą liście i gałązki, tak że wyglądało to jak koktajl czekoladowy.

- Uratowałem ci życie - rzucił Fred, popychając mnie i wskakując na murek tuż obok, ale nie mieliśmy nastroju, żeby się z tego śmiać.

Podniósł jakiś patyk i zaczął stukać nim rytmicznie w lśniące kamienie. Po chwili, trącając mnie łokciem, wrzucił kijek do rzeki.

- Ścigajmy się! - rzucił mi wyzwanie, zeskakując jednocześnie z murku i pędząc przez most, by zobaczyć, jak patyk wypływa z drugiej strony.

- To było nie fair - oświadczyłam, zeskakując i doganiając go z ulgą, że coś się wreszcie dzieje.

Przechylił się przez balustradę i wpatrywaliśmy w ciemną wodę. Chwilę później gałązka Freda wypłynęła spod mostu, miotając się w wyjątkowo silnym nurcie.

- Jeszcze! - zawołałam, pozwalając, by Fred rozweselił mnie naszą starą zabawą z dzieciństwa.

Zbiegliśmy z mostu i poszukaliśmy odpowiednich kijków. Po chwili wróciliśmy na miejsce, każde z jednym patykiem w dłoni.

- Do biegu... gotowi... - drażnił się Fred. - Start! - dodał nagle i oboje cisnęliśmy gałązki do wody, po czym natychmiast popędziliśmy na drugą stronę mostu i utkwiliśmy wzrok w rzece.

- Nie widzę ich - oświadczył Fred, podciągając się w górę na balustradzie, aby mieć lepszy widok. Jego stopy dyndały nad ziemią, gdy w skupieniu przeczesywał wzrokiem brunatną kipieli.

Ja także uważnie się w nią wpatrywałam, ale niczego nie mogłam dojrzeć, więc Fred podciągnął się jeszcze wyżej, przechylił i wydał z siebie śmieszny odgłos, który odbił się echem od spodniej części mostu.

- Uratowałam ci życie - zaśmiałam się, żartobliwie go popychając.

Tyle że tym razem go nie złapałam. Chciałam, ale może popchnęłam nieco za mocno. Może nie byłam wystarczająco szybka, ponieważ to był naprawdę wyczerpujący dzień, i może Fred z tego samego powodu nie dał rady się utrzymać, ale niczym worek kartofli przeleciał nad balustradą i sekundę później z głośnym pluśnięciem znalazł się w wodzie.

- Fred! - wrzasnęłam, wychylając się za nim. - Fred? Ale on już został porwany przez rzekę. Jego głowa dryfowała na powierzchni wody, a ramię co rusz unosiło się, gdy próbował się czegoś złapać we wzburzonym potoku. Wokół niego rozpostarł się pomarańczowy płaszcz przeciwdeszczowy. Rozejrzałam się zrozpaczona, a serce waliło mi z przerażenia.

- Ratunku! Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! - krzyczałam, ale w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Robiło się ciemno i pewnie wszyscy schodzili się już do wsi. Przebiegłam na drugą stronę mostu. Poczułam wszechogarniającą panikę.

Zbiegając z mostu i gramoląc się na brzeg rzeki, przeczesywałam wzrokiem wodę. Wiedziałam, że z upływem każdej cennej sekundy życie Freda znajduje się w coraz większym niebezpieczeństwie. Był beznadziejnym pływakiem. Zajął ostatnie miejsce w stylu klasycznym w szkole, podczas gdy ja zdążyłam już zdobyć brązową odznakę ratownika.

- Ratunku! - krzyknął zdławionym głosem.

- Trzymaj się, trzymaj, już pędzę! - zawołałam, gdy wreszcie go zauważyłam i starałam się nie stracić z oczu. Po chwili jego głowa znikła pod wodą.

Zrzuciwszy kalosze i kurtkę, wskoczyłam do brunatnej, piennej kipieli. Nagle poczułam, jakbym ważyła tonę, gdyż całe moje ubranie natychmiast nasiąkło lodowatą wodą. Pisnęłam, gdy silny nurt porwał mnie ze sobą. Mrugając i walcząc z nieustępliwym żywiołem, zaczęłam wołać Freda.

Wydawało mi się, że minęły całe wieki, zanim dojrzałam na powierzchni pomarańczowy materiał jego płaszcza. Rzuciłam się w tamtą stronę, chwytając go i przyciągając do siebie. Dzięki Bogu, ciężar nas obojga okazał się zbyt duży dla nurtu. Kaszląc, zanurkowałam pod wielkim konarem drzewa i po chwili, ciągnąc za sobą nieruchome ciało Freda, poczułam pod stopami upragnione dno.

- Fred... Nie! - zawołałam bez tchu, wypychając go brutalnie na brzeg rzeki i obserwując z przerażeniem, jak jego głowa bezwładnie opada na bok. Trzymając go za kaptur, wygramoliłam się na pochyły, porośnięty trawą brzeg, po czym przyklekłam, chwyciłam Freda za ramiona i zaczęłam odciągać od rzeki. Ledwie mogłam udźwignąć jego ciało. Był tak przeraźliwie ciężki w tym ociekającym wodą ubraniu. Z oczu płynęły mi łzy i nie mogłam złapać oddechu, gdy ślizgałam się na wilgotnej trawie, a moje zęby szczękały z zimna i przerażenia. Wreszcie udało mi się odciągnąć Freda wystarczająco daleko. Tuliałam go

w ramionach.

- Fred - szlochałam, uderzając go po twarzy zsiniałymi z zimna palcami. Wtedy przypomniałam sobie, czego nauczyliśmy się na zajęciach z pierwszej pomocy. Połączyłam obie dłonie w pięść, przyłożyłam je do brzucha Freda i mocno nacisnęłam.

- Fred, no dawaj... Fred... wszystko będzie dobrze...

Nagle przechylił się na bok i wydalil z siebie chyba z pół wiadra wody, po czym zaczął przeraźliwie kaszleć. Poczulałam niemożliwą do opisania ulgę, że żyje, że go nie zabiłam.

- Och, Fred, Fred - płakałam, głaszcząc jego plecy, gdy tak kaszlał i kaszlał bez końca. Wreszcie się uspokoił i wyczerpany opadł z powrotem na moje kolana. Spojrzał na mnie.

- Czy mój patyk zwyciężył? - spytał słabym głosem.

I wtedy upadłam koło niego, śmiejąc się i zatapiając go w uścisku.

- Tak, Fred, tym razem wygrałeś - rzekłam po chwili.

- Wygrałeś, wygrałeś. - A ponad nami, nad wsią, sztuczne ognie rozprysły się na niebie jaskrawozieloną poświatą.

Budzi mnie odgłos śmieciarki. Tuż przy mnie na łóżku siedzi Joe. Jest już ubrany i tasuje właśnie talię kart. Wyciągam z uszu stopery.

- Chichotałaś przez sen - oznajmia mi.

- Hmm, naprawdę? - Siadam i przecieram oczy. - Która godzina?

- Siódma trzydzieści. Nie słyszałaś budzika. Zrobisz mi śniadanie?

Kiwam głową i klepię Joe po nodze. Ześlizguje się z mojego łóżka i wciąż zaabsorbowany kartami, idzie do kuchni. Słyszę, jak otwiera lodówkę. Ziewam i powoli wstaję. Kołdra leży na podłodze, więc wciągam ją z powrotem na łóżko, po czym drepczę do łazienki.

Odkąd jestem sama, śpię w taki niekontrolowany sposób, rozrzucając ramiona na boki, skopując kołdrę i - jak twierdzi Joe - mamrocząc i chrząkając. Kiedy byłam jeszcze żoną Martina, w ogóle się nie wierciłam nocami, ale wtedy z kolei niezbyt wiele spałam. Najczęściej leżałam na swojej połowie łóżka i wpatrywałam się w budzik.

Teraz przyprawia mnie o gęsią skórkę myśl, że byłam kiedyś zameżna, ale wtedy nikt nie zauważył tego, że zupełnie nie posługuję się rozumem. Zanim skończyłam dwadzieścia jeden lat, podjęłam wiele decyzji opartych bardziej na szwankującej logice niż sensownych uczuciach, ale nawet ja muszę przyznać, że zaręczyny z mężczyzną, którego nie kochałam, w zamian za obietnicę bycia ojcem dla Joe i zapewnienia mi domu z dala od Rushton, gdzie się

dusiłam, były jednym z moich największych błędów. Mimo złych przeczuć porzuciłam stan paniński tylko po to, by szybko sobie uświadomić, że żadna liczba nowych dywanów i mebli nie wynagrodzi faktu, że na widok owłosionych pleców Martina czuję swędzenie pod paznokciami. Przekonałam się także, że nie ma większej samotności niż ta, jaką się odczuwa, śpiąc przy boku kogoś niekochanego.

Biorę szybki prysznic, myję zęby i dołączam do Joe. Siedzi w kuchni i czyta instrukcję obsługi latawca. Myślę, że czuje się winny za wczoraj. Ja z kolei czuję się winna za dzisiaj. Jest sobota, a ja będę musiała pomóc Lisie, ponieważ Marge jest w szpitalu na jakichś badaniach związanych z jej żyłakami; już zaczęła mi o tym opowiadać, ale wolałam nie wdawać się w szczegóły. Marge ma hopla na punkcie wszystkiego, co się tyczy medycyny, i jeśli tylko mogłaby mieć więcej zabiegów, to chętnie by się im wszystkim poddała. Im więcej przy tym krwi, tym lepiej.

W rezultacie Joe musi zająć się sam sobą przynajmniej do wczesnego popołudnia. Nie wygląda na zmartwionego w takim stopniu jak ja, ale i tak obiecuję mu, że potem pójdziemy do parku. Sądzę jednak, iż czuje ulgę na myśl, że będzie mógł w spokoju pograć sobie na komputerze.

Ranek mija dość szybko i cieszę się, że mamy sporo klientów. Wybija właśnie pierwsza, kiedy do środka wchodzi Fred.

- Cześć - mówi nieśmiało, wskazując palcem drzwi. - Właśnie przechodziłem, więc pomyślałem sobie...

Ma na sobie krótkie spodenki, a na grubym rzemyku na szyi dyndają mu okulary przeciwsłoneczne. Uświadamiam sobie, że gapię się na niego z otwartymi ustami.

- Cześć - odpowiadam niemądrze, totalnie zaskoczona i nieprzygotowana. A także zakłopotana. Po tym jak ostatniej nocy tak dużo o nim myślałam, czuję, jakby w jakiś sposób przyłapał mnie na gorącym uczynku.

Lisa przygląda się nam, ale ja nie potrafię spojrzeć jej w oczy. Jestem zbyt podekscytowana, by cokolwiek wyjaśniać.

- Świetna kwaciarnia - mówi Fred.

- Dzięki - mamroczę w odpowiedzi.

- Jesteś zajęta? Mogę przyjść...

- Nie, nie. Ani trochę - przerywam wylewnie, przypominając sobie o dobrych manierach. - Chodź na górę na kawę. Nie masz nic przeciwko temu? - pytam Lisę, zwracając głowę w jej kierunku i otwierając szeroko oczy.

W odpowiedzi Lisa figlarnie unosi brew.

- Absolutnie nic - odpowiada z uśmiechem.

Cała w nerwach przechodzę obok niej, a Fred podąża za mną w stronę schodów. Jestem boleśnie świadoma poprzecieranego dywanu, łuszczącej się farby i znajdujących się na wierzchu rur. Z jakiegoś powodu chcę zrobić na nim dobre wrażenie. Pragnę udowodnić, że powiodło mi się w dorosłym życiu.

Fred wchodzi za mną do salonu, a ja nie bez wysiłku otwieram okno, by wpuścić nieco świeżego powietrza. Zlew w kuchni jest pełen brudnych naczyń, a na stole widać tłuste smugi po maśle i marmoladzie, a także skórki od chleba, które najwidoczniej pozostawił Joe.

- Przepraszam za ten cały bałagan, ale nie jestem przyzwyczajona do gości. Tak naprawdę to jesteś pierwszą osobą, która mnie tu odwiedziła - mówię z zakłopotaniem i napełniam czajnik. - Ach, te dzieciaki - dodaję żartobliwie, odrywając kawałek papierowego ręcznika i wycierając nim stół. - Czy twoje też są takie okropne?

- Nie mam dzieci - odpowiada Fred nieco zmieszany.

- Myślałam... no cóż, a wczorajszy wieczór w Toy Zone? Kupowałeś gry...

Fred drapie się po karku.

- Rozglądałem się za czymś dla siebie. I dla Eddiego, mojego współlokatora...

- Ach, rozumiem - mówię, mimo że jest dokładnie na odwrót. Powiedział to tak naturalnie, że wydaje mi się, iż Fred może być gejem.

Przyglądam się memu gościowi, który unosi głowę i ogląda kuchnię i salon. Nagle, patrząc jego oczami, uświadamiam sobie, jak małe i ubogie jest moje mieszkanie.

- Miło tutaj - stwierdza. - Mieszkasz sama?

- Nie. Jeden pokój wynajmuję Lisie, ale poza nią mieszkamy tutaj tylko ja i Joe. Miałam męża, ale hmm... cóż, nie wyszło. Nie sądzę, by małżeństwo było czymś dla mnie. A ty... ?

- Zaręczony.

- Och - mówię, krzyżując ramiona na piersi. - Moje gratulacje.

- Dzięki.

- A kiedy nastąpi ten wielki dzień?

- Za miesiąc.

- Aha. - Kiwam głową. - To niedługo.

Przez chwilę panuje cisza. Fred patrzy na mnie, a ja czuję, że się czerwienię. Oboje śmiejemy się nerwowo.

- Mamo? - To Joe, siedzący w swoim pokoju.

- Chodź, poznasz mojego syna - mówię, starając się zachowywać serdecznie i

naturalnie, ale czuję się zupełnie inaczej.

Nie cierpię przedstawiać Joe innym facetom. Te kilka razy w przeszłości okazały się katastrofą. Ostatni był Tom, zresztą i tak minął już ponad rok. Wydawał się bardzo miły, w taki chłopięcy sposób, ale nie potrafił zaakceptować faktu, że mam *ix* dziecko. Robił wszystko, co w jego mocy, by ignorować chłopca, a potem się wkurzał, gdy wszelkie nasze weekendowe plany musiały go uwzględniać. Nic dziwnego, że on i Joe znienawidzili się od pierwszego spotkania i byłam zmuszona zakończyć tę znajomość prawie tak szybko, jak się zaczęła.

- Joe, to jest Fred - zaczynam, gdy Fred i ja stajemy w drzwiach do jego pokoju. - Jest moim dawnym znajomym. - Nawet mnie to, co mówię, wydaje się wiktoriańskie i ugrzecznione. - Kiedyś oboje mieszkaliśmy w Rushton...

I Joe, i Fred kompletnie mnie ignorują. Zamiast tego kiwiają w swoim kierunku głowami i mówią: „Cześć” tym samym tonem. Może to dlatego, że należą do gatunku męskiego, ale wydaje się, że obaj są na całkowitym luzie i sprawiają wrażenie, iż ta sytuacja w ogóle nie jest dla nich krępująca. Swoją uwagę koncentrują na ekranie komputera.

- W co grasz? - pyta Fred, zanim mam szansę dodania czegoś jeszcze.

Joe mamrocze nazwę gry, a Fred aprobująco kiwa głową.

- Mam to - oświadcza, wchodząc do pokoju, jakby znał Joe od zawsze. - Na którym jesteś poziomie?

- Utknąłem na trzecim - odpowiada nonszalancko Joe, jakby każdego dnia do jego prywatnej, uświęconej strefy wkraczała całkowicie obca osoba. Ja, aby tutaj odkurzyć, potrzebuję w zasadzie papieskiej dyspensy. - Dochodzę do mutantów, ale wtedy dopadają mnie deskorolkowcy - mówi Joe tonem, jakiego używa się, rozmawiając o pogodzie.

Nie wierzę własnym uszom. Od tygodnia Joe rwie włosy z głowy, bo nie potrafi przedostać się na wyższy poziom. Jak to możliwe, że nagle mówi o tym tak spokojnie?

- Wiem, co masz na myśli - potwierdza Fred. - Paskudna pułapka, no nie? Całe wieki zajęło mi jej rozgryzienie, ale potem wydaje się to proste. Chcesz, żebym ci pokazał?

Joe przytakuje.

- W takim razie posuń się - mówi Fred i Joe prześlizguje się na drugi koniec łóżka, na którym właśnie siedzi, po czym podaje mu konsolę. Nie mija kilka sekund, gdy obaj gapią się w ekran, a Fred cierpliwie wyjaśnia chłopcu, co właśnie robi.

Ze zdumieniem ewakuuję się z pokoju, czując się zbędna. Porządkuję trochę kuchnię, ale staram się robić to wyjątkowo cicho, aby podsłuchać, co się dzieje u Joe. Czuję się dziwnie, że Fred jest w tej chwili w moim mieszkaniu. Z jednej strony wydaje się to czymś

najnormalniejszym na świecie, z drugiej jednak jestem świadoma tego, że prawie nic o nim nie wiem. Mógł przecież przez ostatnie piętnaście lat molestować dzieci. Mógł być kimkolwiek, tylko nie Fredem Roperem, którego kiedyś znałam tak dobrze. Woda w czajniku się zagotowuje.

- Fred? - wołam, spoglądając w sufit. Mam takie uczucie, jakbym wołała Joe, a kiedy nie otrzymuję żadnej odpowiedzi, ponownie wślizguję się do pokoju mojego syna, by sprawdzić postępy.

Joe jest zachwycony.

- To niesamowite! - woła, tryskając szczęściem. Odwraca się do mnie. - Mamo, dostałem się na następny poziom. To nic trudnego.

Fred oddaje mu konsolę. Joe w odpowiedzi uśmiecha się od ucha do ucha.

- Dzięki - mówi, a w jego oczach widnieje dozgonna wdzięczność. - Czy mogę iść do sklepu po chipsy? - pyta, a ja kiwam przyzwalająco głową.

- Tylko wracaj szybko, bo niedługo mamy przecież pójść do parku.

Joe włącza pauzę i przemyka koło nas. Dawno już nie widziałam go w tak radosnym nastroju.

- Jest świetny - mówi Fred, idąc za mną do kuchni.

- No cóż, a ty go dzisiaj niesamowicie uszczęśliwiłeś. Przez chwilę patrzę, jak Joe wychodzi, po czym zabieram się do parzenia kawy.

- Jaką pijesz? - pytam.

- Czarną bez cukru. Dzięki.

- Nie ma za co - odpowiadam, odwracając się do Freda plecami. Czuję, że akurat to powinnam wiedzieć. To naprawdę dziwaczne, że nie mam pojęcia, jaką ten w zasadzie obcy człowiek lubi kawę, ale za to pamiętam, iż jeśli chodzi o muesli, to najbardziej odpowiada mu to z rodzynkami. Jeżeliby się nad tym dłużej zastanowić, najprawdopodobniej jestem jedyną osobą na tej planecie, która potrafiłaby zidentyfikować Freda wśród setek innych mężczyzn po podłużnej bliźnie na lewym łokciu, będącej efektem bliskiego kontaktu jego gokarta z drzewem, natomiast nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie teraz mieszka ani w jaki sposób zarabia na utrzymanie. Gdy przebijam otwór w nowym słoiku z kawą rozpuszczalną, drobne ziarenka podskakują i muszę przyznać, że czuję się podobnie - jakby Fred wybił otwór w otaczającej mnie, bezpiecznej osłonce.

- A więc - mówi mój gość, gdy podaję mu kawę - od czego zaczniemy?

Dmucha nerwowo na wydobywającą się z mojego kubka parę.

- Sama nie wiem.

Przez chwilę luźno gawędzimy i wymieniamy się strzępkami informacji. Mam uczucie, jakbyśmy recytowali na wrywki nasze życiorysy, z których jednak żaden nie jest tak do końca szczery. Fred opowiada mi o swojej pracy w branży komputerowej, a ja mówię o moim wyjeździe z Kent.

- Joe i ja zostaliśmy tam jeszcze przez jakiś czas po rozwodzie, ale nie bardzo mi się podobała taka sytuacja. Ciągle musiałam przemykać ulicami, starając się nie spotkać znajomych Martina. Już wcześniej ukończyłam kurs dla kwiaciarek, ale wróciłam jeszcze do college'u na kurs dla drobnych przedsiębiorców. Zawsze chciałam zamieszkać na stałe w Londynie i kiedy tylko pojawiła się taka okazja, złożyłam w banku podanie o kredyt i pomyślałam, że raz kozie śmierć. - Macham nonszalancko dłonią.

- Po prostu cała ty, Mickey. Zawsze byłeś odważna.

- Odważna - parskam. - Nie jestem odważna.

- A właśnie, że jesteś. Potrząsam głową.

- Odczep się. Nie znasz mnie. Kiedy widziałeś mnie po raz ostatni, byłam nieopierzoną nastolatką. Od tamtej pory zrobił się ze mnie straszny tchórz.

- Nie wierzę. Nigdy nie bałaś się nowych doświadczeń. Nowych przygód. Kiedyś byłem o to nawet zazdrosny.

- No cóż, w takim razie zmieniłam się.

- Czyżby?

- Tak - odpowiadam. - Oczywiście, że tak. Jestem zupełnie inną osobą.

Fred przygląda mi się, po czym spuszcza wzrok i przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywa. I tak wiedziałam, że prędzej czy później zabraknie nam tematów. To tak, jakby między nami leżał rozsypany kosz ze śmieciami z przeszłości, a my nie możemy przejść dalej, dopóki wszystko nie zostanie uprzątnięte. Fred pociera palcem uszko od filizanki i wzdycha.

Postanawiam przejść do sedna sprawy.

- Dlaczego nie napisałeś do mnie? - pytam, odstawiając kubek. Kładę dłonie na biodrach i wpatruję się w niego, ale on nadal na mnie nie patrzy. - Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Mimo że staram się, by zabrzmiało to obojętnie, słyszę w głosie cały ocean pretensji.

Fred spogląda na mnie.

- Napisałem - mówi, ale ja potrząsam głową, aby go powstrzymać.

- Nie kłam - przerywam, zagryzając wargi. - Nie musisz. To znaczy... wiem, że teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia, ale... - Muszę odkaszlnąć. - Byłam taka roztrzęsiona, kiedy wyjechałeś. W porządku, otrzymałam tę pisaną naprędce kartkę z twoim adresem, ale

później... nic. Nie mogłam uwierzyć, że nie chcesz już mieć ze mną do czynienia - wyznaję, czując, jak smutna prawda szczypie mnie w oczy. - W taki gówniany sposób zakończyło się to, co było między nami. Czułam taką złość. Tak naprawdę to nie jest właściwe słowo. Byłam wściekła...

- Ty byłaś wściekła? Ty? - W głosie Freda słychać oburzenie. - Pisałem do ciebie i pisałem. Byłem zrozpaczony. Chryste, Mickey, nie masz pojęcia...

- Nigdy nie dostałam twoich listów. A ja pisałam do ciebie prawie codziennie. Przez całe wieki. - Nieoczekiwanie parskam śmiechem, przypominając sobie te wszystkie potoki słów, dzięki którym starałam się utrzymać Freda przy sobie, mimo że był daleko, daleko ode mnie. - Tak naprawdę to chyba dobrze się stało, że ich nie dostałeś. To, co pisałam, było dość zawstydzające.

- Ale pewnie nie takie złe jak moje wiersze?

- Wysyłałeś mi wiersze? Fred przytakuje.

- No cóż, wiersze to za dużo powiedziane. To była tylko taka nieudolna bazgranina - przyznaje. - Na górze róże, na dole fiołki... coś w tym stylu.

- Nie przepadam za różami. - Uśmiecham się. - Zdecydowanie wolę fiołki.

- Wiedziałem, że nie doceniłabyś mojej twórczości.

- To jeszcze nic - wyznaję. - Ja tobie wysyłałam wodę po goleniu Brut.

Fred śmieje się.

- O rany.

Patrząc na niego, także nie mogę powstrzymać się od uśmiechu.

- Nigdy mi nawet nie podziękowałeś.

- Podejrzewam, że to moja mama przechwytywała listy od ciebie. Ponad wszystko pragnęła, abyśmy nie utrzymywali ze sobą żadnego kontaktu. Wszelkie wspomnienia... wiesz... - Fred wzdycha. - Tak strasznie mi przykro.

- Moja musiała robić to samo. Wścibska stara torba. Ja nigdy nie postąpiłabym w taki sposób - mówię porywczo, oszołomiona ogromem interwencji naszych rodziców, ale mimo wszystko czuję, że świadomość tego, iż i jemu jest przykro, w pewien sposób łagodzi mój gniew.

- Nie musiałybyś. Teraz mamy Internet i telefony komórkowe. W dzisiejszych czasach utrzymywanie kontaktu wydaje się dziecinnie proste. Bez względu na rodziców. Bez względu na wszystko inne.

- Chyba tak.

Fred wyciąga dłoń i kładzie ją na mojej.

- Tak czy owak - mówi - tęskniłem za tobą.

Przez moje ciało przebiega dreszcz i czuję się jak sparaliżowana. Wbijam wzrok w ziemię, zaalarmowana ciepłem i siłą jego dotyku.

- Ja za tobą też - uśmiecham się, wyswobadzając moją dłoń z jego uścisku.

Lisa obsługuje właśnie klienta, a następny już czeka w kolejce, więc kiedy schodzimy do kwiaciarni, jestem przez chwilę zajęta. Kątem oka przyglądam się Fredowi. Stoi z boku i z zaciekawieniem rozgląda się dookoła.

- A teraz opowiedz mi o swojej narzeczonej - mówię, kiedy wychodzi ostatni klient. - Podejrzewam, że ma jakieś imię?

- Rebecca - odpowiada.

- Rebecca - powtarzam. - Jaka ona jest?

Fred wydyma policzki i wygląda na nieco zakłopotanego.

- Jest...

- Tylko nie mów, że nie umiesz opisać tej szczęściary, z którą się żenisz - drażnię się z nim.

Fred wkłada ręce do kieszeni i wzrusza ramionami.

- Nie wiem, co ci o niej opowiedzieć. Pracuje w branży marketingowej. Właśnie wróciła z Oslo. Jadę teraz spotkać się z nią - kończy swój krótki wywód.

- Weź dla niej jakieś kwiaty. Ja stawiam.

- Nie, to nie jest konieczne... naprawdę.

- Przestań, weź kilka róż. Ten pęk i tak zwiędnie do poniedziałku. Równie dobrze mogą komuś dzisiaj sprawić przyjemność.

Schylam się i wyciągam z czarnego wiadra przy ladzie spory bukiet długich róż. Obchodzę się z nimi ostrożnie, mając w pamięci paskudnie ostre kolce. Osobiście nie lubię ich. Wolę świeże, wiosenne kwiaty. Róże są tak bardzo wyświechtane. Są jednak także drogie, a wygląda na to, że Rebecca gustuje w takich właśnie rzeczach, nie poczuje się więc rozczarowana.

- Mickey. Nie musisz. Nie aż tyle. Wystarczy jedna albo dwie...

- Musisz ofiarować porządny bukiet - odpowiadam, hojnie dokładając jeszcze kilka róż. Zawijam je w celofan i brązowy papier. - Gdzie się podziała twoja romantyczna natura? Proszę - mówię, podając mu róże.

Fred niechętnie bierze ode mnie duży bukiet.

- Jesteś bardzo uprzejma.

- Drobiazg. Mam nadzieję, że jej się spodobają. - Splatam dłonie za plecami, w pełni

świadoma swoich absolutnie niegodnych dąmy paznokci.

Fred przez chwilę wyraźnie się waha. Róże prawie go przysłaniają.

- Powinniśmy znowu się spotkać - mówi.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć - odpowiadam zapraszająco.

Podchodzę razem z Fredem do drzwi i otwieram je.

- Naprawdę miło było cię zobaczyć, Mickey - mówi.

- Ciebie też - odpowiadam. Czuję się bardzo dziwnie, tak jakby stare uczucie znowu dało o sobie znać albo też powróciło. Sama już nie wiem.

Fred przez chwilę wpatruje się we mnie. Stoimy tak blisko siebie, że zastanawiam się, czy przez mój T - shirt widzi, jak mocno wali mi serce. Wygląda, jakby spodziewał się, że pocałuję go w policzek albo uścisknę dłoń. Zamiast tego uśmiecham się i staję w otwartych drzwiach. Kiedy Fred przechodzi obok mnie, wielki bukiet róż wydaje się chrzęścić.

Gdy zamykam za nim drzwi, podchodzi do mnie Lisa. Obie patrzymy przez szpary między naklejkami na szybie, jak Fred się oddala.

- Kto to był? - pyta.

- Fred Roper - wzdycham z zadumą. - Mój dawny sąsiad z Rushton.

- Smakowity z niego kąsek, nie sądzisz?

- Co ty powiesz - odpowiadam. - Co ty powiesz.

ROZDZIAŁ TRZECI

FRED

Na chodniku koło kwaciarni Mickey leżą rozsypane różowe, małe kwiatki. Przypominają mi tapetę pokrywającą ściany w korytarzu domu moich rodziców w latach siedemdziesiątych. Gdy zaczynam iść, płatki fruwać wokół moich stóp, a ja czuję dziwną pewność siebie: taką, jaką po raz ostatni odczuwałem, kiedy byłem jeszcze nastolatkiem. W dziwny sposób moje ciało wydaje mi się obce i jestem przekonany, że nawet najbardziej naturalny gest musi teraz wyglądać na przesadzony i gwałtowny, tak jak ruchy zepsutej marionetki.

Powodem tego wszystkiego jest oczywiście Mickey. Nie mogę przestać myśleć o tym, czy obserwuje mnie w tej chwili, a jeżeli tak, to kogo widzi. Czy cechy Freda Ropera, którego kiedyś znała, nadal są we mnie obecne? Czy łącząca nas niegdyś więź została na zawsze zniszczona tamtego ponurego dnia, gdy przeprowadziłem się z mamą do Szkocji?

Zwalczam w sobie pokusę obejrzenia się przez ramię. Czego tak naprawdę oczekuję? Potwierdzenia, że Mickey nadal coś do mnie czuje? Czy właśnie dlatego coś mnie zmusiło, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, do dzisiejszych odwiedzin? Czy szukałem rozwiania swoich obaw? A może porównywałem się z facetem, którym byłem kiedyś, by poczuć, że dobrze zrobiłem, zostawiając go daleko z tyłu? Czy właśnie dlatego, po tych wszystkich latach trzymania przeszłości na dystans, zdecydowałem się na jej odgrzebywanie? Czy też może dopiero spotkanie z Mickey w Toy - Zone uświadomiło mi, jak bardzo za nią tęskniłem?

Może to ciuchy, brak markowych napisów na trampkach i marynarce, kontrastujące z tymi wszystkimi starannie rozlokowanymi sloganami reklamowymi i barwnymi opakowaniami w sklepie, ale coś w stojącej nieopodal w dziale z grami komputerowymi w Toy - Zone kobiecie zwróciło moją uwagę.

Nawet z profilu, mimo że była niewątpliwie starsza, natychmiast rozpoznałem w niej Mickey Maloney. Jej ładną, trzpiotowatą twarz - lekko okrągłą niż kiedyś - znałem nadal tak dobrze jak własną. Czyż mogło być jednak inaczej? Obserwowałem jej rozwój od najwcześniejszych lat dzieciństwa, jej coraz bardziej wyraziste kości policzkowe, lekko zadarty nos, podkreślającą pewność siebie prostą linię szczęki i pełne, zmysłowe usta. Lśniące, ciemne włosy miała związane na czubku głowy w węzeł, z którego wydostawały się pojedyncze loczki, dłuższe niż zapamiętałem, i muskały jasną, odkrytą skórę szyi nad kołnierzykiem marynarki. Nie byłem w stanie oderwać od niej wzroku, zdumiony, że Mickey może być tak blisko, a jednocześnie jest zupełnie nieświadoma mojej obecności.

Miała na sobie sprane dzinsy, podobne do tych, które zawsze nosiła w dzieciństwie. Zachowała zgrabną figurę i ciągle biła z niej swego rodzaju pewność siebie, spowodowana tym, że nigdy zbyt długo nie zastanawiała się nad swoim wyglądem. Była - co? - jakieś dziesięć centymetrów niższa ode mnie. Nie mogłem mieć całkowitej pewności, gdyż stała właśnie na palcach, zdejmując z wyższej półki pudełko z grą. Dziesięć, dwanaście centymetrów byłoby w sam raz. Właśnie taką ją pamiętam i zapamiętałem też, jak opierałem podbródek na jej głowie, gdy tańczyliśmy przytulańca.

Jeszcze raz przyjrzałem się jej twarzy, nagle ponownie przytłoczony jej bliskością i tym, co dla mnie znaczy. Jest jak tysiące migawek skondensowanych w jedno wyraźne zdjęcie. To historia nas dwojga. Wtedy odwróciła głowę w moją stronę i ten moment znikł tak szybko, jak się pojawił.

Zaprzeczenie i - o ile to nie zadziało - ucieczka należały do moich ulubionych taktyk podczas poprzednich okazji (słownie dwóch), kiedy ludzie z mojej przeszłości pojawiali się nieproszeni w teraźniejszości. Po raz pierwszy zdarzyło się to prawie dziesięć lat temu na uniwersytecie w Manchesterze, gdzie przekonywająco zaparłem się dawnego siebie, stając twarzą w twarz z pewnym studentem historii, który poprawnie zidentyfikował mnie jako Freda Ropera, mieszkającego po sąsiedzku w Rushton we wczesnych latach osiemdziesiątych, tego samego Freda Ropera, którego ojciec... Drugi przypadek - niewątpliwie bardziej niebezpieczny, jeżeli chodzi o ryzyko zdemaskowania - wiązał się z dramatycznym atakiem mdłości na imprezie, na której byłem kilka lat później razem z Rebeccą, gdzie zauważyłem mężczyznę gapiącego się na mnie z drugiego końca pokoju z pijackim zdumieniem; rozpoznałem w nim Jonny'ego Phippsa, chłopaka, z którym chodziłem do Greenway College dawno temu i który wiedział wszystko o mnie i o Milesie.

Teraz stało się to po raz trzeci, a kobieta, która właśnie odwracała się w moją stronę, nie była jakąś tam postacią z przeszłości, ale jedyną osobą, może z wyjątkiem mojej matki, która wiedziała o mnie więcej niż ktokolwiek inny na tej planecie.

Powinienem był oczywiście odejść, minąć kolejki do kasy i znudzonych kasjerów, przejść przez szklane obrotowe drzwi i wyjść na zalany wieczornym słońcem, zatłoczony parking, by wtopić się w jego bezpieczną anonimowość. Ostatnią rzeczą, jaką mogłem zrobić, było zatrzymanie się. Ale to właśnie uczyniłem. I zaczęliśmy rozmawiać.

Nawet potem, na parkingu, duma, jaką powinienem czuć, że nareszcie zachowałem się rozsądnie, to znaczy cicho umknąłem, podczas gdy Mickey rozmawiała przez telefon, jakos nie chciała się zjawić. Zamiast tego zrobiło mi się wstyd i nie umiałem się z tego otrząsnąć.

Po raz pierwszy w życiu dotarło do mnie, że być może moje dotychczasowe

zachowanie nie było posuwaniem się naprzód, ale ucieczką. Nie mogłem przestać myśleć o tym, że jestem winien Mickey coś więcej. Pewnie, po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, powinienem dać jej przynajmniej szansę wyjaśnienia wszystkiego. A poza tym sam miałem wreszcie okazję dowiedzieć się, dlaczego tak naprawdę złamała mi serce.

Następnego dnia po wizycie w kwiaciarni Mickey chowam się za rogiem i zatrzymuję. Cóż, jedno jest pewne: jeżeli celem moich odwiedzin było zaspokojenie ciekawości, nic z tego nie wyszło. Nigdy nie dostała moich listów. Mój Boże. Nagle oczami wyobraźni widzę równoległy do rzeczywistego ciąg wydarzeń, które nie miały szansy zaistnieć. Co by się stało, gdybym - zakładając, że Mickey je pisała - otrzymał jej listy? Co by było, gdyby dały mi one siłę do walki o moje dotychczasowe życie, gdybym nie pozwolił, aby powoli wymazywało się ono z pamięci? A co, gdybym odgadł - teraz wydaje się to takie oczywiste - że to jej rodzice dobrali się do moich listów? Czy moje życie wyglądałoby dzisiaj zupełnie inaczej? Czy mnie i Mickey udałoby się? Czy nadal byłibyśmy razem?

Bez żadnego ostrzeżenia ogarnia mnie przemożna fala uczucia dla niej i uśmiecham się. Czuję, jak mocno wali mi serce, i mam ochotę odwrócić się na pięcie, i pobiec z powrotem do kwiaciarni. Mamy sobie przecież jeszcze tak wiele do opowiedzenia: o naszych rodzicach i o tym wszystkim, co się kiedyś stało, o Joe, o wielu różnych sprawach, które nagromadziły się przez te wszystkie lata.

Świat migocze jaskrawo, gdy zdejmuję okulary przeciwsłoneczne i wycieram ramieniem twarz. Pot spływa powoli najpierw po moim czole, następnie po grzbiecie nosa, po czym skapuje na bukiet, który kurczowo ściskam w rękach. Stoję i przypatruję się kropli, która wygląda jak rosa. Po chwili spoglądam na kwiaty: prezent od Mickey dla mnie, który mam przekształcić w prezent ode mnie dla Rebecki.

Rebecca.

Co ja sobie w ogóle myślę? Nie mogę pojawiać się z powrotem w życiu Mickey ot tak, dla kaprysu, kiedy niewątpliwie nie ma już dla niej miejsca w moim. A tak właśnie jest, nieprawdaż? Moje życie jest już kompletne i spełnione. Dokładnie tego dotyczyły moje milenijne postanowienia.

No dobra, więc Mickey może i była kiedyś moją najlepszą przyjaciółką i - przyznaję bez bicia - kiedy każde z nas poszło inną drogą, szaleńczo za nią tęskniłem. Ale teraz? Po tych wszystkich latach? Nie, zbyt wiele się zmieniło, by możliwy był powrót do sytuacji z przeszłości. Ona ma syna, nową pracę, nowe życie, a ja za cztery tygodnie będę żonaty, ustatkowany, zadowolony. To, co to teraz robię, jest jedynie ściganiem dawnych marzeń, poszukiwaniem zakończenia rozdziału mojego życia, który już nie istnieje. Mickey nie wie,

jaki jestem teraz, nie zna nawet mojego nazwiska. To są tylko stare uczucia, odbijające się echem w mojej głowie i przypominające o latach dorastania. To minie. Wiem, że tak się stanie, potrzeba jedynie trochę czasu. Podobnie jak Miles, ona także w końcu zniknie.

Zakładam okulary i kieruję się w stronę domu. Mam nowe życie z Rebeccą, przypominam sobie uparcie, i to właśnie w nie muszę się teraz ponownie zanurzyć. Nie w to, które było, które mogłoby być, ale w to, które jest. Mickey Maloney jest kimś, o kim muszę zapomnieć. Muszę traktować ją jak wszystkie elementy mojej przeszłości, które już raz pogrzebałem, i jestem w stanie zrobić to ponownie.

Pierwsze, co czynię po powrocie do domu, to otwieram w kuchni kosz na śmieci i upycham róże głęboko na dnie, pod pudełkiem po wczorajszej pizzie i resztkami dzisiejszego śniadania.

Nieco później, jadąc samochodem, mijam wiktoriańskie domy pracowników kolei na Queen Park i natychmiast pakuję się w wolno poruszający się sznur samochodów na Harrow Road. Podczas półgodzinnej jazdy, kiedy przejeżdżam ponad trzy kilometry dzielące mieszkanie moje i Rebecki, wykonuję jeden telefon, odbieram kolejny i tracę około pięciu litrów potu na rzecz obitego skórą siedzenia.

Mój samochód, czerwone renault 5 z wczesnych lat osiemdziesiątych, mam od sześciu lat. Rebecca, która jeździ sprowadzonym na zamówienie, ciemnoniebieskim saabem limuzyną, szczerze nienawidzi mojego renault i niejednokrotnie proponowała przehandlowanie go na inny, bardziej wyrafinowany i pewny środek transportu. (Na przykład na osła - jak zasugerowała, raczej, według mnie, niemiło). Samochody mają dla Rebecki bardzo duże znaczenie i dlatego zdecydowanie odmawia wsiadania do mojego. Nie jest to coś, czym bym się przejmował. W mojej ze wszech miar nowoczesnej egzystencji renault jest jedyną rzeczą, do której mam sentyment. Wiele wspólnie przeszliśmy. Przetrwaliśmy osiem zmian taryfowych w telefonii komórkowej, cztery prace, dwie dziewczyny i jedną stłuczkę na autostradzie. Tak długo, jak moje auto będzie troszczyło się o mnie, ja będę robił to samo w stosunku do niego.

Dzwonię do Susan, która siedzi właśnie w biurze, głowiąc się nad nowymi możliwościami rozwoju firmy i wykresami z bieżącymi wynikami sprzedaży, które musimy zaprezentować we wtorek Michaelowi, naszemu dyrektorowi finansów z Wirginii. W przyszły weekend Michael leci do Stanów na comiesięczne spotkanie z amerykańskimi inwestorami i jak zwykle potrzebuje amunicji w postaci optymistycznych wykresów, by zademonstrować, że strumień naszych przychodów zmienia się w rzekę, i że - tak, tak! - na końcu roku będziemy na plusie (co, mam nadzieję, rzeczywiście nastąpi).

Dzwonię, by sprawdzić, czy Susan - moja dobra kumpela oraz wieloletnia współpracownica - nie dostała jeszcze świra, mając za towarzystwo jedynie zajmujący się rozbudową sieci zespół i parę osób z działu obsługi klienta. Nie jest to takie bezinteresowne, jak mogłoby się wydawać. Tak jak Susan nie mogę połączyć się z biurem w domu i pracować przez Internet (zbyt wiele rozpraszaczy: telewizja, Sony i Eddie, wymieniając jedynie trzy z nich) i jutro będę siedział dokładnie tam, gdzie ona w tej chwili, żyjąc nadzieją, że urozmaici moją niedzielną, grobową szychtę podobnym telefonem.

- Topię się, Dorotko! - skrzeczy mi do ucha. - Pomóż mi się stąd wydostać!

Śmieję się, wyobrażając sobie scenę zasłużonej śmierci podłej czarownicy na końcu *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

- Jedyne, co musisz zrobić - odpowiadam - to trzy razy stuknąć obcasami.

- Nie mogę.

- O co chodzi? - drażnię się z nią. - Nie potrafisz liczyć do trzech?

- Jeżeli chcesz już wiedzieć, Einsteinie - poprawia mnie - aby stuknąć obcasami, trzeba najpierw mieć buty na nogach...

- A ty nie masz?

- Nie.

- A dlaczego?

- Ponieważ są w lodówce.

- W lodówce? - upewniam się.

- Aha - potwierdza. - Chłodzą się.

- Chłodzą się?

- Razem z moimi majtkami...

- Twoimi maj...

- No cóż - przerywa z urazą w głosie. - A czego oczekujesz w takiej sytuacji od dziewczyny? Klimatyzacja nawaliła, a z moich ud kapie niczym ze smażonych w ogniu kiełbasek. No dobra - dodaje pojednawczo. - Germaine Greer* [Germaine Greer - australijska pisarka, której twórczość wywarła duży wpływ na ruchy feministyczne.] mówi, że kobiety nie powinny nosić majtek, jeżeli nie mają na to ochoty.

- Do diabła z majtkami - zgadzam się. - Niech żyje pani Greer.

Słyszę trzask i syk, gdy Susan zapala papierosa (silkcuta) i głęboko się zaciąga. Mimo że niestety ja nie mogę się już tym delectować, palenie jest jedyną jasną stroną pracy w weekend. Od poniedziałku do piątku trzeba odwiedzać Kącik Raka Płuc, to znaczy kawałek podłogi wyłożonej płytami chodnikowymi pod sztuczną palmą, na dole, przy głównym

wejściu.

- Dlaczego nie zadzwonisz do serwisu i nie każesz przysłać jakiegoś fachowca, żeby naprawił klimatyzację? - sugeruję. - Ich awaryjny numer powinien być na dysku u Jimmy'ego...

- Dzwoniłam, kazałam - przerywa Susan.

- I?

- Nikt nie odbiera. Albo też odbiera, ale nie mogę dojść z nimi do ładu. Gubię się w tym ich labiryncie poczty głosowej - ciągnie.

- No a email?

- Chyba żartujesz. Czekałabym cały tydzień na odzew.

- Przerywa na chwilę i wzdycha. - Wiesz co? Pewnie miałabym więcej szczęścia, prosząc o pomoc Czarnoksiężnika z Oz.

Prycha pogardliwie, a ja wyobrażam sobie, jak z pewnością robi teraz kwaśną minę diwy operowej, a jej jasne, prawie białe włosy otaczają falistymi pasmami kanciastą twarz elfa. Dziękuję mojej szczęśliwej gwiazdzie, że nie ma mnie teraz przy niej. W najlepszym przypadku skończyłoby się to sprintem do naszej firmowej kafejki po lody. Susan zawsze potrafi mnie rozbroić taką miną.

- Nawet o tym nie myśl - rzucam, równając się z pomrukującym samochodem chłodnią, zaparkowanym koło piekarni.

- To prawdziwy szarlatan. Mały człowieczek ukryty za wielkim ekranem. Każdy o tym wie.

- Dziękuję, że podzieliłeś się ze mną tą cenną informacją - odpowiada, po czym dodaje: - A tak przy okazji, gdzie ty właściwie jesteś? Nie, nie mów mi - dodaje pośpiesznie.

- Niech zgadnę. Siedzisz na wyludnionej plaży gdzieś na kornwalijskim wybrzeżu, w piasku pomiędzy twoimi stopami tkwi wędka, a twoja dłoń obejmuje butelkę lodowatego piwa?

Uśmiecham się. Susan ostatnio ciągle zarzuca mnie takimi sielankowymi opisami. To część jej kampanii, chce, abym wpłynął na Rebecę, która przejawia bez mała patologiczną niechęć do opuszczania granic miasta i udania się w miejsce geograficznie bliższe i nieco mniej snobistyczne niż, powiedzmy, Toskania.

Właśnie chcę zauważyć, że nie dalej, jak dwa tygodnie temu Rebecca porwała mnie do posiadłości swoich rodziców, kiedy klakson blokującej skrzyżowanie ciężarówki wydaje z siebie ogłuszający ryk. Podczas tej przymusowej przerwy w pogawędce moje spojrzenie na tę sprawę zmienia się. Rebecca nie uważa Thorn House za swój prawdziwy dom. Przypominam

sobie, co powiedziała, gdy po raz pierwszy tam z nią jechałem, by poznać George'a i Mary:

- To jest coś w stylu Kew Gardens* [Kew Gardens - duży ogród botaniczny w zachodniej części Londynu.] miejsce ładne i doskonałe na weekend, ale nie oszukujmy się, okoliczne sklepy są do kitu.

- Albo też, co jest najbardziej prawdopodobne - kontynuuje Susan pół minuty później, kiedy hałas klaksonu przycichł w oddali na tyle, że możliwe jest ponowne porozumiewanie się bez pomocy gołębi pocztowych - jeździsz tym swoim rozklekotanym klaprem po mieście, nie robiąc wrażenia na kobietach, a wyśmiewają cię osiemdziesięcioletni starcy na wózkach inwalidzkich...

- Hej - mówię, pomagając mojemu oburzeniu akcentem rodem z cosa nostry. - Okaż nieco pieprzonego szacunku, mała.

Za pięćdziesiąt lat ten rozklekotany klaper, jak go nazywasz, będzie oficjalnie uznany za pojazd zabytkowy.

- Za pięćdziesiąt lat, Don Corleone - odgryza się - będzie on uznany za kupę nic niewartego złomu.

Uśmiecham się i tym samym poddaję, po czym jak pies wystawiam nos przez okno i napelniam płuca czymś składającym się w jednej dziesiątej z tlenu, a w dziewięciu dziesiątych z toksyn. Z obrazem wsi ciągle obecnym przed oczami mimowolnie udaję się w myślach z Londynu do Thorn House, do Rebecki, do Rushton i nagle wyobrażam sobie siebie jeszcze raz wychodzącego z kwaciarni Mickey.

Tyle że tym razem po kilku krokach odwracam się i szybko cofam. A wówczas wydaje mi się, że przez chwilę widzę jej przyciśniętą do szyby twarz... Wtedy ulicę oświetla nagle słońce, które dotychczas skrywało się za stojącym naprzeciwko wysokim domem, i refleks w szybie oślepia mnie niczym lampa błyskowa, tak że nie jestem w stanie dojrzeć niczego więcej.

Czy mnie obserwowała? Po raz kolejny przyłapuję się na roztrząsaniu tej kwestii. Czy tak właśnie było?

- A tak poza tym, co u ciebie słychać? - pytam pospiesznie, przerywając ten niebezpieczny tok myślowy i z powrotem skupiając uwagę na drodze i głosie Susan.

Zmordowanym głosem odpowiada, że poza paskudnym kacem, który ciągle ją trzyma od środowej nocy, kiedy zabalowaliśmy w Soho na imprezie promocyjnej (Susan w jakiś sposób udało się w ogóle nie pójść spać), wszystko jest w porządku. Pyta mnie, czy pamiętam naszą rozmowę, którą zakończyliśmy około drugiej w nocy pod moim domem, ale nic nie mogę sobie przypomnieć. Jedyne, co zachowało się w mojej pamięci, to poczucie

wyczerpania i kilka wódek z tomkiem za dużo. Susan mówi, że to dobrze, więc natychmiast zastanawiam się intensywnie, czy coś mnie ominęło. Pojawia się w końcu niewyraźne, pijackie wspomnienie - moje rzewne wywody na temat małżeństwa, ustatkowania się i stawania się dorosłym, ale po chwili rozplywa się ono w eterze jak dym.

Tak czy inaczej, już za późno, by dowiedzieć się czegoś więcej od Susan, która przeskoczyła z powrotem na temat pracy.

Oświadcza, że rozmawiała z organizatorami naszej przyszłobotniej imprezy promocyjnej; jej celem jest lansowanie nowego kanału z grami komputerowymi. Impreza będzie zorganizowana w starym magazynie na Brick Lane. Nad tym nowym kanałem Susan i ja pracowaliśmy przez ostatnie pół roku. Mamy nadzieję, że dzięki temu nasze strony internetowe zdobędą wielu nowych, młodszych klientów i użytkowników, i dlatego właśnie chcemy, aby było to wydarzenie sezonu.

Z tego, co mówi Susan, wynika, że tak właśnie się stanie. Większość zaproszonych klientów, reklamodawców i pośredników potwierdziła już swoje przybycie. Zamówiona rampa do jazdy na deskorolce czeka przygotowana, podobnie jak gigantyczne telebimy, na których będzie można oglądać losowo wybrane dzieciaki z całego świata, rywalizujące ze sobą na żywo w wersjach demonstracyjnych naszych nowych gier. Co jednak najważniejsze, czas tego wydarzenia, odbywającego się jednocześnie także w Tokio i Nowym Jorku, został wreszcie zatwierdzony i to nie nam przypadła całkowicie nieludzka pora.

- Innymi słowy - podsumowuje Susan - zanosি się na naprawdę spore wydarzenie i, odpukać w niemalowane, teraz nie powinno nas martwić nic więcej poza wyborem stroju.

- Do ciebie pewnie już coś zmierza, moja droga - mówię znacząco. (Susan zamawia wszystkie swoje zakręcone ubrania w japońskich i amerykańskich sklepach internetowych dla nastolatek).

Żegnamy się i dodaję na koniec, że zadzwonię jutro. I dokładnie w tym momencie - gdy parkuję tyłem na placu naprzeciwko okazałego szarego bloku, w którym mieści się apartament Rebecki - telefon odzywa się ponownie. Spoglądam na ekranik, z którego mruga do mnie imię mojej narzeczonej.

- Cześć - mówię, przyciskając zielony guzik. - Gdzie jesteś?

- Na gorze, kochaaanie - odpowiada ochryple, naśladując Marlenę Dietrich.

Spoglądam na czwarte piętro i widzę ją, jak stoi przy oknie w kuchni. W tle, mimo że z tej odległości wydaje się to jedynie srebrno - zieloną plamą, mój wzrok rejestruje znajomy rząd kwiatów w doniczkach z Clifton Nurseries oraz garnków i patelni od Harveya Nicholasa. Rebecca ma na sobie coś, co wygląda jak biała sukienka. Gdy otwiera okno, przekrzywia

głowę na jedną stronę, przytrzymując w ten sposób telefon. Cieszę się, że ją widzę, i jednocześnie czuję ulgę, że tak się właśnie dzieje. Może te wszystkie dziwne rozmyślenia o Mickey były jedynie skutkiem zbyt długiego przebywania na słońcu.

- Jak było w Oslo? - pytam.

W odpowiedzi Rebecca pochyla się, opiera dłonie na biodrach i zaczyna się prowokująco kołysać.

- I wanna be loved by you - śpiewa do słuchawki, porzucając Marlenę na rzecz Marilyn, przy czym nadal kołysze się i przesuwa dłońmi po biodrach.

Na mojej twarzy pojawia się uśmiech, a uwagę skupiam tylko i wyłącznie na Rebecce. To nie znaczy, że jeszcze nigdy nie widziałem jej sztuczek, ale brały mnie za każdym razem. Nie spuszczając z niej wzroku, wyłączam silnik i wyciągam kluczyk ze stacyjki. Oddaję się we władanie Rebecce i tej właśnie chwili.

- Just you, and nobody else but you - nuci słodko wprost do mojego ucha, gładząc tym razem swoje gołe ramiona. - I wanna be loved by you...

Powoli odwraca się do mnie tyłem. Szczupłe dłonie, które z tej odległości wydają się należeć do kogoś innego, wędrują zmysłowo po jej plecach. Odpinam pasy i poprawiam się na siedzeniu, by mieć lepszy widok.

Narzeczona z ekshibicjonistycznymi zapędami to nigdy nie było coś, czego pragnąłem najbardziej na świecie, ale, do diabła, każdy od czasu do czasu musi dokonywać jakichś poświęceń. A jako że źródło mojego poświęcenia ma nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i nosi rozmiar trzydzieści osiem, narzekanie byłoby z mojej strony grubym nietaktem.

Rebecca wolno kołysze biodrami z boku na bok, po czym wsuwa dłonie pod materiał (teraz rozpoznaję, co to jest: duży biały ręcznik kąpielowy) i uchyla go, tworząc prostokąt, który odsłania właściwie wszystko. Nie, mówię w myślach, odwrócenie się teraz od niej nie byłoby właściwe. Muszę się czuć odpowiedzialny za Rebecce. Jeżeli ma psychiczną potrzebę, by od czasu do czasu kusić mnie lubieżnym pokazywaniem swojej nagości, wtedy ja, jako jej narzeczony, powinienem przynajmniej udzielić jej swego wsparcia.

- Boopoopeedoo!

Puszcza ręcznik i obserwuję, jak biała płachta opada w dół. Wtedy, zanim pojawia się kolejne słowo bądź jej pośladki przesuwiają się choćby o milimetr, połączenie zostaje przerwane, a Rebecca znika z pola widzenia. Przez kilka sekund czekam na jej powrót, ale okno jest puste.

Gramolę się wreszcie z samochodu i zamykam kluczykiem drzwi (oczywiście bardziej

z przyzwyczajenia niż z rzeczywistego strachu przed złodziejami). Pospiesznie przechodzę przez ulicę i po chwili jestem już w bloku, który zacząłem uważać za swój drugi dom.

Na dole, na małym stoliku we wspólnym korytarzu leży stos poczty - oferty z barów na wynos i rachunki (jeden za gaz na nazwisko moje i Rebecki) - ale nie mam teraz czasu na tak przyziemne sprawy. Na górze czeka naga i bezwstydnie zmysłowa kobieta, która jest moja i tylko czeka, bym się poczęstował. W ekspresowym tempie pokonuję cztery kondygnacje schodów, zatrzymując się dla złapania tchu dopiero tuż przed drzwiami Rebecki.

Znajduję ją w łazience, urządzonej w stylu afrykańskim i wypełnionej zapachem drewna sandałowego. Dwie z czterech ścian od podłogi do sufitu pokrywają lustra, a całe pomieszczenie wydaje się poruszać w migotliwym blasku świec zapachowych i rzuconych przez nie cieni. Naga bogini czeka nieruchomo na czworakach na dywaniku koło wanny. W tym świetle jej skóra wydaje się złota, a wycelowana w moim kierunku pupa drży wyczekująco. Rebecca przechyla głowę i przygląda się mojemu odbiciu w lustrze.

- Chodź tu i zerznij mnie - nakazuje mi. - Ostro.

Dwie minuty później wychodzę zniechęcony z łazienki i kieruję się do sypialni. Opadam na sam środek ogromnego łóża Rebecki. Jest francuskie, drewniane i - jeśli wierzyć dealerowi z Chelsea, który uszczęśliwił nim Rebecę w zamian za jej miesięczną pensję - zabytkowe. Unikam wzroku Rebecki, gdy wchodzi do pokoju i kładzie się przy mnie. Zamiast tego celowo wpatruję się w jej ciało. Z dala od korzystnego oświetlenia grzesznej łazienki jej skóra jest kremowa i idealnie gładka. Przyglądam się brodawkom: małym, brązowym i twardym niczym orzechy laskowe, ale moje ciało nadal nie reaguje. Wreszcie zbieram się na odwagę i spoglądam jej prosto w oczy.

- Przepraszam - bąkam pod nosem. - Nie wiem, co... Rebecca przykłada palec do moich ust.

- Nie trzeba - szepcze.

Przez chwilę wpatruje się we mnie, po czym przysuwa się nieco bliżej i nadal obserwuje mnie zmrużonymi, płonącymi oczami. Gdy mruga, jej pomalowane powieki rzucają wielobarwne błyski, dopracowane kolorystycznie niczym pawie pióro.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym... ? - pyta miękko.

- Kto wie - ciągnie, przesuwając dłoń po moim udzie.

- Może będę mogła - unosi brwi - pomóc ci stanąć na wysokości zadania... ?

Oby, myślę sobie. Ale w tym samym momencie wiem już, że traciłaby tylko czas. Odretwienie w moich łądźwiach, które pojawiło się w łazience, jest - to pewne - tak trwałe jak znieczulenie u dentysty. Czuję, jakby moje genitalia w ogóle nie istniały.

- Nie - oponuję. - Naprawdę dajmy sobie dziś spokój. Gapię się na minimalistyczny, chromowo - bawelniany abażur, zwisający z prostej gipsowej róży na środku sufitu. Rebecca przesuwa palcami po moim ramieniu, ale nie reaguję. Jeżeli czuję się tak fatalnie teraz, gdy przytrafiło mi się to po raz pierwszy, aż nie chcę sobie wyobrazać, co będzie, gdy zdarzy się ponownie. Powoli przekręcam się na bok, wtulam nos w jej szyję i wdycham zapach, będący mieszanką szamponu Vidal Sassoon i balsamu do ciała Clarins. Jest to połączenie, które w przeszłości zawsze wywoływało podniecenie, ale dzisiaj jej skóra pachnie dla mnie po prostu jak mydło. Z powrotem się odsuwam.

- Jestem przekonana, że coś takiego od czasu do czasu przytrafia się każdemu - mówi uspokajająco.

Obserwuje mnie, wyraźnie czekając na moją reakcję. Zawsze to robi, jakby jednym z moich obowiązków było potwierdzanie jej przewidywań dotyczących mojej osoby. Wtedy, gdy tylko moja twarz zaczyna wyrażać to, czego ona oczekuje (w tym przypadku psiej wdzięczności za jej wyrozumiałość), a ja mam właśnie zamiar coś powiedzieć, Rebecca kontynuuje swój wywód.

- Oczywiście, nie ze mną - dodaje. - Dla mnie jest to zdecydowanie pierwszy raz.

Jęczę i wkładając sobie kilka poduszek pod plecy, usadawiam się w pozycji siedzącej.

- Boże - mówię. - Czuję się taki zakłopotany.

- Ty czujesz się zakłopotany. A sądzisz, że jak ja się czuję?

- pyta Rebecca, najwyraźniej wytracona z równowagi. - Nie czegoś takiego oczekuje kobieta pragnąca uwieść mężczyznę, którego ma zamiar poślubić...

Właśnie w takich chwilach duchowej izolacji jak teraz naprawdę zastanawiam się nad czysto seksualną naturą naszego związku. Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko uprawianiu seksu z Rebecką. Ona jest wyjątkowo utalentowana w tej dziedzinie i fizycznie idealnie reprezentuje sobą typ kobiety, o której zawsze marzyłem. Ale gdybyśmy nie mogli... co wtedy? Co nam pozostanie? Co wtedy zostanie z nas? O czym będziemy rozmawiać i co będziemy robić?

- Czy to moja wina? - pyta. - Czy już cię nie podniecam?

- Ty jesteś niesamowita - odpowiadam natychmiast. - To nie ma nic wspólnego z tobą. To przeze mnie.

Jestem tego stuprocentowo pewny. Wszystkie części ciała Rebecki znajdują się dokładnie na tym samym miejscu, co podczas naszego czułego i swawolnego pożegnania przed jej wyjazdem do Oslo. Nic się w niej nie zmieniło.

Rebecca patrzy na mnie wyczekująco, jakby moje wyjaśnienie jej nie wystarczało.

- Sam nie wiem - zaczynam więc. - To najprawdopodobniej wina stresu. Ostatnio w pracy panuje duże napięcie, no i wiesz, te wszystkie przygotowania do wesela. Nie znaczy to - dodaję pośpiesznie - że mam jakieś wątpliwości albo coś w tym rodzaju, ale to wszystko akurat się na siebie nakłada, prawda?

Rebecca nie odpowiada. Zresztą nie musi, gdyż ja i tak wiem, co sobie teraz myśli. Uważa, że ona też ciężko pracuje, też niedługo czeka ją ślub, a mimo to jest w stanie uprawiać seks.

- Wszystko będzie dobrze - mówi wreszcie.

- Wszystko jest dobrze - odpowiadam, nagle pragnąc zakończyć tę rozmowę. - To po prostu chwilowe zacięcie, to wszystko.

- Nie masz na myśli czegoś innego? - pyta badawczo, przerywając niezręczną ciszę. - Nie chcesz mi może o czymś powiedzieć?

- Na przykład o czym? - pytam. Brzmi to jak wyzwanie, ale tylko dlatego, jak błyskawicznie rozumiem, że jej pytanie również miało taki wydźwięk.

- Nie wiem - odpowiada niewinnie Rebecca. - To ty mi powiedz.

Właściwie znam odpowiedź na jej pytanie, ale zdecydowanie nie należy ona do tych, na których wygłoszenie jestem przygotowany. Zresztą prawie nie śmiem uznać jej przez sobą samym. Jednocześnie jednak nie mogę przestać o tym myśleć. Ona była tam w łazience. Mickey. Oczywiście, nie cieleśnie, ale w mojej świadomości. Patrzyłem na Rebecę, ale myślałem o Mickey. I nawet nie o uprawianiu z nią seksu, ale o tym, jaką czułem euforię po naszym dzisiejszym spotkaniu. Myślałem też o innym wieczorze, kiedy Mickey i ja leżeliśmy zakochani obok siebie na podłodze w opuszczonej kapliczce, w otoczeniu świec. Ale teraz patrzyłem na Rebecę i nagle uświadomiłem sobie, gdzie naprawdę jestem, i ogarnęło mnie poczucie winy. Lojalność, podejrzewam, że takiej odpowiedzi powinienem teraz udzielić Rebecę. Uczuciowo nie byłem wobec niej lojalny. Uczuciowo pozwoliłem sobie na lojalność wobec kobiety, która powinna była zniknąć z moich myśli wiele lat temu.

- A co będzie, jeśli to się powtórzy? - pytam teraz, uświadamiając sobie, że może się mylę i że być może po prostu cierpię na jakąś medyczną dolegliwość.

- Nie powtórzy.

- No, ale jeżeli tak się stanie?

- Zawsze pozostaje viagra - sugeruje, tylko częściowo żartując.

- Ona też może nie zadziałać - odpowiadam. - I co wtedy? Nie będziemy mogli uprawiać seksu... nie będziemy mogli mieć dzieci... to będzie miało wpływ na całe nasze życie...

Rebecca z dezaprobatą wydyma wargi.

- Dzieci? - pyta.

- Tak. No wiesz, tacy malutcy ludzie.

- Od kiedy dzieci stały się częścią naszego planu?

- Co masz na myśli?

Unosi się i opiera na łokciu, odbijając piłeczkę:

- Co masz na myśli, kiedy pytasz, co ja mam na myśli? Co ty masz na myśli?

- Nic.

Przekrzywia głowę na bok.

- Nic?

- Nic.

- Musiało ci coś chodzić po głowie - mówi rozsądnie. - Inaczej nie wspomniałbyś o tym, nieprawdaż?

- No dobra - poddaję się. - To coś, o czym myślałem, że pewnego dnia będzie dla mnie ważne, dla nas ważne...

- Kiedy?

- Cóż, aż tak intensywnie się nad tym nie zastanawiałem. Pewnie po ślubie...

- Nie, nie o to mi chodzi. Kiedy zacząłeś o tym myśleć?

- O rany, nie wiem. Nie potrafię ci teraz określić dokładnej daty. Po prostu myślałem i już. Kiedy przyglądałem się innym ludziom.

- Jakim innym ludziom?

- Ludziom z dziećmi - mówię wymijająco. - No wiesz, naszym znajomym z dziećmi.

- Ale my nie mamy żadnych znajomych z dziećmi - zauważa Rebecca. I ma rację. Po raz pierwszy to sobie uświadamiam: nie mamy. Tyle że teraz przed oczami pojawia mi się oczywiście obraz Mickey i nie dotrzymuję swojej wcześniejszej obietnicy, by więcej o niej nie myśleć.

- Tak - odpowiadam, szukając wykrętów. - Cóż, może w takim razie powinniśmy coś z tym zrobić. - Jestem zdezorientowany jej pytaniami i tym, że wszystkie pojawiające się w mojej głowie odpowiedzi dotyczą Mickey i Joe i tego, jak szczęśliwie razem wyglądali, i jak szczęśliwy ja się poczułem, patrząc na nich. Są to odpowiedzi, których jednak nie mogę udzielić Rebecce.

- Coś z tym zrobić? - przedrzeźnia mnie Rebecca. - A co takiego chcesz zrobić, Fred? Popędzić na plac zabaw w Queen's Parku i znaleźć sobie kilkoro znajomych? Umieścić ich w swojej komórce pod R jak rodzice? Zapraszać ich raz w miesiącu, by podyskutować na temat

wysypki na pupie i najlepszych przedszkoli?

- Nie - odpowiadam. - Chodzi mi tylko o to, że to normalna kolej rzeczy. I że... że jest to poważna sprawa - dodaje, nabierając rozpędu. - ... i...

Rebecca parska lekceważąco.

- Powodem - przerywa mi - dla którego nie mamy żadnych dzieciatych znajomych, Fred, jest to, że tacy ludzie są nudni. Co? - pyta z błyszczącymi oczami, najwyraźniej dostrzegając na mojej twarzy oburzenie i postanawiając atakować. - Może brzmi to gruboskórnie, ale wcale nie oznacza, że nie jest to prawda.

- Oni wcale nie są nudni - protestuję. Rebecca potrząsa głową z niedowierzaniem.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiła się z ciebie taka kwoka.

- Nieprawda.

- Ale tak to właśnie zabrzmiało... - Uśmiecha się do mnie cierpliwie, po czym przesuwa ospale na drugą stronę łóżka, klęka i wkłada koszulę.

- Pomyśl sobie - mówi, z powrotem kładąc się na łóżku. - Rodzice są, według definicji, odpowiedzialni. A bycie odpowiedzialnym oznacza bycie nudnym. Oni nie piją - uświadamia mnie Rebecca - i nie chodzą na imprezy. Jedyne, co robią, to siedzą w domu i wegetują. A chcesz wiedzieć, dlaczego? - pyta i dodaje, zanim zdążę cokolwiek wtrącić: - Dlatego, że nie mają na to siły. Dlatego, że przelali całą swoją energię na potomstwo, sami wypalając się po drodze. Dlatego, że już nie stają w zawody z resztą z nas. No dobrze, może pewnego dnia będę na to gotowa. Może pewnego dnia zapragnę odpoczynku i zdecyduję się na przekazanie pałeczki komuś innemu. Ale jeszcze nie teraz. Do jasnej cholery, Fred - mówi, uśmiechając się nienaturalnie. - Jestem za młoda. - Pochyla się i całuje mnie w policzek. - I ty zresztą też - dodaje z naciskiem.

- Tak właśnie powiedziałem twojemu ojcu.

Wygląda na zaskoczoną i w jakiś sposób poprawia mi to nastrój.

- Co? - pyta.

- Powiedziałem mu, że jesteśmy jeszcze za młodzi na dzieci. Na twarzy Rebecki nadal maluje się zdziwienie.

- Zapytał cię o to?

- Tak.

- Kiedy?

- Dwa tygodnie temu. Kiedy pastor był u was na obiedzie. Rebecca potrząsa z uśmiechem głową.

- A to stary, zuchwały drań - mówi z czułością. - I jak zareagował?

- Przyznał mi rację.

- Sam więc widzisz. Po raz kolejny oponuję.

- Nic nie widzę. Co ma z tym wszystkim wspólnego twój wiek? Masa ludzi młodszych od nas ma dzieci. Wiesz, dziesięć lat młodszy od nas... nawet więcej... Założę się, że gdybyś ich zapytała, nie powiedzieliby, że są znudzeni albo że się wypalili.

- Prawdopodobnie nie, ale nie byłoby to z ich strony stwierdzenie obiektywne. Skoro tak właśnie żyją, odkąd skończyli szkołę, nie mają pojęcia, co tracą. - Wzrusza ramionami, opiera prawy łokieć na kolanie i zaczyna zdrapywać lakier z dużego palca u nogi. - Młode mamuśki. Fuj! - dodaje. - Jeżeli chodzi o mnie, to nie potrafię wyobrazić sobie czegoś gorszego niż uwiązanie w domu przy jakimś bachorze, kiedy w tym samym czasie mogłabym się świetnie bawić na imprezie. To byłoby marnowanie życia.

Już mam zamiar coś odpowiedzieć, ale się powstrzymuję. Zamykam usta i jednocześnie przestaję słuchać. Dalsze spieranie się nie ma sensu. Tym razem żadne z nas nie piło. Nie jest tak, że Rebecca nie wie, co mówi. Ja zresztą też. Ale chociaż wiem, że ma prawo do wyrażania własnej opinii, nie mogę z siebie strząsnąć uczucia niesmaku, które we mnie wywołała. W mojej głowie tkwi rozczulający obraz Mickey i Joe. Ręka w rękę idą przez park, wesoło gawędząc i śmiejąc się. I myślę o tym, co powiedziała Rebecca.

Rozglądam się po jej sypialni i obejmuję spojrzeniem ogromną, sprowadzoną z zagranicy szafę, najnowszy model telewizora, wiszący na kołku odrestaurowanych drewnianych drzwi szlafrok z kolekcji Virgin Select, lampę od Philipa Starcka na toaletce i krzesło od Lloyda Looma, starannie ustawione przed lustrem z butiku na Portobello Road. Potem patrzę na samą Rebecę. W tej chwili siedzi bokiem do mnie i sięga po pilota od telewizora, nieświadoma tego, jak ważna jest dla mnie ta rozmowa. Omiatam wzrokiem jej piękne ciało, po czym przyglądam się własnemu odbiciu w lustrze.

- Aha, Fred? - mówi, odwracając się do mnie plecami i włączając telewizor.

- Tak? - pytam, siedząc w bezruchu.

- Czy nie mógłbyś może przestawić swojego samochodu?

- Słucham?

Rzuca mi zranione spojrzenie.

- Chodzi tylko o to, że nadaje ulicy taki nędzny wygląd - wyjaśnia. - A niedługo przychodzi ktoś z agencji nieruchomości, by oszacować wartość tego mieszkania. Będziemy mogli wystawić je na sprzedaż i zacząć rozglądać się za czymś odpowiednim dla nas po ślubie. - Uśmiecha się do mnie i posyła całusa, po czym ponownie skupia całą uwagę na telewizorze.

- Dzięki, skarbie - dodaje, znajdując na jednym z kanałów teleturniej i nastawiając głośniej.

Mając w pamięci całą masę spraw do załatwienia przed sobotnią imprezą promocyjną, w czwartek wychodzę z pracy wcześniej (około siódmej wieczorem) i jadę metrem do Knightsbridge.

Dziś Phil świętuje dwudzieste siódme urodziny i zaprosił nas wszystkich na piknik. Był moim współlokatorem przez kilka pierwszych lat, kiedy przeprowadziłem się do Londynu, a teraz spotyka się z Katie, przyjaciółką Rebecki z college'u.

Wieczór jest ciepły i po całym Hyde Parku rozproszonych jest wiele różnych grup, grających w piłkę nożną, tulących się w wysokiej trawie albo po prostu siedzących pod drzewami i czytających książki i gazety. Ale i tak nietrudno zlokalizować gości Phila - za bardzo hałasują i wariują, by ich przeoczyć. Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów widać, że wszyscy mają już nieźle w czubie. Akash goni piszczącą Michelle dookoła drzewa nad jeziorkiem, a kilka innych osób zebrało się wokół potężnego, wiekowego buku, huśta się na dolnych gałęziach i stara dosięgnąć - jak podejrzewam - frisbee. W samym środku tego rozgardiaszu dostrzegam Rebecę i Eddiego, siedzących razem na kocu. Nie zauważyli mnie i przez chwilę obserwuję, jak się śmieją, po czym przyłączam się do nich.

- Wyglądasz na wykończonego - mówi do mnie Rebecca.

- Jak tam zebranie? - Ma na sobie elegancką szarą spódnicę i biały jedwabny top. Buty i marynarka leżą z boku.

Wracam myślami do dzisiejszego popołudnia i czasochłonnej nasiadówki z Susan i Michaeliem, podczas której omawialiśmy wyniki sprzedaży. Czuję, jak ciężą mi powieki.

- Wyczerpujące - odpowiadam, sięgając po piwo.

- Chcesz? - pyta Eddie z uśmiechem, a jego oczy są rozbiegane, gdy częstuje mnie swoim jointem.

Potrząsam głową.

- Lepiej nie - mówię. - Powaliłby mnie.

Podaje jointa Rebecce, która zaciąga się głęboko, po czym kładzie na plecach i wpatrując się w niebo, pali.

Mniej więcej przez godzinę robię wszystko, co w mojej mocy, by przyłączyć się do zabawy. Przez chwilę gram w frisbee, a potem piję kilka piw z Philem i Chasem, którzy wypytyją, co będziemy robić w mój wieczór kawalerski za dwa tygodnie. Jednak piwo nie spełnia swojej roli, gdyż w żaden sposób nie potrafi mnie dziś rozweselić. Zamiast tego ma na mnie taki wpływ jak gin, to znaczy sprawia, że jeszcze bardziej zamykam się w sobie.

Wymazanie Mickey ze świadomości okazuje się trudniejsze, niż można było przypuszczać. Wygląda na to, że moje głęboko ukryte uczucia do niej, które ujawniły się przed jej kwaciarnią, zakorzeniły się we mnie na dobre i usunięcie ich stało się niewykonalne.

- Słuchaj. - Podchodzę do Rebecki i Eddiego, chichoczących na kocu, i kucam. - Chyba będę się zbierał do domu.

Rebecca patrzy na mnie nierozumiejącymi, szklistymi oczami.

- Ale dlaczego? - pyta. - Tak dobrze się bawimy...

- Pewnie - dodaje Eddie. - Zostań.

- Mam całą furę roboty przed sobotą - odpowiadam.

- A co jest w sobotę? - pyta Eddie.

- Impreza promocyjna jego firmy - tłumaczy za mnie Rebecca.

- Aha - mówi Eddie, otwierając kolejną puszkę piwa. Przyglądam się badawczo Rebecce. Od sobotniego epizodu w łazience panuje między nami pewne napięcie. Kochaliśmy się we wtorek rano przed pracą, ale była to śpiąca i leniwa chwila zapomnienia, która nie oczyściła atmosfery.

- A ty idziesz czy nie? - pytam ją.

- Dokąd? - chce wiedzieć Rebecca. - Teraz do domu czy na twoją imprezę?

- I tu, i tu.

Obserwuję, jak ze skupieniem marszczy czoło i zapala papierosa.

- Sobota odpada - oświadcza wreszcie. - Jestem umówiona z krawcową. - Przerywa i zaciąga się papierosem. - A teraz... Chyba zostanę jeszcze trochę - postanawia. Uśmiecha się do mnie przepraszająco. - Nie gniewasz się, kochanie? - upewnia się. - I jestem chyba trochę za bardzo wstawiona, aby dotrzymać ci potem towarzystwa... Pojadę więc później do siebie, a ty sobie odpocznij.

- W porządku - odpowiadam. Nie mam do niej pretensji. Wieczór jest naprawdę piękny i gdybym tylko był w innym nastroju, też bym został. - Dasz sobie radę? - pytam z troską.

- Na pewno - odpowiada.

- Nie martw się - uspokaja mnie Eddie, salutując po harcersku. - Osobiście wsadzę ją do taksówki.

Pochylam się i całuję Rebecę.

- W takim razie porozmawiamy jutro - decyduję. - Zadzwoń do mnie.

Gdy jestem już w domu, siadam przy biurku w swoim pokoju i otwieram drugą

szufladę od dołu. W środku znajduje się pudełko po butach, wypełnione rodzinnymi fotografiami, które ocaliłem, wyciągając z kosza na śmieci, gdzie wyrzuciła je mama; było to wkrótce po naszej przeprowadzce do Szkocji. Od tamtej pory ten karton wędrował ze mną z mieszkania do mieszkania, ale dzisiaj po raz pierwszy przekopuję się przez jego zawartość. Wreszcie znajduję zdjęcie, którego szukam.

Jest czarnobiałe i ukazuje moment z pierwszego dnia, który ja i Mickey spędziliśmy razem. Leżymy obok siebie na kocu w kratę w ogrodzie jej rodziców. Nasze palce są splecione i wpatrujemy się w niebo. Mama siedzi na kocu tuż za nami i uśmiecha się do aparatu. W tle, w połowie zasłonięta przez ogromny krzew, znajduje się mama Mickey, Marie. Ma na głowie kapelusz z szerokim rondem, a ubrana jest w ekstrawagancki sarong. Rozmawia z Milesem. W samym rogu można dostrzec siedzącego na schodach Scotta, starszego brata Mickey. Jej ojca, Geoffa, nigdzie nie widać, co każe się domyślać, że to właśnie on robił zdjęcie. Drewniany płot odgradzający nasze domostwa rzuca cień na ogród.

Zdjęcie to zostało zrobione w dniu pierwszych urodzin Mickey. Ja miałem wtedy osiem miesięcy. Siedząc teraz nad nim, uświadamiam sobie, że w tamtej chwili zegary naszego życia ponownie zaczęły bić i że wszystko było wtedy możliwe.

- Nienawidzę go.

Leżałem na płaskim, smołowanym dachu garażu Dave'a Kirby'ego, który mieszkał na drugim końcu Rushton, i miałem na myśli Milesa. Z sąsiedniego ogrodu dobiegał nas głos Davida Bowiego, śpiewającego *Ashes to Ashes*, oraz odgłos skwierczenia i zapach pieczonego kurczaka. Był dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego w państwowym gimnazjum w Bowley, a ja za tydzień miałem zostać uczniem piątej klasy prywatnej szkoły dla chłopców w Rathborne.

Dwa miesiące temu, gdy zakończył się rok szkolny, Mickey i ja wymaszerowaliśmy ramię w ramię ze szkoły podstawowej w Rushton i po raz ostatni udaliśmy się razem przez most i w górę alei do naszych domów. Miles wyciągał mnie ze szponów państwowej edukacji i zamiast tego oddawał w łapska prywatnej, za którą przyjdzie mu słono płacić. Po spędzeniu dwóch lat w Rathborne i zdaniu egzaminów zostaną odesłani do szkoły z internatem. Mickey i ja już nigdy nie będziemy razem w tej samej klasie.

Dave, długonogi i kościsty kapitan naszej szkolnej drużyny futbolowej i jeden z moich najlepszych kumpli, leżał przy mnie na brzuchu i obserwował przez lornetkę teren przed nami. Spalone słońcem łydki błyskały niczym przekrwione oczy, gdy nimi machał, a niedawno wyrosnięte włosy na nogach lśniły od potu. Była gorąca i parna niedziela, dwa miesiące przed moimi jedenastymi urodzinami.

Wzrok Dave'a utkwiony był w domostwie Sama Johnsona, ostatnim na Fern Road. Kamienny mur otaczający jego posesję miał prawie dwa metry wysokości, a z naszego miejsca widzieliśmy lewy, tylny róg ogrodu. Na pożółkłej trawie, tuż przy rozrośniętym kwitnącym rododendronie leżały dwa czerwone plażowe ręczniki. Miles tak był obecny w moich myślach, że wydawać by się mogło, iż znajduje się tuż obok nas, powtarzając raz za razem to, co powiedział mi dzień wcześniej:

- Jesteś sprytnym dzieciakiem, Fred. Przyzwyczaisz się.

- Nie możesz go nienawidzić - oświadczyła Pippa. - To twój ojciec.

Przekręciłem się na bok, aby na nią spojrzeć. Pippa miała ciemne włosy i była niezdarna, a jej piegi tak bardzo odznaczały się w słońcu, że aż musiałem przysłonić oczy dłonią. Miała na sobie zielone szorty i żółtą bluzeczkę.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Mickey i Pippa stały się nagle wielkimi przyjaciółkami. Czasami jeździły razem autobusem do Bowley, aby kupić jakieś ciuchy w Miss Selfridge i Dorothy Perkins i umalować się testerami w supermarkecie Brown. Bycie chłopcem automatycznie wykluczało mnie z tych wypraw, więc zamiast tego włączyłem się z Dave'em po Houndsfield Street.

Zerknąłem na Mickey, która leżała obok Pippy w obciętych dżinsach i należącym do Scotta, jej brata, podkoszulku ze zdjęciem Blondie. Twarz Mickey, po ośmiu tygodniach wałęsania się poza domem brązowa niczym orzech laskowy, zwrócona była ku bezchmurnemu niebu, a oczy zakrywały okulary przeciwsłoneczne jej mamy, tak wielkie, że nadawały jej wygląd muchy. Przez ostatnie pół godziny w ogóle się nie poruszyła. Nie zrobiła tego także i teraz.

- No i co z tego? - sprzeciwiłem się Pippie.

- To... - Pippa na chwilę zawiesiła głos, a ja uniosłem brwi. - To... - ciągnęła, intensywnie się zastanawiając. - To, że bez niego w ogóle by cię tutaj nie było.

Zawarta w jej słowach czysta logika na chwilę zapędziła mnie w kozi róg, ale nie przeszkodziła w odwarknięciu:

- Cóż, może tego właśnie bym chciał.

Pippa rzuciła mi spojrzenie z ukosa, a na jej twarzy podejrzliwość mieszała się ze zdziwieniem. Trąciła łokciem swoją przyjaciółkę.

- Słyszałaś, Mickey? - zapytała. - Fred chciałby nie żyć.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale to przecież miałeś na myśli - zauważyła rezolutnie Pippa.

- Nieprawda - upierałem się. - Przekręcasz moje słowa. Powiedziałem, że nienawidzę

Milesa. Nie mówiłem nic o tym, że chciałbym nie żyć.

Mickey powoli się odwróciła, opuściła okulary mamy na czubek nosa i popatrzyła ponad nimi na Pippę.

- To nie zrobi żadnej różnicy - stwierdziła.

- Co? - spytała Pippa.

- To, że Fred będzie chodził do paniczykowej szkoły. To, że będzie tam chodził, nie oznacza od razu, że sam musi się zmienić w paniczykowego bufona. - Mickey uśmiechnęła się do mnie. - Nie przejmuj się - rzekła do mnie uspokajająco. - Nic się nie zmieni. Zobaczysz.

Patrząc w oczy Mickey, prawie jej uwierzyłem. W zasadzie nigdy się nie myliła. Mimo to myśl o dziwnej, nowej klasie i dziwnych, nowych twarzach napawała mnie lękiem. A wcale nie musiało tak być i nie byłoby, gdyby nie Miles.

Spotkałem się z nim wczoraj w Londynie, gdzie przechadzaliśmy się po Chinatown w Soho. Dzień był gorący, ulice zatłoczone, a powietrze przenikały egzotyczne zapachy pieczonego mięsa i wolno gotowanych sosów. W oknach restauracji niczym ciała małych kosmitów wisały korpusy kur i kaczek. Miles był gdzieś spóźniony albo coś w tym stylu i miał przez to fatalny humor.

Powodem tego były także jakieś sprawy związane z jego współnikiem, Carlem, który kilka miesięcy wcześniej wyjechał za granicę i do tej pory nie wrócił.

- Załamanie nerwowe. - Podслуchałem, jak Miles mówi do mamy. - Zadekował się pewnie w jakiejś klinice na końcu świata i stara się przypomnieć sobie własne imię.

Po zniknięciu Carla pojawiły się jakieś kłopoty z prawnikami i prawami własności klubu, czego ja nie rozumiałem, ale pozytywne rozwiązanie tego wszystkiego kosztowało Milesa dużo forsy. Według mamy to właśnie dlatego był ostatnio taki nieprzystępny i notorycznie w złym humorze.

Kiedy dotarliśmy do Clanu, Miles zostawił mnie na dole na osiem godzin, dorzucając do towarzystwa kanapkę z serem i butelkę oranżady. Siedziałem tam znudzony i przeklinałem go za każdą mijającą minutę.

Odwracam wzrok od Mickey i krzywię się, żałując, że nie mogę pozostać na dachu Dave'a na zawsze. Przebywanie w domu nie było teraz łatwe. Panowała tam atmosfera ciągłego napięcia. Wyczuwało się, jakby w każdej chwili w salonie miała rozpetać się burza z piorunami, która rozniesie cały dom. Działo się tak od ostatniej Gwiazdki, kiedy mama i Miles pół nocy kłócili się o zdjęcie, które wydrukowano w jakimś magazynie.

Widziałem tę fotografię u Dave'a. Ukazywała szczerzącego się Milesa i jeszcze

jednego faceta, obejmujących dwie kobiety, dużo młodsze i - co nawet ja musiałem przyznać - ładniejsze od mamy. Podpis pod zdjęciem głosił: „Właściciel najpopularniejszego klubu w Londynie, Miles Roper, uprzyjemnia paniom czas razem z trenerem boksem z East Endu, Richiem Smithem”. Fotografia nie przysporzyła mi żadnej sławy. Byłem zmieszany, ponieważ mama była zakłopotana i ponieważ Miles był moim ojcem.

W wyniku tego skandalu mama zaczęła spędzać noce w pokoju dla gości. Ten swego rodzaju postęp w ich małżeństwie nie był dla mnie żadną niespodzianką. Ona i Miles nigdy nie wydawali mi się zbyt ze sobą związani. Od zawsze zamieszkiwali zupełnie inne światy. Mama była rozsądna i spokojna i potrafiła włączyć się w życie parafii oraz lokalnej społeczności. A Miles, cóż, w całym swoim życiu nie przekroczył progu kościoła, a na jego twarzy nieodmiennie malowało się zdziwienie, gdy odwiedzał nas któryś ze znajomych mamy poznanych w Rushton.

Nie potrafiłem zrozumieć, jak to możliwe, że jeszcze się nie rozwiedli.

- Ponieważ dzięki temu, że istniejemy w jego życiu, czuje się lepszym człowiekiem, i może właśnie o to mu chodzi - tak powiedziała mama do babci podczas pewnego Bożego Narodzenia, kiedy Miles zjawił się dopiero w drugi dzień świąt.

- Ponieważ najwyraźniej nadal się kochają - orzekła Mickey - w jakiś dziwny sposób, którego my nie rozumiemy.

- I ponieważ mama traktuje rozwód jako grzech śmiertelny - odparowałem, przypominając sobie jej rozmowę z matką Stevena Kenta wkrótce po tym, jak jego ojciec uciekł ze swoją sekretarką.

Bez względu jednak na powody trwałości ich małżeństwa to, co pozostało z ich związku, teraz oscylowało jedynie wokół uprzejmości. Rozmawiali ze sobą o sprawach praktycznych i przyziemnych, ale nigdy nie poruszali kwestii swoich uczuć. To ja byłem łączącą ich liną. Trudno było się z tym nie zgodzić. Zastanawiałem się, czy kiedy nie ma mnie w tym samym pokoju, w ogóle się do siebie odzywają.

- I tak go nienawidzę - oświadczyłem Pippie, ignorując jej przewracanie oczami i wpatrując się w nią tak długo, aż tego zaniechała.

- No dobra - poddała się. - W takim razie dlaczego go nienawidzisz? Najprawdopodobniej robi tylko to, co uważa za najlepsze dla ciebie. Moja mama mówi, że posłałaby mnie do prywatnej szkoły, gdyby tylko miała na to pieniądze. Uważa, że są dużo lepsze niż szkoły państwowe.

Wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, że Miles osiemnaście lat temu porzucił szkołę i nie miał żadnego akademickiego tytułu. Wiedziałem, że uważa gimnazjum w Bowley za

beznadziejne, i to wszystko. Ja miałem otrzymać najlepsze wykształcenie, jakie można zdobyć za pieniądze, czy mi się to podobało czy nie. I nic - nawet moja mama, która uważała szkołę w Bowley na najzupełniej odpowiednią - nie było w stanie odwieść go od raz powziętej decyzji.

Miles mówił o rozbudowie klubu, więc pieniądze nie stanowiły żadnego problemu. Ani też polityka. Przeszedł długą drogę od czasu, gdy był zbuntowanym młodzieńcem, ciężko pracując i bogacąc się. I chciał, aby tak właśnie pozostało. Rok temu po raz pierwszy w życiu głosował nawet na torysów, oddając tym samym hołd potomkini kolejnego sprzedawcy, jakiejś Margaret Thatcher, w zamian za obiecane zmniejszenie podatków.

W wieku dziesięciu lat nie był mi znany ani nie obchodził mnie tok rozumowania Milesa. Margaret Thatcher przypominała mi babcię, która wstawiła się sherry, i moimi jedynymi wspomnieniami związanymi z tym okresem kulejącego socjalizmu były przerwy w dostawie prądu i smród śmieci na ulicach podczas strajków. Obchodziło mnie to, że Miles podjął jednostronną decyzję o rozdzieleniu mnie i moich przyjaciół. I jedyne, czego byłem pewny, to to, że nie chcę iść do nowej szkoły.

- No? - ponagliła Pippa.

- No co?

- Dlaczego nienawidzisz Milesa?

Przy moim uchu zabręczczała mucha, odgoniłem ją ręką i obserwowałem, jak się ode mnie oddala. To był pretekst do zakończenia dyskusji z Pippą. Odwróciwszy głowę, obserwowałem powstającą dobudówkę przy domu sąsiadów Dave'a. Zakurzony, szary cement pomiędzy ceglami przypominał labirynt, a mój wzrok przemierzał jego zawile ścieżki, podczas gdy w głowie pojawiło się kłębowisko myśli.

Dlaczego nienawidziłem Milesa? Nad tym pytaniem - wbrew temu, co pewnie myśli Pippa - zastanawiałem się już wcześniej. Myślałem o tym regularnie w ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy nieubłaganie zbliżał się koniec wakacji, a także koniec tego, co miało dla mnie największe znaczenie.

Gdzieś na powierzchni dryfowały wystarczająco proste odpowiedzi. Nienawidziłem go, ponieważ przez niego mama bywa smutna, a czasem nawet zdenerwowana. Nienawidziłem go, ponieważ w ciągu dnia prawie nigdy nie ma go w domu, a większość weekendów spędza w Londynie. I nienawidziłem go dlatego, że - w moich oczach - niczym nie różni się od nauczycieli: podczas tych rzadkich momentów, kiedy nasze drogi się krzyżują, jedyne, co robi, to zadaje pytania dotyczące mojego życia, nie mówiąc w zamian nic o swoim. Jednak najbardziej nienawidziłem Milesa dlatego, że go kochałem, a nie sądziłem,

by on tę miłość odwzajemniał.

- Mógłbyś nie zgodzić się tam jechać - oznajmiła Mickey.

- Jeśli się sprzeciwisz, nie może cię do niczego zmusić, no nie? To tak, jak mój tata zabronił mi przekłucia uszu. - Chwyliła palcami płatek lewego ucha i zamachała demonstracyjnie. Zamigotała mała, srebrna gwiazdka. - To mnie nie powstrzymało. I tak je przekłułam.

- To coś innego - odparłem, pragnąc, by naprawdę było to takie proste. - Zawsze możesz wyjąć kolczyki, kiedy twój tata jest w pobliżu.

- Zawsze możesz uciec - zaproponowała.

Oboje się roześmialiśmy. Ucieczka zawsze stanowiła ostateczne rozwiązanie każdego problemu Mickey, ale nie widziałem, by zrobiła to chociaż raz.

- Albo zostać wydalonym ze szkoły - ciągnęła. - To mogłoby się okazać całkiem zabawne, a poza tym twój ojciec nie mógłby odesłać cię z powrotem.

- To bez sensu - jęknąłem. - Wtedy wysłałby mnie pewnie jeszcze dalej.

- Przymknijcie się oboje - nieoczekiwanie syknął Dave.

- Wrócili.

Nasza grupowa reakcja na słowa Dave'a była natychmiastowa i szaleńcza. W ciągu ułamka sekundy znikły gdzieś okulary Mickey i cała nasza trójka zgromadziła się wokół Dave'a, przepychając się, by zająć najkorzystniejszą pozycję, i łokciami walcząc o prawo do lornetki. Po chwili zamarliśmy w bezruchu i wlepiliśmy oczy w ogród Sama Johnsona. Koło ręczników pojawiła się para w strojach kąpielowych i Dave nie kłamał, kiedy przed godziną zadzwonił do nas: jedna z osób, mająca na sobie czarnobiałe bikini w grochy, była bez żadnych wątpliwości panną McKilroy, pulchną blond nauczycielką, która rok temu dołączyła do grona pedagogicznego lokalnej podstawówki.

- Co się dzieje? - spytała Pippa. Pospiesznie spojrzałem na nią. Dziko przecierała szkła swoich okularów, po czym założyła je z powrotem na nos i z frustracją zmrużyła oczy. - Czy to ona?

- Tak - odpowiedzieliśmy jednocześnie ja, Mickey i Dave. Zerknąłem ponad drogą. Sam Johnson i panna McKilroy zdążyli już usiąść na ręcznikach.

- I Sam Johnson? - upewniła się Pippa, zaczynając chichotać.

- Tak - odpowiedzieliśmy zgodnie.

Sam Johnson był przedsiębiorcą budowlanym, pracującym w Bowley i okolicy. Był tak stary jak moi rodzice i dowodził miejscową amatorską trupą teatralną, która dwa razy w roku wystawiała sztuki w Domu Pamięci. Miesiąc temu widziałem go w *Bądźmy poważni na*

serio, do której moja mama, jako członkini Kościelnego Kółka Krawieckiego, pomagała szyć kostiumy. Na końcu sztuki pocałował na scenie pannę McKilroy, a każdy chłopak i dziewczyna z rusztońskiej podstawówki wzięli głęboki wdech i popatrzyli na siebie rozszerzonymi oczami, otwierając usta. Starszy brat Mickey, Scott, który do tej pory siedział w ciemności koło mnie i próbował (bezsukutecznie) obmacywać swoją nową dziewczynę, Alison Rawling, mruknął głośno do jej ucha:

- Przynajmniej ktoś zachowuje się jak należy.
- Teraz nasza kolej - rzekłem ponagląco do Dave'a, pociągając za pasek od lornetki.
- Za minutę.
- Co się dzieje? - ponownie spytała Pippa.
- Po prostu sobie leżą - odparła Mickey.
- Bardzo blisko siebie - dodałem.
- Bardzo, bardzo blisko siebie - potwierdził Dave.

Obserwowałem, jak Sam Johnson wstaje i znika na kilka sekund z pola widzenia, po czym ponownie się zjawia i siada okrakiem na leżącej na brzuchu pannie McKilroy. Atmosfera na dachu garażu Dave'a zrobiła się doprawdy napięta. Z gardła Mickey wyrwał się nerwowy chichot.

- Krem do opalania - zrelacjonował Dave. - Wciera go w jej plecy.
- Minuta minęła - oznajmiłem, klepiąc przyjaciela w ramię. Dave niechętnie rozstał się z lornetką.
- Potem ja - zarządziła Mickey, przyklejając się do mnie. Uniosłem lornetkę do oczu i powoli ją przesuwalem, aż natrafiłem na właściwe miejsce. Wyregulowałem ostrość, tak że wyraźnie widziałem Sama Johnsona i pannę McKilroy, nie wyłączając jej okrągłych policzków i ostrego nosa. Przekręciła się i leżała teraz na plecach i... i... i prawie nie śmiałem wierzyć własnym oczom: nie miała już na sobie góry od bikini.

- Widzę jej cycki! - kwiknąłem.
- Co? - zachłysnął się Dave.
- Naprawdę! - Brakowało mi tchu. - Widzę cycki panny McKilroy!
- Dawaj lornetkę - zażądał Dave.
- Nie - zaprotestowała Mickey. - Teraz moja kolej.

Nie dbałem o to, kto miał być następny w kolejce. Jedyne, co mnie w tej chwili obchodziło, to ten widok: wielkie, pokryte plamami cycki panny McKilroy. Ich brodawki wyglądały jak ogromne kawałki przeżutej truskawkowej gumy balonowej, a każda spocona pierś musiała ważyć chyba z tonę.

- Są okropne! - stwierdziłem z zachwytem.

- Teraz ja - zarządziła stanowczo Mickey i zanim udało mi się zaprotestować, odebrała mi lornetkę.

Uniosłem rękę, by osłonić oczy przed słońcem, jednak niewiele mogłem zobaczyć: ciało panny McKilroy z powrotem przybrało postać różowawej plamy.

- Stary, sprośny sukinsyn - rzekła Mickey kilka sekund później. - Wciera w nie krem do opalania.

- W co? - zapytał gorączkowo Dave.

- W jej cycki, a w co?

- Daj mi popatrzeć - błagała Pippa, ciągnąc za pasek przy lornetce.

- Nie, ona jest moja - sapnął Dave.

Mickey mocno trzymała cenny sprzęt w swoich dłoniach.

- Pieszczą się - oznajmiła nam. - On leży na niej i się pieszczą.

- Proszę, Mickey - powtórzyła błagalnie Pippa.

Mickey jeszcze przez kilka sekund obserwowała nieświadomą niczego parę, po czym podała lornetkę Pippie. Dave zaskowyczał.

- Szkoda, że nie mamy aparatu - rzekł żałośnie. - Wiecie, takiego z wbudowanym zoomem. Moglibyśmy porozwieszać zdjęcia na przystanku. - Potrząsnął głową. - Wyobraźcie sobie tylko, co wtedy powiedzieliby wszyscy rodzice.

Pippa wydała z siebie przenikliwy pisk.

- Fuj! Języki!

W chwili, gdy usłyszeliśmy głos Pippy, wiedzieliśmy już, że wszystko skopała. Z lornetką czy bez, dotarło do nas, że pełne popłochu zamieszanie w ogrodzie Sama Johnsona znaczyło tylko jedno: zostaliśmy zdemaskowani. W ułamku sekundy Sam Johnson zerwał się na równe nogi i rozglądał wokół, podczas gdy panna McKilroy w szaleńczym tempie nakładała górę od bikini.

- Spadamy! - zawołał Dave i po chwili zniknął, jednym płynnym ruchem opadając w dół po rynnie.

Znieruchomiała Pippa patrzyła z przerażeniem, jak Mickey i ja idziemy w jego ślady. Zsunęliśmy się na dół i upadliśmy na stos gałęzi, nie mogąc złapać tchu z wysiłku i podekscytowania.

- Pippa Carrier! - rozległ się głos należący bez wątpienia do panny McKilroy. - Pippa Carrier! Zostań dokładnie tam, gdzie jesteś!

Mickey, Dave i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Mickey. - Powyrywa nam nogi z tyłków.

Mickey miała rację. W ciągu kilku tygodni od przybycia do szkoły podstawowej w Rushton panna McKilroy zdobyła reputację osoby surowej i ponad wszystko ceniącej dyscyplinę, której nie doświadczyło wcześniej żadne z nas. Wszyscy nienawidzili dni, kiedy miała dyżur na boisku, gdyż nieuchronnie prowadziło to do dodatkowej pracy domowej bądź aresztu dla jednego z nas. Nawet teraz, gdy już skończyliśmy podstawówkę, ani przez chwilę nie wierzyliśmy w to, że znikł jej wpływ na nas, a ściślej mówiąc, na naszych rodziców.

- Wy dwoje idźcie - odparł Dave. - Zostanę tutaj z Pippą.

- Wszyscy zostaniemy - zaprotestowała Mickey.

- Nie. - Dave był nieugięty. - To nie ma sensu. Mnie dopadnie, ponieważ to mój dom, a Pippę, gdyż ją widziała.

- Sądysz, że jak to się skończy? - zapytałem. Dave wzruszył niepewnie ramionami.

- Jeśli tylko ukryjemy lornetkę, niewiele nam może zrobić, no nie?

- Raczej nie - odparłem.

Mickey uśmiechnęła się z przymusem.

- I tak przecież nikomu o tym nie powie, prawda? Nie po tym, jak widzieliśmy, co jej robił Sam Johnson...

Wtedy dobiegł nas dochodzący z domu Dave'a dźwięk dzwonka. Mickey skrzywiła się.

- W takim razie...

- No dalej - rzucił Dave, patrząc kątem oka na Pippę, która stała przy rynnie z lornetką, luźno zwisającą na szyi. - Wynoście się.

Mickey i ja już dawno przekonaliśmy się, że linie telefoniczne łączące domy naszych rodziców potrafiły wyprzedzić każde dziecko z Rushton. Dlatego właśnie pół godziny po tym, jak przeskoczyliśmy przez płot w ogrodzie Dave'a Kirby'ego i umknęliśmy z miejsca przestępstwa, siedzieliśmy razem na wyszczerbionym marmurowym schodku grobowca Alexandra Woolfstone'a na tyłach cmentarza, który znajdował się na drugim brzegu rzeki Elo. Odkąd minęliśmy most, Mickey prawie w ogóle się do mnie nie odzywała. Teraz markotnie wpatrywała się w wygrawerowane cyfry 1765 na znajdujących się za nami drzwiach do grobowca i przesuwiała po nich palcem. Odwróciłem się i ponownie skupiłem uwagę na niewielkiej szparze koło moich stóp, którą w suchej ziemi wydrążyły mrówki. Wetknąłem tam małą gałązkę i obserwowałem nerwowe poruszenie wśród tych niewielkich żyjatek.

- Myślisz, że panna McKilroy powiedziała o wszystkim naszym mamom? - spytałem.

Mickey nawet się nie odwróciła.

- A bo ja wiem.

- A jak sądzisz, co mogą nam zrobić, jeśli powiedziała?

- A bo ja wiem.

Złamałem gałązkę i wepchnąłem ją do szpary. Mrówki zebrały się wokół nowej przeszkody, niczym wężące psy w poszukiwaniu wskazówki, co robić dalej.

- Moja mama poznała pannę McKilroy, gdy szła kostiumy na przedstawienie. - Odwróciłem się i stwierdziłem, że Mickey wpatruje się we mnie. - Twoja mama jej nie zna, prawda?

- Jedynie ze szkoły. Poskarżyła się jej, że za dużo rozmawiam na lekcjach.

- Ona mówi tak o wszystkich - oświadczyłem. - Powiedziała...

- Nigdy się z nikim nie całowałeś, co, Fred? - przerwała Mickey.

- No cóż - odparłem po chwili namysłu. - Mama i babcia ciągle mnie całują i...

- One się nie liczą.

- W takim razie nie - odrzekłem. - Nie całowałem się.

- Popatrzyłem na swoje buty. Mrówki zaczęły radzić sobie z przeszkodą. - A ty?

- Raz pocałowałam Simona Córy'ego. Na boisku. To był zakład. - Już miałem się spytać o wrażenia, kiedy dodała: - To nie był prawdziwy pocałunek.

Odwróciłem się na schodku i popatrzyłem na nią.

- Co masz na myśli?

- Z jęczyzkiem.

Przypomniałem sobie, co powiedziała Pippa na dachu Dave'a, i powtórzyłem:

- Fuj.

Mickey spuściła głowę, tak że grzywka zakryła jej oczy.

- Na twoim miejscu nie słuchałabym Pippy - mruknęła.

- Ona też się nigdy z nikim nie całowała. - Odgarnęła włosy z twarzy. - To może nie być wcale takie obrzydliwe.

Obserwowałem usta Mickey. Były suche od słońca, ale podobał mi się ich pełny kształt. Zastanawiałem się, kto ma rację:

ona czy Pippa. Tysiące razy przyglądałem się, jak usta Mickey rozszerzają się w uśmiechu i jak robią balony z gumy, ale nigdy, przenigdy nie obserwowałem tej części jej ciała pod kątem przydatności do całowania. Zastanawiałem się, jakie byłoby to uczucie. Na chwilę nasze spojrzenia spotkały się i poczułem, że się czerwienię.

- W telewizji wygląda to obrzydliwie - stwierdziłem pośpiesznie. - Zwłaszcza jeżeli to

trwa i trwa, a na dodatek puszczają ckliwą muzykę.

Oczy Mickey błysnęły niebezpiecznie.

- W takim razie świetnie - parsknęła szyderczo. - Nie musisz.

- Nie muszę czego? - spytałem zdezorientowany.

- Całować mnie. - Podniosła się ze schodka i popatrzyła na dolinę.

Zerwałem się z miejsca, tak że stanąłem z nią twarzą w twarz. Mickey ze złością przygryzała dolną wargę.

- Chcesz, żebym cię pocałował? - zapytałem z niedowierzaniem.

Niepewnie obrzuciła mnie wzrokiem, po czym jej spojrzenie ponownie stwardniało.

- Zapomnij o tym - powiedziała, obracając się na pięcie i odchodząc. - Zmieniłam zdanie.

Stałem w miejscu, obserwując, jak się oddala, i zupełnie nie wiedziałem, co zrobić. Gorące powietrze otaczało mnie coraz ciasniejszym kręgiem i poczułem, że po twarzy spływa mi pojedyncza kropla potu. Wtedy zacząłem biec.

Dogoniłem ją w chwili, gdy zbliżała się do bramy przy dziedzińcu kościelnym, i wyprzedziłem, tarasując przejście.

- Zaczekaj - wydyszałem.

Popatrzyła na mnie, a jej twarz przybrała kolor zachodzącego słońca. Wyciągnęła rękę, by mnie odsunąć na bok. I wtedy to zrobiłem. Położyłem dłonie na jej ramionach, uczyniłem krok do przodu i przycisnąłem usta do jej warg.

Wpatrywaliśmy się sobie w oczy, a czubki naszych nosów stykały się ze sobą. Z jej nosa wydostawało się ciepłe powietrze, które laskotało mnie w policzek. Zamrugałem i zachciało mi się śmiać. Ale Mickey wyglądała tak poważnie, że się nie odważyłem. Więc zamiast tego przeczekałem atak głupawki i obserwowałem, jak Mickey zamyka oczy. Więc to teraz, pomyślałem. Ona naprawdę ma zamiar to zrobić. Naprawdę ma zamiar pocałować mnie z...

I wtedy, bez ostrzeżenia, zrobiła to. Z szybkością atakującego węża zwinnie język wysunął się z jej ust i wdarł do moich. Śliski niczym ślimak i wijący jak robak przesunął się po moim języku. Zamarłem. Nie byłem w stanie się poruszyć ani oddychać. To była najbardziej niezwykła rzecz, jakiej zdarzyło mi się doświadczyć. Ale skoro nasze języki już się dotykają, to co dalej?

Przypatrywałem się jej powiekom i modliłem o jakiś znak.

Wtedy rozległ się skrzek i odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni. Spojrzeliśmy w górę, gdzie z kępy krzaków wyfrunął właśnie szpak. Kiedy spuściłem wzrok i dojrzałem błyszczące

oczy Mickey, byłem zdumiony, że nadal twardo stoję na ziemi.

- To było... - zacząłem. Ale nie wiedziałem, co powiedzieć, mogłem stwierdzić tylko tyle, że było to coś nowego.

- Nie mów nikomu - zażądała Mickey.

- Dlaczego?

- Dlatego i już - odparła, uśmiechając się. Odeszła ode mnie parę kroków i zbliżyła się do bramy wiodącej na dziedziniec kościoła. Kiedy się tam znalazła, odwróciła się do mnie. - Powinniśmy iść do domu. Robi się późno.

Przytaknąłem i poszedłem za nią przez bramę, most, a potem w górę alei. Przez całą drogę nie odzywaliśmy się do siebie, każde zatopione we własnych myślach. Nie wiem, o czym myślała Mickey, ale moje wspomnienie tego spaceru jest nadal tak wyraźne jak wtedy, gdy zegnaliśmy się koło mojego domu. Nie martwiłem się, czy panna McKilroy była już u mojej mamy. Nie miało znaczenia także to, że jutro Mickey pójdzie do nowej szkoły beze mnie. Nie obchodził mnie nawet Miles. Wtedy w mojej głowie obecna była jedynie Mickey.

Włożyłem zdjęcie z powrotem do pudełka po butach, a potem schowałem wszystko do szuflady. Następnie wyjąłem z portfela wizytówkę Mickey i wystukałem cyferki na telefonie. Nie dając sobie czasu na wahanie, wcisnąłem OK. I liczyłem sygnały: jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty...

- Halo? - słyszę wreszcie jej głos. Biorę głęboki wdech.

- Cześć, Mickey - mówię. - To ja, Fred. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chciałbym cię o coś zapytać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MICKEY

Joe uśmiecha się od ucha do ucha, odwracając się od olbrzymiego ekranu. Tysiące kilometrów stąd, na lekko zbzikowanej twarzy jego przeciwnika - Japończyka, wyglądającego na jakieś trzynaście lat - pojawia się niechętny uśmiech. Jego wzrok błądzi nerwowo niczym u świeżo upieczonego reportera, po czym chłopak robi się coraz bardziej niewyraźny, aż znika zupełnie z ekranu. W moich uszach jeszcze dudni od cyfrowego dźwięku towarzyszącego tej intergalaktycznej grze i gdy zapalają się światła, ledwie udaje mi się powstrzymać ziewnięcie.

Fred przez ostatnią godzinę biegał gdzieś dokoła, ale nagle pojawia się przy moim boku. Klaszcze razem z tłumem mrugających oczami dzieciaków, które jeszcze przed chwilą jak jeden mąż wpatrywały się w ekran, gdzie toczył się pojedynek pomiędzy Joe i jego przeciwnikiem z Japonii. Pochyla się w moją stronę, gdy Joe schodzi z krzesła i przyjmuje nagrodę: modną, nieprzemakalną torbę turystyczną. Wręcza mu ją Nina, dziewczyna pracująca w promocji. Nina wygląda, jakby nie bardzo orientowała się w temacie. Ma szeroki, ukazujący wszystkie zęby uśmiech i bezustannie przyjmuje pozy, które pasowałyby raczej do wyborów Miss Bikini niż opieki nad niesforną hałastrą nabuzowanych adrenaliną dzieciaków.

- Aż nie chce mi się wierzyć, że Joe to zrobił - mówi Fred, klaszcząc, gdy mój syn odbiera torbę od Niny, którą jednocześnie pochłania pozowanie do zdjęć. - Nawet mnie by się nie udało.

- Wreszcie na coś się przydały te wszystkie godziny spędzone przed ekranem komputera - odpowiadam, machając do Joe, który przepycha się przez tłum dzieciaków, przemieszczający się w odwrotnym kierunku, w stronę podium z konsolami komputerowymi. Tuż za nim na gigantycznym ekranie eksploduje amerykańska reklama jakiejś kolejnej gry, a wokół rozbrzmiewa głośnie, klubowa muzyka.

- Dawno temu w innym świecie... - rozpoczyna pełen dramatyzmu męski głos.

- Do diaska. To się nie skończy, prawda?

- Niekończąca się przygoda. O to właśnie chodzi - odpowiada Fred, który jest najwyraźniej zadowolony z przebiegu imprezy, choć ja muszę przyznać, że większość atrakcji zbytnio do mnie nie przemawia. Oczywiście krańcowo odmienne zdanie ma na ten temat Joe.

- No i jak ci się podoba? - Fred przekrzykuje zgiełk, ale jeden rzut oka na twarz Joe wystarczy, by stwierdzić, że udział w międzynarodowej imprezie promującej gry komputerowe jest niewątpliwie najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka mu się do tej pory

przytrafiła.

- Bomba - odpowiada krótko.

Fred i ja uśmiechamy się do siebie, a Joe klęka przed nami i podekscytowany otwiera torbę. Wewnątrz znajduje się czarny markowy T - shirt z niewielkimi żółtymi literami, tworzącymi nazwę firmy komputerowej Freda, dwie najnowsze gry i kilka biletów do kina.

Joe spogląda na mnie, a jego usta otwierają się ze zdumienia na widok tych wszystkich darmowych wspaniałości.

Nina dołącza do chłopca i przerzuca lśniącej, brązowe włosy przez ramię.

- Co powiesz na lekcję na rampie? - proponuje swoim wysokim, odpowiednim do pracy przy promocjach głosem. Ma absurdalnie długie, różowe paznokcie z białymi końcówkami. Przesuwa nimi po liście na sztywnej podkładce z klipsem. - Możesz pościgać się tam z Zackiem albo po prostu pojeździć sobie. - Kiwa głową w stronę rampy dla deskorolek, która zajmuje większą część podłogi, po czym spogląda nerwowo na Freda.

- Świetnie ci idzie, Nino, dzięki - odpowiada, w lot łapiąc, o co jej chodzi.

Nina wyraźnie topnieje pod wpływem tego komplementu. Chichocze ulegle i mało atrakcyjnie pociąga nosem.

- Dzięki. - Kiwa głową, gdy jeszcze jeden chłopiec w wieku Joe wymyka się z tłumu i dołącza do nas.

- Czy to twoi rodzice? - pyta mojego syna. Joe przytakuje i pokazuje na mnie.

- To moja mama - mówi, wstając i przechylając głowę.

- I Fred. Nasz... przyjaciel. - Joe uśmiecha się do nas obojga.

- Tyler - dodaje tytułem wyjaśnienia. - Mieszka niedaleko nas.

- Cześć - mówię zdumiona zachowaniem Joe. Zwykle jest przecież taki nieśmiały.

Widzę, że Fred się uśmiecha. Najwyraźniej ucieszyło go, że został nazwany „naszym przyjacielem”.

Tyler mamrocze słowa przywitania i ponownie skupia całą uwagę na Joe.

- To był odjazd, chłopie, ty w tej grze. Czy będziesz walczył z Ojuakiem? - pyta. - Widziałem go na tym filmie...

Joe i Tyler odchodzą w stronę lśniącej, metalowej rampy, gdzie odbywają się pokazy akrobacji deskorolkowych.

Supercienkie brwi Niny prawie się łączą. Kładzie dłoń na swojej podkładce i spogląda w naszą stronę.

- Proszę się nie martwić, znajdę was - mówi, po czym odwraca się i spieszenie podąża za oddalającymi się chłopcami.

- Wygląda na to, że mamy trochę czasu dla siebie - stwierdza Fred, pocierając nieśmiało ucho.

Torba z prezentami Joe pozostała rozbebeszona u moich stóp, kucam więc i wkładam do środka całą jej zawartość. Gdy wstaję, Fred łapie mnie za łokieć.

- Chodź, pójdziemy się czegoś napić. - Uśmiecha się, torując drogę przez drugie przejście w stronę baru z sokami.

Grzebię się trochę, manipulując zamkiem przy torbie Joe. Moją uwagę przyciągają deskorolkowcy, którzy co rusz pojawiają się ponad skrajem rampy, wykonując obroty i piruety zadające kłam grawitacji, a ich ciała skąpane są w jaskrawym świetle reflektorów.

Nikt by nie zgadł, że znajdujemy się właśnie w jednym z ogromnych magazynów we wschodniej części Londynu. Organizatorzy imprezy przekształcili to pomieszczenie w miejską dżunglę z różnymi przejściami, tak że nie można się połapać, jak duży jest magazyn ani jaki ma kształt. Nigdy dotąd nie byłam w miejscu tak odlotowym i wyrafinowanym i naprawdę z trudem powstrzymuję się przed taroszeniem Freda za ramię niczym jakiś jednocześnie przestraszony i zachwycony dzieciak.

Tuż pod nami znajduje się przemysłowa, metalowa drabina, a na dole przy barze z sokami impreza jest w pełnym rozkwicie. Ogromne ekrany nad barem rozświetlają różne mazaje, poruszające się w rytm wszechobecnej muzyki, której wtórują szmer rozmów i brzęk szklanek, dochodzące z pulsującego poniżej tłumu.

- Mama?

Patrzę w górę i widzę, jak Joe zwisa z rusztowania. Nakłada właśnie na głowę srebrny kask ochronny.

- Jest super! - wrzeszczy, a ja uśmiecham się do niego i macham ręką. Po jego twarzy poznaję, że wreszcie mi wybaczył.

Kiedy Fred zatelefonował kilka dni temu, aby nas zaprosić na dzisiaj, w połowie już spałam i byłam w takim szoku, że w ogóle zadzwonił, iż bez namysłu się zgodziłam. Jednak w chwili, gdy odłożyłam słuchawkę, ogarnął mnie przerażający, czterdziestoosmiodziesiętny atak strachu, który krótko przed imprezą przekształcił się w autentyczną panikę.

- Dlaczego nie zadzwonisz i nie zapytasz, jak powinnaś się ubrać? - zasugerowała Lisa, gdy po raz kolejny przemierzałam nerwowo kwaciarnię tam i z powrotem.

- Nie mogę - jęknęłam. - A poza tym, to by wyglądało jak...

- Jak co?

- O rany, jak nic - odburknęłam zupełnie zdołowana.

Na górze Joe był równie mało pomocny, kiedy przekopywałam się przez zawartość

mojej szafy z ubraniami i kompletowałam niezliczone mnóstwo zestawów.

- Spoko, mama - poradził. - Nie rozumiem, dlaczego nie włożysz tego, co zwykle.

- Co zwykle? - warknęłam, unosząc z rozpaczą ręce i jęcząc z frustracji. - To impreza promocyjna. Głupi, nie mogę przecież włożyć dzinsów i tenisówek. Nie mogę przynieść wstydu Fredowi.

- Jego i tak nie będzie obchodziło, co masz na sobie - odparował Joe z tą swoją mądrością dziewięciolatka, mimo że poczuł się wyraźnie urażony tym, iż nazwałam go głupim.

- Och... po prostu... idź i umyj twarz - burknęłam opryskliwie i niesprawiedliwie. - I nie zapomnij o zębach.

Joe zrobił skrzywdzoną minę i wymaszerował z mojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Podskoczyłam. Przepęłniało mnie poczucie winy.

Gdy zostałam sama, skrzywiłam się do swego odbicia w lustrze, czując się strasznie zaniedbana i mało reprezentacyjna. Ostatni raz, kiedy znalazłam się na podobnej imprezie, była ona organizowana przez sieć telefonii komórkowej, dla której pracował Martin. Nienawidziłam każdej spędzonej tam minuty. Na prośbę Martina, a całkowicie wbrew sobie, włożyłam wieczorową sukienkę i większość czasu spędziłam z serwetką na dekolcie, broniąc się przed chytrymi spojrzeniami obleśnych kolegów Martina. Sądząc po Fredzie, nie wydawało się, by w jego firmie było podobnie, ale i tak zawsze zżerały mnie nerwy, gdy miałam być wystawiona na widok publiczny.

Ale to Rebecca sprawiała, że mój żołądek kurczył się w panice. Jakaś część mnie pragnęła zadzwonić do Freda i odwołać wszystko, ale nie mogłam zawieść Joe, więc zamiast tego przeprowadziłam próbę. Trzymając włosy uniesione z tyłu głowy, zaprezentowałam lustrzanej tafli moje najbardziej pewne siebie spojrzenie.

- Witaj, Rebecco. - Uśmiechnęłam się tak szeroko, jak tylko potrafiłam. - Jestem Mickey. - Pokazałam sobie język i spróbowałam jeszcze raz. - Cześć, jestem Mickey Maloney. Fred i ja...

Puszczam włosy i padam na łóżko; cała pewność siebie ulatnia się bez śladu, gdy w mojej głowie pojawiają się setki pytań. Czy Rebecca będzie na tej imprezie? Czy wie o mnie i Fredzie? Co Fred powiedział jej po naszym ostatnim spotkaniu? W jaki sposób mnie opisał? Czy oczekiwał, że będziemy wszyscy zachowywać się jak najlepsi przyjaciele? Dlaczego tak naprawdę Fred nas zaprosił? Czego chciał?

A teraz patrzę na Freda i wciąż jestem w kropce. Zamiast odpowiedzi rodzi się coraz więcej pytań.

- Co? - pyta, uśmiechając się i zatrzymując przy drabinie. Jego twarz omiatają promienie sztucznego światła, a oczy wydają się migotać. Ma na sobie grafitowy T - shirt, który pasuje do jego opalonej twarzy, i przez chwilę czuję, jak serce podchodzi mi do gardła.

- Nic - odpowiadam, ale część mnie pragnie się zatrzymać i rzec: „No właśnie, Fred. Co? O co w tym wszystkim chodzi? Gdzie jest Rebecca? Co się dzieje? I... i od kiedy stałeś się tak wściekle przystojny?”.

- Daj mi to - mówi, uśmiechając się do mnie, i wyciąga rękę po torbę Joe, a ja podaję mu ją zadowolona, że nie potrafi czytać w moich myślach.

Joe miał oczywiście rację. Nie powinnam była się stroić. Czuję się głupio w garniturze w drobne prążki, który jest najbardziej wystrzałowym ciuchem, jaki znalazłam w szafie, ale i tak okazał się już beznadziejnie niemodny. Wszystkie dziewczyny ubrały się zupełnie na luzie, wszystkie wyglądają parszywie modnie w swoich drogich, markowych ciuchach i poza dziwnym połyskiem błyszczyka na ustach wydają się całkowicie au naturel.

W porównaniu z nimi czuję się, jakbym właśnie przeżyła kolizję z działem kosmetycznym w supermarkecie, którego całkowicie niedobre produkty taszczyć właśnie w mojej ogromnej, mamusiowatej torbie, razem z całą resztą innych osobistych drobiazgów. Oto kara za próżność. Myślałam, że zabranie ze sobą tych wszystkich potrzebnych rzeczy, jak szczotka do włosów i zapasowa koszulka dla Joe, nie mówiąc już o wypchanym organizeryze przepełnionym ulotkami reklamowymi, sprawi, że będę się czuła przygotowana i dorosła. Zamiast tego czuję się po prostu staro.

- Słuchaj, Mickey, jest taka sprawa - szepcze Fred, gdy zaczynamy przeciskać się w stronę baru. Ma poważny wyraz twarzy.

- Tak?

- Używam teraz nazwiska Wilson.

- Wilson?

Fred rozgląda się bacznie, by się upewnić, że nikt nas nie słyszy.

- Tak postanowiła mama po... no wiesz. Przyjęliśmy jej panięskie nazwisko. - Fred uśmiecha się do mnie uspokajająco, ale ja wpatruję się w niego zszokowana. - Mickey, to nic wielkiego. Po prostu lepiej, żebyś nie wymieniała mojego dawnego nazwiska, jeśli ktoś cię o to zapyta. Już się tak nie nazywam. Już nie...

- OK - bąkam, przyglądając się uważnie twarzy Freda, ale on jedynie kiwa głową, jakby właśnie zawarł ze mną jakiś mało znaczący pakt, i zanim jestem w stanie dodać coś jeszcze, zmierza już w stronę tłumu.

Ludzie wciąż do niego podchodzą i witają się, a ja odnoszę wrażenie, że musi być

dobry w tym, co robi, gdyż wszyscy zwracają się do niego z szacunkiem i zasypują go pochwałami. Fred jednak uprzejmie, lecz stanowczo usuwa ich z drogi i prowadzi mnie do baru. Wydaje się tak pewny siebie i panujący nad sytuacją. Fred Wilson. To tak, jakby poznało się nową osobę. Mimo to część mnie pragnie unieść dłoń, zwrócić na siebie uwagę tłumu i oświadczyć:

- Wybaczcie wszyscy, to tylko taka mała pomyłka. To jest Fred Roper.

Nie powinno mi to sprawiać żadnej różnicy, a jednak. Fred Wilson nie jest częścią mnie, a ja nie jestem częścią Freda Wilsona. W dziecinny sposób czuję, że wyrzekając się swojej przeszłości, Fred wyrzekł się także i mnie. Ponieważ ja byłam częścią życia Freda Ropera. Wspólne przeżycia, które nas łączyły, może i przez te lata straciły na wyrazistości, ale nadal były obecne. Teraz jednak uświadamiam sobie, że mimo wszystkich naszych obietnic Fred wyłamał się i przez ten czas, który spędziliśmy osobno, żył spokojnie jako ktoś inny.

Ale tak właściwie, dlaczegóż nie miałby zmienić sobie nazwiska? To, co mu się przytrafiło, było tak okropne, że w zasadzie nie mogę mieć do niego pretensji, że chciał pozostawić to za sobą. Ludzie zmieniają się z mniej ważnych powodów i gdybym była na miejscu Freda, prawdopodobnie zrobiłabym to samo. Prawdę mówiąc, taki luksus całkiem by mi odpowiadał. Fred przynajmniej nie widział tego, co się zdarzyło, w przeciwieństwie do mnie. Jego tam nie było. To nie on czuł ten okropny smród, który przez lata mnie prześladował.

- Wstąpię jeszcze do toalety - szepczę do Freda, którego wita właśnie następny znajomy.

- Zaczekam tutaj, OK? - pyta, a ja kiwam głową, czując się absurdalnie polechtana. Tak przyzwyczaiałam się do troski o Joe i kwiaciarnię, że zdążyłam zapomnieć, jak to miło, gdy ktoś opiekuje się mną.

Po uważnym obejrzeniu dziwacznych symboli na jednych z drzwi uznaję, że muszą prowadzić do damskiej toalety, więc przechodzę przez nie. Przez chwilę przyglądam się ze zdumieniem, jak przede mną pojawia się ściana z nierdzewnej stali, i zastanawiam się, co zrobiłam nie tak. Z konsternacją pcham ją, ale nic się nie dzieje. Nawet toalety są dla mnie zbyt skomplikowane.

Za mną pojawia się blondwłosa dziewczyna i wybawia mnie z opresji. Mocno naciska jeden z guzików, których wcześniej nie zauważyłam, i ściana przesuwana się, ukazując stalową kabinę z odpowiednio kosmicznie wyglądającą ubikacją.

- Jasne, cholernie oczywiste. - Uśmiecha się porozumiewawczo.

- Dzięki.

Kiedy wychodzę z kabiny, ona akurat myje ręce w fontannie tuż za rogiem.

- Jesteś z Fredem, prawda? - pyta mnie.

- Tak. - Uśmiecham się w odpowiedzi, biorąc ze stosu przy zlewie biały papierowy ręcznik.

- Jestem Susan - mówi, odsuwając grzywkę za ucho. Opiera się biodrem o zlew i spogląda na mnie. Z kieszeni odjazdowych spodni wyjmuję paczkę papierosów i zapala jednego. - Fred jest moim szefem - wyjaśnia. - Choć tak naprawdę to ja mam kierownicze usposobienie.

- A ja jestem Mickey.

Na chwilę zapada cisza, gdy Susan w zamyśleniu pali papierosa i patrzy na mnie.

- Lubię styl retro - mówi, wskazując głową mój garnitur. Wpatruję się w nią przez chwilę, zastanawiając się, czy mam to traktować jako obrazę. Przechwytuje moje spojrzenie.

- Nie, szczerze - dodaje. - Wyglądasz super.

Jeszcze raz lustruję jej szeroką, uczciwą twarz i uznaję, że mówi poważnie.

- To znaczy, że wreszcie dotarłam do tego momentu, kiedy jestem tak niemodna, że tak naprawdę stałam się modna?

- Mała, to działa - odpowiada Susan z udawanym amerykańskim akcentem i obie wybuchamy śmiechem.

- Czuję się jak chodzący sklep kosmetyczny - zwierzam się, wykrzywiając twarz i patrząc z niechęcią na moją ogromną torebkę.

Susan wyciąga po nią rękę.

- Dołożę ją do rzeczy Freda.

Z wdzięcznością oddaję ten zbędny balast i podążam za nią do drzwi, mimo że zupełnie nie mam pojęcia, skąd ona wie, gdzie szukać wyjścia.

- Długo znasz Freda? - pyta mnie. Przytakuję.

- Od zawsze, ale przez jakiś czas w ogóle się nie widzieliśmy.

- No cóż, fajnie, że tu jesteś. To oznacza, że Fred potrafi się bawić i może nie będzie zachowywać się jak nudny pracoholik, jak to zwykle bywa podczas tego typu imprez.

- Naprawdę? - pytam z ciekawością, nie mogąc się powstrzymać. - A Rebecca się na nich nie pojawia?

- Rebecca? - mówi Susan takim tonem, jakbym żartowała, po czym przygląda mi się uważnie. - Widzę, że w takim razie jeszcze jej nie poznałaś.

- To prawda.

- Hmm, powiedzmy więc po prostu, że to nie jest otoczenie dla niej. - Susan robi zabawną minę i przytrzymuje drzwi. - Nie wystarczająco w stylu Gucciego, kochanie - dodaje poufnym szeptem. - Jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Odnajduję Freda przy barze. Uśmiecha się do mnie i podaje mi drinka, ale jest akurat w trakcie rozmowy z dwoma mężczyznami. Dyskutują w - jak sądzę - języku internetowo - biznesowym, który równie dobrze mógłby być marsjańskim. Szeroko otwartymi ze zdumienia oczami spoglądam na Freda znad szklanki.

- Przepraszam - mówi Fred. Rzuca mi uspokajające spojrzenie. - Pozwól, że ci przetłumaczę. To są Peter i Tim. Zajmują się zakupami przez telefon. Wszystko, czego pragniesz, od szminki do nocnych lampek. A to jest Mickey.

- Jesteś więc jeszcze jedną niewolnicą Freda? - pyta Peter z krzykliwym, londyńskim akcentem. Jest niski, łysy i z ogromną energią stuka swoim grubym platynowym sygnetem o szklankę.

- Nie, skąd - jąkam, czując się jak oszustka. - Jestem... Jestem kwiaciarką.

- Kwiaciarką - powtarza Peter. Przez chwilę kiwa głową.

- Możliwe, że jesteś osobą, której szukamy. Co o tym sądzisz, Tim?

Tim, najwyraźniej asystent Petera, skwapliwie przytakuje.

- Och nie, naprawdę... Mam tylko małą kwiaciarnię. To nic...

- zaczynam.

- Jest świetna - przerywa Fred, dyskretnie kopiąc mnie w kostkę. - Mieści się na Kensal Rise, niedaleko waszych biur.

- No to jeszcze lepiej. - Peter pociąga nosem i patrzy na mnie. - Czy nie zechciałabyś przyjść i rozweselić jakoś nasze biuro? Osobiście mam w nosie cały ten ambaras z kwiatami. Ale w centrali w Nowym Jorku te przeklęte rośliny są wszędzie. Nowoczesne kompozycje...

Przeskakuję wzrokiem z Petera na Freda, a potem z powrotem na Petera.

- No cóż... Mogłabym rzucić na to okiem... - mówię, a Fred entuzjastycznie przytakuje.

- Doskonale sobie poradzisz - stwierdza, po czym zwraca się do Petera: - Uwierz mi, jest świetna.

- Załatw to, Tim - oświadcza Peter i odwraca się. - Na razie, Fred. Mickey...

- Czy mógłbym prosić o twój numer telefonu? - pyta Tim, wyciągając kieszonkowy elektroniczny organizator.

Uśmiecham się do Freda i ustalam z Timem szczegóły.

- Zadzwoń do ciebie w poniedziałek i wtedy umówimy się na spotkanie - oznajmia

stanowczo Tim i zamyka organizer.

Po jego odejściu stukam się z Fredem szklanką.

- Widzisz, nie było tak źle. Nigdy nie wiesz, jak to się skończy. Firma Petera jest ogromna. Jeżeli uda ci się tam załapać, to naprawdę będzie twój szczęśliwy dzień.

- No tak, cóż, poczekamy, zobaczymy. - Uśmiecham się, ale boję się zbyt optymistycznie podchodzić do całej sprawy. Nie mogę uwierzyć, że Fred oddał mi taką przysługę i sprawił, iż wygląda to tak niewinnie. Przy nim czuję się jak kompletny żółtodziób. Przez ostatnie kilka miesięcy mordowałam się z ogłoszeniem, które w końcu umieściłam w lokalnej gazecie, a tutaj Fred ot tak, od niechcienia załatwia przy kilku drinkach megainteresy. W porównaniu z moją niewielką kwiaciarnią wszystko to wydaje się należeć do zupełnie innego świata.

- Czy nie musisz... no wiesz... zmieszać się z tłumem? - pytam, gdy Fred prowadzi mnie do baru i sadowi się na sąsiednim krześle.

- Powinienem, ale mi się nie chce. - Uśmiecha się szeroko i podaje mi kolejny koktajl.

- Ostrzegam cię - mówię, pociągając łyk mocnej, owocowej mikstury. - Nie jestem przyzwyczajona do alkoholu. To się może bardzo źle skończyć.

- Myślę, że powinniśmy pójść i wypróbować tę wirtualną grę w dziale stylizowanym na dżunglę. Co ty na to? - Uśmiecha się do mnie.

- Aha, już rozumiem - drażnię się z nim. - Próbowałeś mnie upić, żeby teraz wygrać. To stary numer. No cóż, nie pójdzie ci ze mną tak łatwo.

Wyciągam rękę, aby dziabnąć Freda w żebro - najwyraźniej alkohol zaczyna działać - ale on szybko uskakuje w bok.

- Chodź - śmieje się. - Zobaczmy, jak się ma twój stary, dobry refleks.

- Ha! - pryham. - Jak zwykle w świetnej formie. Poczekaj tylko.

Ale gdy idę za Fredem, moja forma wcale nie wydaje mi się świetna. Czuję się niewyraźnie szczęśliwa w taki jakiś rozlazły sposób. Cieszę się, że nie ma tutaj Rebecki. To wspaniałe uczucie mieć najbardziej popularnego faceta na sali tylko dla siebie, choćby tylko chwilowo. A kiedy mijamy te wszystkie atrakcyjne, modnie ubrane dziewczyny, mam ochotę zatrzymać się, pokazać palcem na Freda i oświadczyć bardzo głośno:

- Widzicie go? Kiedyś był mój. Należał do mnie.

Następnego dnia dopada mnie kac, jakiego nie doświadczyłam już od wielu lat. Jeszcze nie zdążyłam ocknąć się na dobre, kiedy podczas przygotowywania niedzielnego obiadu ze swojego pokoju wychodzi Joe ze słuchawką w ręku.

- Babcia dzwoni - mówi, podając mi telefon. Wycieram rękę w ścierkę i biorę od niego

aparat. Po drugiej stronie kabla telefonicznego nie czekają na mnie żadne słowa powitania.

- Nie potrafię tego zrozumieć. Po tych wszystkich latach, kiedy sądziłam, że już nigdy o nim nie wspomnisz. Fred Roper! - oświadcza moja matka, a w jej głosie wyraźnie słychać totalne zaskoczenie i szok. - Joe o wszystkim mi opowiedział.

- Witaj, mammo - mówię, ignorując jej ton, ale czuję, że i tak będzie mnie nękać kłopotliwymi pytaniami.

- To sprawiło, że przypominałam sobie przeszłość. Kiedy pomyślę o jego ojcu! Och! - Wciąga gwałtownie powietrze i wyobrażam ją sobie, jak stoi na schodach w domu w Rushton i dramatycznym gestem przykłada dłoń do piersi.

Natychmiast włącza się we mnie czerwony guziczek samoobrony.

- W czym właściwie tkwi problem? - pytam z zaciśniętymi zębami, żałując, że nie mam na tyle odwagi, by powiedzieć: „twój problem”.

- No cóż, przecież wiesz. Zawsze mówiłam...

- Mammo! - przerywam, czując, że moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu. - Czy nie możesz tego po prostu zostawić? To wszystko działo się dawno temu. Fred wie teraz całkowicie odmienne życie. Jest odpowiedzialny, uprzejmy i - dla twojej informacji - cudownie było znowu go spotkać. W niczym nie przypomina Milesa... - urywam, wściekła na siebie, że robię to, co zawsze, to znaczy usprawiedliwiam się przed nią. Wiem, że i tak to nie zadziała.

- Ale co z Joe? Pomyśl o nim...

- Mammo! - Biorę głęboki wdech. - Proszę. To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Po prostu martwię się o mojego wnuka, kochanie. Ktoś w końcu musi się o niego troszczyć - mówi drażniącym mnie tonem, a ja z trudem powstrzymuję się przed zgrzytaniem zębami. Od kiedy urodził się Joe, ciągle sugeruje, że jestem koszmarną matką. Mam straszną ochotę machnąć na wszystko ręką i wygarnąć jej, że wiem o listach i o tym, iż dawno temu zniszczyła mój związek z Fredem. Ale to naprawdę nie ma sensu. Mama jest przekonana, że to ona stoi po właściwej stronie barykady. Zawsze tak uważała. Nie ma sensu tłumaczyć jej, jaką wyrządziła krzywdę, ponieważ i tak wszystkiego się wyprze.

- Czy zadzwoniłaś z jakiegoś konkretnego powodu? - pytam sarkastycznie.

- W następny weekend jedziemy w odwiedziny do kuzyna twojego ojca - odpowiada. - Zastanawiałam się, czy mogłabyś przyjechać tutaj i nakarmić Oscara podczas naszej nieobecności.

- Oscar to stary kot rodziców. - Wszyscy w okolicy wyjechali teraz na wakacje - ciągnie i jestem pewna, że robi to na użytek mojego ojca, który pewnie kręci się gdzieś w

poblizu.

- W porządku - zgadzam się i kończę rozmowę tak szybko, jak to tylko możliwe.

W miarę upływu następnego tygodnia nie przestaję czuć dziwnego rozdrażnienia. Ale to nie interesy mnie martwią, ani Joe, ani żadna z rzeczy, które zazwyczaj tkwiły w mojej świadomości. Nie, moim problemem jest to, że mimo największych starań mojej matki, by mnie do niego zniechęcić, Fred ciągle siedzi w mojej głowie.

Nieustannie zakrada się do moich myśli, a ja przyłapuję się na wymyślonych rozmowach z nim. Gdy mijają kolejne dni, a on się w ogóle nie odzywa, ponad wszystko pragnę kontaktu z nim. We czwartek zrywam się o świcie, by kupić świeże kwiaty na giełdzie, a kiedy wracam z nimi do kwiaciarni, Lisa ma dość.

Jak zwykle krzątamy się na tyłach kwiaciarni, tuż za kasą. Nie ma tam wiele miejsca - mieści się jedynie szeroki stół i stary porcelanowy zlew. Zawiesiłam też kilka półek, na których w nieporządku leżą wstążki, stoi czytnik kart kredytowych, czajnik, słoik z kawą i najważniejszy element tego bajzlu: radio, które właśnie nadaje poranną listę przebojów. Stół pomiędzy mną i Lisa wyładowany jest stosem dodatków, włączając w to różnobarwne paprocie. Na samej górze leży pęk kwiatów z łądygami zwróconymi w naszą stronę. Obcinamy po kolei ich końce, płuczemy je i układamy w czarnych wiadrach.

Laikowi może się to wydawać kompletnym chaosem, ale jednym z najbardziej satysfakcjonujących elementów mojej pracy jest to, że do godziny dziewiątej, kiedy otwieram drzwi, kwiaty wyglądają naprawdę wspaniale, a kwiaciarnia wydaje się pogodna, jasna i uporządkowana. No cóż, w każdym razie taki jest zawsze nasz plan.

- Mickey? - Lisa pstryka palcami tuż przed moją twarzą.

- Cco?

- Wracaj na ziemię.

Potrząsam głową i uśmiecham się do mojej współpracownicy.

- Nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałam, prawda?

Niepewnie przestępuję z nogi na nogę.

- Czy nie chodziło ci przypadkiem o zamówienie kosza z kwiatami?

- Tak. Jakieś pięć minut temu. - Wygląda na poirytowaną.

- Przepraszam.

Lisa odkłada sekator na stół.

- Wiem, że myślisz o nim.

- O kim? - pytam niewinnie, ale i tak wiem, że zostałam przejrzana.

Lisa kładzie jedną rękę na biodrze i unosi brwi.

- Nie mam pojęcia, co takiego łączy ciebie i Freda - mówi - ale najwyraźniej ta sprawa nie jest zakończona. Kiedy znowu się zobaczycie?

- Nie wiem. - Wzdycham ciężko, wtykając drut w główkę pomarańczowej gerbery i owijając go wokół łydki. - To jest właśnie mój problem. Nie wiem niczego. Tamtego wieczoru tak świetnie się bawiliśmy, ale pozostało to takie niedopowiedziane.

- Chcesz się z nim spotkać?

- Oczywiście, że tak, ale to zbyt skomplikowane. Po pierwsze, wkrótce się żeni.

- Więc dlaczego zaprosił cię na tamtą imprezę? Bezradnie wzruszam ramionami.

- Słuchaj, przecież miałaś mu powiedzieć o Peterze, tym z imprezy. Dlaczego sama go nie odwiedzisz? - ciągnie Lisa.

- Co? Teraz?

- A dlaczegoż by nie? To ty zawsze mi powtarzasz, żebym była bardziej impulsywna.

- Ale jest jeszcze wcześniej rano.

- No i co z tego? Od kiedy w takich przypadkach ważna jest pora dnia?

Kolejne pół godziny zabiera mi przekonanie samej siebie, że może Lisa ma rację. Gdy wsiadam do vana czuję, że kręci mi się w głowie ze zdenerwowania i podekscytowania, jakbym zaraz miała zrobić coś wyjątkowo nieprzyzwoitego. To szaleństwo, ponieważ jeżeli staram się coś udowodnić, to tylko samej sobie. Wokół nie ma nikogo, kogo by to obchodziło, wciąż jednak prowadzę ze sobą wewnętrzny dialog, starając się przekonać sztywniaką Mickey, że to doskonały pomysł.

Kiedy wreszcie udaje mi się znaleźć ulicę, na której mieszka Fred, nie jest taka, jak ją sobie wyobrażałam. Sądziłam, że będzie tu jakoś tak szykownie i pedantycznie, a okazuje się, iż jest to przeciętna londyńska ulica, wzdłuż której ciągnie się rząd pączkujących platanów i wyboisty pas dla autobusów. Dwa razy sprawdzam w moim sponiewieranym organizmzie adres, który nagryzmoiliłam eyelinerem, kiedy po imprezie Fred odprowadzał mnie i Joe do taksówki, po czym parkuję na żółtej linii przed zniszczoną kamienicą. Musiałam przejeżdżać tędy mnóstwo razy i teraz do mnie dociera ten niesamowity fakt, że Fred mieszkał tutaj przez cały czas, a ja w ogóle o tym nie wiedziałam.

Wyłączam silnik i wysiadam z samochodu w chwili, gdy z sąsiedniego domu wybiega jakiś miłośnik joggingu i sapiąc, zbliża się do mnie. Kiwam głową i mówię: „Dzień dobry”, ale mężczyzna w średnim wieku rzuca tylko podejrzliwe spojrzenie i omija mnie szerokim łukiem.

W okolicy niewątpliwie kwitnie wojna podjazdowa, ponieważ każdy skrawek ściany pokrywa warstwa kolorowego graffiti. Nasuwam okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy

i przyglądałam się szeregom okien z łuszczącą się farbą w kamienicy Freda, zastanawiając się, które należą do niego. W żadnym z nich nie ma ani śladu życia, z wyjątkiem tłustego rudego kota, który siedzi na parapecie na parterze i mruży oczy w porannym słońcu.

Nagle rozlega się głośny brzęk, gdy właściciel pobliskiej kafejki podciąga metalowe żaluzje. Postanawiam zaczekać na stosowny moment i przygotować się psychicznie, zanim zakłócę domowy spokój Freda. Właściciel kawiarenki zdejmuje plastikowe krzesło z wyszczerbionego stolika, bym mogła przy nim usiąść. Mruga do mnie i gwizdząc melodyjkę, która leci właśnie w radiu, zamiata jednocześnie podłogę, a do mnie dociera - gdy bezmyślnie bawię się cukiernicą - że od kiedy tylko sięgam pamięcią, nie miałam dla siebie czasu, by tak po prostu usiąść spokojnie i porozmyślać. Opieram podbródek na dłoniach i rozkoszuję się tą chwilą, wdycham aromat świeżo zaparzonej kawy, a moje oczy odpoczywają w łagodnych promieniach słońca, sączących się do środka przez duże okna. Po drugiej stronie szyby znajduje się mieszkanie Freda i uświadamiam sobie, że ogarnia mnie teraz uczucie tak bardzo znajome, że prawie śmieję się w głos.

Pomimo naszych obaw - kiedy ukończyliśmy podstawówkę w Rushton i po upalnym lecie ja zaczęłam chodzić do gimnazjum w Bowley - fakt, że Fred jest w innej szkole, nie miał prawie żadnego wpływu na nasze życie. Jak wszystkie dzieci z łatwością przystosowaliśmy się do nowych warunków. On miał nowych kolegów, podobnie jak i ja, ale nadal mieliśmy siebie nawzajem, kiedy już wszyscy nasi znajomi odchodzili do własnych domów oraz podczas długich niedzielnych wieczorów, gdy było jeszcze za wcześnie, aby pójść spać.

Czasami czułam zazdrość. Jego szkoła dla paniczyków wydawała się interesująca, miała duże boiska, laboratorium językowe i pyszniła się sekcją artystyczną. To nie znaczy, że zamieniłabym sobotnie poranki, podczas których tata zawsze przygotowywał jakąś zapiekankę, na bezsensowne lekcje weekendowe Freda, ale on przynajmniej czegoś się uczył. Moja długa podróż przez system oświatowy w gimnazjum w Bowley wydawała się nudna i w porównaniu z edukacją Freda całkowicie bezużyteczna.

Kiedy wydarzyło się coś ważnego - ktoś się z kimś pobił albo wyleciał ze szkoły - opowiadałam o tym Fredowi, ale zazwyczaj, kiedy każdego popołudnia docierałam do domu, wspomnienia szkolne ulatywały z mojej świadomości. Pomijając fakt, że toalety śmierdziały bardziej niż w podstawówce, a na lustrach było powypisywanych więcej niewybrednych żartów, jedyne istotne różnice, które zauważałam w gimnazjum w Bowley, stanowiły wyższe krzesła, dłuższe kary zostawiania po zajęciach i większe odległości, jakie musieliśmy pokonać, przechodząc z lekcji na lekcję.

Na zajęciach, tak samo jak i w podstawówce, bez przerwy zwracano mi uwagę, że śnię

na jawie albo rozmawiam na tyłach klasy, a jedyną rzeczą, która wzbudzała moje zainteresowanie, była ogromna, zajmująca niemal całą ścianę, cieniowana mapa świata. Potrafiłam godzinami gapić się na zaznaczone grubszą kreską granice państw, wymawiając w myślach zagraniczne nazwy miast, i dziecinnie marzyć, że mknę przez nie wszystkie podrasowanym czerwonym autem z turboładowniem, z misją odnalezienia sprytnie ukrywającego się naszego wysłannika 00 Freda, który zdążył już poznać miejscowy żargon i był gotowy powybijać swoich przeciwników oraz przywrócić porządek.

Natomiast w świecie realnym egzystowałam jakoś dzięki kolejnym odcinkom *Dallas* i ponadprogramowym szczegółom szkolnego życia. Popalałam papierosy na tyłach boiska, robiłam fatalne wrażenie na wszystkich nauczycielach i przy każdej nadarzającej się sposobności wycinałam na szkolnych ławkach cyrklem brzydkie słowa. Udawało mi się nie wpadać w poważne tarapaty tylko dlatego, że Pippa, moja dawna ofiara żartów z podstawówki, pozwalała mi ściągać swą staranną pracę domową każdego ranka w autobusie, w zamian za moje zapewnienie, że może być zastępcą przywódcy naszego gangu.

Jako szefowa gangu stałam się wściubiającym we wszystko nos ekspertem, który wiedział, kto się z kim przyjaźni, kto woli którego wykonawcę z którego zespołu muzycznego i kto odwiedza który zakład fryzjerski. No i oczywiście moje myśli wypełniał najbardziej zajmujący temat na świecie: chłopcy.

Nie trzeba chyba mówić, że ci, z którymi miałyśmy kontakt w szkole, byli wstrętni i godni naszego lekceważenia, ale potajemnie wszystkie byłyśmy nimi zafascynowane. Aby udowodnić moją wyższość, puściłam wśród dziewczyn z mojej klasy plotkę, że całowałam się po francusku z pewnym chłopakiem, i robiłam do tego odpowiednie miny. Sekretne Amory Mickey stały się głównym tematem szeptanych rozmów, a z braku innego tematu do plotek moja sława tak urosła i tak wielu chłopaków brano pod uwagę, że w końcu nie mogłam się przyznać, iż to tylko Fred.

Na początku zdumiało mnie, że kłamstwo się nie wydało, ale gdy czas mijał, a wysrane z palca opowieści o moim zaawansowaniu w tajemnym oświeceniu seksualnym nadal krążyły, upajałam się rozgłosem, jaki mi to wszystko przyniosło. Aby nie zostać pokonaną przez Tracey Hitchin, moją rywalkę z He, rozpuściłam plotki, że poszłam na całość. Nawet Pippa nie znała prawdy. Zaskakujące, ale nikt nigdy nie odkrył, że w małe miseczki mojego stanika upycham papier toaletowy. Nikt się też nie połapał, że powiększony jak u ciężarnej kobiety brzuch, który konsekwentnie prezentowałam raz w miesiącu, był w rzeczywistości efektem kombinacji sera, skórek od cebuli i sprytnej kontroli mięśni. Podczas gdy wszyscy wokół cmokali i wzdychali: „Biedna Mickey”, ja wykorzystywałam moją tak

zwaną kobiecość do tego stopnia, że sama prawie uwierzyłam, iż to ja napisałam list wydrukowany w dziale porad w „Jackie”, dotyczący tamponu, który utkwiał... no, tam wewnątrz.

Tak naprawdę, nie miałam pojęcia, czego oczekiwać tam w środku. Unikałam wszelkich rozmów z mamą na ten temat, zakładając, że jestem całkowicie niefunkcjonalna i dziwaczna. Na osobności uważnie i niecierpliwie przyglądałam się swojej płaskiej klatce piersiowej i dziecięcemu ciału i gorąco modliłam się, by coś, cokolwiek, nareszcie zaczęło się z nim dziać.

Kiedy miałam trzynaście lat, Fred skończył gimnazjum w Rathborne i wyjechał do szkoły z internatem. Mimo że przygotowaliśmy się na to, fakt, iż miał być teraz ciągle nieobecny, okazał się okropnym szokiem. Odczuwałam to tak, jakby udawał się na jakąś inną planetę. Gdy odjeżdżał z Milesem jego porsche, wiedziałam, że pewna era w naszym życiu się skończyła. Mimo że przysiągł na wszystkie świętości, że co tydzień będzie do mnie pisał ze szczegółami o swoim fascynującym życiu z dala od domu, nie zrobił tego.

Podczas jego nieobecności świat stanął na głowie, gdyż szturmem wdarł się do niego okres dojrzewania. Z mojego stanika znikł papier toaletowy, a jego miejsce zajęły coraz większe piersi. Rosły i rosły, podobnie jak i moje konflikty z rodzicami dotyczące burzliwych i niezmiennie krótkotrwałych romansów, w które wplątywałam się z różnego rodzaju przyszczatymi młodzianami. Kiedy Fred przyjeżdżał do domu, prawie się nie widywaliśmy, tak byłam zajęta moim pełnym dramatyзмом i - jak uważałam - całkowicie spełnionym życiem. Miałam na głowie płyty do kupienia, włosy do ufarbowania, imprezy do zaliczenia, a Fred był tylko chłopakiem z sąsiedztwa. Paniczykowskim chłopakiem z sąsiedztwa.

Tak więc nic mnie nie przygotowało na szok, jakiego doznałam, gdy dwa lata później przyjechał do domu na ferie świąteczne. Ni z tego, ni z owego okazał się jakiś taki zmieniony: był nie tylko wyższy i szerszy w ramionach, ale miał także krótkie, modnie ostrzyżone włosy. Gdy podglądałam przez szparę w zasłonach w salonie, jak obejmuje przed domem Louise, swoją matkę, kryjąc ją w fałdach używanego, ale i tak niesamowicie modnego wojskowego płaszcza w kolorze khaki, nie miałam żadnych wątpliwości, że Fred stał się mężczyzną. Jego wygląd poraził mnie nawet przez zaparowaną szybę.

Nie tylko zresztą mnie. W desperackim pragnieniu świeżej męskiej krwi w społeczności Rushton, szczególnie w związku ze zbliżającą się bożonarodzeniową dyskoteką, prawie każda z moich rywalek traktowała Freda jako materiał na partnera do przytulanych tańców. Nawet Annabel Roberts, najładniejsza dziewczyna w klasie i cel moich intryg, postanowiła się ze mną zaprzyjaźnić, kiedy się dowiedziała, że Fred i ja jesteśmy sąsiadami.

Bardzo wątpię, czy Fred był świadom swego wysokiego statusu społecznego oraz tego, jak wielu dziewczynom w Rushton się podobał, ale postanowiłam, że to ja wygram. Miałam poczucie, że Fred pełnoprawnie należy do mnie. To właśnie ja znałam go najlepiej, mieszkałam najbliżej i dzięki temu miałam największe szanse, by go uwieść. Więc tamtego wieczoru poprzedzającego dyskotekę, po to tylko, by Fred upewnił się, co jest w karcie dań, celowo podczas rozbierania się nie zasłoniłam okna.

Na tyłach Domu Pamięci zamarzło błoto, tworząc twarde wzniesienia, a kałuże pozamieniały się w tafle lśniącego lodu, ale ja nadal byłam w radosnym nastroju. Po kilku godzinach strojenia się w domu Pippy czułam się dobrze przygotowana: moje rzęsy ugiwały się pod grubą warstwą elektryzująco niebieskiego tuszu, usta lśniły od truskawkowego błyszczycy, a całe ciało intensywnie pachniało połową dezodorantu Impulse. A poza tym zaopatrzyłam się w stosowny trunek i papierosy.

- Co to jest? - zapytała Pippa, gdy dumnie odkręciłam zakrętkę wąskiej butelki po soku pomarańczowym i wdychałam ostry zapach brązowego koktajlu, który potajemnie przelałam z butelek stojących grzecznie w barku mojego taty.

- Gin, martini, cinzano rosso... i coś zielonego. Pippa zmarszczyła nos, kiedy podałam jej butelkę.

- Czy nie wstawimy się od tego?

- I o to właśnie chodzi - odparłam, szczerząc zęby.

- Ale ja zamarzam, Mickey. Czy nie możemy wypić tego w środku? - błagała Pippa, przestępując z nogi na nogę, a w jej uszach rytmicznie kołysały się kolczyki ze świętym Mikołajem, które kupiła specjalnie na ten wieczór. Właściwie nie powinno być jej zimno w porządnych butach i moherowym szalu, wystającym spod ciepłego, szkolnego płaszcza.

- Nie - odparłam stanowczo. Jak już jej wcześniej wyjaśniłam, nie będzie zbyt rozsądnie przybyć przed Fredem. W żadnym wypadku nie chciałam stać się jeszcze jedną panienką z otaczającego go wianuszka wielbicielek. Pippa i ja wejdziemy wtedy, kiedy będziemy pewne, że zostaniemy zauważone. - Napij się. To cię rozgrzeje - poradziłam.

Pippa pociągnęła spory łyk, zamrugła i poklepała się po klatce piersiowej, po czym oddała mi butelkę. Rozgniotłam niedopałek papierosa obcasem moich nowych, czarnych, oryginalnych szpilek i wyjrzałam za róg, by sprawdzić, co się dzieje w środku.

Przez otwarte drzwi widać było wyraźnie, że Dom Pamięci przeszedł niezwykłą metamorfozę. Wykonane ze słomy bożonarodzeniowe scenki zostały przysłonięte przez dekoracje wynajętej z Bowley grupy Terry's Disco. W rytm głośnej muzyki pulsowały czerwone, niebieskie i zielone światła nad barem, z sufitu zwisała duża kula dyskotekowa,

która rzucała na ściany cienie przypominające ławice pędzących srebrnych rybek, a zniszczoną drewnianą podłogę zmieniała w magiczny wir. Na ścianach porozwieszane były różowe balony, które kołysały się w przeciągu, gdyż wszyscy akurat wchodzili na salę.

Przez moje ciało przebiegł dreszcz podekscytowania, gdy oparłam się o mur i pociągnęłam z butelki porządny łyk.

- Na twojej grzywce zaczyna osiadać szron - oznajmiła Pippa.

- Naprawdę? - spytałam, ostrożnie dotykając ufryzowanej i zaczesanej do tyłu grzywki, którą wcześniej obficie spryskałam lakierem z brokatem. - Mogłabyś w takim razie iść i zerknąć? - zapytałam z niecierpliwością.

Pippa przewróciła oczami. Już dwudziesty raz w ciągu dwudziestu minut poprosiłam ją o to samo.

- No idź - błagałam.

Wydając z siebie znudzony jęk, Pippa opuściła naszą kryjówkę i poszła zajrzeć do środka.

- Tak, on już jest - oznajmiła minutę później. Klasnęłam z radością w ręce. Dzisiejszy wieczór będzie należał do mnie.

- Jak wyglądam? - zapytałam, obciążając spódniczkę na kolana, których skóra zdążyła już pokryć się niebieskimi żyłkami.

- Dobrze - oceniła Pippa. Nerwowo obwąchałam pachy.

- Nie śmierdzi ode mnie potem, prawda? - upewniłam się, machając ręką przed twarzą Pippy.

Zakaszłała i zmarszczyła nos.

- Nie - odparła, mrużąc oczy.

- W takim razie idziemy i niech impreza wreszcie się zacznie. - Uśmiechnęłam się i ruszyłam posuwać w stronę drzwi.

A w środku poczułam, jak w miarę zapelniania się stolików pod ścianą napięcie rośnie.

- Tam jest - rzekłam, trącając łokciem Pippę i spoglądając w stronę Freda, który rozmawiał z Dave'em i resztą naszej dawnej bandy z podstawówki. W niebieskiej koszuli w paski wyglądał dużo bardziej wyrafinowanie niż cała reszta. Odgarniał właśnie z oczu długą grzywkę.

Zaciskając usta, przykryłam cienką satynową marynarką butelkę po soku pomarańczowym, by przesznułować do środka nasz nielegalny trunek, i pewnym krokiem udałam się do stolika w rogu.

- Czy patrzy w moją stronę? - zapytałam Pippę przez zaciśnięte zęby.

- Mickey - warknęła.

- Patrzy? - upierałam się.

Pippa odwróciła się i popatrzyła prosto na Freda.

- Tak - rzekła, unosząc dłoń, by mu pomachać. Chwyciłam ją.

- Nie rób tego. - Groźnie przewróciłam oczami.

- Co? - zapytała bez tchu.

- Chodzi o to, żeby grać trudno dostępną - odparłam, szybko siadając przy stoliku i udając, że w ogóle nie interesuje mnie obecność jakichkolwiek chłopców. Pomachałam do Annabel, Lucy i Claire, a niedługo miejsca przy naszym stole zapełniły się dziewczętami z gimnazjum w Bowley.

Nie musiałyśmy długo czekać, by impreza się rozkręciła. Zdając sobie sprawę, że potrwa tylko do północy, a to już za cztery cenne godziny, i że istnieje ograniczona ilość serwowanej nam coca - coli i soku pomarańczowego, każdy przyniósł ze sobą własny alkohol i był zdecydowany zrobić z niego użytek tak szybko, jak to tylko możliwe.

- A więc czy jest tu ktoś, kto ci się podoba, Mickey? - zapytała Annabel, przekrzykując muzykę i ukradkiem rozlewając do szklanek cizano i oranżadę.

- Może - odpowiedziałam enigmatycznie. - A tobie? Przytaknęła, spoglądając znacząco w kierunku Freda.

- Ale nic nie mówię.

Czując nagły poryw gniewu, wstałam i rozpoczęłam niestrudzoną kampanię na parkiecie. Nie miałam zamiaru bawić się w jej grę. Nie miałam zamiaru tak bardzo się odsłaniać. Zamiast tego jasno dałam do zrozumienia, że nie obchodzi mnie nic poza tańcem razem z Claire, Marią i Denise. Do jedenastej Fred nie miał szansy, by się do mnie zbliżyć.

- Relax! - śpiewałam głośno najnowszy przebój Frankie Goes To Hollywood, machając rękami, nogami i w ogóle całym ciałem, gdy obracałam się o dziewięćdziesiąt stopni razem z całą resztą.

- Mickey! - To Lisa krzyczała mi do ucha.

- Co?

- Chodzi o Pippę. Potrzebuje cię. Jest w kibelku.

Lisa wskazała palcem drzwi do toalety na drugim końcu sali.

Przepchnęłam się na przód kolejki, głośno zapukałam i zawołałam Pippę. Usłyszałam, jak drgnęła zasuwka i drzwi się uchyliły. Pippa klęczała na poplamionej, brązowej podłodze, obejmując muszlę klozetową. Spojrzała na mnie, jej oczy całe nabiegły krwią, a włosy

zwiślały w mokrych od wymiocin strąkach.

- O nie, Pippa! - Zatrzasnęłam za sobą drzwi do kabiny.

- Uch. - To było jej jedyne przywitanie, po czym ponownie wstrząsnęła nią fala wymiotów. Odwróciłam się i zacisnęłam usta, czując odór zwracanego alkoholu i częściowo przezutych orzeszków ziemnych.

Pippa jęknęła, a ja poklepałam ją po plecach, słuchając jednocześnie przytłumionych dźwięków muzyki.

- Panie, łapcie swoich partnerów. Teraz nieco zwalniamy - zanucił Terry, a mikrofon zatrzeszczał w sprzężeniu zwrotnym, gdy nasz DJ zmieniał płytę. I puścił *Last Christmas* zespołu Wham! To była moja ulubiona piosenka i za nic nie mogłam jej przegapić.

Pochyliłam się w panice.

- Dobrze się już czujesz? - spytałam. - Grają teraz tę... Pippa przerwała mi kolejnym, gwałtownym atakiem mdłości.

Plując i kaszląc, udało się jej wyjąkać:

- Nie odchodź, Mickey - błagała, patrząc na mnie. Nawet w marnym świetle ubikacji widziałam, że jej twarz jest bladozielona.

- Wszystko będzie dobrze - odparłam tak miło, jak tylko potrafiłam, ukucnęłam przy niej, bez powodzenia starając się wytrzeć jej twarz papierem toaletowym, i z rozdartym sercem słuchałam mojej ulubionej piosenki.

- Kto tam jest? - To był głos pani Bevan - Jones, kierowniczkii rushtońskiego Klubu Młodych, która zarządzała dzisiaj w kuchni dystrybucją napojów. - Cała kolejka czeka do toalety.

Ostrożnie otworzyłam drzwi i wystawiłam głowę.

- To Pippa. Nie czuje się zbyt dobrze.

- Tak?

- Myślę, że zatrzała się czymś, co tutaj zjadła - skłamałam gładko. - Właśnie rzyga... - Przerwał mi jęk pani Bevan - Jones.

- To znaczy jest jej okropnie niedobrze.

- O rety - wyraziła zarazem dezaprobatę i zdziwienie.

- Będzie musiała stąd wyjść. Może pastor zawiezie ją do domu. Słyszałam, jak za nami Pippa się męczy, po raz kolejny wymiotując.

- Mickey? - wyjęczała.

- Trzymaj się - rzuciłam przez ramię. Popatrzyłam na panią Bevan - Jones.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak pójde i przyniosę trochę wody - rzekłam, krzywiąc

się. Pani Bevan - Jones przytaknęła i odepchnęła mnie na bok, zatraskując drzwi kabiny. Z poczuciem winy czym prędzej stamtąd czmychnęłam. Wiedziałam, że Pippa będzie wściekła, ale pani Bevan - Jones była ekspertem w zakresie pierwszej pomocy. Wiedziała wszystko o reanimacji metodą usta - usta i kiedy Pippa wreszcie wytrzeźwieje, jeszcze mi podziękuje, że zostawiłam ją w tak kompetentnych rękach.

Parkiet zdążył się już zamienić w falującą masę rozkołysanych par. Jak oszalała szukałam Freda, przemierzając salę. Nie musiałam długo się rozglądać. W samym środku tłumu Annabel ciasno oplatała ramionami jego szyję. Mimo że miała zamknięte oczy, było jasne, iż kieruje ich prosto pod zwisający pęk jemioly. Stałam, a moje gardło ścisnęło się, gdy patrzyłam, jak kołyszą się w tańcu, który przeznaczyłam dla siebie. Wtedy Terry pociągnął za sznurek i z sufitu spłynęła sieć pełna balonów. Wszyscy spoglądali w górę, a na ich twarzach malował się zachwyt, gdy kaskady balonów romantycznie opadały w dół. Odwróciłam się na pięcie i oślepią łzami pomaszero wałam do drzwi, a potem wyszłam na zewnątrz.

Wcześniej zdążyło już zacząć padać. Uniosłam niewielki kołnierz i zatrzęsłam się, a grube płatki fruwały wokół mnie i opadały na ziemię, tworząc na schodach Domu Pamięci biały, puszysty dywan. Droga była kompletnie wyludniona, biały spokój zakłócało jedynie szalone kolo kolorowych lampek wokół postaci świętego Mikołaja na wystawie jednego ze sklepów. Ciężkimi krokami posuwałam się naprzód, czując, że wszystkie moje nadzieje legły w gruzach, a za sobą słyszałam stłumione łkania George'a Michaela.

Co ja sobie wyobrażałam? Oczywiście, że Fred i Annabel będą ze sobą chodzić. Jaka ja miałam w ogóle szansę? Dlaczego miałby myśleć o nas inaczej niż jak o starych przyjaciołach?

- Mickey! Zaczekaj! - Usłyszałam za sobą głos Freda i zatrzymałam się, ale nie odwróciłam. Pospiesznie wytarłam twarz i wcisnęłam dłonie głęboko do kieszeni.

- Dokąd idziesz? - spytał bez tchu, gdy dobiegł do mnie w samej tylko koszuli.

Wzruszyłam ramionami i popatrzyłam na moje eleganckie buty. Doskonale nadawały się do tańca, ale teraz mnie dobijały.

- Do domu - mruknęłam, unikając pełnego troski wzroku Freda. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było, żeby zobaczyć, jak bardzo jestem wytracona z równowagi.

- Nie chcesz zostać do końca? - zapytał, wskazując ręką na Dom Pamięci.

Zmarszczyłam nos.

- Zaczyna robić się nudno - oświadczyłam, ruszając z miejsca i starając się nie utykać.

- Myślałem, że zatańczymy razem - powiedział Fred, a ja wyraźnie słyszałam w jego

głosie rozczarowanie.

Odwrociłam się. Widziałam, jak z ust Freda wydobywają się obłoczki białej pary, a na jego włosach zaczynają osiadać płatki śniegu.

- Czyżby? - spytałam, starając się, by mój głos brzmiał obojętnie. - Wydawałeś się bardzo zajęty.

- Nie bądź taka - rzekł błagalnie. - Prawie cię nie widziałem od mojego przyjazdu do domu. Chodźmy z powrotem do środka.

Z uporem pokręciłam głową.

- Ale przecież są święta. - Zrobił krok w moją stronę.

- No i? - spytałam zrzędlwym tonem, nie dając się zwieść przyjacielskiemu tonowi jego głosu.

Fred przewrócił oczami i uśmiechnął się.

- No i to, że jeśli nie chcesz zatańczyć ze mną na sali, Mickey Maloney, będę zmuszony zrobić to z tobą tutaj - odrzekł, śmiejąc się. Chwycił mnie za rękę i zawlókł na środek drogi.

- Fred! - zaprotestowałam, ale też się śmiałam, gdy objął mnie w talii, a drugą ręką ujął moją dłoń. Kiedy Fred wirował ze mną po śniegu, z Domu Pamięci dobiegały stłumione dźwięki najnowszego przeboju Tiny Turner *What's Love Got To Do with It*.

- Witaj, nieznajoma - rzekł, uśmiechając się do mnie. - Co chciałabyś dostać na Gwiazdkę?

Ciebie, ty głupcze, chciałam zawołać. Zamiast tego wzruszyłam ramionami i przybrałam mój najbardziej kumplowski ton:

- Nic wielkiego. Pewnie jak zwykle będzie to jakiś sweter. Przyjeżdża babcia Ritchie, a przecież wiesz, jaka ona jest. A jak tam u was?

- U nas unikamy rozmów o świętach. Miles jeszcze się nie pojawił.

- Co? To znaczy, że nawet się z nim nie widziałeś?

- Aha. Mama jest przez to w paskudnym humorze. Jeżeli się nie pokaże, pewnie święta u nas zostaną odwołane.

- Jestem pewna, że mógłbyś w takim razie przyjść do nas - oświadczyłam. - Będziemy po prostu oglądać telewizję i tym podobne. Chyba pokażą Jamesa Bonda na... - Urwałam, gdy spojrzałam w oczy Freda.

- Mickey? - Strzepnął płatek śniegu z czubka mojego nosa.

- Co?

- Zamknij się - rzekł, przyciągając mnie do siebie i ciasno obejmując ramionami. I

wtedy, gdy wokół nas fruwały płatki śniegu i zakrywały ślady naszych butów, Fred mnie pocałował.

Właściciel kawiarni wyciera z mojego stolika rozsypany cukier i wrywa mnie tym samym z zadumy. Uśmiechając się, płacę za kawę, zabieram zamówione śniadanie na wynos, po czym przechodzę na drugą stronę ulicy. Jestem przekonana, że moja wizyta nie zostanie zinterpretowana jako coś więcej niż jedynie przyjacielskie odwiedziny i że Fred się z niej ucieszy. Jednak w chwili, gdy mój drżący palec zsuwa się z przycisku dzwonka, opuszcza mnie cała dotychczasowa odwaga.

W ciągu tych kilkunastu sekund, gdy czekam na pojawienie się Freda w drzwiach, nachodzą mnie okropne wątpliwości. Fred, a raczej pojęcie Freda, istnieje jedynie w mojej wyobraźni i hołubienie w sobie dawnych uczuć jest niczym próba pożegłowania w kierunku zachodzącego słońca w uroczym, ale jednak przebitym gumowym pontonie. Zachowuję się idiotycznie, oczekując przyjaźni ze strony człowieka, którego nie widziałam ani od którego nie otrzymałam znaku życia przez ostatnie piętnaście lat. To po prostu szczęśliwy traf, że nadal potrafimy się ze sobą dogadać i wzajemnie rozśmieszyć. Zrobiłam się sentymentalna w imię starych czasów, ponieważ kiedyś Fred był chłopakiem, do którego czułam tak wiele, iż myślałam, że bez niego umrę. Ale teraz? Teraz on jest dorosłym mężczyzną i pewnie śpi właśnie spokojnie w jednym łóżku z kobietą, z którą ma zamiar dzielić resztę swojego życia.

Każda komórka w moim ciele nakazuje mi uciekać, a im dłużej stoję wrośnięta w schodek przed drzwiami, tym bardziej niepewnie się czuję. Już mam wziąć nogi za pas, kiedy drzwi się otwierają.

- Mickey? - pyta Fred, a jego głos i wygląd świadczą o dezorientacji, gdy tak stoi z ręką na klamce. Na twarzy Freda widoczne są długie bruzdy pozostawione przez poduszkę, a jego włosy są rozczochrane i sterczą na wszystkie strony. Ma na sobie tylko dół bawełnianej piżamy, mogę więc bez przeszkód przyjrzeć się jego klatce piersiowej. Jest opalona i ładnie umięśniona, a gdy Fred ziewa, widzę zarys żeber. Ponieważ stoję niżej od niego, jego tors przesłania mi cały widok. Czuję, jak natychmiast czerwienieją mi policzki.

Już od dawna nie znajdowałam się tak blisko na wpół nagiego mężczyzny i aż do tej chwili, a zresztą i zawsze, mój popęd seksualny był dobrze i bezpiecznie ukryty. Schowany w zapomnianej, zamkniętej i obskurnej części miasta. Jednak na widok Freda drzwi do kryjówki z hukiem się otworzyły i cały popęd wy dostał się na zewnątrz i zaczął działać. Zanim uświadamiam sobie, co to jest, hormony zaczynają wariować w tych częściach mojego ciała, o których zdążyłam już zupełnie zapomnieć.

- Która godzina? - pyta Fred, drapiąc się po owłosionym brzuchu. Kiedy ostatni raz widziałam brzuch Freda, nie było na nim ani jednego włoska, był gładki niczym pupa niemowlaka. Jestem teraz zmuszona do zaciśnięcia dłoni w pięść, by powstrzymać się przed dotknięciem jego odsłoniętego ciała i ponownego przywłaszczenia.

- Ósma z minutami - jąkam, spoglądając mu w oczy i starając się ponownie nie spuścić wzroku. - Przepraszam. Nie pomyślałam. Dla mnie to już środek dnia. Już mnie nie ma.

- Nie, nie - protestuje Fred, otwierając szerzej drzwi. - Wejdz.

- Lepiej nie - odpowiadam piskliwie, czując dławienie w gardle ze zmieszania i paniki.

- Przeszkadzam ci. Jeżeli Rebecca jest tutaj...

- Rebecca? - parska Fred, potrząsając głową. - Nie martw się. Rebecca nigdy nie zostaje u mnie, a Eddie nie wrócił na noc. Jestem sam. No wchodź wreszcie.

Schyla się i podnosi z wycieraczki stosik ofert restauracji z daniami na wynos i reklam korporacji taksówkowych. Po chwili wchodzi za nim po schodach na górę.

Potrafię to zrobić, powtarzam sobie, gdy powoli wspinam się za Fredem, starając się nie gapić na jego tyłek. Jestem tutaj jako... jako... kto? Przyjaciółka. Tak jest. Dawna przyjaciółka z sąsiedztwa. Ale gdy tylko o tym myślę, dociera do mnie, że właśnie idea bycia przyjaciółką Freda powoduje, iż jestem tak bardzo zmieszana i zdezorientowana. Joe bez żadnego problemu określił Freda jako „naszego przyjaciela”, ale jaką naprawdę przyjaciółką jestem ja?

Fred i ja z pewnością nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, takimi, jakimi byliśmy w dzieciństwie. Ale czy to od razu czyni z nas byłych przyjaciół? A może jesteśmy nowymi przyjaciółmi? A jeśli tak, w takim razie dlaczego przeszłość miałaby mieć dla nas jakiegokolwiek znaczenie? Skoro jesteśmy nowymi przyjaciółmi, czy powinnam czuć się mniej zadowolona z faktu, że jesteśmy sami? Czy w głowie jakiegokolwiek przyjaciela rozbrzmiewałyby radośnie słowa: „Rebecca nigdy nie zostaje u mnie?”.

Pozostanę lepiej przy sąsiadce. Zawsze bezpieczniej jest trzymać się tej wersji. Jednak prawda jest taka, że przez ostatnie kilka dni umierałam z ciekawości, jak mieszka Fred. Pragnęłam zobaczyć go na tle jego mieszkania i wyobrażałam sobie, że jest to miejsce zaprojektowane przez dekoratora wnętrz, pełne wspaniałych sof i najmodniejszych, minimalistycznych mebli. Doznaję więc lekkiego szoku, kiedy pan domu otwiera drzwi stopą, a ja wchodzę za nim do jego królestwa.

Salon wypełnia stęchły odór wypalonych papierosów, a sofa zavalona jest gazetami. Fred wyciąga spod nich T - shirt i wkłada go na lewą stronę. Czuję lekkie zdenerwowanie,

gdy przyglądam się stosom kaset wideo i płyt CD. Minęły całe wieki, odkąd gościłam w mieszkaniu jakiegoś faceta, i tak naprawdę nie wiem, co ze sobą zrobić.

Właśnie zastanawiam się, dlaczego właściwie Rebecca nigdy nie zostaje tu na noc, kiedy zerkam przez uchylone drzwi do łazienki i zauważam jeden z możliwych powodów. Na rezerwarze leży gamę boy, a deska klozetowa jest oczywiście uniesiona.

Na parapecie w doniczce dogorywa jakiś kwiatek, a przez środek matowej szyby biegnie pęknięcie. Nie tak wygląda otoczenie przyjazne kobiecie i zdecydowanie nie jest „wystarczająco w stylu Gucciego” dla Rebecki, jak określiłaby to pewnie współpracownica Freda, Susan.

- Nastawię wodę - mówi Fred, zmierzając do kuchni.

- Nie trzeba - odpowiadam wysokim głosem i wiem, że słyhać w nim bojaźń i zdenerwowanie. - Przyniosłam ze sobą jakieś śniadanie. - Unoszę w górę papierową torbę. - Kawa i kanapki z wędliną.

Fred przeczesuje ręką włosy i tłumii ziewnięcie.

- Jadasz chyba śniadania? - upewniam się. Fred uśmiecha się w połowie kolejnego ziewnięcia.

- Oczywiście. Wybacz, ale jeszcze nie obudziłem się na dobre.

- Aha - odpowiadam ze zrozumieniem. - Zarwana noc?

- Yhy. Musiałem wyjść gdzieś z grupą ludzi z firmy. Skończyło się w jakimś barze. Udało mi się wywinąć około czwartej nad ranem. Tak przynajmniej mi się wydaje.

- No ładnie - odpowiadam z uśmiechem, ale czuję jednocześnie, jak uchodzi ze mnie powietrze. Większość czasu w ciągu ostatnich kilku dni spędziłam na rozmyślaniu o tym, co mamy ze sobą wspólnego, ale tylko oszukiwałam samą siebie. Prawda jest taka, że życie Freda krańcowo różni się od mojego. O czwartej rano ja myślałam o pobudce, a nie o pójściu do łóżka.

Rozglądam się po kuchni, ale nie znajduję miejsca, gdzie mogłabym postawić moją torbę. Na sosnowym stole w otoczeniu sterty papierów leży rozłożony laptop, natomiast szafka zastawiona jest brudnymi talerzami i pudełkami od pizzy. Zezuję w stronę niezbyt czystych szklanych drzwi w salonie, mam ochotę otworzyć je i wpuścić do środka nieco świeżego powietrza.

- Co tam jest? - pytam.

- Nic takiego. Tylko taras na dachu. Pokażę ci, jeśli chcesz. Kiwam głową, a Fred przechodzi przez pokój i otwiera drzwi. Widok jest niesamowity.

- Super - mówię, przechadzając się po tarasie. - Gdybyś włożył w to trochę pracy,

mógłbyś przekształcić to miejsce w oazę spokoju. Popatrz tylko na to światło, jest wspaniałe.

- Naprawdę? Nigdy tak o tym nie myślałem. - Fred mruży oczy. - I zdecydowanie nie przebywałem jeszcze tutaj o tej porze.

- Jesteś szczęściarzem, że masz dla siebie coś takiego. Gdybym była tobą, przesiadywałabym tutaj każdego dnia - mówię, sadząc się na jednym z plastikowych krzeseł, po czym wyjmuję z torby kubki z kawą i stawiam je na szerokim parapecie.

Fred opada na drugie krzesło i zakłada nogę na nogę. Podaję mu zawiniętą w papier kanapkę. Odpakowuje ją i sprawdza zawartość.

- Mnóstwo keczupu. Jestem zaskoczony, że pamiętałaś.

- Takie kanapki robił ci Miles... - urywam nagle. Przez chwilę wpatrujemy się w siebie, a ja przykładam dłoń do ust.

- Przepraszam... Nie chciałam... - zaczynam, ale Fred potrząsa głową i uśmiecha się.

- W porządku. Potrafię sobie z tym poradzić. Podaję mu kawę.

- Przynajmniej śniadaniem mogę ci się odwdziaczyć za tamten wieczór - mówię z uśmiechem. - Masz nowego, zapatrzonego w ciebie wielbiciela.

- Naprawdę? To bardzo miłe z twojej strony. Nie wiedziałem, że nadal coś do mnie czujesz.

- Nie ja - parskam ze śmiechem. - Joe. Uważa, że jesteś lepszy niż czekolada. Sądę, że tak naprawdę chciałby być tobą.

- Mam nadzieję, że mu to wyperswadowałaś.

- Staralam się, ale nie było mi łatwo. Fred uśmiecha się szeroko.

- Cóż, cieszę się, że dobrze się bawił. - Zawiesza głos i mruży w słońcu oczy. - A ty?

- Ja? - pytam. - Było niesamowicie. Tak naprawdę dlatego tutaj przyszłam. Jestem zwiastunem fantastycznych wieści i nie mogłam dłużej trzymać ich tylko dla siebie. - Uśmiecham się do Freda, a on unosi brwi. - Peter. Ten twój Peter - wyjaśniam. - Sprawił mi miłą niespodziankę. Bardziej niż miłą. Byłam w jego biurze i podpisałam umowę na dostarczanie co tydzień świeżych kwiatów.

Fred poprawia się na swoim krześle.

- Mickey, to świetnie.

- Nie musisz mi o tym mówić. To, co zobowiązał się mi płacić, wystarczy na spłatę mojego kredytu. I to wszystko dzięki tobie.

Fred trzyma kanapkę w połowie drogi do ust.

- Powiedzmy, że jesteśmy kwita. Tak będzie najlepiej.

- Joe jest także weselszy - ciągnę. - Nie poznałbyś go. Od tamtego wieczoru stał się

zupełnie inną osobą. Wszystkim się chwali swoją wygraną i nawet umówił się na weekend z poznanym tam chłopcem, Tylerem. - Wgryzam się w kanapkę.

Fred uśmiecha się i kończy przełykać kawałek bułki.

- Wiesz - mówi wreszcie. - Joe jest taki... miły, prawda? Tak naprawdę nigdy wcześniej nie znałem bliżej żadnego dziecka. To znaczy, odkąd sam przestałem nim być. Zakładałem, że są trochę... pewnym ciężarem. Ale... on jest... - Fred przerywa i szuka w pamięci właściwego słowa - ... interesujący.

Bezwolnie parskam śmiechem i podważam wieczko kubka z kawą.

- Nie bądź taki zszokowany - radzę. - Dzieci to nie kosmici. Pamiętaj, że sam nim kiedyś byłeś. A jak sobie przypominam, to byłeś... umiarkowanie interesujący.

Fred krzywi się do mnie.

- No tak. Chyba zdążyłem już zapomnieć.

- Nieważne. Joe ma odpowiedni przykład w domu - dodaję skromnie. - Więc to oczywiste, że jest świetny.

Fred kiwa głową i spogląda na swoją kanapkę, po czym z powrotem na mnie. Ma taką minę, jakby chciał coś powiedzieć.

- Co? - pytam, ciągle się uśmiechając.

- Nic. Nic.

- Co?

- Ja... To nieważne, po prostu... - Fred nerwowo wierci się na krześle. - Wiem, że to nie moja sprawa, ale kiedy byliśmy na imprezie, wspomniałem przy Joe coś o Martinie, gdy staliśmy przy barze z sushi...

- I?

- Myślałem, że to Martin jest ojcem Joe, ale on powiedział, że nie. Wydawał się nieco tym zakłopotany. Zdziwiłem się, to wszystko.

- Rozumiem.

Spuszczam wzrok i wpatruję się intensywnie w swoje kolana. Pewna część mnie zawsze jest gotowa do obrony, kiedy słyszę, jak Joe mówi komuś o swoim ojcu bądź Martinie. Spędziłam tak dużo czasu, starając się być rodzicem w dwójnasób, a gdy Joe wspomina coś o swej niekompletnej rodzinie, czuję, że to wszystko na nic. Dla mnie nigdy nie było to problemem, ale dla Joe najwyraźniej tak. I jestem zaskoczona, że opowiedział o tym Fredowi.

Fred wygląda na zakłopotanego.

- Przepraszam, nie powinienem ci o tym mówić...

- Nie bądź głupi - przerywam. - Nie gniewam się. Po prostu to długa historia, to wszystko.

Wracając do kanapki, Fred unosi rękę, tak jakbyśmy mieli nieskończenie wiele czasu, i czuję, że w imieniu syna winna mu jestem wyjaśnienie. Joe nienawidzi sam tego tłumaczyć, będę więc musiała zrobić to osobiście. Już mam zamiar po swojemu beztrzesko skomentować wydarzenia z przeszłości, kiedy dociera do mnie, iż minęło bardzo dużo czasu, odkąd zaufałam komuś na tyle, by mu wszystko opowiedzieć. Spoglądam na pełną oczekiwania twarz Freda i nagle czuję, że mogę mu wyznać swoją historię i że bez względu na wszystko powinien ją poznać. Czuję ulgę, gdy po kolei wydobywam z siebie fakty.

Poznałam Dana w Camden, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Wcześniej bardzo rzadko jeździłam do Londynu, a już na pewno nie sama. Skoro tak się jednak stało, pewna siebie weszłam do jednego z barów i od razu zwróciłam na niego uwagę. Był dwa lata starszy ode mnie, grał w zespole i miał bardziej zwariowane marzenia, niż kiedykolwiek mogłam sobie wyobrazić. Byłam nim odurzona, upojona jego męskością i od tamtej pierwszej nocy prawie się z nim nie rozstawałam. W niecały miesiąc później wyprowadziłam się z domu i przeniosłam razem z nim do maleńkiej kawalerki w Brixton.

Kochałam Londyn i, pochodząc z Rushton, byłam totalnie zachwycona anonimowością tego miasta. Uwielbiałam to, że gdy poznawałam kogoś nowego i przedstawiałam się, ten ktoś nie patrzył na mnie wszechwiedzącym wzrokiem i nie mówił: „Och, a więc to ty jesteś tą Mickey Maloney?”. Czułam się tak, jakbym zrzuciła z siebie starą skórę i zaczynała wszystko od początku jako zupełnie inna osoba.

No i Dan. Przez cały czas wałęsałam się razem z nim, nic nie robiąc, i upajałam się swoim stanem zakochania. Byłam przekonana, że on mnie uwielbia, ale tak naprawdę rzucał mi jedynie okruchy zainteresowania, kiedy mu schlebiałam albo wspierałam w jego niewyobrażalnych marzeniach o świetlanej, wypełnionej sukcesami przyszłości, która zawsze lada chwila miała stać się rzeczywistością.

Patrząc wstecz, stwierdzam, że te dwa wspólnie spędzone lata były niczym bardzo długie wakacje. Zamiast dojrzałej idylli, którą - jak mi się wydawało - przeżywamy, oboje zachowywaliśmy się jak beztrzeskie i nieodpowiedzialne nastolatki, które muszą polegać na własnym rozumie. Raz w tygodniu pobieraliśmy zasiłek dla bezrobotnych, a potem piliśmy najtańsze piwo i rzucaliśmy się na siebie niczym spragnione seksu króliki. Nasza chatka miłości, jak ją nazywaliśmy, była nieprzyjemna i wilgotna, ale mnie wydawała się rajem. Po raz pierwszy od czasu Freda, z Danem uwierzyłam, że wszystko jest możliwe. Nazywał mnie

swoją muzą i nie miało znaczenia, że nie było nas stać na jedzenie czegoś innego poza makaronem i naleśnikami. Byliśmy twórczy i nic nie mogło stanąć nam na drodze.

Dopóki nie zaszłam w ciążę.

Na początku Dan skakał z radości i złożył tysiące obietnic co do naszej przyszłości. Wydawało się, że posiadanie rodziny jest najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Dan pisał wiersze do swojego nienarodzonego dziecka, chełpił się mną przed swoimi kolegami i raz po raz całował mój coraz większy brzuch.

Ale potem urodził się Joe i wszystko się zmieniło. Nagle zamiast dwóch osób były trzy i nasze życie zaczęło się walić. Dan złościł się, że nie mogę wychodzić razem z nim albo nie spać przez całą noc, tak jak kiedyś, no i nie mógł znieść głośnego płaczu naszego syna.

Kiedy Joe miał dwa miesiące, pewnego dnia wróciłam ze sklepu, a na stole leżał zmoczony łzami list. Dan zawarł w nim każdy łatwy do przewidzenia frazes, jak to zawsze będzie mnie kochał, ale nie może porzucić swoich marzeń o tym, by stać się sławnym muzykiem. Nagle oświeciło mnie, że zostałam pokazowo wystrychnięta na dudka. Nie miałam innego wyjścia, jak wrócić z podkulonym ogonem do Rushton.

- Cholera, Mickey, tak mi przykro - bąka Fred, kiedy kończę opowiadać mu to wszystko.

Patrzy na mnie ze współczuciem, ale ja macham ręką.

- Niepotrzebnie, to stare dzieje - mówię dokładnie to, co myślę. Tak naprawdę czuję się raczej szczęśliwa, opowiadając o Danie. Moje zwykłe wyjaśnienie, że „jakoś nie wyszło” powstało po to, by ludzie nie dowiedzieli się prawdy, ale jestem dziwnie spokojna, pozwalając Fredowi wślizgnąć się za zasłonę milczenia. Czuję się uwolniona dzięki temu, że opowiedziałam wszystko tak, jak się wydarzyło naprawdę, a nie wzięłam całej winy na siebie, żeby tylko uniknąć rozmowy na ten kłopotliwy temat.

- Nie jesteś zgorzkniała? - pyta Fred. - Ja bym był.

- Nie, mam przecież Joe. On wynagradza mi wszystko.

- A czy widziałaś się od tego czasu z Danem? Potrząsam głową i wzruszam ramionami.

- Rozpłynął się w powietrzu. Wątpię, by kiedykolwiek się pokazał. Wisi mi alimenty za dziewięć lat. W każdym razie i tak nie chcę go widzieć, a poza tym byłoby to okropne dla Joe. Myślę, że ma pewne wyobrażenie o swoim ojcu, a wątpię, by Dan kiedykolwiek do niego dorósł.

- A Martin? Gdzie jest w tym wszystkim miejsce dla niego?

- Martin pojawił się na mojej drodze wtedy, kiedy byłam pewna, że mieszkanie pod

jednym dachem z mamą i małym dzieckiem doprowadzi mnie do szaleństwa. Kiedy poprosił mnie o rękę, zgodziłam się bardziej pod wpływem jakiegoś szalonego przekonania, że Joe potrzebuje ojca, niż z jakichkolwiek innych pobudek.

Fred odchyła się razem z fotelem. Dobry z niego słuchacz.

- Jaki był Martin? - pyta.

- Nudny - odpowiadam zwięźle. - Naprawdę starałam się go pokochać, ale za każdym razem, kiedy znajdował się w pobliżu, czułam, że życie przecieka mi między palcami. Stanowił całkowite przeciwieństwo Dana. Już po dwóch miesiącach uświadomiłam sobie, że utonęłam w niekończącej się rutynie Martina. Parę drinków z chłopakami w piątkowy wieczór, mecz w sobotę, mycie samochodu w niedzielę i tak to się ciągnęło...

- A to nie w twoim stylu.

- Starałam się przystosować, ale naprawdę nie mogłam. Szczególnie pod koniec. Przez cały czas czułam się jak widz obserwujący siebie samego z kąta pokoju, aż wreszcie odzyskałam zdrowy rozsądek.

- Kiedy to się skończyło?

- Trochę ponad trzy lata temu. Odkąd wróciłam do Rushton po dwuletnim epizodzie z Danem, zawsze chciałam ponownie zamieszkać w Londynie. Gdy zrozumiałam, że mogę stanąć na własnych nogach, podjęłam decyzję o wyjeździe. Byłam zdeterminowana, by zrobić coś wreszcie ze swoim życiem. Biedny stary Martin. Sądzę, że bardzo go zraniłam.

Przez dłuższą chwilę Fred nic nie odpowiada. Kiedy podnoszę na niego wzrok, widzę, że patrzy prosto na mnie, a w jego oczach jest coś, co sprawia, że mocniej bije mi serce.

- Myślisz, że mogłabyś się jeszcze kiedyś zakochać, Mickey?

- Nie wiem - odpowiadam ochryple i wzruszam ramionami. Kaszląc, przerywam nasz kontakt wzrokowy i śmiechem staram się pokryć zmieszanie. - Wszystko możliwe. Czym zresztą jest miłość? To ty jesteś ekspertem. Oświeć mnie. To przecież ty niedługo staniesz na ślubnym kobiercu.

Fred wyciąga przed siebie nogi i przygląda się swoim stopom. Na jego twarzy pojawia się wymuszony uśmiech.

- No tak, Rebecca - mówi, ale brzmi to tak, jakby prawie niechętnie wypowiadał jej imię.

- Tak, Rebecca - powtarzam sarkastycznym tonem, czując, że powiedzieliśmy zbyt wiele i zabrnęliśmy za daleko bez napomknięcia o niej. - Jaka jest przyszła pani Roper?

- Wilson.

- Przepraszam! - Podnoszę z zakłopotaniem dłonie do ust. - Wilson. No cóż, kiedy ją

poznam?

Fred patrzy w dal ponad dachami kamienic i nic nie odpowiada.

- Ona... ona wie o mnie? - pytam badawczo.

Fred ciężko wzdycha i przeciera oczy, po czym kieruje na mnie spojrzenie. Na jego twarzy rysuje się powaga.

- Niezupełnie. Nie w tej chwili - przyznaje wreszcie. - To trochę zawile...

- Zawile? - Wchodzę mu w słowo. - Co jest takie zawile?

- Ona nie wie.

- Co masz na myśli? ' Fred bierze głęboki wdech.

- Ona nie wie o Milesie.

Jestem tak zaskoczona, że przez chwilę nie mogę wydusić z siebie słowa.

- To znaczy... Fred przytakuje.

- Wie, że mieszkałem w Rushton, ale nie wie, że kiedyś nazywałem się Roper, i nie ma pojęcia o tym, co stało się z Milesem.

Oślupiałam.

- Rozumiem - udaje mi się wreszcie wydukać.

- Nie miało sensu mówić jej o tym. Tak naprawdę nikt o tym nie wie, z wyjątkiem ciebie. - Wzdycha ciężko, kiedy widzi niedowierzanie na mojej twarzy. - Ja... Ja naprawdę nie mogę jej o tym teraz powiedzieć. Za późno. A poza tym nie chcę. Jestem zadowolony z obecnego stanu rzeczy. Przeszłość to przeszłość.

- No tak. I pewnie dotyczy to także i mnie? Fred potrząsa głową.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Jesteś tego pewny?

- Tak. Cudownie było cię znowu spotkać. Naprawdę. I powiem Rebecce o tobie i o wszystkim innym, z wyjątkiem tego, co wydarzyło się w związku z Milesem. I tak miałem taki zamiar. Ja...

- O wszystkim? O tym, jak zabrałeś mnie i Joe na twoją imprezę promocyjną tamtego wieczoru?

Fred przytakuje.

- Nie spotkam się z tobą więcej, jeżeli to ma oznaczać skradanie się za jej plecami. To by nie było fair.

- Wiem...

- Proszę, nie bądź dziecinny - mówię stanowczo. - Nie znoszę dziecinnych facetów.

Fred z zakłopotaniem spogląda na mnie, ale ja odwracam wzrok.

- Obiecujesz? - nalegam.

- Obiecuję.

- Hmm - odpowiadam, wstając i wygładzając dłonią dzinsy. Krzyżuję ręce na piersi, obchodzę dookoła taras, po czym siadam na niewysokim murku.

Fred także wstaje i siada koło mnie. Za nami, cztery piętra niżej, na ulicach zaczyna się tworzyć niewielki korek. Widzę, jak ludzie zmierzają w stronę metra. Z tej wysokości wszystko ma zupełnie inny wymiar.

- Niedługo będę musiał iść do pracy - wzdycha po chwili Fred.

- Nie przesadzaj może z tym entuzjazmem - droczę się z nim.

- Tobie zawsze udawało się wyciągnąć mnie na wagary. Siedzenie tutaj, na górze, powoduje, że wszystko inne wydaje się takie bez sensu. Żałuję, że nie możemy spędzić tego dnia na przyjemnym nicnierobieniu.

- Ja też - mówię z przekonaniem. Oboje patrzymy przed siebie.

- Hej! Uratowałem ci życie. - Śmieje się, nagle mnie szturchając. Szarpie mnie za ramię i oboje chichoczymy. Wtedy, przez sekundę, nasze spojrzenia krzyżują się, nasze twarze dzielą zaledwie centymetry, a ja wstrzymuję oddech.

ROZDZIAŁ PIĄTY

FRED

1985, najgorszy rok w moim życiu, rozpoczął się jako najlepszy.

Czas spędzony z Mickey pamiętam jako jedno wielkie przytulanie. Zaczęliśmy się całować na śniegu przed Domem Pamięci w Rushton w grudniu 1984 i ledwo zdążyłem zaczerpnąć powietrza, a już musiałem wracać do mojej szkoły z internatem. Nie wiem, czy to, co narodziło się między nami podczas tych pierwszych miesięcy, to była miłość, ale jednak miało wystarczającą moc, by sprawić, że gdy w nocy leżałem w łóżku w internacie, nierzadko w zaśnięciu przeszkadzały mi łyzy, kiedy rozmyślałem o Mickey, która została w domu. Zdawało się, że jest tak daleko, i jedyne, czego wtedy pragnąłem, to wyciągnąć rękę i dotknąć jej dłoni.

Czas powoli mijał i pierwszy semestr niepostrzeżenie przekształcił się w drugi, a ja marzyłem nocami o tym, że jestem w Rushton. Przemykałbym po pokojach w moim domu niczym duch, mijał Milesa na korytarzach i schodach, obserwował, jak rozmawia szeptem z jakimiś widmowymi postaciami, chowającymi się na mój widok za zamkniętymi drzwiami. Przekradając się dalej, słuchałbym krzątającej się w kuchni mamy, rozmawiającej przez telefon albo sortującej ubrania na jakąś wentę dobroczynną. Jej znajomy głos zawsze działał na mnie uspokajająco. I niezmiennie wyobrażałem sobie przechadzkę po Rushton za rękę z Mickey, podczas gdy letnie słońce rzucałoby nasze groteskowo wielkie cienie na mury i ogrodzenia. Każdy spacer kończyłby się tak, jak ten przed pięciu laty, kiedy stanęliśmy przy furtce koło kościelnego dziedzińca, wpatrywaliśmy się we wzlatującego w niebo szpaka, a moje serce otworzyło się po raz pierwszy.

Kiedy nadchodził ranek, moje marzenia pryskały. Wyrwany ze snu przez świdrujący dźwięk elektrycznego dzwonka, z powrotem znajdowałem się w internacie i słuchałem obcych odgłosów dwudziestu innych piętnastolatków budzących się, puszczaćcych bąki i sprzeczącących o umywalki, szczoteczki do zębów, kremy na pryszcze oraz dezodoranty. Wstawałem, myłem się, ubierałem i dołączałem do rozgadanego tłumu moich szkolnych kolegów, który płynął w kierunku stołówki na śniadanie.

Greenaway College, znajdujący się na stuakrowej działce w samym sercu Cotswolds* [Cotswolds - pagórkowata kraina na południowym zachodzie Anglii.], był - i o ile wiem, jest nadal - domem dla około trzystu chłopców w wieku od trzynastu do osiemnastu lat. Kiedyś był to anglonormański dwór, który później przekształcił się w rozległą kolonię pomalowanych na miodowo budynków, wielkością przypominającą małą wioskę. Kiedyś (nie

pamiętam już dokładnej daty) wiktoriański przemysłowiec Endicot Greenaway kupił to wszystko i założył szkołę średnią dla rządzącej brytyjskim imperium arystokracji. Pamiętam, że na oparciach krzeseł w klasach i internacie wyryte były nazwiska przynoszących chwałę szkole dawnych uczniów, razem z miejscami i datami zamorskich kampanii, które kosztowały ich życie.

Byłem wtedy w piątej klasie, dokładnie w połowie przeznaczonego mi tutaj czasu. Gdyby nie udało mi się przekonać Milesa i mamy do przeniesienia do jakiegoś innego college'u bliżej domu, czekałoby mnie jeszcze dwa i pół roku w Greenaway. Wszystko, co w Rushton przyjmowałem za pewnik - autobusy, sklepy, swoboda przemieszczania się i, co najważniejsze, Mickey - tutaj było albo niedostępne, albo zabronione. Wszystko to należało do świata zewnętrznego, a ja już nie byłem jego mieszkańcem. Miałem piętnaście lat, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a jedyne, co wiedziałem o życiu, było to, że takowe istnieje poza granicami tych budynków i otaczających je pól.

Odkąd przyjechałem tu po raz pierwszy, gdy miałem trzynaście lat, żyłem od świąt do wakacji, kiedy choć na trochę mogłem wrócić do domu. A teraz, gdy Mickey stała się moją dziewczyną, pragnąłem tego jeszcze bardziej. Marzyłem, by była tuż przy mnie, by była naprawdę. Chciałem dużo więcej, niż słyszeć jej głos na drugim końcu linii telefonicznej albo wąchać jej perfumy w liście.

Każdego tygodnia dostawałem od Mickey przynajmniej jeden list. Jej koperty przybierały dziwne kształty, rozmiary, kolory i wzory. Ozdabiała je naklejkami i rysunkami i pisała na nich odblaskowym atramentem w kolorze trupiej zieleni, purpury, srebra i złota. Czasami przysyłała mi niewielkie paczki z kasetami, na które przegrywała mi swoje nowo kupione albumy, a także z różnymi świecidełkami, słodyczami i spłaszczonymi papierosami.

Na początku semestru letniego 1985 roku, kiedy miałem zdawać pierwsze poważne egzaminy, raz po raz czytałem nocą jej słowa i wtedy dotarł do mnie fakt, że gdzieś tam, w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy zakochałem się po uszy.

Komunikacja ze strony Mickey służyła również innemu celowi. Dzięki swoim serwisom informacyjnym, które mogły śmiało konkurować z Reutersem, Mickey Maloney wносиła w moje życie rzeczywisty świat. Sądzę, że w ciągu tych pięciu miesięcy w Rushton nie wydarzyło się nic, o czym bym się nie dowiedział.

Sporadyczne wizyty Milesa w domu, na przykład, nagle urwały się razem z końcem ferii wielkanocnych, kiedy wróciłem do Greenaway. Mama zaczęła uczęszczać w środowe wieczory na spotkania Wspólnoty Chrześcijańskiej i wielokrotnie (bezsukutecznie) próbowała nakłaniać do tego także i Mickey. Panna McKilroy (ta od krostowatych, ogromnych piersi)

zaszła w ciążę, a Sam Johnson, rzekomy sprawca jej odmiennego stanu, wystawił swój dom w Rushton na sprzedaż i przeprowadził się do północnej Walii. Dave został zawieszony w prawach ucznia za to, że siedząc w autobusie, pokazał kierowcy przejeżdżającego rolls royce'a środkowy palec, a kierowca ten okazał się pozbawionym poczucia humoru sędzią. Starszy brat Mickey, Scott, zdobył sobie duży rozgłos dzięki temu, że rzucił Alison Rawlings w dniu jej siedemnastych urodzin, co z kolei doprowadziło do tego, że pod wpływem rozgoryczenia wyrzyła na swoim przedramieniu scyzorykiem jego inicjały („przykład dla nas wszystkich, dlaczego powinniśmy pokładać całą naszą wiarę w Jezusie, a nie w innym człowieku” - według słów mamy, i „przykład tragicznych skutków słuchania zbyt wielu płyt zespołu The Cure, pożyczonych od Scotta” - jak twierdziła Mickey).

Niektórych wiadomości jednak nie można było przekazać listownie. Aby w nie uwierzyć, pewne rzeczy trzeba było zobaczyć na własne oczy.

- Ojciec nasz...

- Podaj dalej... - syknął mi do ucha Rob Oldfield.

- Któryś jest w niebie...

- Popatrz na tego wieśniaka z długą kitką i głupawym uśmiechem - wysyczał ponownie Oldfield.

- Świeć się imię Twoje...

Trąciłem łokciem Luke'a Davidsona, chłopaka po mojej lewej stronie:

- Podaj dalej...

- Przyjdź królestwo Twoje...

Rozejrzałem się po wyłożonej kamiennymi płytami bocznej nawie szkolnej kaplicy, gdzie zarezerwowano dla rodziców drewniane ławki. To była niedziela, podczas której - według jakiejś nowej teorii jednego z szalonych wiktoriańskich nauczycieli - po raz pierwszy w tym semestrze chłopców mógł ktoś odwiedzić. Miała przyjechać mama, ale parę dni temu rozłożyła ją rzadko spotykana o tej porze roku grypa, a Miles nigdy się nie pojawiał, ani razu w ciągu spędzonych tutaj przeze mnie dwóch i pół roku. Dlatego przygotowałem się już, że spędzę ten dzień na włóczeniu się po terenie szkoły, podczas gdy reszta moich kolegów zniknie razem ze swoimi rodzicami. Wszystko więc było teraz mile widzianym oderwaniem od tych nieprzyjemnych rozmyślań. Rozglądałem się wśród zapelnionych ławek w poszukiwaniu długowłosego wieśniaka.

- Bądź wola Twoja...

I dojrzałem go siedzącego dwa rzędy dalej.

- Jako w niebie, tak i na ziemi...

Szczerzącego zęby niczym zwycięzca konkursu na sobowtóry Bee Gees.

- Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... Patrzącego prosto na mnie.

- I odpuść nam nasze winy...

Z mahoniową opalenizną i białymi obwódkami wokół oczu od okularów przeciwsłonecznych.

- Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Ubranego w jaskrawoczerwoną koszulę i lśniący szary garnitur.

- I nie wódź nas na pokuszenie...

Z wielkim złotym rolexem na jednym nadgarstku i grubą miedzianą bransoletą na drugim.

- Ale nas zbaw ode złego...

- Co mam podać dalej? - spytał Luke, podążając za moim wzrokiem.

- Amen.

- Nic.

- Mogę się założyć o milion, że ma na sobie białe skarpetki i szare slipki - wyszeptał do mnie Oldfield, gdy kapelan zaczął czytać jakieś ogłoszenia.

- Co? - odburknąłem, nadal wpatrując się w boczne ławki.

- Obłeśne szare slipki - powtórzył Oldfield, nieco za głośno jak na upodobania kapelana, który spojrzał z irytacją w naszym kierunku. Oldfield na parę sekund zamilkł, po czym wyszeptał ponownie: - Jak myślisz, jak on ma na imię?

- Kapelan?

- Nie, ty głąbie. Wieśniak.

Przez chwilę to rozważałem, po czym wyszeptałem w odpowiedzi:

- Miles. Oldfield zachichotał.

- Miles do niego pasuje. Chciałem powiedzieć, że Trevor, Warren albo coś naprawdę głupawego, takiego jak na przykład Randy, ale Miles naprawdę pasuje...

- Nie - rzekłem, przekręcając głowę, by spojrzeć prosto w powiększone przez okulary oczy Oldfielda. - Mam na myśli to, że on naprawdę ma na imię Miles. - Zamilkłem, a na mojej twarzy pojawił się, miałem taką nadzieję, wyraz podobny do tego, jaki widniał na twarzy Clint Eastwooda podczas strzelaniny w końcowej scenie z filmu *Dobry, zły i brzydki*, po czym wyplułem to z siebie, wiedząc, że odkrycie naszego pokrewieństwa jest tylko kwestią czasu. - To mój ojciec.

Oldfieldowi opadła szczeka, a jego usta otworzyły się z niedowierzaniem. Przez chwilę nic nie mówił i patrzył to na mnie, to na Milesa. Potem na mojego Eastwooda

odpowiedział Lee Van Cleefem, patrząc mi w oczy tak twardo jak ja jemu i czekając, aż się złamię. Ale nie zrobiłem tego, ponieważ to, co mu powiedziałem, było prawdą: mężczyzna z ciemną opalenizną naprawdę był moim ojcem. Usta Oldfielda zamknęły się wreszcie i obserwowałem, jak powoli, ale nieubłaganie jego twarz robi się coraz bardziej czerwona. Po chwili jego ramiona zatrzęsły się, a z nosa wyleciał okazałych rozmiarów smark, który zatrzymał się na jego górnej wardze.

Lukę dziabnął mnie w bok i wyszeptał:

- Co mu jest?

Nic nie odpowiedziałem. Zamiast tego wpatrywałem się w swoje buty. Myślałem o Milesie i żałowałem, że on w ogóle żyje. Czego tutaj szukał? Dlaczego przyjechał? Wtedy przypomniałem sobie moją mamę i to, gdzie się w tej chwili znajduje, i pospiesznie przeprosiłem Boga za moje grzeszne myśli, a zamiast tego życzyłem Milesowi, by się tutaj po prostu nie pojawił. Przecież tak właśnie miało być. Jeżeli chodzi o ścisłość, to miał wyjechać do Malagi razem ze swoją sekretarką Janiną i szukać miejsca na nowy nocny klub, w który chciał zainwestować. Tak przynajmniej powiedziała mi mama.

- To Roper... - usłyszałem, jak Oldfield oświadcza to komuś siedzącemu po prawej stronie, a jego ramiona ciągle trzęsą się w niekontrolowany sposób. - Wieśniak. To ojciec Ropera... Wieśniak jest jego ojcem...

Oldfield odwrócił się twarzą do mnie, a jego oczy były mokre od śmiechu. W tamtej chwili całe moje zażenowanie znikło, a na jego miejscu pojawił się gniew. Co ten Oldfield, do diabła, sobie wyobrażał? Albo inni ludzie, co oni sobie myślą? I co z tego, że Miles ubiera się jak wieśniak? Jakie to miało dla mnie znaczenie? Zanim przyszedłem do tej szkoły, nie wiedziałem nawet, że to określenie może być obraźliwe.

Nauczono mnie tego, jak również wszystkiego o plebejuszach, Kevach, Sharon, białych skarpetkach, wieśniackich akcentach i o różnych innych wskaźnikach przynależności klasowej, które guzik mnie obchodziły, ale które większości ludzi tutaj wydawały się najważniejsze na świecie.

I co? Czy Oldfield i cała reszta, a także ich rodzice, wyglądali lepiej w nudnych tweedach, szalikach i starych szkolnych krawatach? Na pewno nie dla mnie. Pomyślałem o Mickey, mamie, Pippie i Davie, i tych wszystkich ludziach z Rushton, których Oldfield z pewnością uznałby za stojących niżej od niego. Popatrzyłem intensywnie w białka jego oczu i powiedziałem:

- Idź do diabła, ty zarozumiała bufonie!

Efekt był natychmiastowy. Cicha histeria Oldfielda znikła tak szybko, jak się pojawiła.

Jego usta z powrotem rozdziawiły się w duże, zaskoczone „O”. Zdawał się w ogóle nie oddychać. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się widzieć kogoś, na kogo tak bardzo zadziałałaby moc słowa. Moc mojego słowa.

I wtedy poczułem jakieś dziwne klucie, które przesunęło się od szyi wzdłuż kręgosłupa. Nie poruszyłem się. Zamiast tego nasłuchiwałem: nic. No i wreszcie usłyszałem je, słabe, ale niewątpliwie obecne - zamierające echo mego głosu, rozbrzmiewające w ciężkim powietrzu kaplicy. Kiedy uniosłem głowę, poczułem, jak kotłują się moje wnętrzności. Każda obecna tutaj głowa odwrócona była dokładnie w moją stronę i w każdej twarzy odbijało się niesamowite zaskoczenie Oldfielda. I wtedy, niczym tłum na finałach tenisowych Wimbledonu obserwujący dobrze odbitą piłeczkę, wszyscy odwrócili się jak na komendę i utkwili wzrok w ambonie.

Kapelan, potężny Szkot grubo po czterdziestce, miał ciemnoszare oczy. Jego bary były rozmiarów pieczeni niedzielnej i krążyły pogłoski, że w czasach młodości zdobywał pierwsze miejsca podczas zawodów Highland Games w rzucie pniakiem. Inna plotka głosiła, że w czasie weekendów prowadzi pub w pobliskiej wsi, wyszukując ateistów i alkoholików, aby się z nimi zmierzyć.

Rozważanie, czy którakolwiek z tych rewelacji jest prawdziwa, stało się dla mnie w tej chwili bardzo niestosowne, jako że właśnie uświadomiłem sobie, iż jedyną rzeczą, nad rzuceniem którą mógł się w tym momencie zastanawiać, czy też jedynym przeciwnikiem do walki, byłem ja. Jego komża zmarszczyła się wokół ramion, gdy pochylił się do przodu, a długi haczykowany nos znalazł się na jednym poziomie z drewnianym orłem wyrzeźbionym na ambonie.

- Fredericku Roper! - warknął, a jego oczy rzucały niebezpieczne błyski, obiecujące pewne zatracenie i wieczne przypiekanie w ogniu piekielnym. - Po mszy chcę cię widzieć w zakrystii.

Miles czekał na mnie na zewnątrz, opierając się o maskę swego białego porsche 928. Połyskująca marynarka powiewała na wietrze, a jej rękawy były razem z koszulą podwinięte aż do łokci, jak u policjantów z Miami. Jest to widok, który do dziś pozostaje wyraźny w mojej pamięci. Pewnie wyobrażał sobie, że gra w jakimś filmie, a teraz, z perspektywy czasu, podejrzewam, że chodziło o któryś z obrazów z Burtem Reynoldsem, gdzie prym wiodło picie, szybka jazda samochodem i ratowanie półnagich dziewcząt z rąk skorumpowanych glin z Teksasu.

Zacząłem iść w jego kierunku. Moje wyjaśnienie dotyczące tego, co powiedziałem Oldfieldowi, nie przekonało kapelana i na końcu półgodzinnego kazania na temat natury

grzechu dowiedziałem się, że w ramach pokuty spędzę dwie godziny przed poniedziałkowym śniadaniem na wrywaniu chwastów z przy - i kaplicznych klombów. Kiedy byłem kilka kroków od niego, Miles i odrzucił niedopałek papierosa, a ja patrzyłem, jak ląduje na jednej z grządek z kwiatami.

Chwycił moją dłoń i potrząsnął nią, spoglądając jednocześnie na kapelana, który obserwował nas, stojąc w drzwiach zakrystii. Z bliska Miles wyglądał tak jakoby nieokrzesanie. Nie chodzi o to, że był nieogolony ani o coś równie powierzchownego. Jego nieokrzesanie sięgało znacznie głębiej. Było obecne w oczach i w ciemnych bruzdach na twarzy, świadczących o nieprzespanych nocach, zmartwieniach i lękach. Przypominał mi jednego z tych nowych chłopców, którzy przybywali do szkoły na początku każdego września tylko po to, by za dnia grać odważnych, a w nocy moczyć się i szlochać w poduszkę. Jego głos zadawał jednak kłam moim domysłom. Był tak pewny siebie jak zawsze.

- I co powiedział ci ten klecha? - spytał.

- Skąd się tutaj wzięłeś? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie. - Mama mówiła, że szukasz teraz miejsca na nowy.

- Czego?

- Miejsca na nowy klub. W Hiszpanii. Powiedziała...

- Aaa - wymamrotał. - To. Nie wypaliło. Chodź - rzekł, otwierając drzwi. - Pojedziemy czegoś się napić.

Nie odzywałem się do Milesa, gdy mknęliśmy jego porsche po długiej szkolnej drodze. Zamiast tego gapiłem się przez szybę na las, oświetlane przez jaskrawe słońce małe kapliczki i inne dawno opuszczone architektoniczne kaprysy, rozsiane po należącym do szkoły terenie.

Pojechaliśmy do pubu oddalonego o jakieś dwadzieścia kilometrów od Greenaway. Miles zostawił mnie w ogródku, z dala od wzroku właściciela, a sam wszedł do środka, by przynieść nam po kuflu piwa. Jestem pewien, że cała masa chłopaków w moim wieku pragnęłaby mieć takiego ojca jak Miles, kogoś, kto z własnej inicjatywy łamałby dla nich prawo, ale ja nie należałem do tej grupy. Takie chwile sprawiały, że czułem się dziwnie i niezręcznie. Cechowała je pewna płytkość, która tkwiła u podstawy. Wszystkie dziecięce iluzje i moje złudzenia co do niego jako kochającego ojca i męża rozwiały się na dobre, kiedy chcąc zarobić trochę pieniędzy, pracowałem dla niego w czasie ferii wielkanocnych.

Oczywiście, że bywałem już wcześniej w Clanie, ale zawsze za dnia, kiedy mama była czymś bardzo zajęta i Miles musiał się mną zaopiekować. W takich przypadkach ten nocny klub zawsze wydawał mi się przygnębiający i ponury jak grobowiec. Miles zniknął na górze,

by rozmawiać o interesach, a mnie pozostawiał samemu sobie na dole w upiornym otoczeniu wyludnionej knajpy. W ciągu tych wszystkich lat obserwowałem wiele sprzątaczek o ziemistych cerach, zamiatających z podłogi niedopałki papierosów i potłuczone szkło i wycierających bar z plam po piwie. Zastanawiałem się, po co było to całe zamieszanie, i próbowałem wyobrazić sobie niewielki parkiet, wypełniony wystrojonymi parami, których ruchy i nastroje zależały od występujących tutaj zespołów.

Pierwsze kilka nocy, które tam przepracowałem, wyjaśniły wszystko. Okazało się, że to, co sugerowało zdjęcie w gazecie sprzed kilku lat, jest prawdą. Miles w istocie był tym otoczonym przez modelki facetem z fotografii. Domowy Miles, ten, który wylegiwał się w łóżku do południa, a latem leżał wyciągnięty przy naszym nowym basenie, bez końca palący papierosy i krzyczący na ludzi przez telefon, tutaj jakoś dziwnie pasował. To tutaj został ukształtowany i do tego miejsca należał. Dom, jak szybko pojąłem, nie stanowił centrum jego wszechświata. Ten klub tak. Na jakiej pozycji ustawiało to w takim razie mnie?

Miles dał mi tę pracę częściowo dlatego, że byłem jak na swój wiek wysoki, a częściowo ponieważ obawiał się, iż przebywanie w szkole z internatem z dala od domu może ze mnie zrobić mięczaka. Rozprawił się bezceremonialnie ze wszystkimi obiekcjami mamy.

- Ciągłe twierdzisz, że powinienem bardziej się nim interesować - słyszałem, jak mówił do niej. - Więc mi pozwól. Przecież nie będzie stał za barem ani nic z tych rzeczy. Będzie jedynie zbierał szklanki...

Mama nic nie odpowiedziała, a Miles uznał jej milczenie za zgodę.

- Powiem Tony'emu, aby miał na niego oko - dodał pojednawczo.

Tony Hall, albo Tony Koleżka, jak zawsze nazywałem go w myślach, znał się z Milesem już dziesięć, a może nawet i więcej lat. Pięć lat młodszy od mojego ojca, był milczący i stale robił wrażenie pogrążonego w myślach. Miał kark jak byk i czujne, niebieskie oczy, którym nie umykał żaden szczegół. Znałem go, odkąd tylko sięgałem pamięcią, ale w ciągu tych wszystkich lat bardzo rzadko się do mnie odzywał, reagując na moją obecność jedynie skinieniem głowy, a nie pytaniem o to, jak się mam. Tak naprawdę Tony Koleżka nieco mnie przerażał. Wydawało się, że nieustannie czeka, aż wydarzy się coś złego, wiedząc, że ze wszystkim sobie poradzi. Miles miał do niego pełne zaufanie. Zawsze kiedy przychodziłem do klubu, ta dwójka była nierozłączna.

Miles zajmował się interesami od wczesnych lat młodości i uważał, że im prędzej ja się w nie wkręcę, tym lepiej. To przecież także mój biznes, jak mi powtarzał. Jego dawny wspólnik, Carl, nie wrócił z zagranicy, dokąd wyjechał przed czterema laty, a Miles dodawał do swoich wcześniejszych domysłów, jakoby Carl przebywał w jakiejś klinice

rehabilitacyjnej, teorię, że najprawdopodobniej zadarł z kimś jeszcze bardziej paskudnym od niego i został załatwiony na dobre. W każdym razie bez względu na to, gdzie był teraz Carl, Milesa w ogóle to nie obchodziło. Prawo własności Clanu dawno temu udało się przenieść w całości na mojego ojca, a pewnego dnia, jak lubił podkreślać publicznie, klub zostanie przekazany w moje ręce.

Każdego wieczoru, przez kilka godzin po otwarciu Clanu, Miles kręcił się w pobliżu drzwi. Witał gości, potrząsał ich dłońmi i prowadził tych sławnych lub - w przypadku kobiet - pięknych do stolików znajdujących się niedaleko jego miejsca, po lewej stronie sceny. On i Tony dołączali do nich koło dziewiątej. Siedzieli tam, a Tony jednostajnie obserwował parkiet, paląc z Milesem papierosy, żartując i upijając się.

Podczas pierwszych kilku nocy, kiedy tam pracowałem, poznałem mnóstwo ludzi. Wiele nazwisk nie mi nie mówiło, ale przychodzili tu także piłkarze, a czasami nawet jakaś gwiazda rocka albo ktoś ważny z telewizji, i bardzo mnie ekscytowało przebywanie w ich pobliżu, obserwowanie Milesa, który swobodnie z nimi rozmawiał, i świadomość, że to mój ojciec i że wzbudza ich szacunek. Oczywiście nie znaczy to, iż kiedykolwiek sprawiłem mu przyjemność wyznaniem, co naprawdę czuję. Zamiast tego wyobrażałem sobie pozostawioną w Rushton mamę, czekającą z dezaprobatą na mój powrót do domu i do jej życia. Pokazanie Milesowi, że podoba mi się praca u niego, byłoby w jakimś stopniu zdradą wobec niej. I być może także wobec siebie samego.

Prawda była taka, że to stosunek Milesa do mnie wywoływał moją dezorientację. W towarzystwie innych ludzi zawsze szeroko się uśmiechał i przedstawiał mnie tak, jakbym był najważniejszą osobą w jego życiu. Natomiast na osobności prawie się ze sobą nie komunikowaliśmy, a podczas tych rzadkich okazji, kiedy było inaczej, wydawał się w ogóle nie wykazywać zainteresowania tym, co mam mu do powiedzenia. Może starał się w ten sposób zranić mamę. To było całkiem prawdopodobne wytłumaczenie jego ambiwalentnego stosunku do mnie. Może moja obecność tutaj, z dala od mamy, działała na niego energetyzująco. Albo może sprawiała, że dręczyło go mniejsze poczucie winy.

Pewnej nocy - jak się później okazało ostatniej, jaką przepracowałem dla Milesa - pod koniec mojej zmiany poszedłem na górę do jego biura, gdzie zastałem zamknięte drzwi. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym. Bardzo często Miles organizował u siebie potajemne spotkania z różnymi ludźmi, których nazwisk nie znałem i którym nigdy mnie nie przedstawiał. Wyglądali na twardzieli, nosili markowe ciuchy, a towarzyszyli im mężczyźni potężniejsi nawet od Tony'ego. Jednak tej nocy, kiedy wyciągnąłem dłoń, by zastukać do drzwi, nie dochodziły zza nich głosy rozmawiających mężczyzn. Zamiast tego usłyszałem

dyszącą i krzyczącą z rozkoszy kobietę, a po chwili Milesa, który niskim głosem mówił jej, co chce, by następnie zrobiła.

Pierwszą porzuconą przeze mnie pracą była ta, którą dał mi mój własny ojciec. Oświadczyłem mu to następnego dnia przez telefon, ale nigdy nie wyjaśniłem dlaczego i nigdy więcej nie pojawiłem się też w Clanie.

Teraz, siedząc w ogródku w pubie niedaleko szkoły, obserwowałem, jak Miles idzie w moją stronę z kuflem pianistego piwa w każdej ręce, a z jego warg zwisa kolejny papieros. Usiadł naprzeciwko mnie, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i przesunął ją na stole w moją stronę.

- Nie palę - oświadczyłem. Skłamałem, ale nie chciałem dać mu przyjemności zobaczenia mnie z papierosem, ponieważ wiedział, że mama nie byłaby zachwycona. To oznaczałoby naszą kolejną tajemnicę, jeszcze jeden powód, dla którego mógłby traktować mnie jak współnika.

- Zechcesz mi wyjaśnić, o co do diabła chodziło temu księżulowi w kościele? - zapytał.

Nie odpowiedziałem. W świetle tego, co właśnie powiedział, nie miało sensu dyskusowanie z nim na temat bluźnierstwa. Poza tym już dawno przestałem usprawiedliwiać się przed Milesem. Jego nagłe pojawienie się i obdarzenie mnie zainteresowaniem spowodowało, że byłem bardzo ostrożny.

- No i? - zapytał.

- Czy cię to w ogóle interesuje? - mruknąłem, nie podnosząc wzroku.

Spodziewałem się ostrej reprimendy, jednak zamiast tego odrzekł spokojnie:

- Przecież tutaj jestem, prawda? - Potarł nos wierzchem dłoni. - Ten okularnik obok musiał cię nieźle wkurzyć, no nie?

Pokiwałem głową.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - zapytał po chwili ciszy.

- Nie.

- Chcesz, żebym zamienił z nim słówko?

- Sam sobie z tym poradzę. Słuchaj, zostawmy ten temat, dobra? To nic ważnego.

- Skoro tak chcesz... Ponownie nic nie odpowiedziałem.

- Jak tam ci idzie w szkole? - zapytał.

Podniosłem przyniesiony dla mnie kufel i pociągnąłem spory łyk piwa, zauważając jednocześnie, że jego jest już w połowie pusty, mimo że dopiero zdążył usiąść. Piwo miało cierpki smak i wyprawiało harce w moim żołądku, ale jakoś udało mi się zachować normalny

wyraz twarzy. Odkaszniałem.

- W porządku - odpowiedziałem wreszcie.

- Ciężko pracujesz?

- Tak. - Skrzywiłem się, poszukując w pamięci tematów do takiej gadki szmatki. - Czasami. Wiesz, historia jest trudna. I łacina... często się gubię... Niektórzy chłopcy w mojej grupie uczyli się jej od siódmego roku życia...

Miles skinął głową z czymś, co uznałem za zrozumienie.

- Niedługo będziesz miał egzaminy, no nie?

- Taaa. Za dobry miesiąc.

- Nie przejmuj się nimi za bardzo.

- Nie przejmuję się.

Jego usta rozszerzyły się w półuśmiechu.

- Ale nie przejmuj się także zbyt mało - rzekł. - Płacę ciężkie pieniądze za twoją szkołę.

- Wiem.

- A tak poważnie, synu, jeżeli nie zdasz, to nie zdasz. Ja nigdy nie zdobyłem żadnego tytułu i nie stało się to dla mnie przeszkodą.

Wpatrywałem się w niego beznamiętnie. Nie powiedział nic, czego nie słyszałbym od niego już wcześniej.

- Zawsze możesz pracować dla mnie - dodał. Pociągnąłem kolejny łyk piwa.

- A jak tam z resztą? - padło kolejne pytanie.

- Z jaką resztą?

- No, z tym wszystkim poza szkołą. Co robisz, jak się nie uczysz... Jak tam ci wtedy idzie?

Czego chcesz się dowiedzieć?, pomyślałem. Ze rzygam tą szkołą i że koniec semestru wydaje mi się odległy niczym Antarktyda? Że mam w planach (czy ci się to spodoba czy nie) rezygnację z nauki z dala od domu? Albo że przeraża mnie to, iż mogę nie poradzić sobie ze wszystkimi egzaminami? Nie, pomyślałem. Nie chcesz tego wiedzieć, nie bardziej, niż ja chcę ci o tym opowiedzieć. Pewnie puściłbyś to mimo uszu, dokładnie w taki sam sposób, w jaki ignorujesz wszystko, co ma związek z mamą bądź ze mną, a co nie jest po twojej myśli.

A nawet gdybym powiedział ci o tym wszystkim, nie dałbyś sobie z tym rady, prawda? Nie rozumiałbyś moich egzaminów, tego, jak bardzo są one dla mnie ważne, i że sam chcę dokonać czegoś istotnego. Nie rozumiałbyś, ponieważ ty uważasz, że egzaminy są dla frajerów, a twoja wizja przyzwoitości polega na włączeniu się z koleżkami i pieprzeniu

tanich dziwek za plecami własnej żony.

Zapalił następnego papierosa i niepewnie się uśmiechnął, czekając, aż mu odpowiem.

Wzruszyłem ramionami.

- Wszystko w porządku.

- Czy nadal chodzisz z Mickey? Poruszyłem się z zakłopotaniem na krześle.

- Piszemy do siebie - odrzekłem. - A latem mamy zamiar pojechać razem na wakacje.

To drugie zdanie wymknęło mi się niechcący, ponieważ wspólny wyjazd z Mickey, tylko ja i ona, wypełniał moje myśli od początku semestru. Nie chciałem, by Miles o tym wiedział, na wypadek gdyby miał coś przeciwko i oświadczył, że jesteśmy za młodzi. Myślałem, że powiadomię o tym mamę i Milesa, kiedy ja i Mickey będziemy opuszczać nasze domy ze spakowanymi plecakami. Serce zamarło mi na chwilę, gdy czekałem na jego sprzeciw, ale on nie zaoponował.

- To piękna dziewczyna - rzekł zamiast tego, lekko się uśmiechając. - Jesteś w niej zakochany?

Nie odpowiedziałem. Moje uczucia to wyłącznie moja sprawa. Nie chciałem, by Miles - ktoś, kogo uważałem za największego egoistę na świecie - naigrawał się z nich i podkopywał swoim sceptycyzmem.

- Wiedziałbyś, gdybyś był... - oświadczył mi z błyszczącymi oczami.

- No tak - warknąłem. - A ty jesteś ekspertem w kwestii miłości, prawda?

- Nigdy tak nie twierdziłem.

- Dlaczego w ogóle obchodzi cię to, co do niej czuję? Obserwowałem, jak drapie zarost na brodzie i pogrąża się we własnych myślach. Nic nie odpowiedział i odwrócił ode mnie wzrok, patrząc teraz na rozciągające się za ogródkiem pola.

- Nie bardzo mnie lubisz, co, Fred? - zapytał wreszcie, ponownie spoglądając na mnie.

- Tak - odpowiedziałem. - Nie bardzo.

- Przykro mi z tego powodu.

Jego powieki drgnęły, jakby w oczekiwaniu na moją reakcję. Nic nie powiedziałem. Przełknąłem cały ból, który czułem. Kochałem Milesa, to prawda, ale nie lubiłem go. Oznajmienie mu, że jest inaczej, byłoby zdradą samego siebie, a poza tym nie chciałem mu wybaczać. Nie zrobił niczego, by na to zasłużyć. Wszystko w jego życiu wydawało mu się takie proste, a było niezwykle trudne dla otaczających go ludzi. Pragnąłem, aby teraz cierpiał tak, jak ja cierpiełem z jego powodu. Nie miałem zamiaru okłamywać go w kwestii tego, kim dla mnie jest ani co o nim myślę.

- Taaa - rzekłem. - Cóż, może powinieneś być pomyśleć o tym wcześniej.

- Może i powinienem był - przyznał, ale zabrzmiało to jakoś szorstko. - Ale może właśnie teraz to robię.

Uniósł kufel i zaczął pić, odrywając go od ust dopiero wtedy, gdy na dnie pozostał zaledwie łyk piwa. Zamyślony odstawił kufel na stół.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć - oświadczył wreszcie. Przyglądałem się uważnie jego twarzy. Wróciła na nią niepewność, którą zauważyłem tuż po wyjściu z kaplicy. No dalej, pomyślałem. Powiedz to wreszcie. Powiedz, że masz zamiar zostawić mamę. - W klubie narobiło się trochę kłopotów.

Miles nigdy nie rozmawiał ze mną o interesach.

- Co się stało? - spytałem.

- Chodzi o Tony'ego. Odszedł i nie sądzę, by jeszcze kiedykolwiek wrócił.

Nie miało to dla mnie żadnego sensu.

- Ale...

Miles uniósł dłoń, aby mnie uciszyć.

- Zanim odszedł, odgrażał mi się. Nie chcę obarczać cię wszystkimi szczegółami, ponieważ możliwe, że wszystko dobrze się skończy.

- A jeżeli nie? - spytałem.

- Jeżeli nie, wtedy... Nie wiem. Jeszcze nie wiem, Fred... Ale wszystko - podkreślił to słowo - wszystko może się zmienić. - Na jego twarzy pojawiła się niezręczna szczerość.

- Nie rozumiem - odparłem.

- To, co powiedziałem ci wcześniej - kontynuował Miles.

- To, że jest mi przykro... Chcę, żebyś wiedział, że naprawdę tak uważam. Nigdy nie planowałem, by tak się między nami wszystko ułożyło. Zawsze myślałem, że kiedy będziesz trochę starszy, ja... my... - Wyjął z kieszeni zapalniczkę.

- Widzisz - mruknął. - Nawet nie potrafię się dobrze wysłowić.

Gdy się pochylił, by zapalić kolejnego papierosa, spojrzałem na włosy na czubku jego głowy i po raz pierwszy zauważyłem, że zaczynają się przerzedzać. Chciałem wiedzieć, jakie myśli przebiegają teraz przez jego głowę. Tony mu groził. Czy Miles był przerażony, zły, czy też jedno i drugie? Czy był w niebezpieczeństwie? Czy groziła mu utrata klubu? Co miał zamiar zrobić w tej sprawie i dlaczego mówił do mnie w tak zagadkowy sposób? Każdy inny syn, jak sądzę, zadałby swemu ojcu te wszystkie pytania, ale ja nie potrafiłem się na to zdobyć. Jedyne, co w tej chwili widziałem, to okazję do odrzucenia go, do wykorzystania jego słabości i rzucenia mu jego miłością prosto w twarz. Nie czułem wobec niego współczucia. Nie pozwoliłbym, by zmienił mój punkt widzenia ot tak, dla kaprysu. Musiał

popracować nad tym dużo, dużo ciężiej.

- Muszę się powoli zbierać - rzekłem. - Czeka mnie jeszcze dzisiaj mnóstwo nauki.

Spojrzał na mnie, a ja z kamienną twarzą zignorowałem smutek w jego oczach.

Trzy lata temu uzależniłem się od skomplikowanej i pełnej przemocy gry komputerowej zwanej Quake. Eddie i ja spędzaliśmy całe godziny, konkurując ze sobą w naszym mieszkaniu, bądź też zmagając się z innymi bojownikami w sieci. Kiedy tylko przerwałem lub kończyłem grę, natychmiast cierpiałem katusze z powodu porzucenia tego doskonale zaprojektowanego wirtualnego świata. Moje prawdziwe życie wydawało się w porównaniu z nim przygasłe i monotonne i jedyne, czego pragnąłem, to ponownie zalogować się w sieci.

Tak samo jest teraz z Mickey: jedno spotkanie sprawia, że ponad wszystko pragnę kolejnego. Niecierpliwość, melancholia i depresja, które bardzo często towarzyszyły mi podczas moich przygód z Quakiem, są obecne i teraz. (Stąd to opieranie się o pustą i nieużywaną szafkę do akt w moim biurze, wyglądanie przez okno niczym jakiś usychający z miłości nastolatek z lat pięćdziesiątych). Obecne są także błyski siatkówki, które kiedyś mi doskwierały, tyle że tym razem pojawiają się migawki z dzieciństwa spędzonego w Rushton zamiast (dzięki Bogu) wirtualnych karabinów maszynowych dziurawiących wirtualnych wrogów.

Z Mickey czuję się taki zrelaksowany, taki... akceptowany za to, kim naprawdę jestem. Wydaje mi się, jakby opadło ze mnie całe napięcie, które nagromadziło się przez piętnaście lat, jakie upłynęły od śmierci Milesa. To tak jak zdjęcie maski i uśmiechanie się po raz pierwszy własnymi ustami. Mickey tam była. Ona wie, co się wydarzyło. Widzi mnie bez żadnych upiększeń i nie osądza mnie za to. A skoro ona to potrafi - skoro ja potrafię być przy niej taki - gdzie w takim razie stawia to Rebeccę, Eddiego i wszystkich innych? Czy naprawdę znamy siebie choć trochę?

Stojący za mną laptop dostaje czkawki - jedna z małych innowacji Susan, sygnalizująca, że moja przerwa na lunch dobiegła końca i że czas ponownie wrócić do harówki. Wzdychając głośno, odrywam się od szafki, człapię do biurka i siadam na krześle. Ocieram wierzchem dłoni czoło i wpatrując się w krople potu na ręce, po raz chyba piętnasty tego dnia przeklinam nasz serwis klimatyzacyjny i ogólnie globalne ocieplenie. Wtedy mój laptop warczy na mnie i zaczyna się krztusić (kolejna sztuczka Susan), klikam więc, aby przeczytać otrzymaną właśnie wiadomość:

Witaj, Panie Rozmarzony.

Czyżbyś myślał właśnie o dniu swego ślubu?

Obracając się na krześle, zerkam przez szparę w szybie oddzielającej nasze biura, na której widnieją jeszcze połyskliwe, srebrne i czerwone, resztki kilku plakatów reklamowych z naszej zeszłorocznej kampanii.

A tam znad biurka gapi się na mnie oczywiście Susan, uśmiechając się i wachlując twarz jaskrawopomarańczowym klapkiem. Potrząsam w odpowiedzi głową, a ona - ciągle patrząc na mnie - wystukuje na klawiaturze kolejną wiadomość. Mój laptop szczeka raz jeszcze, a ja czytam:

Rebecca?

Spoglądam na Susan i ponownie kręcę głową. Kolejna wiadomość wskakuje do mojej skrzynki:

No cóż, mam oczywiście nadzieję, że nie chodzi o nikogo innego...

Zupełnie nie myśląc - o Rebecce, ślubie i wszystkich pieprzonych konsekwencjach tego rodzaju przekomarzania się - wystukuję:

Chodzi...

W mgnieniu oka klikam na SEND, a moja odpowiedź pojawia się na ekranie komputera Susan. I mniej więcej tak samo szybko uświadamiam sobie, że nieopatrznie pozwoliłem, by moje wewnętrzne rozterki ujrzały światło dzienne.

Próba sprawdzenia reakcji Susan zostaje udaremniona przez jednego z pracowników zajmujących się sprzedażą, Jima, który wstał właśnie od swojego biurka, ustawił się dokładnie pomiędzy nami z telefonem umieszczonym między ramieniem i szczęką i machał rękami, jakby wskazywał helikopterowi miejsce lądowania podczas nawałnicy.

Jednak niepewność trwa krótko: po kilku sekundach dociera do mnie odpowiedź Susan:

Poważnie?

Palcem lewej ręki już dotykam T, kiedy nagle moje dłonie zamierają nad klawiaturą.

Nie mogę powiedzieć Susan - nawet mimo ogromnej potrzeby wyrzucenia z siebie całej tej plątaniny uczuć i podzielenia się nimi z kimś zaufanym. Rozpoczęcie rozmowy o moich rozterkach spowoduje, że olbrzymia piłka zacznie się staczać w dół bardzo stromego zbocza, niszcząc wszystko na swojej drodze i na zawsze zmieniając mój świat. To znaczy, tak właśnie na ogół się dzieje, prawda? To tak, jakby znowu było się dzieckiem. Mówisz coś komuś w tajemnicy, a ten ktoś mówi to komuś innemu, a następną rzeczą, którą sobie uświadamiasz, jest fakt, że wszyscy o tym wiedzą i głośno wyrażają swoją opinię. Przestaje to być możliwością, którą po prostu bierzesz pod uwagę, a staje się celem, i wszyscy oczekują, że go osiągniesz.

A ja nie mogę przecież tego zrobić, prawda? Nie mogę ponownie spotkać się z Mickey, jeśli wcześniej nie powiem o niej Rebecce. Mickey na to nalegała. Prosiła, żebym nie był dziecinny. Ale jak mogę przedstawić Mickey Rebecce, skoro istnieje ryzyko, że tej pierwszej wyrwie się coś o Milesie, a jeśli... jeśli jest prawdą, że wczoraj, siedząc z nią na tarasie, myślałem o niej równie intensywnie jak teraz?

Więc jeszcze raz sięgam do klawiatury, kasuję T, które już zdążyłem wystukać, i zamiast tego piszę:

Zapomnij o tym.

Odpowiedź Susan pojawia się w ekspresowym tempie:

W porządku, ale jeśli będziesz chciał kiedyś porozmawiać, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wysłałem do niej krótkie OK i wpatruję się w kanapkę z bekonem i awokado, którą nabyłem podczas przerwy na lunch i która nadal leży zapakowana w folię na parapecie. Wiem, że powinienem coś zjeść, ale zupełnie nie mam apetytu, więc zamiast tego otwieram puszkę dietetycznej coli i pociągam z niej spory łyk.

Rozglądam się po moim biurze, patrzę na biały sufit, powieszoną na jednej ze ścian tarczę do rzutków Velcro, „białą tablicę z magnetycznymi czerwonymi i czarnymi chorągiewkami (pozostałość po pewnym guru, który rok temu został podkupiony przez konkurencję). Jestem tak wytrącony z równowagi i jednocześnie nabuzowany tym, co prawie wyznałem Susan, że robię coś, od czego uciekałem przez cały ranek: zabieram się do porządkowania biurka.

Lubię myśleć, że jestem osobą, w której biurze nie walają się zbędne papierzyska, ale to, co w tej chwili widzę przed sobą, zadaje kłam tym wyobrażeniom. Zazwyczaj cała moja praca opiera się na laptopie i telefonie, a dzisiaj na moim biurku panuje więcej niż bałagan. Po prawej stronie laptopa znajduje się sterta papierów z pomysłami na sponsoring i towarzyszące im sugestie, nad którymi pracowali Susan i Graham, a teraz ja muszę to wszystko przejrzeć. Leży też kilka zakwestionowanych faktur z naszej imprezy promocyjnej, co do których księgowi żądają dodatkowych wyjaśnień. Jednak to nie żadna z tych rzeczy mnie martwi.

Nie, to zdecydowanie wyższy stos papierzysk po lewej stronie laptopa jest odpowiedzialny za mój wyjątkowy opór, który odczuwam dziś w stosunku do biurka. Zalega na podkładce do myszki i niebezpiecznie przechyla się w kierunku brzegu biurka niczym wybrakowany komin fabryczny. Staram się odwrócić wzrok, ale to przecież nie ma sensu: jest tak samo, jak w przypadku wyjątkowo odrażającego horroru, gdy nie można się zmusić, by

przestać go oglądać.

Na wierzchu leży teczka z napisem: ŚLUB. Sprawy do załatwienia...

To, co mnie martwi, to fakt, że nie potrafię o tym myśleć, nie wspominając już o działaniu. Przerazające. Za dobre dwa tygodnie żenię się. Powinienem czuć podekscytowanie i zdenerwowanie, ale tak nie jest. Całe to wydarzenie napędza mnie obojętnością. Moja pewność znikła i wygląda na to, że nie mogę nic na to poradzić.

Zamiast tego jedyne, co czynię, to wyobrażam sobie siebie przed ołtarzem kościoła w Shotbury jeszcze przed przybyciem Rebecki. Widzę, jak się odwracam i lustruję twarze siedzących w ławkach ludzi w poszukiwaniu tej jednej, którą pragnę zobaczyć, ale wiem, że jej tam nie ma i nie może być.

Miłość. Czym ona jest? Co łączy mnie i Rebecę? Co myślałem, że łączy mnie i Rebecę? Co sądzę, że jeszcze raz może połączyć mnie i Mickey? Nie zakochałem się w nikim bez pamięci, odkąd byłem nastolatkiem. Być może zakochanie się bez pamięci jest opcją dostępną jedynie dla nastolatków i innych ludzi, którzy mieli tyle szczęścia, że ich serce nigdy nie było złamane i nie zrobiło się przez to twarde jak kamień. Być może szaleństwem z mojej strony jest pragnąć więcej, niż już mam.

- Naprawdę, ci ludzie zupełnie nie rozumieją, co się do nich mówi - oświadcza Rebecca. - Trzy sypialnie z ogrodem. To właśnie im powiedziałam. Nie jedna sypialnia plus ciepłarnia albo trzy i balkon. To przecież nie jest takie trudne, prawda? No i te ich wywody. Rynek to, rynek tamto. Co oni wiedzą o rynku i o zarządzaniu? Mam więcej dyplomów z tej dziedziny, niż oni zjedli w swoim życiu gorących obiadów albo kebabów - albo co tam też pchają do swoich zapoconych brzuchów.

I wiesz co, Fred? Fred?

- Cco? - Droga przede mną staje się nagle wyraźna i odwracam się do Rebecki, która siedzi tuż przy mnie na miejscu kierowcy.

- Fred, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest powrót do samochodu po rozczarowującym zlustrowaniu beznadziejnej sutereny na Carlton Vale.

- Co?

- Czy ty mnie...

- Pewnie - odpowiadam, szukając w pamięci ostatnich słów Rebecki i wreszcie ryzykując: - Upychanie zabrudzonych kożuchów, prawda?

Rebecca przewraca oczami.

- Agenci nieruchomości, skarbie. Mówiłam o agentach nieruchomości. - Skupia swoją

uwagę z powrotem na drodze.

Jej krwistoczerwone usta krzywią się przez moment, gdy nagle wciska pedał gazu, przyciska dłonią klakson i skręca w lewo. Klakson wyje głośno i długo, a ja zdejmuję ciemne okulary i spoglądam przez szybę na bezkresne, błękitne niebo.

- Pieprz się, dziadku! - woła Rebecca przez otwarte okno do wściekłego mężczyzny w zardzewiałym, starym samochodzie, który właśnie wyprzedziła. - No dobrze - kontynuuje, patrząc na mnie kątem oka i odgarniając z czoła niesforny kosmyk.

- Kto jest następny?

- Następny?

- Na liście.

Patrzę na leżącą na moich kolanach teczkę z napisem SOBOTA. NIEDZIELA oraz masa innych kartek z nakreślonymi obowiązkami na następne dni przed ślubem są w mieszkaniu Rebecki, które opuściliśmy dziś o ósmej rano, aby - jak stwierdziła moja narzeczona - mieć wystarczająco dużo czasu na spokojne załatwienie wszystkich przewidzianych na dzisiaj spraw.

- Na jakiej liście? - pytam, ponieważteczka sobotnia zawiera ich wiele, a każda jest starannie wydrukowana i pozakreślana markerami przez Paula, asystenta Rebecki.

- Trzymajmy się na razie agentów nieruchomości - oświadcza zdecydowanie. - Do biur podróży możemy się udać po lunchu. - Wyciąga rękę i ściska moje udo, ponownie cała w skowronkach. Na chwilę odwraca spojrzenie od drogi i posyła mi promienny uśmiech. - Myślałeś już o tym, dokąd chciałbyś mnie zabrać? - pyta.

Już mam na końcu języka raczej niemiłą odpowiedź: „Do syberyjskiej kopalni soli”, ale na szczęście w porę się powstrzymuję. Niewypowiadanie na głos wielu moich dzisiejszych myśli zapewnia pokój między nami. Nie wyjaśniłem, że czuję się coraz bardziej skrepowany, polując na nowe mieszkanie, podczas gdy własne całkowicie mi odpowiada. Nie wspomniałem także nic o tym, że martwi mnie, iż nie jestem w stanie spojrzeć Rebecce prosto w oczy, kiedy mówi coś o ślubie. No i oczywiście po raz kolejny nie powiedziałem jej o Mickey. Moje milczenie prawdopodobnie uratowało mnie przed wyrzuceniem siłą z saaba i natychmiastowym porzuceniem, na co, trzeba przyznać, całkiem bym sobie zasłużył.

- No cóż - odpowiadam, grając na zwłokę, gdy zatrzymujemy się na światłach. Prawda jest taka, że skoro i tak żadne z nas nie dostanie urlopu zaraz po ślubie, wyjazdowi na miesiąc miodowy nie poświęcałem do tej pory zbyt wiele uwagi. - Myślałem, że może...

- Dziewice - wchodzi mi w słowo Rebecca.

Zmieszany przeczesuję wzrokiem chodnik po obu stronach samochodu, ale jedynymi

ludźmi, których widzę, są: pchająca wózek kobieta i kilkoro mężczyzn w umazanych farbą kombinezonach stojących przed jakąś kafejką.

- Gdzie? - pytam.

- Brytyjskie Wyspy Dziewicze - wyjaśnia cierpliwie Rebecca. - Eddie mówi, że te amerykańskie są zbyt zatłoczone i że...

- Eddie? - pytam zaskoczony tym nietypowym źródłem informacji o miejscach spędzania miesiąca miodowego.

Światła zmieniają się, Rebecca rusza do przodu i przyspiesza, po czym po około dwustu metrach znowu zwalnia, zatrzymując się na końcu kolejnego korka. Powietrze wypełnia smród palącej się gumy.

- Opowiadał mi w Hyde Parku, że żeglował wokół tych wysp, kiedy skończył szkołę, i że było tam dosłownie bosko. - Rebecca rzuca mi szybkie spojrzenie. - Rozumiesz: dosłownie bosko.

- Brzmi świetnie - zgadzam się.

Ponownie patrzy przed siebie i mocno klepie mnie w kolano.

- Lista - przypomina mi.

Otwieram sobotnią teczkę, wyciągam z niej listę z adresami agencji nieruchomości i wykreślam te, które już dzisiaj odwiedziliśmy. (Rebecca: „Telefonowanie jest stratą czasu. Musisz iść i osobiście się pokazać. To tak, jak ze wszystkim w życiu: musisz udowodnić, że ci na tym zależy”). No cóż, udowodniliśmy to już w dwunastu agencjach, głównie w Maida Vale, a teraz przejeżdżamy przez przesmyk w lasku otaczającym Queen's Park.

Czytam na głos jedno z pierwszych nazwisk na liście: James Peters, po czym podaję Rebecce adres i w chwili, gdy to czynię, w mojej głowie rozlega się dzwonek alarmowy. Nie potrzebuję dużo czasu, by zorientować się dlaczego.

- Może powinniśmy ominąć tę agencję? - proponuję.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Staram się mówić to niedbałym tonem.

- Przechodziłem kiedyś tamtędy. Wygląda tandetnie.

- W takim razie może mają niższą prowizję - odparowuje Rebecca. - Tak czy inaczej będziemy tamtędy przejeżdżać, więc równie dobrze możemy się na chwilę zatrzymać. Spójrz - dodaje, zanim mam szansę wyrażenia kolejnych obiekcji. - To tam. - Wskazuje palcem.

Farba pokrywająca zewnętrzne ściany agencji nieruchomości jest zdecydowanie w stylu lat osiemdziesiątych i niepokojąco przypomina czerwonoszarą poszewkę na kołdrę, którą miałem kiedyś w dzieciństwie. Podjeżdżamy do tego miejsca coraz bliżej i bliżej i

wyraźnie dostrzegam na wpół odklejone plakaty na szybie od dawna nieczynnego sklepu na rogu, dwa domy dalej. Jednak żadne z tych miejsc nie przyciąga mojej uwagi. Jest ona zarezerwowana dla malej kwiaciarni, w której szyld - wysmakowany, a jednak przykuwający wzrok - wlepiałam teraz oczy, gdy powoli, lecz nieubłaganie zbliża się srebrna litera po literze.

- Doskonale! - przyklaskuje Rebecca. Kierunkowskaz jej saaba mruga monotonicznie, gdy czekamy, aż ruszające sprzed agencji volvo zwolni miejsce. Zatraskany spoglądam na niebo, po czym opuszczam wzrok ponownie na ziemię i na napis KWIACIARNIA U MICKEY, który znajduje się nie dalej jak pięć metrów ode mnie.

Uśmiechając się do mnie promiennie, Rebecca miękko parkuje na zwolnionym przez volvo miejscu. Odwzajemniam się jej słabym i niepewnym grymasem, w pełni odpowiadającym mojemu obecnemu samopoczuciu. Jednak gdy kątem oka zauważam jakiś ruch przy drzwiach kwiaciarni Mickey, uśmiech natychmiast znika z mojej twarzy. Czując mdłości, pochylam się na siedzeniu tak mocno, jak tylko mogę.

- Jaka słodka, mała kwiaciarnia - oświadcza Rebecca, gasząc silnik. Po chwili odpina pasy i nakłada okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy.

- Taaa - chrząkam niezobowiązująco, patrząc zdecydowanie przed siebie i zastanawiając się, czy mogę zaryzykować szybkie zerknięcie w stronę kwiaciarni, by się upewnić, w jak wielkim jestem niebezpieczeństwie.

Jednak w chwili, gdy to robię, uświadamiam sobie, że to nie jest dobry pomysł. Mickey Maloney stoi kilka metrów dalej w otwartych drzwiach, z włosami związanymi chustką w grochy, i rozmawia z jakimś wysokim mężczyzną, który trzyma ogromny, owinięty celofanem bukiet. Obserwuję, jak mężczyzna przesuwają się w bok, chwilowo zasłaniając Mickey.

- Czy naprawdę musimy to zrobić dzisiaj? - próbuję jeszcze raz. - To znaczy, czy i tak nie mamy zbyt wiele na głowie, żeby martwić się jeszcze agencjami nieruchomości?

Rebecca wydyma wargi.

- To nie moja wina, że moje mieszkanie poszło tak szybko - mówi karcąco. To prawda. Zgłosiła je do agencji zaledwie kilka dni temu, a już otrzymała dwie propozycje kupna za żadaną przez nią cenę. - A teraz przestań być takim zrzędą - ciągnie. - Im wcześniej zaczniemy, tym prędzej się z tym wszystkim uporamy.

- No to chodź - mówię do Rebecki, po czym pospiesznie odpinam pasy i wychodzę z samochodu.

Po raz pierwszy dzisiaj Rebecca wydaje się nigdzie nie spieszyć. Przegląda się w bocznym lusterku, po czym czeka, aż przejedzie ciężarówka, i dopiero wtedy spokojnie

wysiada z samochodu i dołącza do mnie.

Kiwam zachęcająco głową w stronę drzwi agencji Jamesa Petersa.

- Chodźmy tam i pokażmy, że to nas obchodzi - przypominam jej z entuzjastycznym uśmiechem. - Pokażmy, że chcemy tego...

W tym czasie Rebecca wygładza dłonią boki opinającego piersi różowego topu i czarną mini z futerka kreta.

- Dlaczego tamta kobieta tak nam się przygląda? - pyta nieoczekiwanie.

- Jaka kobieta? - Nagle wykazuję niezwykle zainteresowanie jakąś zwisającą z kieszeni moich džinsów nitką.

- Kwiaciarka.

- Jaka kwiaciarka? - pytam i ruszam żwawo w stronę drzwi agencji.

Rebecca kładzie mi dłoń na ramieniu, zmuszając mnie do zatrzymania się.

- Nie tutaj - mówi. - Tam. Za tobą.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam, nie oglądając się za siebie. - Tak czy inaczej, lepiej...

- Macha do nas.

- Naprawdę? - pytam słabo.

- Tak - zapewnia Rebecca.

- Och.

- I idzie w naszą stronę - dodaje.

- Och.

- I wyciąga dłoń, by poklepać cię po ramieniu.

- Aha.

Gdy czuję na ramieniu dłoń Mickey i słyszę jej głos, łagodnie pytający: „Fred?”, powoli odwracam ku niej twarz.

Wczorajszego ranka, kiedy siedzieliśmy u mnie na tarasie i popijaliśmy kawę, musiało ją trochę złapać słońce, ponieważ jej policzki upstrzone są teraz drobnymi piegami, a ja niczego bardziej nie pragnę, niż wyciągnąć rękę i przesunąć po nich palcami. Wpatruję się w jej usta, przypominając sobie, jak całowałem je na śniegu podczas tamtych świąt, tak dawno temu.

- Mickey - mówię beznadziejnie nieadekwatnie. - Miło cię tu spotkać.

Przygląda mi się z zainteresowaniem.

- Eee, no tak - odpowiada z półuśmiechem. - Tuż przed moją kwiaciarnią... miło.

Słyszę, jak Rebecca chrząka przy moim boku, a ja kiwam głową i bezmyślnie szczerzę

do Mickey zęby. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym teraz powiedzieć. Co się mówi w podobnych okolicznościach? Wiem jedynie, jak się teraz czuję: beznadziejnie głupi, płytki i zdradziecki, tak jakbym dzięki temu, że nie przyznaję się do Mickey, przewijał czas i kasował wszystko, co wydarzyło się między nami od tego wieczoru, gdy wpadliśmy na siebie w Toy - Zone. Rebecca ponownie chrząka, ale ja nie mogę przestać patrzeć na Mickey, oczarowany samą jej obecnością.

- A... u ciebie... wszystko... w porządku? - pytam mało inteligentnie.

Mickey próbuje wyczytać coś z mojej twarzy.

- Tak - odpowiada, bez wątpienia zaskoczona tymi oficjalnymi frazesami. - Au ciebie? Tuż przy mnie Rebecca prawie dostaje ataku kaszlu, więc wreszcie się odwracam.

- Poznaj... Mickey - mówię do niej. - Jest moją dawną znajomą. Razem dorastaliśmy. Rebecca obrzuca Mickey pobieżnym spojrzeniem.

- W takim razie to wszystko tłumaczy.

- Tłumaczy co? - pyta Mickey.

- Dlaczego Fred nigdy o tobie nie wspominał... Zawsze jest nieco tajemniczy, jeżeli chodzi o swoją przeszłość...

Mickey przechyla głowę i szybko, prawie niezauważalnie spogląda w moje oczy. Ale zaraz potem, zanim mogę potrząsnąć głową, powiedzieć bezgłośnie „przepraszam” albo w jakiś inny sposób dać jej do zrozumienia, jak fatalnie się czuję, uśmiecha się uprzejmie do Rebecki.

- No cóż, ale mnie o tobie wszystko opowiedział - mówi Mickey, wycierając rękę w spodnie. - Rebecca, prawda?

- Tak. - Rebecca wygląda na nieco zaskoczoną tą informacją, bez wątpienia policzywszy sobie szybko, że skoro Mickey zna jej imię, to ja i ona musieliśmy się widzieć nieco później niż w dzieciństwie.

Biorę głęboki wdech, decydując, że tu i teraz nadrobię moją dziecinność i zapoznam Rebecę z ostatnimi wydarzeniami. I tak się wszystko wyda, a lepiej, żeby to wyszło ode mnie. Przynajmniej w ten sposób dopełnię transakcji z Mickey. I, przewrotnie, nagle wydaje mi się to dużo ważniejsze niż ewentualne podejrzenia, które mogą się pojawić w głowie Rebecki.

- Kilka tygodni temu wpadliśmy na siebie w Toy - Zone - zaczynam. - I wtedy pomyślałem sobie, że to niezły pomysł... skoro zbliżała się impreza promocyjna, aby...

Ale tylko tyle udaje mi się wyznać, jeżeli chodzi o moją aktualną znajomość z Mickey. Rebecca nie słucha więcej. Zamiast tego pyta:

- Nie mów, że ty też jesteś maniakiem komputerowym?

- Eee, nie - wyjaśnia Mickey. - Tak właściwie to kupowałam prezent dla Joe.

- Dla Joe?

- Mojego syna.

Rebecca ledwie dostrzegalnie kiwa głową, słysząc tę informację, ale jej zachowanie zmienia się diametralnie. Po raz pierwszy uśmiecha się do Mickey we właściwy sposób, tak jak do mnie, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Wydaje się cała zrelaksowana, począwszy od ramion, a skończywszy na ręce, którą teraz władczo obejmuje mnie w pasie.

Przyglądam się, jak Rebecca lustruje Mickey od góry do dołu, i zastanawiam się, co sprawia, że czuje się taka rozluźniona. Kwiaciarka, mało ważna Eliza Doolittle, niższa od niej i gorzej ubrana? Ktoś, kto zarabia na życie własnymi rękami? Ktoś, kto jest ładny, ale tak naprawdę nie wie nic o makijażu i najnowszych trendach w modzie? Być może widzi to wszystko, ale ponad tym - jak sądzę - widzi matkę, czyli kogoś, kto w niczym nie przypomina jej, Rebecki, i z tego powodu w ogóle mnie nie interesuje.

I właśnie wtedy zza rogu wyłania się Joe, pędząc na deskorolce, a tuż za nim podąża chłopiec, którego poznał na sobotniej imprezie. Obaj mają na sobie wielkie koszulki Blue Room i - pomimo panującego dzisiaj gorąca - wełniane kapelusze. Ten drugi chłopiec przemyka tuż obok nas i zjeżdża na ulicę.

- Uwaga, mamó! - woła Joe, po czym zeskakuje z deskorolki tuż przy Mickey i opiera deskę o swoją nogę.

- Ty pewnie jesteś Joe - mówi Rebecca, ponownie szeroko się uśmiechając.

Joe kiwa głową bez przekonania i obserwuje, jak jej biodro opiera się o moje.

- A ile masz lat? - pyta Rebecca.

Joe krzywi się i badawczo się jej przygląda.

- Czterdzieści siedem - mówi wreszcie. - Jestem karłem. Mama nie powiedziała pani o tym? - Po czym uśmiecha się nieśmiało do mnie. - Cześć, Fred - mówi. - Jak leci?

- Dobrze - odpowiadam, tłumiąc chichot. Zdejmuję z mojego pasa rękę Rebecki i robię krok do przodu. - A tobie?

- W porządku - mówi, niedbale wzruszając ramionami.

- Szykuje ci się coś interesującego? - pytam. Potrząsa głową.

- Nieee. - Po czym zmienia zdanie. - W następną sobotę jedziemy do domu babci i dziadka - wyznaje. - Do Rushton. Mama mówi, że kiedyś tam mieszkałeś...

- To prawda. Dawno temu. - Rzykuję i rzucam spojrzenie na Mickey, ale ona patrzy akurat na Joe. - Mam stamtąd świetne wspomnienia.

Joe z zamyśleniem upycha grzywkę pod kapeluszem.

- Mama mówiła, że wyprowadziłeś się z Rushton, jak byłeś nastolatkiem - rzuca, przyglądając mi się uważnie. - Wróciłeś tam kiedyś?

- Nie - odpowiadam, patrząc na niego ze smutkiem. Kiwa głową ze zrozumieniem.

- W takim razie może pojedziesz razem z nami? - proponuje. - Babci i dziadka nie będzie i moglibyśmy...

- Joe! - Mickey dotyka jego ramienia i ściska je. Na jej twarzy pojawia się rumieniec. - Wybacz - przeprasza Rebecę. - Czasami trochę go ponosi.

W oczach chłopca widać zakłopotanie. Spuszcza markotnie głowę, kręcąc stopą kółkiem przy deskorolce.

- Powiedziałem tylko... - bąka.

- Z ogromną chęcią - przerywam mu, starając się załagodzić sytuację. - W każdych innych okolicznościach pojechałbym. Ale teraz naprawdę nie mogę...

- Dlaczego? - pyta, wpatrując się we mnie z uwagą.

- Dlatego, że... - zaczynam, po czym urywam. - Nie mogę, ponieważ za dwa tygodnie się żenię - mówię wreszcie.

Spojrzenie Joe biegnie do Rebecki, po czym wraca do mnie.

- Z nią? - pyta.

- Tak - odpowiadam. - Z Rebecą.

Joe wyrywa się Mickey, opuszcza deskorolkę na chodnik i bez oglądania się za siebie pospiesznie dołącza do czekającego z boku kolegi.

Mickey zmieszana i jednocześnie zdziwiona spogląda za nim.

- Tak mi przykro - zaczyna. - On jest...

- Nic się nie przejmuj... - przerywam jej.

Rebecca znacząco spogląda na zegarek i uśmiecha się do Mickey.

- Jest naprawdę słodki - mówi i wyciąga rękę. - Miło było cię poznać - ciągnie, gdy ściskają sobie dłonie. - Ale musimy już iść, prawda, Fred? - dodaje.

Spojrzenia moje i Mickey krzyżują się. Jej twarz jest jednym wielkim znakiem zapytania, ale nie mogę teraz udzielić jej żadnej odpowiedzi, nie z Rebecą przy moim boku. Pochylam się i lekko całuję ją w policzek. Jej włosy pachną kwiatami.

- Do widzenia - mówię, prostując się.

- Do widzenia - odpowiada i przez chwilę, kiedy jej oczy lustrują moją twarz, mam nadzieję, że te słowa jej tak samo trudno wypowiedzieć, jak mnie usłyszeć.

W niedzielę odbieram matkę ze stacji King's Cross i jedziemy razem do mieszkania

Rebecki na obiad. Są tam • także obecni moi przyszli teściowie i ma to być coś w rodzaju wieczorku zapoznawczego, jako że ich jedyny wcześniejszy kontakt sprowadził się do rozmowy telefonicznej po tym, jak ogłosiliśmy nasze zaręczyny. Mama rękami i nogami trzyma się Szkocji. Jej dzisiejszy przyjazd do Londynu jest efektem kilkumiesięcznego przekonywania.

George, jak można się było spodziewać, jest podczas posiłku prawdziwym uosobieniem uroku i dobrego humoru, ale w głębi duszy podejrzewam, że on i Mary uważają mamę za nieco zbyt purytańską jak na ich gust. I tak właśnie ona się prezentuje: bezbarwna i surowa szkocka matrona, tak różna od moich wspomnień o niej z dzieciństwa. Jedyna próba dialogu, jaką podejmuje, dotyczy uprzejmych dociekań na temat kościoła w Shotbury i obrządku, w jakim zostanie udzielony nasz ślub.

Kiedy następnego ranka całuje mnie na peronie na pożegnanie, nie sposób nie zauważyć ulgi na jej twarzy. Cieszy się, że jedzie do swojego domu.

- To urocza dziewczyna - mówi do mnie. - Opiekuj się nią. Zbuduj swój świat wokół niej. Tak właśnie ja zrobiłam z Alanem.

- Mamo... - Ale nie jestem w stanie dodać niczego więcej. Chciałbym móc zwierzyć się jej ze wszystkich wątpliwości, które coraz ciaśniej mnie osaczają. Pragnę, by znowu była moją dawną mamą i sprawiła, że wszystko będzie wydawać się proste, by wyjaśniła mi cały świat i pokazała, jak powinienem w nim funkcjonować. Nie chcę dłużej takiej izolacji. - Pozdrów ode mnie Alana. - Tyle tylko udaje mi się z siebie wydusić, a chwilę potem konduktor głośno gwizdże i mama wchodzi do wagonu.

Gdy macha na pożegnanie, wydaje mi się, że ma w oczach łzy, ale po chwili jej sylwetka znika, a ja już nie jestem tego taki pewny. Odchodzę, zastanawiając się, czy czasami nie widzi we mnie Milesa i czy właśnie to nie trzyma nas tak daleko od siebie, dużo dalej niż dzielące nasze domy setki kilometrów.

W ciągu kilku następnych dni mam tak wiele na głowie, że brakuje mi czasu na rozmyślanie. To tak, jakby moje stopy zostały przytwierdzone do płyty oznaczającej dzień ślubu i nic, ale to nic nie jest w stanie mnie powstrzymać przed dotarciem na miejsce.

Nadchodzi czwartkowy wieczór i jadę razem z Eddiem przez Kingstonon - Thames do pubu Róża i Cierń. Docieramy tam około wpół do ósmej. Jest to małe, krzykliwe i zupełnie pozbawione dobrego smaku miejsce, pretendujące do miana przydrożnego, wiejskiego zajazdu, mimo że zaledwie pół kilometra dalej zaczynają się osiedla wieżowców, należące do rozrastających się przedmieść Londynu.

W środku na rzeźbionych, drewnianych krokwiach poupychano hełmy z czasów wojny domowej, atrapy muszkietów i inne „historyczne” przedmioty. Przy barze siedzi kilku miejscowych, a ze stojącej przy ścianie szafy grającej sącą się łagodne rockowe ballady tak cicho, że nie zakłóciłyby nawet snu małego dziecka. Nie przyjechaliśmy jednak do Róży i Ciernia dla atmosfery tego miejsca, ale dlatego, że właśnie tutaj ma początek mój kawalerski weekend.

Mówię weekend, ale dzięki Bogu (ze względu na niekorzystne okoliczności związane z rezerwacją łodzi przez Eddiego), będzie on trwać tylko do soboty. Mówię dzięki Bogu, ponieważ, prawdę powiedziawszy, nie jestem w nastroju na te wszystkie wygłupy. Szybko jednak wychodzi na jaw, że tylko ja mam takie odczucia.

Reszta naszej kompanii (razem dziewięć osób) przybywa w ciągu następnej godziny, tempo picia zwiększa się i mój posepny nastrój dość szybko zostaje rozproszony przez panujące ogólne zadowolenie. Gram w bilard z Andrew i Johnem, dwoma dawnymi współlokatorami z czasów moich studiów w Manchesterze, a potem ucinam sobie długą pogawędkę z Willem, jedyną osobą z college’u w Kemble (dokąd posłała mnie mama, gdy przeprowadziliśmy się do Szkocji), z którą pozostaję jeszcze w kontakcie.

O wpół do dziesiątej zbieramy się i podążamy za Eddiem na tyły pubu, gdzie do chwiejącego się mostu pontonowego przycumowanych jest sporo wąskich łodzi. Wspinamy się na jedną z nich, „Naseby”, która na najbliższe dwie noce stanie się naszym domem, a wieczór zaczyna przesłaniać pijacka mgła.

Następnego dnia konsekwentnie używam alkoholu jako środka znieczulającego. Płyniemy bez planu Tamizą, zatrzymując się po drodze w przybrzeżnych pubach, przerzucając się wzajemnie przez burzę, opalając na pokładzie i generalnie zapominając o wszystkim na świecie z wyjątkiem tego, co dzieje się tu i teraz. Jednak wieczorem, kiedy po przycumowaniu do czwartego z kolei pubu kończymy kolację, ten wygodny środek znieczulający przestaje działać. To tak, jakbym upił się aż do trzeźwości i nawet w gronie przyjaciół czuję się okropnie samotny.

Gdy znaleźliśmy się z powrotem na łodzi, zostawiam wszystkich w kabinie i wspinam się na pokład, a stamtąd na dziób. Siadam i spuszczam nogi, po czym zapalam papierosa, który wcześniej ukradkiem podebrałem z paczki Eddiego. Pomimo wtłoczonego w siebie alkoholu jestem w pełni świadomy tej nagłej dawki nikotyny. Przez płuca przenika ona do krwi niczym woda wciągana przez wysuszoną gąbkę i po raz pierwszy w tym tygodniu z moich ramion opada napięcie. Wtedy też - gdy niknie całe moje podenerwowanie - wzdycham rozdzierająco niczym tęskniące za domem dziecko, wiedząc, że już tutaj nie pasuję

i że wszystko się zmieniło.

Wpatruję się w rozgwieżdżone niebo, które odbija się w spokojnej, czarnej wodzie. Rzeka wygląda tak, jakby w ogóle nie miała dna. Wydaje się, że gdyby się do niej wpadło, bez końca opadałoby się i opadało w ciemności, coraz bardziej oddalając się od światła i powietrza. W mojej głowie pojawia się obraz Milesa. Jak zawsze, kiedy tylko pomyślę o śmierci. Zastanawiam się, co on wtedy czuł. Czy wiedział, że to koniec, gdy to się stało? Czy doświadczył tej samej mieszanki bezradności i poczucia beznadziei, która wypełniła moje serce po jego odejściu?

Co by sobie teraz pomyślał o tym wszystkim? O Mickey? I o mnie? O tym, co czuję? „To piękna dziewczyna”, powiedział. Widzę go teraz w tamtym pubie, uśmiechającego się i pytającego: „Jesteś w niej zakochany?”. Przełykam ślinę i zagryzam wargi, starając się o nim nie myśleć. Ale to nic nie daje. Nie mogę przestać żałować, że nie odpowiedziałem mu wtedy, że nie wpuściłem go do swojego życia, zanim odszedł z niego na dobre. Myślę, że byłby z tego zadowolony. Przecież bez względu na to, jak się układało między nim a mamą, chciał, żebym był szczęśliwy, prawda?

- Dlaczego cię tutaj nie ma? - szepczę ochryple, a w gardle czuję suchość. - Dlaczego nie możesz tutaj być, żebyś sam mógł mi o tym powiedzieć?

Po moim policzku spływa pojedyncza łza. Podnoszę butelkę piwa i pociągam spory łyk, po czym ponownie zaciągam się papierosem. Nie będę płakał. Nie będę go opłakiwał po tych wszystkich latach. Powtarzam sobie, że nie ma znaczenia, co by sobie teraz myślał. On nie żyje. I właśnie to się liczy. Wszystko, co sędzę, że o nim wiem, jest bez znaczenia. To tylko zwykłe gdybanie. On przecież już nie istnieje.

Słyszę kroki na pokładzie za mną, odwracam się i widzę zmierzającego w moją stronę chwiejnym krokiem Eddiego, nadal z kamerą w ręce.

- Niegrzeczny chłopiec. - Wskazuje na mojego papierosa, po czym sadowi się obok mnie.

- Wyłącz to.

Nie reaguje. Zamiast tego pyta:

- Dlaczego?

- Ponieważ nie można żyć w taki sposób - odpowiadam.

- Przed kamerą... jak jakiś aktor. To się nie sprawdza. Ustępuje i wyłącza kamerę.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak - odpowiadam. - Po prostu zrobiłem się trochę sentymentalny, to wszystko. To pewnie przez ten cały alkohol - natychmiast się usprawiedliwiam.

- Nerwy w związku z przyszłym weekendem?

- Coś w tym rodzaju.

- Wielka zmiana, no nie? Kiwam głową potakująco.

- Przecież o to właśnie chodzi, prawda? - mówi. - Nie ma sensu wahać się za długo, znudziłoby ci się to.

- Pewnie tak.

- Pięknie tutaj, nie? - bardziej stwierdza, niż pyta, kładąc się na plecach i wpatrując w gwiazdy. - Nie uświadczysz takiego nieba w Londynie. Zbyt wiele świateł. Musisz zupełnie odciąć się od elektryczności, żeby móc to podziwiać.

- Dzięki za zorganizowanie wszystkiego - rzucam.

- Dobrze się bawisz?

- Tak.

- To świetnie, bo...

- Bo co? - pytam, kiedy Eddie urywa.

- Nie wiem. - Ucina ponownie, bez wątpienia dlatego, by uporządkować swoje nieco zamroczone tymi wszystkimi piwskami myśli. - To trudne - mówi wreszcie. - Czasami trudno być prawdziwym przyjacielem. Czasami trudno to wszystko właściwie rozegrać.

- Co masz na myśli? - pytam, wrzucając papierosa do wody i obserwując migoczące i rozmazujące się gwiazdy.

- O ile ty dobrze się bawisz, to tylko to...

- Bo bawię. A co z jutrem? - pytam badawczo, odwracając się do niego. Jego twarz jest ukryta w cieniu. - Jak sądzisz, o której wrócimy?

- Gdzieś koło lunchu. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie - odpowiadam, wstając. - Chodź. Dołączmy do reszty.

Gdy wracamy do kabiny, myślę o swoim samochodzie zaparkowanym koło Róży i Ciernia w Kingston, o tym, by się do niego dostać, i o tym, w jak wielu kierunkach mogę wtedy, pojechać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MICKEY

Naturalnie powinnam była przewidzieć, że ona jest piękna. To przecież oczywiste, że Fred poślubi kogoś równie modnego i odnoszącego sukcesy zawodowe jak on sam, ale wcześniej w jakiś sposób udawało mi się wypierać to ze świadomości. Przyjęłam do wiadomości jeden fragment informacji o Rebecce i na jego podstawie stworzyłam sobie obraz na tyle niegroźnej postaci, na ile tylko potrafiłam. Kiedy Susan powiedziała, że imprezy firmowe Freda nie są dla niej „wystarczająco w stylu Gucciego”, uznałam, że Rebecca jest jakąś pozbawioną energii, wypindrzoną snobką, zdolną jedynie do kupowania butów od znanych projektantów i pochłaniania wymyślnych tartinek. A kiedy się dowiedziałam, że nigdy nie zostaje u Freda na noc, stała się dla mnie jeszcze bardziej bezpłciowa. Założyłam, że ukrywa się w jakimś apartamencie w Chelsea i usuwa na dalszy plan, uległa i nudna, podczas gdy w ich związku to Fred świeci całym swoim blaskiem. Posunęłam się nawet tak daleko, że wmówiłam sobie, iż tak się bawiła uczuciami Freda, że w końcu dał się nabrać i został zmuszony do oświadczeń.

Nigdy nie zaświtało mi w głowie, że ona jest prawdziwa. Nie tylko prawdziwa, ale piękna, podążająca za modą, seksowna, inteligentna i - co najgorsze - że ona i Fred będą razem tak dobrze wyglądać. I właśnie to ich bycie razem tak mnie drapie w gardle. Spędziłam tyle czasu, widząc Freda z przeszłości, że gdy ujrzałam, jak istnieje w teraźniejszości, poczułam, jakby ktoś mocno uderzył mnie w policzek. Rebecca jest miła - naprawdę bardzo miła, i jest typem kobiety, z którą może, w innym życiu, z szafą wypełnioną markowymi ubraniami, nową fryzurą, makijażem i kolekcją płyt kompaktowych, mogłabym się zaprzyjaźnić. I czuję się beznadziejnie głupia - głupia, ponieważ nie zadałam Fredowi wystarczająco dużo pytań o nią, głupia, ponieważ on powinien był mi powiedzieć, że jest zaręczony z absolutnie oszałamiającą kobietą, i głupia, ponieważ to wszystko tyle dla mnie znaczy.

Takie myśli trawią mnie od chwili, gdy przed tygodniem zobaczyłam ją koło mojej kwaciarni. Jednak dziś rano, dla dobra mojej psychiki i dla Joe, bardzo staram się usunąć Rebecę, a dokładniej Rebecę i Freda, z mojej głowy. Gdy Joe i ja jedziemy do Rushton, dochodzę do wniosku, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest pozwolić Fredowi odejść. Muszę zerwać te luźne więzy, które nas łączą, zamiast tkąć kolejne. Fred ma swoje życie, a ja swoje. Myślenie, że jedno może w jakikolwiek sposób nakładać się na drugie, jest oczywistym nonsensem.

Urządzanie kwiaciarni tak mnie pochłaniało, że nie byłam w Rushton już prawie pół roku. Za każdym razem, kiedy tam wracam, zauważam, że coraz więcej pagórków, potoków i zagajników, obok których przejeżdżał kiedyś szkolny autobus, zostaje wchłoniętych i pożartych. Tym razem moją uwagę przykuwa rozległe osiedle niskich budynków, które wydają się dziwnie opuszczone. Gdy obieram swoją dawną trasę, nagle znajduję się na nowej obwodnicy, naszpikowanej tak wieloma znakami, że czuję się, jakby mój samochód stał się pionkiem w jakiejś grze planszowej. Jednak gdy wjeżdżam do samej wsi, czeka mnie jeszcze większy szok. Gordon Arms został przejęty przez sieć barorestauracji i nad drzwiami powiewa teraz transparent głoszący, że za niedzielny obiad zapłacisz tutaj jedynie 4, 99 funta. Natomiast parking przy Domu Pamięci przekształcono w plac zabaw, na którym nie zabrakło nawet kolorowego zamku.

To jeszcze nie wszystko. Na końcu Hill Drive znajduje się olbrzymia tablica ogłoszeniowa, na której widnieje artystyczna impresja ślepych uliczek naszpikowanych domami stylizowanymi na elżbietańskie. Mają witrażowe okna, wybrukowane podjazdy, a wokół biegają rozbrykane teriery. Slogan głosi, że są to „atrakcyjnie odosobnione domki jednorodzinne w samym sercu angielskiej wsi”. Zdaje się, że Jimmy Dughead sprzedał swoją ziemię firmie deweloperskiej i że „atrakcyjnie odosobnione domki” pochłonęły pola, które tworzyły tutaj wiejski krajobraz. No a droga koło naszego domu jest oczywiście pobrużdżona ogromnymi koleinami, które pozostawiły po sobie koła ciężarówek, a tam, gdzie kiedyś była furka, stoi porzucona koparka.

Zapasowe klucze schowane są pod wycieraczką przy tylnym wejściu. Jest tak zawsze, odkąd sięgam pamięcią. Często mówiłam mamie, by wymyśliła bardziej oryginalną kryjówkę, ale ona niezmiennie się upierała, że zna tutaj wszystkich, więc to nie jest kwestia zachowania bezpieczeństwa. Jednak chyba trochę się zmieniło, sądząc po otoczeniu. Ze schodów przyglądam się małemu prostokątowi trawnika i drzewom na końcu naszego ogrodu. Na widocznym za nimi polu drewniane konstrukcje nowych domów niczym szkielety wypełniają horyzont.

W środku dom wypełnia zapach moich rodziców: interesująca, choć dusząca mieszanka potpourri, parzonej herbaty i lakieru do włosów. To dziwne uczucie przebywać tutaj bez nich. Wydaje się, jakby wszystkie pomieszczenia przenikały ich głosy niczym przyciszona, ale dobrze znana stacja radiowa. Dotykam kontaktu przy drzwiach kuchennych i podłużna zwisająca z sufitu lampa buczy, po czym mruga kilka razy, aż wreszcie się zapala.

Na kwiecistej ceracie leży kartka od mamy, która informuje nas o pozostawionym w lodówce pasztecie na lunch. Joe i ja patrzymy na siebie. Mama nigdy nie słyneła ze swych

zdolności kulinarnych. Mój nieustraszony syn otwiera lodówkę i wyciąga z niej szklane naczynie z zapadniętym, rozgotowanym brązowym pasztetem. Joe zagląda pod spód, by się upewnić co do jego zawartości.

- Peklowana wołowina - oznajmia i oboje ściskamy dwoma palcami nasze nosy. - Fuj.

- Są jajka. Zrobię omlet albo coś w tym rodzaju - proponuję, wskazując na porcelanową miszkę.

Joe wyciąga ją, a na jego twarzy maluje się lekceważenie.

- Wyglądają śmiesznie - mówi, biorąc do ręki jedno jajko. - To ma na sobie kupę.

- To dlatego, że pochodzą z pobliskiej farmy - wyjaśniam cierpliwie.

- Nie chcę ich - oświadcza mój syn. - Nie ma na nich daty ważności.

- Joe, nie otrujesz się - śmieję się. - A jak sądzisz, skąd się w ogóle biorą jajka?

- Z supermarketu - odpowiada, pochylając się, by pogłaskać Oscara, który ociera się o jego nogi.

Uznaję, że najpierw zajmę się kotem, jako że to właśnie on jest powodem naszego dzisiejszego przyjazdu. Tuż przy kuchni znajduje się małe pomieszczenie gospodarcze, przez które można przejść do garażu. Większość miejsca zajmuje tam przedpotopowa pralka i zawalony płaszczami stojak. Na górnych półkach zbudowanego z listewek regału stoją słoje, wypełnione jakimiś ciemnymi piklowanymi warzywami oraz plastikowe wiaderka z ziemniakami i dyniami z działki taty. Leży tam też stos starych gazet i kilka zapomnianych narzędzi ogrodniczych. Oscar ociera się o moje nogi, gdy otwieram puszkę karmy dla kotów, prawie udaremniając mi przełożenie kulistych, brązowych kawałków do jego miski. Łaskoczę go i staram się odepchnąć na bok, ale i tak udaje mu się wytrącić z mojej dłoni widelec. Przeklinam pod nosem, schylam się, by go podnieść, i wtedy dostrzegam kreskę i napisane tuż przy niej imię: Scott.

Pod płaszczami przy drzwiach do garażu ścianę pokrywają poziome, wyblakłe linie, upamiętniające kolejne fazy naszego wzrostu. Zapominając o Oscarze, który przewrócił puszkę i łapką wybiera z niej jedzenie, dotykam ściany. Tuż poniżej mojego palca znajduje się kreska z napisem: „Mickey, 6”, a dwa centymetry niżej „Fred, 53/4”, zaznaczone zielonym atramentem. Śledzę według linii na ścianie, jak rośliśmy, i stwierdzam, że wreszcie Fred przerósł mnie w wieku dwunastu lat. Uśmiechając się, kładę dłoń na murze w miejscu, którego kiedyś dotykało jego ciało. Odkąd dowiedziałam się, że Fred zmienił nazwisko, czułam się tak, jakby nasze dzieciństwo zostało narysowane ołówkiem, a potem wymazane brudną gumką. Ujrzenie tych śladów sprawia jednak, że wszystko powraca na swoje miejsce i znowu staje się realne.

Rzucam okiem w kierunku Joe, który właśnie zakłada rolki, i nagle uderza mnie fakt, iż moja własna matka znalazła kiedyś czas, by nas zmierzyć. Ta myśl jest o tyle dziwna, że ona zawsze sprawiała wrażenie osoby, która nie przepada za dziećmi. Ale pewnie dlatego tak mi się wydawało, że nigdy nie byłam jej ukochaną pociechą. Ten przywilej został zarezerwowany dla Scotta, od którego przez to, że gburowato odseparowywał się od rodziny, zawsze wrzaskliwie domagała się uwagi. Nic więc dziwnego, że mój brat skończył jako pilot i wiedzie życie tak daleko stąd, jak tylko możliwe.

Jednak jeśli chodzi o mnie, sądzę, że mama dość szybko zdała sobie sprawę, iż zamiast strojącej się w sukieneczki, słodkiej małej dziewczynki otrzymała od losu nieokrzesanego trzpiota, który zawsze trzymał stronę ojca. I nawet jeśli uważam, że teraz jest ze mnie dumna, nie zmienia to faktu, iż większość moich dorosłych lat spędziłam na celowym stawaniu wobec niej okoniem. Aż do dzisiaj nie przepadałam za moim dawnym domem i wszystkim, z czym ten budynek się kojarzy, teraz jednak nagle czuję się dziwnie szczęśliwa, że moi rodzice nadal tutaj mieszkają i że na ścianie widnieją ślady po moim dorastaniu.

Kierowany niechybnie szóstym zmysłem Joe zagląda do mnie i widzi, jak uśmiecham się do siebie.

- Z czego się śmiejesz? - pyta.

- Z niczego. Znalazłam coś i tyle.

Podchodzi do mnie chwiejnym krokiem (ma założoną tylko jedną rolkę), a ja pokazuję mu ślady na ścianie.

- Czy jestem wyższy od Freda? - pyta, uważnie przyglądając się poziomym kreskom.

- Nie wiem. Możemy to sprawdzić. Odsuwam płaszcze, a Joe staje plecami do ściany.

- Hej - śmieję się. - Oszukujesz. Musisz być bosy.

Joe posłusznie zrzuca ze stopy rolkę i jeszcze raz opiera się o ścianę. Kładę palec w miejscu, gdzie kończy się jego głowa. Joe wysuwa się spod niego i natychmiast odwraca.

- Jestem niższy - stwierdza z rozczarowaniem.

- Powinieneś zjeść kilka jajek - oświadczam z uśmiechem. - Wtedy na pewno szybko urośniesz.

Przez całe dzieciństwo byłam przekonana, że jedynym celem wszelkich świąt kościelnych jest porządne objadanie się. Nieświadoma innego ich znaczenia, radośnie w gryzałam się w placki, słodkie bułeczki z rodzynkami, indyka z nadzieniem i chleb z dodatkową porcją masła. Dopiero podczas egzaminu z religioznawstwa w 1984 w mojej głowie zaświtało, że Wielkanoc jest ważnym świętem religijnym (a nie zawodami w tym, komu uda się zjeść więcej czekolady), i wtedy też zdecydowałam się zapytać rodziców o ich

własne przekonania. Umiejętnie uchylili się od odpowiedzi.

W naszej rodzinie kwestia religii była traktowana zabobonnie i z podejrzliwością. Działo się tak do czasu, aż zaszłam w ciążę. Wtedy nagle rozstało się piekło. Ale aż do tamtego pamiętnego dnia, kiedy to sprawiono, że poczułam się jak najgorszy grzesznik, oboje rodzice zawarli najwyraźniej pakt o niepiśnięciu ani słówka na tematy związane z moralnością. Instynktownie wiedziałam, że krył się za tym wrzący potok wzajemnych żalów i oskarżeń.

Miał on prawdopodobnie swoje korzenie jeszcze w czasach przed moim przyjściem na świat, kiedy rozpętała się wojna pomiędzy pochodzącą z Irlandii katolicką rodziną Maloney a dziadkami Richie, którzy zrazili do siebie narzeczonego córki, twierdząc, że papież jest szatanem, wszyscy księża to pedofile, a jedyna rzecz, jaka należy się Irlandii, to bomba. Maloneyowie odpłacili się, informując rodzinę Richie (publicznie), że są oni prostakami. Było to zapierające dech w piersiach oskarżenie, które, jakkolwiek niespecjalnie naciągane, sprawiło, że przez resztę życia mamę cechował kompensacyjny snobizm.

Aby dokuczyć tacie i jego tak zwanym intelektualnym korzeniom, nowa pani Maloney zapożyczyła kilka religijnych przekonań od swojej matki, szalonej babci Richie, która od czasu, gdy dziadek Richie został przygnieciony przez autobus, mieszkała z wyjątkowo złośliwym bulterierem w parterowym domku w Dartford. Podobnie jak babcia, mama uciwała nam kieszonkowe, gdy tylko grzeszyliśmy przeciwko drugiemu przykazaniu: o Boże, sakramencki, do diabła, święci pańscy i wszystko w tym stylu - to były określenia, które nie mogły pojawiać się w naszym słownictwie. Dziwne, ale słowa: Jezus Chrystus przemykały się niezauważane przez jej cenzorskie ucho. Zegnała się także za każdym razem, gdy tylko natknęła się na jakiegoś żyda, muzułmanina bądź baptystę, ale twierdziła, że podziwiała mormonów - co nie oznacza, że w Rushton mieszkał choć jeden. W dodatku każdego roku starała się rzucić palenie i traktowała wyjątkowo pogardliwie tych, którzy próbowali kupić prezerwatywy w aptece w Bowley, gdzie pracowała przez trzy dni w tygodniu.

Ta katolicka idiosynkrazja wobec kontroli urodzeń była prawdopodobnie odpowiedzialna za jej dwie „pomyłki” - Scotta i mnie. Ciągłe jest dla mnie źródłem zadziwienia fakt, że moi rodzice w ogóle uprawiali seks - i to w dodatku dwa razy. Jak Marie Richie, paniusi z wytwornym kokiem, w butach z krokodylej skóry i z torebką do kompletu, udało się złapać na męża boleśnie nieśmiałego, pochodzącego z Irlandii George’a Maloneya, było zagadką. Pobrali się w Hemel Hempstead, a miesiąc miodowy spędzili niedaleko posiadłości rodziny mojego ojca w Derry. Plotka głosi, że tata każdego dnia łowił ryby w spokojnych wodach pobliskiego jeziora, podczas gdy mama siedziała skulona w jego starym

fordzie i otulona w sztuczne futro wypłakiwała sobie oczy z powodu tego wspaniałego życia, które nigdy nie stanie się jej udziałem.

Osiemnaście miesięcy później na świat przyszedł Scott. Młodzi państwo Maloney przeprowadzili się tutaj, na Hill Drive, i pomalowali swój dom na różne odcienie purpury i pomarańcza.

Nawet jako nowożeńcy w mało której kwestii - się zgadzali, ale mama, posiadająca przydatną umiejętność zalewania się łzami na zamówienie, zazwyczaj wygrywała wszystkie ich spory. Dlatego też uważała tatę za słabeusza i wciąż to powtarzała, z wyjątkiem tych rzadkich momentów, kiedy on coś odwarkował i zniknął na całe godziny na działce. W takich przypadkach dotykała swoich sztywnych od lakieru włosów, zaciskała jaskrawo umalowane usta i oświadczała:

- Spójrzcie tylko na to, dzieci. Wasz ojciec to w głębi duszy okrutny, okrutny człowiek.

To była jednak tylko kolejna z jej wielu dramatycznych fantazji, karmionych latami sekretnej uzależnienia od oper mydlanych. Niczego bardziej nie pragnęła niż prowadzenia zaciętych walk, ale tata nie miał w sobie żyłki okrutnika. Zamiast tego dręczył ją swoją cierpliwością. Do dzisiaj pozostaje cierpiący i lojalny niczym źle traktowany pies, otaczając mamę opieką w trakcie jej różnych faz fascynacji aerobikiem na wideo, uzależnienia od środków uspokajających, namiętnego kupowania naczyń Tupperware, sprzedaży w systemie piramidalnym (włączając w to koncesję na fikuśną bieliznę), depresji, chorego flirtu ze sprzedawcą peugeotów i, ostatnio, wielu urojonych złośliwych guzków.

Za to wszystko mama jest, tak jak była, wytrwale niewdzięczna, mimo że nikt postronny nie domyśliłby się tego, ponieważ jedynym celem jej życia jest najwyraźniej zachowywanie pozorów wobec mieszkańców Rushton, którzy - jak wielokrotnie zauważałam - mają to po prostu gdzieś. Przy ludziach zawsze bezceremonialnie się przechwalała, głosząc, że tata pracuje „w branży paliwowej”, podczas gdy w domu szydziła z jego braku przedsiębiorczości i „powabu dla płci odmiennej”, jak ona to nazywała. Według mnie fakt, że tata nie miał wygórowanych ambicji i tej pewnej iskry, nie był niczym zadziwiającym, skoro deptała każdy pomysł, jaki kiedykolwiek pojawił się w jego głowie.

Nigdy nie doceniała tego, że mało inspirująca codzienna harówka jej męża, który pracował jako nadzorca na prężnie rozwijającej się stacji benzynowej, zapewniała jedzenie na naszym stole i opłacała jej rachunki za zakupy z katalogów.

Jednak nawet mimo wysiłków niedocenianego Geoffreya Maloneya, który utrzymywał swoją żonę w karbach normalności i robił, co w jego mocy, by zrekompensować swoim

dzieciom jej brak instynktu macierzyńskiego, ona i tak ciągle narzekała. Przypuszczalnie najgorsze, co mogło się wydarzyć, to wprowadzenie się do sąsiedniego domu Milesa i Louisy Roperów. Pasowali jak ulał do wszelkich aspiracji życiowych mamy, a ona poczuła się w jakiś sposób zdradzona przez swoich modnych sąsiadów. Ciągle, bezlitośnie i nieugięcie, porównywała swoje życie i ich, oczywiście na niekorzyść tego pierwszego.

Myślę, że przez pewien czas, zanim zaczęły się pojawiać rysy, mamie podobało się to, iż mieszka tuż obok Roperów. Być może sądziła, że skoro jest tak blisko, nieco splendoru Milesa bądź urody i wdzięku Louisy spłynie i na nią.

Zawsze uważałam, że mama w dużym stopniu jest odpowiedzialna za rozdzielenie mnie i Freda, ale jeśli myślę o tym z życzliwością, to muszę przyznać, że na pewno przeżyła ogromny szok, kiedy zdała sobie sprawę, jak różni są Roperowie od jej wyobrażeń. Kiedy wszystko wybuchło, to ona oburzała się najgłośniejszym, czując wstyd, iż jest ich najbliższą sąsiadką, i konsekwentnie ich oczerniała. I wtedy, gdy nie robiła nawet przerwy, by zaczerpnąć tchu w swojej tyradzie zniewag, Louisa i Fred bez zbędnego rozgłosu wymknęli się i znikli z Rushton na zawsze.

Wchodzę do swojej starej sypialni i spoglądam przez okno, przez które widać dawny dom Freda. Nie wiem, kto tam teraz mieszka, ale budynek został przemalowany. Wygląda krzykliwie, niczym jakaś aktorka z pantomimy w scenicznym makijażu i peruce, ale dla tych, którzy o tym wiedzą, ciągle widoczna jest nieco grubsza warstwa farby na frontowym ganku, przykrywająca namalowane tam kiedyś sprayem napisy. Opieram się o parapet i spoglądam w okna dawnego pokoju Freda, ale przysłania je jedna z tych przyjaznych dziecku zasłonek, więc zamiast tego skupiam uwagę na moim oknie i dotykam palcem tęczowej naklejki, znajdującej się tutaj od ponad dwudziestu lat i zakrywającej niewielką rysę, która powstała, gdy pewnego razu Fred zbyt mocno rzucił kamykiem w szybę.

Nigdy nie byłam dobra z biologii, ale teraz łapię się na rozmyślaniu, czy motyle często odwiedzają swoje dawne kokony. A jeśli tak, to czy czują się równie dziwnie jak ja w tej chwili. To jak powrót po latach do celi więziennej. W jakiś sposób czuję się pozbawiona odwagi przez intymność czterech ścian, które kiedyś były świadkami tyłu emocji, a jednocześnie wiem, że to, co pozostało tutaj po mnie, to niewiele więcej niż zakurzone odciski palców.

Gdy byłam nastolatką, zakładałam zawsze, że kiedyś będę mieszkała w domu znacznie większym od tego, który należał do moich rodziców. Przyjmowałam za pewnik i naturalną drogę ewolucji to, że będę od nich bogatsza i że pewnego dnia będę prowadziła wspaniałe i rozrzutne życie. Nieszczęśliwie się to wszystko sprawdziło i teraz, mieszkając w niewielkiej

klitce, zazdrozczę rodzicom tego, że ich rupiecie zajmują jedynie pokój Scotta, i mają wystarczająco miejsca, by mój zostawić w spokoju.

Siadam na niskim taborecie przed moją starą toaletką i dotykam falbanki z wyblakłego, kwiecistego materiału, wystającej spod szklanego blatu. Przyglądam się swojemu odbiciu w trzech prostokątnych, ustawionych pod kątem lustrach. W niewielkim uchwycie w środkowej części tkwi pozaginane zdjęcie, przedstawiające mnie i Joe, kiedy był jeszcze małeńki. Trzymam go w taki sposób, że jego plecki opierają się o mój brzuch, i oboje wpatrujemy się w aparat z tym samym wyrazem zniecierpliwienia na twarzy. W przeciwieństwie do mnie moja mama lubi takie właśnie zdjęcia.

Odkładam fotkę na miejsce i odwracam się do stojącej za mną szafy. Wewnątrz wisi kilka zimowych płaszczy i garsonek mamy, zapakowanych w folię z pralni chemicznej. Na końcu złotego pałaka do wieszaków, na wystrzępionej wstażce zauważam kulkę aromatyczną. Wyciągam dłoń i wącham ją, ale nie potrafię powiedzieć, czy tylko przywołuję wspomnienie, czy też zapach, który czuję, jest prawdziwy.

Wzdycham i zamykam szafę. Nie ma sensu siedzieć tutaj dłużej. Czuję jedynie przygnębienie. Schodzę na półpiętro i podchodzę do okna przy schodach, a moje stopy instynktownie wybierają te miejsca na beżowej wykładzinie, w których nie ma skrzypiących desek. Spoglądam przez okno na znajdujący się na tyłach domu ogród.

Joe wygląda na znudzonego i zrezygnowanego. Opiera się o ogrodzenie niedaleko tylnych drzwi i szura rolkami po twardej, kamienistej ścieżce, biegnącej od domu aż do końca ogrodu. Właśnie mam zapukać w okno i mu pomachać, kiedy nagle wyraz twarzy mojego syna zmienia się. Obserwuję, jak na jego buzi pojawia się uśmiech od ucha do ucha. Energicznie odrywa się od płotu i kuśtyką ścieżką w stronę frontu domu. Wyciągam szyję, starając się dojrzeć, co przykuło jego uwagę, ale nie udaje mi się.

Gdy docieram na dół, słyszę dochodzące z zewnątrz głosy i uznaję z zamierającym sercem, że to moi rodzice wrócili wcześniej. Nerwowo grzebię między porcelanowymi figurkami na półce przy lustrze, szukając klucza od głównych drzwi. Kiedy wreszcie je otwieram, jestem zdumiona tym, co widzę.

Na podjeździe, tuż za moim vanem, zaparkowane jest stare czerwone renault 5. Zachwycony Joe siedzi na miejscu kierowcy. Koło otwartych drzwi stoi Fred i uśmiecha się cierpliwie, podczas gdy Joe bawi się kierownicą i różnymi dźwigniami.

Czuję, jak krew napływa do moich policzków, kiedy Fred rzuca mi nieśmiałe spojrzenie i macha, po czym przegania Joe z samochodu.

- Patrz, mamó! - woła Joe, wesoło kuśtykając w moją stronę. - Fred jednak przyjechał.

- Spogląda z ożywieniem na naszego gościa, który zbliża się, potrząsając kluczykami.

- Cześć, Mickey - wita się prawie przepraszająco.

Nie mogę uwierzyć, że jest tutaj. To absolutnie ostatnia osoba, którą spodziewałam się dziś spotkać. Przechyliłam głowę na bok, starając się znaleźć odpowiedź w oczach Freda, ale on unika mojego pytającego spojrzenia.

- Cieszę się, że przyjechałeś - ciągnie Joe. - Zaczynałem się już naprawdę nudzić.

Robię minę do mojego syna, po czym zerkam na Freda, ale ten całą uwagę skupia teraz na chłopcu.

- Nie możesz się tutaj nudzić. Jesteś przecież w Rushton. Można tu robić masę rzeczy.

- Śmieje się.

- Wyglądasz okropnie - stwierdzam, usuwając się na bok i przytrzymując otwarte drzwi, by Fred mógł wejść do środka. Gdy przechodzi obok mnie, widzę, że jego oczy są przekrwione, w ogóle wygląda tak, jakby dzisiejszej nocy zupełnie nie spał. Instynktownie pragnę wyciągnąć dłoń, pogłaskać go po policzku i zapytać, co się stało, ale nie mogę tego zrobić, a poza tym Fred i tak nie daje mi ku temu okazji.

- Dzięki. - Wchodzi do domu, szurając wcześniej nogami po wycieracze.

- Mamo! - strofuje mnie Joe. - Nie bądź podła. Chodź, Fred. - Przemknął koło mnie i pędzi przez korytarz do kuchni, zanim zdążyłam kazać mu ściągnąć rolki.

Zamykam drzwi i gdy Fred jest odwrócony do mnie plecami, pospiesznie przeglądam się w najbliższym lustrze. Chwytam kitkę i energicznie mocniej ją ściagam, ale i tak nie robi to żadnej różnicy: nadal wyglądam nieporządnie.

- Czy nie powinieneś być teraz na swoim weekendzie kawalerskim? - pytam tak spokojnie i niedbale, jak tylko potrafię, wchodząc do kuchni. Opieram się o kredens i krzyżuję ręce na piersi, ale czuję, jak wali mi serce.

- Byłem. Wróciłem dziś rano - odpowiada Fred.

- Co to jest weekend kawalerski? - pyta Joe, siadając na jednym z kuchennych taboretów, by wreszcie zdjąć rolki.

- Weekend kawalerski oznacza, że grupa facetów wyjeżdża gdzieś, za dużo pije, ma mdłości i zastanawia się, o co, do diabła, w tym chodzi - mówi Fred, patrząc na mnie.

- Dlaczego? - chce wiedzieć Joe.

- Dobre pytanie - stwierdza z uśmiechem Fred i przerywa kontakt wzrokowy. - Dowiesz się, jak będziesz starszy. W każdym razie przypomniałem sobie, że wy jesteście tutaj, więc pomyślałem, że przyjadę i zrobię wam niespodziankę. Miałem też nadzieję, że dobrze mi zrobi trochę świeżego powietrza.

Joe wydaje się całkowicie usatysfakcjonowany tą odpowiedzią i zeskakuje z taboretu.

- Znalazłem cię na ścianie. Chodź, to ci pokażę - oświadcza, ślizgając się po linoleum w samych skarpetkach. Fred idzie za nim do pomieszczenia gospodarczego.

Dotykam dłonią ust i pragnę, by moje serce wreszcie się uspokoiło. Jak to wszystko może się wydawać takie normalne? Jak Fred może wejść do tego domu i zachowywać się w tak naturalny sposób, skoro istnieje milion powodów, dla których powinno być dokładnie na odwrót? Słyszę, jak śmieją się obaj, i jakaś część mnie także pragnie się roześmiać, ale inna wolałaby kazać mu natychmiast odjechać. Nie może zaprzysiężać się z Joe, to nie fair. Ale z drugiej strony Joe jest tylko dzieckiem, a to właśnie Fred przywrócił mu dobry humor swoim pojawieniem się tutaj. Czy trzeba rozczarowywać Joe, skoro - jeśli mam być szczera - Fred poprawił nastrój także i mnie?

Nie potrafię na niego spojrzeć, gdy wraca do kuchni.

- Wszystko się tutaj zmieniło, prawda? - stwierdza. Przytakuję bezgłośnie.

Wygląda przez okno.

- Czy możesz w to uwierzyć? Na miejscu pól jest teraz plac budowy. Zastanawiam się, czy tych ludzi będzie straszyl duch byka.

- Jakiego byka? - pyta z ciekawością Joe. Fred unosi brwi.

- Czy twoja mama nigdy nie opowiadała ci o byku?

- Fred - mówię ostrzegawczo, ale nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Dalej, Fred, opowiedz nam - błaga entuzjastycznie Joe.

- Dawno, dawno temu - zaczyna Fred. Spogląda na chłopca, po czym ponownie na mnie, tak jakby nagle coś do niego dotarło. - Tak naprawdę byliśmy wtedy mniej więcej w twoim wieku. Zakopaliśmy puszkę ze skarbem na tamtym polu.

- Co w niej było? Co to był za skarb?

- Nie pamiętam - odpowiada Fred. - Ale wtedy miał dla nas duże znaczenie. A Jimmy Dughead, przerażający farmer, który był kiedyś właścicielem tego pola, umieścił tam swojego medalowego byka, Herculesa, i nie mogliśmy odzyskać naszej puszkę.

- Więc wpadłam na pomysł, aby jakoś odwrócić uwagę byka, tyle że to się nie powiodło - dodaje, zerkając na Freda.

- A co się stało? - pyta Joe, patrząc to na mnie, to na Freda.

- Zastrzeliłem go - oznajmia nasz gość, drapiąc się za uchem.

Usta chłopca otwierają się ze zdumieniem na taką rewelację.

- Zastrzeliłeś go?

- Aha - przytakuje Fred. - Padł od jednego strzału.

- Z pistoletu? - pyta Joe bez tchu.

- Myślałem, że to zwykły straszak, taki, jakiego używa się w szkole podczas dni sportu przy rozpoczynaniu biegów, ale okazało się, że jest inaczej. Chciałem to paskudne zwierzę jedynie przestraszyć.

- No i jak to się skończyło?

- Krótko mówiąc - wtrącam się, zerkając znacząco na Freda z nadzieją, że nie będzie chciał zagłębiać się w szczegóły - jakoś się nam upiekło.

Fred patrzy na mnie, a jego oczy mówią mi, że doskonale mnie rozumie, ale że jednocześnie dobrze się bawi.

- No cóż, tak jakby - poprawia mnie. Odwraca się do Joe. - Mnie czekała naprawdę niełatwa przeprawa z moim tatą i dostałem szlaban, który trwał całe wieki, ale Mickey uszło to płazem. Ta twoja mama zawsze miała szczęście.

Widzę, że Joe nieźle się bawi. Nikt nigdy nie opowiadał mu starych historii ze mną w roli głównej i usłyszenie jednej z nich z ust Freda sprawia, że inaczej na mnie patrzy. Przygląda mi się tak, jakby zamiast starej, nudnej mamy widział zupełnie inną osobę. Przystępuję z nogi na nogę, czując jakąś dziwną nieśmiałość. Uwielbiam przypominać sobie stare dzieje w samotności, ale w tym momencie czuję się nieswojo, tak jakbym uważała, że teraz, gdy Joe dowiedział się o tej historii, przestanie mnie szanować.

- Co się stało ze skarbem? - chłopiec bombarduje Freda kolejnym pytaniem.

Fred wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Pewnie dalej tam jest.

- Możemy iść i go wykopać? - pyta niecierpliwie Joe, najwyraźniej połykając bakcyła przygody. Patrzy wyczekująco na mnie i na Freda.

- Nie będzie go już tam, kochanie - śmieję się. - W tym miejscu budują teraz nowe domy. Pewnie już dawno został wykopany.

- A może nie - mówi zachęcająco Fred.

- Fred! Nawet o tym nie myśl. To byłoby wkroczenie na cudzy teren.

- O jejku, jejku - szczyrzy zęby. - Czy kiedyś coś takiego by cię powstrzymało?

Słońce wychodzi zza chmur, gdy Fred, Joe i ja lawirujemy między stosami cegieł i betoniarkami, porozstawianymi na dawnym polu Jimmy'ego Dugheada. Z bliska nowe domy wyglądają nieszczególnie. Elementy ich drewnianych szkieletów są spięte razem niczym jakaś niedbale sporządzona scenografia teatralna i szczerze wątpię, by udało się im przetrwać najlżejszą choćby wichurę.

Gdy powoli przechodzimy przez plac budowy, Fred zabawia chłopca absurdalnym

monologiem, dotyczącym przyszłych mieszkańców.

- Ups! A oto pan Jones na kibelku. Najmocniej przepraszamy! - woła, robiąc zabawną minę i machając ręką przed nosem, tak jakby niezbyt ładnie pachniało. - Dzień dobry, pani Jones - ciągnie dalej, przechodząc przez przyszłe drzwi do przyszłego ogrodu, i uchyla niewidzialnego kapelusza. - Pani ogród wygląda po prostu wspaniale. Cóż za widok!

Joe zanosi się śmiechem. Ja także się uśmiecham, a Fred zatrzymuje się i oddycha głęboko, patrząc ponad drzewami na dachy domów w Rushton. Staram się wyczytać z jego twarzy, co w tej chwili czuje, ale nie jestem w stanie. Nie wiem, czy jest to nostalgia, żal, czy też zwykła ciekawość. Wydaje się, że postanowił, iż nie pozwoli mi dziś powiedzieć niczego poważnego ani też zadawać żadnych pytań. Ta jego polityka ma doskonały wpływ na Joe i muszę przyznać, że jego dobry humor jest zaraźliwy.

- To gdzieś tutaj, prawda? - pyta nagle, odwracając się do mnie, a moje serce skacze do gardła na widok jego promiennego uśmiechu.

Wzruszam ramionami.

- Wszystko wygląda tak inaczej. Nie pamiętam. - Rozglądam się. Stoimy właśnie na działce ogrodzonej drewnianymi słupkami, połączonymi ze sobą grubym sznurkiem.

- Ależ musisz pamiętać - upiera się Fred. - To był przecież twój pomysł. To ty kazałaś zakopać skarb dokładnie pośrodku między czterema dębami. - Fred wskazuje na drzewa.

- A więc to musi być tutaj.

Oczy Joe błyszczą z podekscytowania.

- Czy możemy zacząć kopać? - pyta, patrząc na ubitą ziemię.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak najpierw trochę podźgamy. Może pożyczymy sobie parę tych słupków? - proponuje Fred.

Joe i Fred podchodzą do rogu działki i wyciągają z ziemi dwa drewniane paliki. Obserwuję ich, czując ciężar czasu, jaki upłynął, odkąd Fred i ja byliśmy tutaj po raz ostatni. Mrużę w słońcu oczy i uśmiecham się, gdy Joe macha do mnie swoim słupkiem.

- Proszę - oznajmia Fred. - Ty też się na coś przydaj.

- Podaje mi jeden z palików i przez sekundę jego palce dotykają mojej dłoni. Patrzę na niego, zastanawiając się, czy stara się tym coś wyrazić, ale po chwili czar pryska, a Fred odwraca się, by pomóc Joe z jego słupkiem. Musimy wyglądać absurdalnie, cała nasza trójka, gdy tak chodzimy w kółko i wbijamy drągi raz po raz w ziemię.

Po chwili Fred zostawia chłopca i podchodzi do mnie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że się tak wygłupiam - mówi.

Odwracam głowę, by na niego spojrzeć, i odgarniam włosy z twarzy. Ma za sobą

słońce, a wokół jego głowy tworzy się świetlista aureola. Zaskoczona jestem tym, że wygląda tak silnie i potężnie. Czuję, że moje policzki robią się purpurowe.

- Jakoś przeżyję te twoje postrzelone pomysły - śmieję się. Przyglądam się uważnie Fredowi. Myślę, że świeże powietrze dobrze mu zrobiło. Na jego twarz powróciły kolory i radośnie się do mnie w tej chwili uśmiecha.

- Wiesz, czuję się taki wyzwolony - mówi, po czym zniża głos. - Nigdy nie zgadniesz, co zrobiłem. - Zagryza wargę, a moje serce przez chwilę wywija oberka.

Wpatruję się w niego szeroko otwartymi oczami, czekając, aż mi powie, że wszystko uległo zmianie.

- A co zrobiłeś? - udaje mi się z siebie wydusić.

- Zostawiłem telefon i zegarek w samochodzie - oznajmia, rozrzucając szeroko ramiona i śmiejąc się beztrudnie. Przytakuję, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Czuję, że się prawie duszę, gdy dociera do mnie, co tak naprawdę chciałam usłyszeć.

- Znalazłem! - wrzeszczy Joe, a Fred podbiega do niego. Wbijam mój słupek w ziemię ze zbyteczną siłą i nakazuję sobie przerwać te niestosowne mrzonki.

Palik Joe wyraźnie zatrzymał się na jakimś zakopanym przedmiocie.

Fred spogląda na mnie, a jego oczy błyszczą w słońcu.

- To może być to - oświadcza.

- To pewnie tylko jakiś kamień - mówię, ale także jestem podekscytowana.

Joe zdążył już upaść na kolana i dłońmi rozkopuje ziemię. Dziwnie wygląda taki umorusany. Zazwyczaj jest bardzo pedantyczny, jeżeli chodzi o utrzymywanie ubrań w czystości. Fred kuca tuż przy nim, a po chwili i ja się dołączam, po czym cała nasza trójka śmieje się w głos i grzebie w brudnej ziemi.

- Jest! Jest! - piszczy Joe.

Fred pochyla się i zagłębia rękę w dziurze w ziemi. Wreszcie wyciąga z niej okrągłą, metalową puszkę.

- Mój Boże - śmieję się, klaszcząc z radością w ręce. - Nie wierzę! Otwórz to, Fred, no dalej!

Fred także się śmieje i walczy z przykrywką, ale ona zdążyła już zardzewieć i teraz ani drgnie.

- Nie mogę. Za mocno trzyma. Będziemy musieli zabrać ją do domu. Chodź, Joe, pomożesz mi poustawiać te słupki na miejsce.

Zgarniam ziemię z powrotem do dziury, którą przed chwilą wykopaliśmy. Na końcu skaczę po niej, by wyrównać teren. Ma to na mnie zadziwiająco terapeutyczny wpływ. Będę

bawiła się razem z Fredem i cieszyła tym jednym spędzonym wspólnie dniem. Jeżeli nadal będę przypisywać znaczenie każdemu jego słowu i gestowi, to niechybnie oszaleję.

- Chodźmy, mammo! - woła do mnie Joe.

- Okay - uśmiecham się, wciągając głęboko powietrze i wygładzając dzinsy.

- Myślę, że powinniśmy wrócić naszą tradycyjną trasą, co Mickey? - mruga do mnie Fred.

- Zaraz za tobą, mój panie - odpowiadam, składając głęboki ukłon i wskazując dłonią wzgórze, rosnące dalej drzewa i strumień.

Podszycie lasu jest dużo bardziej splątane, niż pamiętam. Jestem cała pokłuta przez dzikie róże, kiedy przedzieramy się do rowu na tyłach naszego ogrodu. Strumień płynie niewielką strugą, słońce przebija się przez korony drzew i sprawia, że woda wygląda jak pocętkowana.

- Cała sztuka polega na tym, by wziąć dobry rozbieg - instruuje Fred, wskazując na stromy brzeg po drugiej stronie strumienia.

- To na nic - śmieję się. - Znikły gdzieś kamienie, po których kiedyś można było przejść. I spójrz tylko na ten muł.

- Odsuń się - nakazuje Fred, podając mi puszkę ze skarbem. Zerka na chłopca. - Robiłem to tysiące razy. Patrz i ucz się...

Udaje, że pluje na dłonie i zaciera je. Joe chichocze.

Po chwili Fred biegnie w dół w kierunku strumienia, a jego stopy grzęzną z mlaszczącym odgłosem w błocie. Z ogromnym wysiłkiem stara się przeskoczyć przez strumień, ale nagle traci rozpęd i ze śmiechem ląduje rozciągnięty na skarpie. Zsuwa się do wody, a ja i Joe zgodnie wybuchamy śmiechem.

- Bardzo zabawne - oświadcza Fred, uśmiechając się i strzepując błoto z rąk. Stoi w strumieniu i patrzy na nas. Cały ocieka wodą. Przesuwa dłonią po włosach, pozostawiając na nich smugę błota.

Z głośnym okrzykiem Joe rusza w jego kierunku i stara się przeskoczyć przez strumień na drugą stronę, ale Fred wydaje z siebie głośny ryk i łapie go, a po chwili obaj przewracają się i taplają radośnie w wodzie, wzajemnie się ochlapując.

Przyciskam puszkę do brzucha i śmieję się, patrząc, jak razem swawolą. Joe jest cały mokry, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałam go w takim radosnym i beztroskim nastroju. Gdy przyglądam się jemu i Fredowi, gdy widzę, jak słońce przebłyskuje przez korony drzew, i wdycham świeże powietrze, słysząc jedynie świergot ptaków i okrzyki radości, pragnę zapamiętać tę chwilę na zawsze.

Kiedy wreszcie docieramy do ogrodu moich rodziców, Joe i Fred nie mogą złapać tchu. Otwieram drzwi i nakazuję im zdjąć buty. Razem stają na schodku i wyglądają bardzo nieposłusznie, gdy tak klaszczą w dłonie niczym postacie z *Olivera Twista*.

- Poszukam dla was suchych ubrań - mówię z uśmiechem. - Zostańcie tutaj! Obaj.

Schodzę na dół z ręcznikami i moimi starymi ciuchami dla Joe.

- To jedyne, co udało mi się znaleźć dla ciebie - mówię do Freda, podając mu pizamę mojego ojca i brązowy sweter ze skórzanymi łatami na łokciach. Joe chichocze, a Fred krzywi się i bierze je ode mnie.

- Dobrze ci tak, Fredzie Roper - śmieję się. - Rozbieraj się, a ja wrzucę twoje ubrania do pralki.

- Teraz? Tutaj? - pyta Fred.

- Odwróć się - drażnię się z nim. Widzę, jak Joe się nam przygląda. Uśmiecha się, a ja odwracam się do niego, by pokryć swoje zmieszanie. - I ty też. No, jazda. Ściągaj te wszystkie mokre ciuchy.

Joe spogląda na mnie zawstydzony, więc mięknię.

- No, dobrze, już dobrze, wy dwie wstydlive dziewczuchy. Odwracam się i idę do kuchni, pozostawiając ich samych.

Ale i tak patrzę. Podglądam przez małe okienko, jak Fred ściąga koszulkę, i czuję, że cała się spinam na widok jego nagiej klatki piersiowej i sposobu, w jaki marszczy mu się skóra na brzuchu, gdy się schyla. Odwracam się i zagryzam wargi, po czym przynoszę z pomieszczenia gospodarczego starą gazetę, rozkładam ją na stole i dopiero na niej stawiam naszą puszkę.

Fred i Joe wchodzą w końcu do kuchni tylnymi drzwiami.

- Sexy - drażnię się, lustrując Freda od góry do dołu, gdy podaje mi swoje ubrania. Miała to być sarkastyczna uwaga, ale on naprawdę wygląda seksownie, nawet z rozsmarowanym na twarzy błotem.

- Chodź, Fred, otworzymy puszkę - mówi Joe, siadając przy stole.

- Będziesz potrzebował tego. - Otwieram szufladę i podaję Fredowi śrubokręt.

Podnoszę rzeczy Joe, idę do pomieszczenia gospodarczego i otwieram pralkę. Wrzucam je do środka, po czym sprawdzam metki z instrukcjami prania na ubraniach Freda, czując się dziwnie rozradowana faktem, że przez chwilę mogę trzymać w rękach jego markową koszulkę. Wiem, że nikt mnie nie widzi, więc przykładam ją do twarzy i wdycham męski zapach.

- Mickey? - woła Fred. Podekscytowana wracam do stołu.

Fred podważył właśnie wieczko śrubokrętem. Zerka na mnie i na chłopca.

- No dobra. Raz... dwa...

- Szybciej, szybciej - ponagla go Joe, który nie może dłużej wytrzymać napięcia.

Drażniąc się z nim, Fred przykrywa dłonią wierzch puszki.

- No nie wiem, proszę mi nie przeszkadzać - mówi i wydyma policzki.

Joe wali dłonią w stół.

- Fred!

Fred przesuwa puszkę w jego kierunku.

- Ty to zrób.

Siada na krześle i patrzy na mnie, podczas gdy Joe wstaje i stara się unieść wieczko.

Czuję się dziwnie rozradowana, tak jakby Joe był naszym dzieckiem i właśnie otwierał gwiazdkowy prezent.

- O rany! - wykrzykuje. - Co to jest? - pyta, wyciągając z puszki rozmokłą paczkę.

- Ach tak - wzdycha Fred, biorąc ją ostrożnie od niego. - To jest, drogi Joe, nasz kosmiczny pył.

Pochylam się do przodu.

- Co jeszcze tam jest?

Joe wyciąga dwa zgniecione banknoty jednofuntowe.

- Co to jest? - pyta, jednocześnie wygładzając je na stole.

- Stare banknoty. Wtedy to była fortuna - wyjaśnia Fred.

- Mieliśmy zamiar zdobyć za te pieniądze bilety do cyrku. - Biorę do ręki jeden z nich, zaskoczona jaskrawością zieleni papieru i tym, jak młodo wygląda królowa. - Pamiętasz?

- Jak się nazywał magik, który mieszkał w tym wielkim domu przy drodze do Bowley? - śmieje się Fred i strzela palcami, starając się przypomnieć sobie jego nazwisko.

- Andy... Andy Buckley! - wołamy jednocześnie.

- Mój Boże! Pamiętasz to, Mickey?

Oczywiście, że pamiętam. Gdy Joe rozpakowuje puszkę, wyciągając po kolei nasze karty do gry, kapsle, gumy do żucia, papierosy, klucze, notesiki, scyzoryk Freda, szkło powiększające i różne zwędzone przez nas miniaturowe buteleczki whisky i ginu, czuję się tak, jakbym była świadkiem otwierania kapsuły czasu.

Ostatnią rzeczą jest para okularów przeciwsłonecznych. Widzę, jak wyraz twarzy Freda się zmienia, gdy Joe bierze je do ręki.

Rozkłada je i wkłada na nos. Okulary są dla niego o wiele za duże i zsuwają się.

- Czyje one są? - pyta z ciekawością.

- Należały do mojego ojca - mówi powoli Fred. Słyszając ton głosu Freda, Joe zdejmuje okulary i podaje mu je zmieszany.

- Aha - bąka.

Fred przez chwilę trzyma je w dłoni i przygląda się szkłom.

- To były magiczne okulary, które kiedyś od niego dostałem. Miały trzymać wszystkich złoczyńców z dala ode mnie.

Zerkam na Freda, czując nieprzepartą ochotę, by go przytulić.

- Jaki był twój tata? - pyta Joe, ale widzę, że Fred nie ma ochoty odpowiadać na to pytanie.

- Niestety, tata Freda już od dawna nie żyje - wyjaśniam w zastępstwie.

- Przepraszam - mówi Joe, spoglądając na Freda.

Aby rozładować napięcie, skupiam się z powrotem na leżących na stole przedmiotach.

- Niezła kolekcja, no nie? - zwracam się do syna, ale on naturalnie nie zgadza się ze mną.

- Czy to wszystko? - pyta, unosząc pustą puszkę i zaglądając do środka.

- Co to znaczy: „Czy to wszystko?” - Fred odzyskuje radosny nastrój. Odkłada okulary na bok, po czym bierze do ręki scyzoryk i sprawdza kciukiem jego ostrość. - Rozmawiamy przecież o naszej młodości.

Spoglądam na rozłożone przed nami przedmioty i widzę, że Joe załapał, o co chodzi. Mam nagle ochotę zapłakać nad naszą utraconą niewinnością i nad starymi, dobrymi czasami, o których te rzeczy przypominają. Ale jeszcze bardziej chce mi się płakać z powodu tego, że we Fredzie widzę dawnego Freda, mojego Freda, którego znałam kiedyś tak dobrze.

- Co z tym teraz zrobimy? - pyta Joe. Fred wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Możesz to wziąć, jeśli chcesz. - I podaje chłopcu scyzoryk.

- Na pewno?

- Jasne, przecież i tak dawno o nim zapomniałem. - Fred przygląda się, jak Joe obraca nóż w dłoniach.

- Nie szkodzi - stwierdza mój syn. - To, że o nim zapomniałeś, nie oznacza, że przestał być twoją własnością.

Posyłam Fredowi uśmiech, a ten po chwili go odwzajemnia.

- Już wiem - mówi nagle Joe. - Powinniśmy ukryć więcej skarbów, które kiedyś będziemy mogli wykopać.

W trakcie, gdy Joe i Fred omawiają zawartość kapsuły milenijnej, którą zakopano w poprzedniej szkole Joe, ja jestem w stanie myśleć jedynie o tym, że jeśli miałabym coś

zachować na zawsze, to byłoby to dzisiejsze popołudnie.

Ze względu na nalegania Joe i brak oporu ze strony Freda bądź też mojej nasz niespodziewany gość zostaje u nas na kolacji. Razem przygotowujemy furę parówek i duszone ziemniaki, a ja dodatkowo otwieram butelkę wina. Gdy robi się ciemno, kładę ubrania Joe i Freda na kaloryferze i wyciągam komplet świec, który podarowałam mamie na ostatnią Gwiazdkę. Wkrótce okna w kuchni są całe zaparowane; robi się bardzo przytulnie i swojsko, gdy ja i Fred snujemy wspomnienia z dzieciństwa, przypominając sobie naszych przyjaciół z podstawówki i na nowo przeżywając dawne przygody.

W końcu Joe zaczyna ziewać. Śmieję się cicho i dotykam jego policzka.

- Hej, mały. Czas iść spać.

- Naprawdę muszę? - jęczy, nie chcąc, by go cokolwiek ominęło.

- Tak - odpowiadam stanowczo. - Teraz zmykaj. Nie pościeliłam jeszcze łóżka w moim dawnym pokoju, więc idź do sypialni dziadków, dobrze?

Niechętnie wyraża zgodę. Cmoka mnie w policzek, a potem staje przy krześle Freda. Fred klepie go żartobliwie po ramieniu.

- Na razie - mówi.

Joe też go klepie w odpowiedzi i na chwilę zapada cisza. Widzę, że chce się dowiedzieć, kiedy ponownie się spotkają albo czy Fred zostanie u nas na noc. Wiem, że Joe chce wymusić na nim jakieś zobowiązanie, ale nie mogę mu na to pozwolić. Nie potrafię myśleć o następnych pięciu minutach, nie mówiąc już o pięciu godzinach. Ale wtedy Joe błyskawicznie pochyla się i całuje Freda w policzek, po czym wybiega z kuchni i pędzi po schodach na górę.

Fred chwilę patrzy za nim, po czym wbija wzrok w stół. Przez moment żadne z nas się nie odzywa. Po dniu wypełnionym zażyłością i bawieniem się w szczęśliwą rodzinę czuję teraz lekkie zdenerwowanie. Nie chcę psuć nastroju. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Może papierosa? - pytam, a Fred kiwa głową. Siadamy razem na schodkach koło prowadzących do ogrodu drzwi i czuję się tak, jakbyśmy znowu mieli po naście lat. W milczeniu palimy, kontemplując rozgwieżdżone niebo.

- Wspaniale się dzisiaj bawiłem - oznajmia miękko Fred.

- Świetnie sobie radziłeś z Joe - mówię z przekonaniem.

- Wiesz, byłbyś cudownym ojcem... - urywam i krzyżuję ręce na piersi. Okropnie to zabrzmiało i przez chwilę panuje między nami niezręczna cisza. - To znaczy... pewnego dnia... ty i...

- Milknę, wyrzucam niedopałek i wściekam się na siebie za popełnienie takiej gafy.

Nie mam też najmniejszej ochoty wypowiadać jej imienia.

Milczymy oboje przez jakiś czas. Mimo że uwielbiam rozmawiać o przeszłości, prędzej czy później musi się między nas wkraść terażniejszość. Staram się nabrać sił, by zadać konieczne pytania. Wreszcie zbieram się na odwagę.

- Ona nie wie, że tu jesteś, prawda? Mam na myśli Rebeccę - mówię cicho.

Fred wypuszcza głośno powietrze i odrzuca na bok niedopałek.

- Nie - wzdycha. - Oczywiście, że nie wie. Wyjechała do Brighton na swój paniński weekend.

W jego głosie nie ma żadnych przeprosin, a kiedy odwraca się do mnie twarzą, nareszcie wiem, że chodzi o mnie.

- Musiałem przyjechać - mówi, a ja kiwam głową.

- Cieszę się, że to zrobiłeś.

- Myślałem, że pojawienie się w tym miejscu będzie dla mnie nieprzyjemne, ale mam tak wiele szczęśliwych wspomnień.

- Fred wciąga głęboko powietrze i spogląda na niebo. Po chwili zerka na mnie przez ramię. - Pamiętam, jak kiedyś podglądałem cię z mojego okna.

- A ja podglądałam ciebie. Czyli jesteśmy kwita.

- Niezupełnie - chichocze. - Raz podejrzałem, jak się rozbierasz.

- A, to. Wiem. - Uśmiecham się z zadowoleniem. Fred odwraca się na schodku, by na mnie spojrzeć.

- Wiesz?

- Boże Narodzenie, 1984. Noc przed dyskoteką w Domu Pamięci. Tak naprawdę... zrobiłam to celowo.

Przez chwilę Fred wygląda na zaszokowanego, po czym odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

- Och, Mickey - mówi wreszcie i wzdycha. - Mieliśmy jechać razem na wakacje, pamiętasz?

- Jest wiele rzeczy, które prawie zrobiliśmy...

Moje zdanie zawisa w nocnym powietrzu między nami. Przywołałam przeszłość i Fred zdaje sobie z tego sprawę. Wpatrujemy się w siebie przez sekundę, a może przez rok. Jakkolwiek jednak długo to trwa, mamy wystarczająco dużo czasu na uświadomienie sobie, że cokolwiek zaczęliśmy wiele lat temu, nie zostało to zakończone. W najmniejszym nawet stopniu.

Świat wydaje się milczeć, a ja czuję się tak, jakbym topiła się w spojrzeniu Freda. Nie

zdając sobie z tego sprawy, nachylam się w jego stronę.

W ostatniej chwili ogarnia mnie panika, szybko odskakuję i przerywam kontakt wzrokowy. Przestraszona patrzę na moje kolana i bezmyślnie bawię się brzegiem swetra. Co ja robię? Co ja...

Jednak nie mam więcej czasu na myślenie. W ułamku sekundy Fred chwyta mnie stanowczo za szyję i przyciąga moją głowę do siebie. Nie mam nawet czasu na to, by spojrzeć mu w oczy, gdy nasze usta zderzają się w pocałunku tak pozbawionym kontroli, że aż prawie brutalnym.

Walcząc o oddech, chwytam w dłonie jego twarz. Nasze usta nie odrywają się od siebie, a nasze ciała w nienasyconym głodzie stykają się ze sobą tak mocno, jakby przyciągał je magnes. Krew szybciej krąży mi w żyłach, a serce bije z nieopisaną ulgą. Czuję się tak, jakbym została wypuszczona na wolność i po raz pierwszy od lat była sobą. Fred ściąga z moich włosów gumkę i przeczesuje je palcami. Moja dłoń wślizguje się pod górę od jego pizamy. Czuję nagą skórę pleców Freda i pragnę go tak bardzo, że aż boli. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że cała się trzęsę.

Fred odrywa się ode mnie i otula dłońmi moją twarz. Opiera swoje czoło o moje.

- Zimno ci? - pyta szeptem.

- Nie - chichoczę niepewnie. - Tylko...

Nie potrafię jednak powiedzieć dlaczego, nie umiem też opisać swego podniecenia, ale Fred nie potrzebuje żadnego wyjaśnienia. Ponownie odnajduje moje usta, po czym unosi mnie i trzyma mocno, przepychając się przez drzwi i zmierzając w kierunku stołu. Nie odrywając ust od moich warg, kładzie mnie na nim, a ja wciągam go na siebie. Chwytam jego głowę i jest tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi w całym wszechświecie. Unoszę nogi i oplatom go w pasie, całując jednocześnie bez wytchnienia. Jedyne, o czym potrafię myśleć, to że przechowywałam tę chwilę w moim sercu przez prawie połowę życia i teraz czuję ogromną ulgę. Jego ręce przesuwają się po mojej skórze, a ja pragnę go bardziej niż kogokolwiek innego w całym moim życiu.

To schody zdradzają obecność Joe. Znając anatomię tego domu równie dobrze jak własne ciało, słyszę, jak środkowy schodek skrzypi, i dźwięk ten wywiera na mnie piorunujące wrażenie. Odpycham Freda, łykam haust powietrza i pospiesznie wyglądam bluzkę.

- Joe? - skrzeczę, rzucając Fredowi groźne spojrzenie, a ten czerwieni się i chwiejnie opada na krzesło.

Wychodzę pospiesznie na korytarz i przechwytyuję Joe na dole schodów. Nie jestem w

stanie wytrzymać jego badawczego spojrzenia.

- Czy mógłbym prosić o szklanę wody? - pyta.

- Oczywiście - odpowiadam i nagle chce mi się płakać, gdy rzeczywistość z całą siłą uderza mnie w twarz. - Przyniosę ci, dobrze?

Gdy podchodzę do zlewu i napełniam szklanę, potrząsam głową i spojrzeniem nakazuję Fredowi milczenie. Idę na górę niczym jakiś zombi.

Joe siedzi na łóżku moich rodziców. Podaję mu wodę.

- Śpij dobrze.

- Mamo? - pyta, gdy jestem w połowie drogi do drzwi. - Czy Fred zostaje?

Odwracam się sztywno.

- Nie wiem, kochanie. - Czuję, jak fala namiętności, która zalewała mnie zaledwie kilka chwil temu, zanika i odpływa w dal. Spoglądam na syna. - Nie sądzę.

Fred, który został w kuchni, zdążył już przynieść pozostawione na dworze kieliszki i właśnie ponownie je napełnia. Wygląda absurdalnie, starając się zachować resztki godności w piżamie mojego ojca. Podaje mi mój kieliszek.

- Przepraszam. Chryste, Mickey...

Podchodzi do mnie, ale ja kładę rękę na jego klatce piersiowej.

- Nie mogę tego zrobić, Fred - mówię, ostatkiem sił powstrzymując się od płaczu. - Pragnę tego, ale nie mogę. Nie mogę być...

- Być kim? - pyta, dotykając mojego ramienia.

- Nie mogę być jakąś... Nie wiem... - mówię trzęsącym się głosem, wlepiając wzrok w podłogę. - Za tydzień się żenisz.

Fred odsuwa się.

- Nie chciałem, by do tego doszło...

- Dzisiaj przeżyliśmy po prostu nostalgiczną podróż w przeszłość i nieco nas poniosło. - Mój głos jest twardy i zdecydowany. - To pewnie przez to wino. - Staram się roześmiać, ale słabo mi to wychodzi. Pociągam łyk z kieliszka, ale nie pomaga to mojej udawanej zuchowatości. Kiedy spoglądam na Freda, czuję, jak oczy wypełniają mi się palącymi łzami.

- Ty wcale tak nie myślisz - stwierdza. - Wiesz, że to coś więcej. Ja...

Wiem, że Fred zaraz wypowie słowa, które tak bardzo chcę usłyszeć. I mimo że gdzieś we mnie siedzi szesnastoletnia dziewczyna, pragnąca tej romantycznej chwili całym swoim jestestwem, górę bierze dzisiejsza Mickey, która zdążyła już zebrać niezły bagaż doświadczeń życiowych. Zbyt wiele się zdarzyło i zbyt wiele wchodzi w grę. Podnoszę dłoń.

- Nie mów. Po prostu nic nie mów. Fred marszczy czoło.

- Ale... ale czy ty nie...

- Oczywiście, że tak - mówię zdławionym głosem. - Ale nie o to chodzi. Problem w tym, że nie mamy już szesnastu lat. Ledwie się teraz znamy.

- Ale Mickey... - zaczyna, lecz ja desperacko potrząsam głową.

- Nawet gdybyśmy doprowadzili to do końca, to nie mogę ci zagwarantować, że tylko dlatego, iż ponownie się spotkaliśmy, zakończy się to happy endem i wspólnie poześlujemy w stronę zachodzącego słońca. To by oznaczało rozpoczęcie od samego początku i obserwowanie, co się z tego wykluje. Rebecca to piękna kobieta i kocha cię. Nie mogę ci kazać z nią zerwać dla czegoś, co w ogóle mogłoby nie wypalić. Mam teraz rodzinę. Jest Joe... jest wszystko inne.

Opadam na krzesło, walcząc ze łzami.

- Czy nie moglibyśmy... ? Nie wiem... - wzdycha Fred. Siada naprzeciwko mnie i potrząsa głową, wyciągając przez stół obie ręce, ale nie mogę go dotknąć.

- To bez sensu. Nic z tego nie wyjdzie... z tego, że będziemy się znowu spotykać. - Przetykam ślinę. Spoglądam na Freda oczami pełnymi łez. - To, co kiedyś nas łączyło, było prawdziwe. Nie niszczy tego.

Byłam zakochana. Byłam bardziej zakochana niż ktokolwiek inny na całym świecie. Ale nie miałam zamiaru zdradzić tego nikomu, zanim dowie się o tym Fred. Wówczas stanowiło to największą, najwspanialszą, najmilszą tajemnicę pod słońcem. Tajemnicę, która bez wątplenia doprowadzała moje przyjaciółki do szaleństwa, i gdy przyglądałam się wyczekującym twarzom Pippy, Lucy i Annabel, siedzącym przy stoliku w nowym McDonaldzie naprzeciwko dworca autobusowego w Bowley, czułam nieskończoną, fantastyczną wyższość.

- A więc jesteś, Mickey? - powtórzyła Lucy.

Z zadowoloną miną wzruszyłam ramionami, wkładając teczkę na gumkę z powrotem do szkolnej torby. Każda książka stała się dla mnie czymś przypominającym Freda. FR + MM BWM było jak na razie moim ulubionym skrótem. Ozdabiało okładkę podręcznika do geografii, a wokół liter wiły się maleńkie niezapominajki. Z przodu książki do francuskiego widniał napis J'AI ME FR, tym razem wykonany ołówkiem i podkreślony trójwymiarową strzałą. Na całego poszłam jedynie na wewnętrznej okładce zeszytu do angielskiego, gdzie napisałam wielkimi literami: KOCHAM FREDA ROPERA - było to coś, co nie uszło uwagi Pippy.

- Jest - potwierdziła teraz. - Spójrz tylko na jej zeszyt do angielskiego.

- Zobaczmy. - Lucy gwałtownie pochyliła się w jego kierunku.

- Nie - rzekłam, kładąc na nim rękę.

- Za jeszcze jednego shake'a - starała się przekupić mnie Annabel.

- Nie! Powiedziałam, że nie! - Zachichotałam. - To sprawa prywatna.

- Ale ja zauważyłam to na angielskim - zaprotestowała Pippa. - Widziałam, jak to piszesz.

- I co z tego?

- Co tam jest napisane? - błagała Lucy, która nienawidziła pozostawać na uboczu.

- Nic. - Mignęłam przed jej oczami otwartym zeszytem, po czym w ułamku sekundy ponownie go zamknęłam i wepchnęłam na dno torby.

- O rany, Mickey! - jęknęły razem Annabel i Pippa.

Poklepałam się po nosie, by w ten sposób kazać im zająć się własnymi sprawami. Podniosłam ze stolika swój kubek z shakiem i zamieszałam słomką po dnie.

- Tak czy inaczej, to nic wielkiego - oświadczyła zła jak osa Pippa. - Fred Roper... - Wydała z siebie długie, udawane ziewnięcie. - Nuda.

- Nuda? - zachnęłam się.

- To nudne. Niczego nam nie powiesz - potwierdziła Annabel.

- Dlatego, że nie ma o czym opowiadać - dodała z przekonaniem Pippa.

- Wcale tego nie wiesz - odparłam, broniąc się. Pippa uśmiechnęła się przebiegle.

- Aha. A więc zrobiłaś to?

- Zrobiłaś to, Mickey? - podchwyciła ochoczo Lucy. - Zrobiłaś z nim to?

Popatrzyłam na nie z irytacją, ale tak naprawdę byłam zadowolona, że tak bardzo je to interesuje. Pozwoliłam sobie jeszcze chwilę potrzymać je w niepewności.

- Nie - rzekłam wreszcie. - Ale mam zamiar...

- Tara Anson to zrobiła - zaszczebotała Annabel.

- Z kim? - zapytałam sceptycznie.

- Z Paulem White'em.

- Paul White i Tara Anson? - spytałam kpiąco. - Nie sądzę.

- Ale to prawda - potwierdziła Lucy. - Powiedziała o tym Catherine po próbnym egzaminie z biologii. A Catherine powiedziała Łomie, od której z kolei dowiedziała się Annabel.

Annabel przytaknęła. Dokładnie dlatego trzymałam buzię na kłódkę, jeżeli chodzi o mnie i o Freda.

- Ale ona nawet z nim nie chodziła - dodała Pippa.

- Taaa. Puszczalska - rzuciłam złośliwie.

- Ale przynajmniej nie drażni się ze wszystkimi - odparowała Annabel, która potajemnie podziwiała Tarę. - Chodzisz z Fredem już od wieków i jeszcze tego nie zrobiliście.

- Zrobiliśmy za to masę innych rzeczy - rzekłam obronnie.

- Powyżej pasa? - zapytała Lucy. Zanurzyłam frytkę w keczupie.

- Nie tylko - wyznałam.

- Widziałas go w takim razie? - spytała z podekscytowaniem Pippa.

- Czułam.

- I jak było?

- Miło. - Wzruszyłam ramionami, nie chcąc wdawać się w szczegóły. Pippa i Lucy przysunęły się bliżej, chichocząc. Nachyliła się do nich Annabel.

- Tara mówiła, że fujarka Paula White'a jest okropna - wyznała.

- Cóż, Freda nie - rzekłam, dostrzegając przez okno autobus i wstając. - Jest najlepsza.

Zaintrygowana Pippa podążyła za mną do autobusu i usiadłyśmy razem na naszych zwykłych miejscach z tyłu pojazdu. Gdy skończyło się rytualne nawoływanie, obrażanie, obrzucanie papierkami i handlowanie papierosami, a autobus sapiąc, wyjeżdżał z Bowley, westchnęła ciężko.

- Dużo powtórzyłaś matmy? - spytała. Potrząsnęłam głową.

- Ja też nie - ciągnęła.

- Założę się, że tak. Zawsze to robisz - rzekłam. - Nie musisz mnie okłamywać.

- Ty też nie musisz okłamywać mnie. - Pippa najwyraźniej czuła się dotknięta.

Odwróciłam się do niej.

- Nie robię tego - oświadczyłam. Przecież wiedziała, że jest moją najlepszą przyjaciółką.

- No więc co? Naprawdę masz zamiar zrobić to z Fredem?

- zapytała.

Skinęłam potakująco głową.

- Zrobiłabym to już wcześniej, ale chcę, żeby było idealnie. Już wszystko sobie zaplanowałam.

- Naprawdę? Kiedy?

- A czy potrafisz dochować tajemnicy? - Wprost nie mogłam się doczekać, kiedy zdradzę komuś nasz plan. Pippa przytaknęła. - Obiecujesz, że nikomu nie wygadasz?

- No pewnie.

Pochyliłam się w jej stronę, zniżając jednocześnie głos.

- Po egzaminach jedziemy razem na wakacje.
- Super! Gdzie?
- Do Francji.
- Z rodzicami?
- Nie. I o to właśnie chodzi, jedziemy tam sami.
- Tobie to dobrze. Mnie nigdy by na to nie pozwolono. Co powiedziała twoja mama?
- Nic o tym nie wie. Dlatego to taka tajemnica. Nie chcemy zdradzać tego nikomu.

Zrobimy to i już. Powiemy naszym rodzicom przed samym wyjazdem, gdy nie będą już mogli nic zrobić.

Pippa popatrzyła na mnie, a na jej twarzy malowała się mieszanina podziwu i troski.

- Ale...

- Nic nie mów. Będzie fantastycznie.

Oczywiście, że tak. Wszystko układało się doskonale. Być zakochaną we Fredzie, to jak czuć wewnątrz kipiącą masę. Czasami chciałam wybuchnąć, wyrzucić ją z siebie i wypaplać naszą tajemnicę wszystkim, ale najczęściej, tak jak w tej chwili, cieszyłam się, że udało mi się zatrzymać to dla siebie i jedynie Pippie zdradziłam część naszego planu.

Gdy się z nią pożegnałam na przystanku koło kościoła w Rushton i wlokłam się wzdłuż alei, dotykając ręką każdego mijanego dębu, pragnęłam ucałować po kolei wszystkie drzewa, wiedząc, że wkrótce się z nimi pożegnam. Fred i ja obraliśmy inną drogę i wszystko, ale to wszystko, musiało wypalić. Oczywiście, że istniała niewielka przeszkoda w postaci końcowych egzaminów, ale z odrobiną szczęścia obojgu nam uda się je zdać. Wtedy wszystko zacznie się na dobre.

Fred powiedział mi o college'u, do którego oboje mieliśmy zamiar się dostać. Znajdował się na drugim końcu Bowley i kiedy jako tako zdamy egzaminy, nie powinniśmy mieć problemów z przekonaniem rodziców, by pozwolili nam uczęszczać do tej szkoły. Jeżeli martwiliby się o pieniądze, mogłabym znaleźć sobie jakąś weekendową pracę albo coś w tym rodzaju. Ustąpią, kiedy zrozumieją, jak byłabym nieszczęśliwa, gdybym musiała pozostać w gimnazjum w Bowley. Czułam się gotowa na poznawanie nowych przyjaciół, a jeśli ja i Fred pójdziemy tam razem, zostaniemy wreszcie prawdziwą parą. Może nawet moglibyśmy znaleźć w pobliżu jakieś małe mieszkanko i kupić psa.

Chociaż właściwie pies chyba nie był najlepszym pomysłem, gdyż dwa lata po zdaniu egzaminów planowaliśmy trochę podróżować. Fred powiedział, że marzy, aby pojechać do Australii, i oboje przeglądaliśmy atlas Louisy podczas jego ostatniej wizyty w domu. Na zmianę przewracaliśmy olbrzymie kartki, a jedno z nas wołało: „Stop!”. Mieliśmy pojechać

tam, gdzie otworzy się atlas. W taki właśnie sposób światło dzienne ujrzała nasza podróż do Francji.

Zanosiło się na cudowne wakacje: leżenie na słońcu, pieczenie kielbasek przy ognisku, przytulanie się do siebie w śpiworach. Ale Francja to dopiero początek. Za kilka lat zaoszczędzimy wystarczająco dużo pieniędzy, by udać się w podróż dookoła świata. Zakładaliśmy, że zajmie nam ona dwa lata i że będziemy się zatrzymywać w różnych krajach. Tak wiele było do zobaczenia w Afryce, a Fred twierdził, że jeżeli zahartujemy się w trudnych warunkach, to moglibyśmy wybrać się nawet do dżungli.

Prawdę mówiąc, brzmiało to trochę niebezpiecznie - myślałam raczej o wyjeździe do Ameryki. Jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy polecimy tam przed czy po Afryce, ale ja uważałam, że gdybyśmy znaleźli się w Nowym Jorku, to Fred pewnie dostałby pracę w jakiejś dużej gazecie, był przecież dobry z angielskiego, a ja mogłabym pracować w jednej ze stacji radiowych albo robić coś w tym rodzaju.

Jedno było pewne: żadne z nas nie miało zamiaru wracać i na stałe osiąść w zaściankowym, okropnym Rushton. Nigdy. Jeżeli w ogóle wrócilibyśmy do Anglii, planowaliśmy osiedlić się w wielkim domu na wsi nad brzegiem morza. Fred obiecał, że kupi mi osiołka, mielibyśmy też owce i małe prosiaczki, i, och tak, dzieci. Fred chciał dwójkę, ale ja uważałam, że im więcej, tym weselej. Przynajmniej pięcioro.

Westchnęłam z zadowoleniem, myśląc o naszej przyszłej rodzinie. Nie będzie ona w niczym przypominała jego ani mojej. Mieliśmy zamiar zawsze się kochać i wieść towarzyskie życie. A kiedy nasze dzieci dorosną, zawsze będziemy stać po ich stronie i pozwolimy im robić wszystko, czego tylko zapragną. Nie będziemy ograniczać ich zakazami ani szlabanami. Ale to dopiero za wiele, wiele lat. No i najpierw musimy zacząć uprawiać seks. Dużo, dużo seksu.

Nie mogłam się doczekać następnego roku: skończę szesnaście lat i będę mogła brać pigułkę. A kiedy pójdziemy do college'u, wszystko stanie się proste. Już to zaplanowałam. W drodze do domu próbowałam sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy latem wreszcie pójdziemy na całość. Przygryzłam wargę, zastanawiając się, czy będziemy zdenerwowani i czy to będzie bolało. Nie, to okaże się magicznym przeżyciem, jak wszystko związane z Fredem. Boże, tak bardzo za nim tęskniłam.

Usłyszałam za sobą niski pomruk samochodu. Odwróciłam się i ujrzałam, jak na wzgórze wspina się porsche. Za kierownicą siedział Miles, a jego twarz była napięta i pozbawiona nawet cienia uśmiechu. Zobaczyłam, że patrzy w boczne lusterko i odwraca się do mnie. Na chwilę nasze spojrzenia skrzyżowały się i z uśmiechem zamachałam do niego,

ale Miles mnie zignorował, koncentrując całą uwagę na drodze. Zatrzymałam się, czując nagle rozdrażnienie. Wiedziałam, że między Fredem a Milesem różnie się układa, ale dla mnie zawsze był miły. Poza tym już bardzo dawno go nie widziałam. Mógł przynajmniej odmachać. Chodziłam przecież z jego jedynym synem.

Miles zatrzymał samochód przed domem, nie zawracając sobie głowy parkowaniem na podjeździe. Zbliżałam się powoli w stronę porsche, obserwując, jak Miles pospiesznie z niego wysiada, zatrzaskuje drzwiczki i szybkim krokiem zmierza do domu.

Skręciłam do siebie, rozmyślając, co się dzieje, ale okna Roperów nie zdradzały nic niepokojącego, więc powoli weszłam do domu.

- Cześć! - zawołałam, zamykając za sobą drzwi. Usłyszałam sygnał wiadomości o szóstej.

Tata wrócił wcześniej do domu. Siedział w fotelu przed telewizorem i głaskał kota, a ja rzuciłam torbę przy drzwiach, po czym pocałowałam go w policzek.

- Jak tam w szkole? - spytał.

- Dobrze - odpowiedziałam, podchodząc do okna i rozsuwając zasłony, by popatrzeć na dom sąsiadów.

Mówienie w domu o Fredzie nie było prostą sprawą. Ponieważ wszyscy przyzwyczaili się, że od zawsze wszędzie włączymy się razem, fakt, że oficjalnie ze sobą chodzimy, na nikim nie zrobił takiego wrażenia, jakiego oczekiwałam. Mama rozwścieczyła mnie swoją obojętnością i stwierdzeniem, iż czuje ulgę, że nie jestem już z Dougiem, moim ostatnim chłopakiem z liceum w Bowley. Gdy tylko wspominałam coś o Fredzie, z roztargnieniem machała ręką, tak jakby uważała, że jest to coś przelotnego i niewartego jej uwagi. Wściekłam się, kiedy podsłuchiłam, jak opowiada Ricie, recepcjonistce w gabinecie lekarskim, że Fred jest moją najnowszą „sympatią” i opisuje nasz związek jako „słodki”. Fred i ja nie byliśmy „słodcy”, byliśmy prawdziwi. Aby to udowodnić, założyłam na serdeczny palec mój srebrny pierścionek, mając nadzieję, że dzięki temu dotrze do niej prawdziwość moich uczuć, ale albo tego nie zauważyła, albo celowo zignorowała.

Zdjęłam kurtkę i rzuciłam ją na sofę. W tej chwili do pokoju weszła mama z filiżanką herbaty, którą postawiła na oparciu fotela ojca.

- Na początek mogłabyś to powiesić - rzekła, kiwając głową w stronę mojej kurtki. - I nie rozleniwiaj się za bardzo. Gdybym była tobą, zaczęłabym już powtarzać do egzaminów. Do kolacji zostało jeszcze sporo czasu.

- Pozwól jej odpocząć, Marie - zaproponował tata. - Nie musi zaczynać przecież od razu po powrocie ze szkoły.

- Za kilka tygodni ma egzaminy! - odparowała mama. - Jeśli chcesz, żeby nie zdała, to w porządku.

Ignorując ich oboje, wyglądałam przez okno.

- Na co tak patrzysz? - spytał tata.

- Miles wrócił - odpowiedziałam z roztargnieniem, obserwując, jak otwierają się u nich drzwi.

- Odejdź stamtąd - nakazała mama, która udawała, że krząta się w pobliżu, ale nie mogła się powstrzymać od zerknięcia przez okno.

Widziałam, jak Miles wychodzi z domu. Tuż za nim pojawiła się Louisa. Ona, która zazwyczaj wyglądała tak pogodnie i spokojnie, kurczowo chwyciła się jego ramienia. Obserwowałam, jak Miles ze złością wyrwa się jej i szybkim krokiem idzie do samochodu. W jednej ręce trzymał dużą torbę, a w drugiej stertę papierzysek. Gdy zmierzał do auta, starał się upchnąć je w torbie.

Louisa z udręką przyłożyła dłonie do ust i zawołała coś do Milesa, ale on nawet na nią nie spojrzał.

- Naprawdę! - wykrzyknęła mama. - Oni się kłóca... - Ale nie dokończyła, ponieważ jej uwagę przykuł zbliżający się policyjny radiowóz.

- Co się dzieje? - zapytał tata, wstając z fotela, gdy w naszym pokoju zamigotało niebieskie światło. Miałam okropne przeczucie, że zanoszą się na coś strasznego. Radiowóz zwolnił, a syrena nagle ucichła.

Szybko wybiegłam z pokoju i otworzyłam drzwi wejściowe.

- Wracaj natychmiast, Mickey! - słyszałam wołanie mamy, ale nic mnie to nie obchodziło. Musiałam zobaczyć, co się dzieje.

Radiowóz zaparkował po drugiej stronie drogi i gwałtownie otworzyły się jego drzwi. Słyszałam radio, gdy policjanci wysiadali z samochodu. Obaj patrzyli w kierunku Milesa.

W oddali słychać było więcej syren. Spojrzałam na Louise, której twarz wydawała się wyginać, gdy krzyczała: „Nie!” i wyciągała rękę do Milesa, ale on był już blisko porsche i nie zatrzymał się. Nawet nie spojrzał na nią i na policjantów. Zamiast tego w ekspresowym tempie otworzył drzwiczki samochodu. Widziałam na jego twarzy panikę, gdy wrzucił do środka torbę. Dookoła fruwały kartki papieru. Nie zatrzymał się, by je podnieść. Wskoczywszy do samochodu i zatrzaskawszy w pośpiechu drzwiczki, Miles uruchomił silnik. Wybiegłam na nasz podjazd w chwili, gdy porsche jechało już w moim kierunku. Zawróciło z piskiem opon i popędziło w dół zbocza.

- Miles! - zawołała z rozpaczą Louisa.

Policjanci wyglądali na podnieconych, gdy wskakiwali z powrotem do radiowozu. Uszy bolały, kiedy ponownie włączyli syrenę, a po chwili ich auto ruszyło w pościg za porsche Milesa.

Nie zatrzymując się, pobiegłam na Hill Drive. Widziałam, jak porsche przemyka aleją, a radiowóz depcze mu po piętach. Na końcu alei z drugiej strony nadjeżdżał jeszcze jeden samochód policyjny. Skręcił, blokując drogę. W tym czasie pierwszy samochód znalazł się dosłownie metr za Milesem. Mimo że nie było możliwości, by porsche przecisnęło się koło drugiego radiowozu, Miles nie zwolnił.

Zamiast tego w ostatniej chwili skręcił na ścieżkę z boku alei, starając się prześlizgnąć między drzewami. Ale nie udało się. Zamiast tego rozległ się straszliwy huk.

Porsche złożyło się w harmonijkę na ogromnym dębie na końcu alei.

Gdy biegłam przed siebie w dół wzgórza, ze strzaskanej karoserii samochodu Milesa zaczął się wydobywać pióropusz dymu, a sekundę później nastąpiła potężna eksplozja i w niebo strzeliły płomienie.

Wszędzie panował hałas. Ludzie wybiegali z domów. Policjanci krzyčeli do wszystkich, by się cofnęli. Nagle pochyliłam się i zakryłam dłonią twarz, gdy uderzyło mnie gorąco płomieni. Wtedy poczułam, jak obejmuje mnie para ramion i odciąga do tyłu. Zdążyłam sobie uświadomić, że to mój ojciec, który przycisnął moją twarz do swojego swetra. Odciągnął mnie od duszącego dymu i mocno obejmował, kiedy zaczęłam histerycznie krzyčać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

FRED

Niecały miesiąc przed rozpoczęciem egzaminów kierownikowi internatu w Greenaway College, panu Pearce'owi, przypadło w udziale oznajmienie mi, że mój ojciec nie żyje.

Zostałem wywołany z ostatnich zajęć przed podwieczorkiem przez jednego ze starszych uczniów i poproszony o udanie się do gabinetu kierownika. A tam pan Pearce posadził mnie na krześle i powtórzył to, co wcześniej powiedziała mu moja mama: że Miles zginął na miejscu w wypadku samochodowym niedaleko naszego domu, że są pewne komplikacje i że ma to jakiś związek z policją. Miałem spotkać się z mamą w Londynie na stacji King's Cross jutro o jedenastej, a teraz powinienem się spakować, gdyż mogę wyjechać na dłużej.

- Nie będzie ci łatwo - rzekł do mnie. - Spróbuj jednak być dzielny, zarówno dla siebie, jak i dla niej.

Poza odmówieniem zaproponowanej szklaneczki whisky i podziękowaniem za jego sugestię, że napisze do komisji egzaminacyjnej, by miała na uwadze te przykre okoliczności, nie odezwałem się ani słowem.

Później w nocy, gdy leżałem w łóżku, wpatrywałem się w sufit aż do rana, a po mojej twarzy bezgłośnie spływały łzy żalu i winy. Przecież zaledwie tydzień temu Miles przyjechał do mnie w odwiedziny i siedzieliśmy razem w ogródku przy pubie, a ja piłem piwo i nie zgodziłem się wysłuchać tego, co miał mi do powiedzenia.

Druga fala nadciągnęła rankiem, gdy jechałem pociągiem do Londynu. Poczulem, jakby ktoś uderzył mnie pięścią. W gazetach napisano nie tylko o śmierci Milesa, ale także o towarzyszących jej okolicznościach. Policja starała się go dogonić, aby go przesłuchać, a on stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w drzewo. O co chcieli go zapytać i dlaczego Miles zdecydował się na ucieczkę, było na razie tajemnicą.

Kiedy spotkałem się z mamą, wyjaśniła mi, że policja przeszukała nasz dom i Clan. Mimo że i ona była już przez nich przesłuchiwana i że na pewno jeszcze będzie, powiedzieli jej jedynie, iż pracują nad doniesieniem o pewnym poważnym przestępstwie, w które mógł, bądź też nie, być zamieszany Miles. Stwierdzili też, że dadzą nam znać, gdy tylko pojawią się jakieś nowe szczegóły.

Mało pamiętam z następnych kilku dni. Złapaliśmy pociąg do Aberdeen i zamieszkaliśmy w domu babci. Moja mama całe dni spędzała w salonie koło telefonu,

wpatrując się w ścianę i szepcząc modlitwy. Siedziałem tuż przy niej i piłem niekończące się filiżanki herbaty, którą donosiła babcia, zdecydowany, że mama nie zobaczy moich łez. Słuchałem tykania starego zegara dziadka i nie byłem w stanie pomyśleć o czymś dłużej niż przez sekundę.

Wiadomości, na które czekaliśmy, nadeszły tydzień później razem z porannymi gazetami. W piwnicy Clanu policja znalazła ciało. Ta informacja nie dotarła do mnie. Pozostała oddzielona od rzeczywistości, tak niemożliwa do przyjęcia, jak straszne wydarzenia, które kilka tygodni wcześniej rozegrały się na stadionie Heysel* [Stadion Heysel - stadion w Brukseli, gdzie 29 maja 1985 roku podczas finału Pucharu Europy pomiędzy Juventusem a Liverpooliem doszło do tragedii, w której zginęło 39 kibiców, a sam obiekt uległ poważnemu zniszczeniu.]

To było ciało Carla, dawnego współnika mojego ojca. Policja wydobyła je z betonu kilka dni po śmierci Milesa. Zanim przeczytałem o tym na pierwszej stronie „The Timesa”, nazwisko Carla znaczyło dla mnie niewiele więcej niż wszystkich tych ludzi, którzy zdążyli się przewinać przez życie moich rodziców. Miałem jedenaście lat, kiedy wyjechał za granicę i nigdy nie wrócił. Ale teraz, gdy przeczytałem jego imię i zobaczyłem ziarniste zdjęcie mężczyzny, którego ledwie pamiętałem, pojawiły się miliony pytań, a ja nie potrafiłem znaleźć na nie odpowiedzi.

To była egzekucja, bezpośrednią przyczynę śmierci stanowiła pojedyncza kula wystrzelona w tył głowy.

Trzy tygodnie później, kiedy policyjne dochodzenie było w toku, moja mama pozostała w Szkocji, a ja wróciłem do szkoły, by zabrać się do nauki i przygotować do egzaminów. Pogrzeb Milesa, w którym wzięliśmy udział tylko mama i ja, odbył się szybko, niezauważony przez nikogo, w krematorium niedaleko miejsca narodzin Milesa w Warminster. Czulem po nim niesłychane otępienie.

Siedząc w bibliotece i spoglądając przez okno na kaplicę, nie mogłem przestać myśleć o tym, co po kremacji pozostało z Milesa. I tak działo się już od kilku dni. Migawki tego, co przytrafiło się Milesowi, bez przerwy pojawiały się przed moimi oczami. Wszystko nagle zaczęło mi się kojarzyć z jego śmiercią, od zapachu przypalonych tostów na śniadanie w szkolnej stołówce po odgłos samochodowego silnika. Nie potrafiłem przed tym wszystkim uciec.

Przy stole naprzeciwko siedział jakiś starszy chłopak i gapił się na mnie. Podczas egzaminów szkolna biblioteka była ściśle zarezerwowana dla uczniów z ostatniej klasy, podczas gdy młodsze grupy pracowały we wspólnych salach w internacie. Moja obecność

tutaj była przywilejem, który przysługiwał mi z powodu zaistniałych wyjątkowych okoliczności. Jednak nie dlatego ten chłopak się we mnie wpatrywał.

Tak jak każdy inny uczeń w tym college'u wiedział, kim jestem, i wiedział, co zrobił mój ojciec, a przynajmniej o co go podejrzewano. Też zacząłem się na niego gapić, aż wrócił do nauki. Udział Milesa w „klanowym morderstwie”, jak ochrzciły je gazety, nie został na razie udowodniony. Ale prasa i ludzie już zdążyli go osądzić na podstawie niejasnych okoliczności towarzyszących jego śmierci. Skoro tego nie zrobił, mówiono, dlaczego w takim razie uciekał przed policją? Wieszano na nim psy jak na bezlitosnym mordercy, zakładając, że musiał wiedzieć o ukrytym w jego klubie ciele i że pewnie osobiście urządził pogrzeb.

Podczas ostatnich dwóch dni w Greenaway przyzwyczałem się do ciekawskich spojrzeń. Niczego innego nie spodziewałem się po tej części uczniów, którzy mnie nie znali. Jedyne, czego się obawiałem, i co naprawdę się stało, to fakt, że moi dawni koledzy wykluczyli mnie ze swojego towarzystwa. Nie znaczy to, że w ogóle przestali się do mnie odzywać, ale kiedy próbowali to robić, nie wiedzieli, o czym mogą przy mnie mówić. Nasze rozmowy pierwszego wieczoru po moim powrocie szybko się urwały, a do rana zanikły całkowicie. Było tak, jakby ktoś usunął grunt spod naszych nóg niczym dywan, a my poprzewracaliśmy się i potoczyliśmy w różnych kierunkach. Ja wylądowałem w jakimś nowym miejscu, gdzieś, dokąd nie mogli za mną pójść, nawet gdyby tego chcieli.

Popatrzyłem na rozłożony przede mną materiał do powtórki. Wziąłem do ręki arkusz papieru i próbowałem rozczytać własne pismo, ale kolejny raz nie byłem w stanie. Przypominało mi to film o dysleksji, który oglądaliśmy na zajęciach w poprzednim semestrze. Litery alfabetu wydawały mi się żywe, tańczyły i wpadały jedna na drugą, gdy starałem się sklecić z nich choć jedno zdanie. Bez względu na to, jak intensywnie się w nie wpatrywałem, ich znaczenie pozostawało daleko poza moim zasięgiem, były równie niemożliwe do odszyfrowania jak hieroglify.

Nawet nie liczyłem, że uda mi się zdać choćby jeden egzamin. Wiedziałem to w chwili, gdy mama poruszyła temat mojego powrotu do szkoły. Przez cały czas klóciłem się z nią o to, wiedząc bardzo dobrze, jakiego przyjęcia mogę się tutaj spodziewać. Jednak dzięki naszemu sporowi mama przełamała wreszcie przerażające milczenie, co powitałem z prawdziwą ulgą. Obserwowałem, jak z powrotem przejmuje kontrolę i nakazuje mi podporządkowanie się swej woli, stając się ponownie moją dawną, praktyczną mamą. I gdy tylko ujrzałem jej zmartwychwstanie, wiedziałem, że zrobię tak, jak sobie tego życzy, ponieważ dzięki temu możemy wydostać się z matni, w której znaleźliśmy się oboje.

Jednak ważniejsze dla mnie było to, że w Greenaway znajdowałem się bliżej Mickey, i

właśnie pragnienie ponownego jej ujrzenia w końcu rozwiało moje obawy dotyczące powrotu do college'u.

Jedyną inną możliwością było pozostanie w Szkocji. Moja matka nawet przez chwilę nie brała pod uwagę powrotu do Rushton. Bez wcześniejszego skonsultowania się ze mną wystawiła nasz dom na sprzedaż. Byłem zarazem zdruzgotany i wściekły.

Rushton oznaczało dla mnie Mickey - a Mickey z kolei znaczyła dla mnie wszystko. Jak mama śmiała nas rozdzielić? Czy ja w ogóle nie miałem nic do powiedzenia w kwestii tego, gdzie będziemy mieszkać? Jej odpowiedź brzmiała stanowczo. Nigdy nie wrócimy do Rushton i koniec - to było jej ostatnie słowo na ten temat. Uważała pewnie, że w końcu jakoś uda mi się zapomnieć o Mickey. W taki właśnie sposób miała odtąd żyć: nie myśląc o przeszłości i patrząc jedynie w przyszłość.

Trzy razy dzwoniłem ze Szkocji do Mickey. Podczas dwóch pierwszych prób odebrała jej mama, Marie, i powiedziała mi, że Mickey nie ma w domu. Za trzecim razem słuchawkę także podniosła Marie, ale tym razem przekazała ją Geoffowi, tacie Mickey. Ze smutkiem w głosie, ale stanowczo, powiedział mi to, co jak podejrzewałem, wcześniej sugerowała Marie: że nie chcą, bym się spotykał, dzwonił ani pisał do ich córki.

Sprawdziłem godzinę na ściennym zegarze: minęła właśnie dziewiąta. Cisza nocna rozpoczynała się w internacie o dziesiątej, a chciałem jeszcze zdążyć wziąć prysznic. Czulem się brudny, jak każdej minuty podczas ostatnich trzech miesięcy. Walcząc z ogarniającą mnie nagle klaustrofobią, zebrałem ze stołu wszystkie bezużyteczne książki, notatki i długopisy. Musiałem się stąd wydostać, uciec od tej grobowej ciszy i zatęchłych książek. Ale w chwili, gdy o tym pomyślałem, wiedziałem jednocześnie, że nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbym pójść i poczuć się lepiej. Nie byłem w stanie uciec przed mieszkającym we mnie smutkiem. Miles nie żył, a Mickey była daleko i w żaden sposób nie mogłem się z nią skontaktować.

Na zewnątrz zaczynało się robić ciemno. Przechodząc obok pokoju nauczycielskiego, beztrudno zapaliłem papierosa. Nie obchodziło mnie, czy zostanę przyłapany. Mogli mnie ukarać, może nawet wydalić ze szkoły, ale co z tego? Nie miało to już dla mnie żadnego znaczenia. Tak jak i szkoła, wszystkie panujące tutaj zasady stały się nieważne. Należały do innego, lepszego świata. Minąłem kaplicę i usiadłem pod drzewem, patrząc na boisko, na którym grupa chłopaków z mojego rocznika grała w piłkę. Po chwili wstałem, rozgniotłem butem papierosa i wróciłem do internatu.

Niedługo później dźwięk mojego nazwiska dosięgnął mnie poprzez parę i syk prysznic.

- Roper!

Niestrudzony głos powtórzył wołanie, a ja splukałem z oczu szampon i obróciłem się na wyłożonej kafelkami podłodze wspólnego prysznica.

- Czego? - warknąłem przez kłęby pary w stronę sylwetki stojącego w drzwiach chłopca.

- Telefon - odpowiedział z nagłym żalem w głosie.

- Z automatu?

- Tak.

- Czy ten ktoś się przedstawił? - zapytałem, zakręcając wodę i sięgając po ręcznik. Nauczyłem się wykazywać dużą ostrożność, jeżeli chodzi o automat telefoniczny, odkąd jakiś dziennikarz próbował ze mną rozmawiać, zadając mi chore i głupie pytania dotyczące Milesa i tego, jak się teraz czuję. Moja matka zawsze dzwoniła przez prywatną linię pana Pearce'a, więc wiedziałem, że to na pewno nie ona.

- Nie - wymamrotał chłopak. - Przepraszam - dodał, drapiąc się po kolanie. - Nie zapytałem.

- Powiedz, że zaraz będę.

- W porządku, Roper.

- I dzięki - dodałem.

Wytarłem się, owinałem ręcznikiem wokół pasa i wyszedłem z szatni na korytarz w stronę automatów telefonicznych, które wisiały na parterze tuż przy pokoju gier. Oldfield, z którym nie zamieniłem ani słowa od chwili, gdy w kaplicy nazwał Milesa wieśniakiem, korzystał właśnie z jednego aparatu, a słuchawka drugiego zdjęta była z widełek i leżała na przymocowanym do ściany uchwycie. Zza zamkniętych drzwi dobiegał odgłos uderzanej piłki bilardowej i czyichś przekleństw. O te drzwi opierał się starszy uczeń, Clarkson.

- Pospiesz się, Roper - warknął, patrząc na mnie groźnie i ospale odrzucając grzywkę z czoła. - Niektórzy z nas mają do wykonania ważne telefony.

Był taki czas, że odebrałbym jego komentarz jako rozkaz. Clarkson, kapitan szkolnej drużyny rugby, cięższy ode mnie o jakieś piętnaście kilo, zazwyczaj dostawał to, czego chciał.

- Pieprz się - odparłem, odwracając się do niego plecami, po czym wziąłem do ręki słuchawkę i przyłożyłem ją do ucha.

- Halo? - spytałem, ignorując odgłosy wściekłości Clarksona.

- Fred?

- Mickey? - spytałem z niedowierzaniem.

- Fred!

- Ja... - zaczęliśmy razem.

- Nie, ty... - zaczęliśmy jeszcze raz zgodnym głosem.

Poczułem, jak skóra na mojej twarzy rozciąga się, nagle przypominając sobie, co to takiego uśmiech. Przycisnąłem słuchawkę do ucha.

- Dzięki Bogu - rzekłem, otulony jej obecnością niczym ciepłym, puszystym kocem. - Dzięki Bogu, że zadzwoniłaś.

- Jak... - zaczęła. Wtedy przerwała i usłyszałem jej pisk. Zamknąłem oczy i zobaczyłem ją, moją cudowną, piękną Mickey, uśmiechającą się do mnie.

- Powiedz coś do mnie - poprosiłem. Jej głos stał się poważny.

- Jak się czujesz?

- Ja... - Potrząsnąłem głową. Jak się czułem? Co za pytanie.

- Ja... - zacząłem jeszcze raz. - Tak cholernie się cieszę, że to ty.

- Tęskniłam za tobą.

- Dzwoniłem do ciebie - wyrzuciłem z siebie. - Rozmawiałem z twoją mamą i twoim tatą, i... i powiedzieli, abym nie... - Nagle miałem jej tak dużo do powiedzenia, że nie wiedziałem, od czego zacząć. - Gdzie jesteś? - spytałem. - Nie ma ich w pobliżu, prawda? Ponieważ wtedy...

- Zabiję ich.

- Nie rób tego - powiedziałem, pamiętając jednocześnie, jak się czułem po rozmowie z jej tatą. - Robią to tylko dla twojego... Skąd wiedziałaś, że jestem tutaj?

- Ponieważ nawet będąc w Szkocji, twoja mama jest nadal dawną Louisa, a ty masz przecież do zdania egzaminy...

- Boże, tak bardzo chcę się z tobą spotkać...

- Naprawdę?

- Oczywiście, że naprawdę. A co ty...

- W takim razie w porządku - przerwała mi.

- W porządku? - zaśmiałem się. - Ale twoi rodzice...

- Zapomnij o nich.

- A co w takim razie z moją mamą? Chce, żebym po egzaminach wrócił do Szkocji. Nie ma mowy, by mi pozwoliła...

- Nie mam na myśli później - przerwała ponownie. - Mam na myśli teraz.

- Co?

Na chwilę zapadła cisza.

- Jestem na stacji.

- Jakiej stacji?

Słyszę, jak śmieje się po drugiej stronie telefonu.

- Tej, która według mapy mego taty znajduje się jakieś piętnaście kilometrów od twojej szkoły.

- Ale jak... ?

- Czy to naprawdę ważne?

- Oczywiście, że nie - odparłem i nagle wstąpiła we mnie nadzieja.

- Czy możesz się stąd wyrwać?

- Nie wiem. To znaczy tak. Postaram się. - Szybko myślałem. - Za pół godziny gaszą nam światło. Wtedy jakoś się wymknę. - Nagle przypomniałem sobie o obecności Clarksona i ściszyłem głos do szeptu. - Czy chcesz, żebym przyjechał na stację? - spytałem.

- Czy ktoś tam jest? - domyśliła się Mickey.

- Tak - przytaknąłem. - Ale to nie ma znaczenia. Mów.

- Może lepiej ja przyjadę do ciebie? - zapytała. - Wystarczy mi na taksówkę. Mogę dotrzeć tam, zanim tobie uda się wymknąć. Czy jest jakieś bezpieczne miejsce, gdzie moglibyśmy się spotkać?

Przy sąsiednim aparacie Oldfield skończył właśnie rozmawiać, a jego miejsce zajął Clarkson. Wykręcił numer, odwrócił się i wpatrywał we mnie wrogo, a ja umknąłem wzrokiem.

- Zaczekaj chwilę - rzekłem do Mickey i odczekałem kilka sekund, aż Clarkson zaczął z kimś rozmawiać. - Już w porządku - kontynuowałem po chwili. - Na należącym do szkoły terenie znajduje się kilka nieużywanych budynków. Moglibyśmy zakraść się do jednego z nich. Spotkajmy się za godzinę na końcu szkolnej drogi...

- Przywiozę ze sobą jakieś świece - oświadczyła Mickey. - Mogę też wziąć trochę jedzenia i coś do picia...

- I papierosy - dodałem. - Moje się skończyły.

- I papierosy...

- W takim razie na końcu drogi? - upewniłem się. - O jedenastej. Czy na pewno tam trafisz?

- O nic się nie martw - odparła uspokajająco. - Będę czekać. - Coś na linii zatrzeszczało, a ja milczałem. Nie mogłem się zmusić do pożegnania. To Mickey przerwała ciszę. - Fred...

- Tak?

- Kocham cię.

Pół godziny później leżałem na łóżku w internacie, czując w ustach świeży smak pasty do zębów, i szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się w ciemność. Panującą wokół mnie ciszę przerywały znajome dźwięki internatowego życia. Chłopaki szeptały między sobą, a łóżka skrzypiały. To były odgłosy, do których przyzwyczałem się w ciągu spędzonych tutaj trzech lat. Już dawno przestały mi przeszkadzać i zakłócać sen. Ale teraz nie miałem zamiaru zasypiać. Moje ciało i umysł były czujne, tak jakbym właśnie został wrzucony do basenu z lodowatą wodą. Pragnąłem, by zamilkły wszystkie głosy, a hałasy ustały. Bo wtedy będę mógł się stąd wydostać.

Siedząc w samochodzie przed krematorium w Warminster, opieram się o kierownicę i wycieram gąbką zaparowaną przednią szybę. Gdy wyglądam przez nią, widzę szare, zasnutę deszczowymi chmurami niebo. O samochód uderzają krople deszczu tak ciężkie jak grad. Biorę z tylnego siedzenia płaszcz przeciwdeszczowy i narzucam go na siebie. Ze schowka wyciągam starą czapkę z daszkiem i wciskam ją na głowę, po czym sięgam ręką do klamki.

Mimo iż wiem, że jest to coś, co powinienem zrobić w pojedynkę, żałuję, że nie ma przy mnie Mickey. Zapełnianie luki pomiędzy moją przeszłością i teraźniejszością byłoby dużo prostsze, gdyby stała przy moim boku i wskazywała właściwą drogę. Ale jej nie ma. I nawet nie wie, że tutaj przyjechałem. Nie widziałem jej od niedzieli rano, kiedy obudziłem się na sofie w pokoju gościnnym jej rodziców, ubrałem się i wyszedłem bez pożegnania.

Puszczam klamkę i z powrotem opadam na siedzenie, po czym biorę z deski rozdzielczej paczkę papierosów i zapalam jednego.

Dym faluje mi przed oczami, więc minimalnie uchylam boczną szybę i obserwuję, jak wydostaje się na zewnątrz.

Mickey miała rację, mówiąc to wszystko po tym, jak przeszkodził nam Joe. Miała także rację, że nie dopuściła do tego, by wydarzyło się między nami jeszcze więcej. Jednak nie wyrzucę z pamięci cudownego zapachu jej skóry, który czułem, gdy siedzieliśmy na schodku, a ja ująłem jej twarz i nasze usta połączyły się. Nie potrafię tego zrobić, jak również wyrzec się tego, co odczuwałem, kiedy jej dłonie dotykały mojego ciała, ani jej pełnego tęsknoty spojrzenia, gdy wyjaśniała, że to, co wydarzyło się między nami, jest wywołane zbyt dużą ilością wina. Namiętność, którą czułem zaledwie kilka chwil wcześniej, była upajająca, ale nie miała absolutnie żadnego związku z alkoholem. Pożądanie, które mnie ogarnęło, kiedy się całowaliśmy, było czymś, czego doświadczyłem tylko raz w całym moim życiu, a wtedy także towarzyszyła mi Mickey.

Jestem w niej zakochany. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Pojawia się w

moich snach i budzę się z jej twarzą przed oczami. Moje dni przepelnia tęsknota za nią. Jestem zakochany w niej, a nie w Rebecce. Nieważne, jak na to patrzeć, jedna rzecz jednak się nie zmieniła: za trzy dni żenię się z kobietą, której już nie kocham, z kobietą, którą od wielu tygodni zdradzałem w myślach i którą - zaledwie kilka dni temu - zdradziłbym na jawie, gdyby tylko dano mi taką szansę.

Ale Mickey miała rację. To, co pragnąłem zrobić - co prawie razem zrobiliśmy - było niewłaściwe. Nie mieliśmy już szesnastu lat. Nasze życie jest teraz bardziej rozbudowane i skomplikowane, niżbyśmy sobie tego życzyli. Istnieje zbyt wiele faktów, które trzeba brać pod uwagę, zbyt wiele powiązanych z nami istnień. Zgromadzony przez te wszystkie lata bagaż jest dla nas zbyt ważny, by go odrzucić i zacząć wszystko od początku. Staliśmy się już na to za dorośli.

Rozgniatając w popielniczce wypalonego do połowy papierosa i żalując, że go w ogóle zapaliłem, decyduję się wreszcie wysiąść z samochodu. Zatrząskuję za sobą drzwiczki i unoszę ramię, by zasłonić twarz przed zacinającym deszczem. Pospiesznie przechodzę przez parking w stronę krematorium, długiego, niskiego betonowego budynku, i po chwili znajduję się przy jego wejściu. W środku zebrało się jakieś czterdzieści osób, które rozmawiają przyciszonymi głosami, i kiedy wchodzę do środka, kilka z nich odwraca się, by na mnie spojrzeć, a na ich twarzach maluje się zbiorowa spokojna ciekawość.

Z grupy wyłania się ciemnowłosa mężczyzna mniej więcej w moim wieku. Na jego wychudzonych policzkach widać opuchliznę od łez, a pod oczami malują się sińce.

- Czy jesteś znajomym Billa? - pyta mnie. - Jestem Roger, jego najstarszy syn.

Potrząsam głową.

- Nie - odpowiadam, nagle zaskoczony liczbą ludzi, którzy przybyli, by uczcić pamięć jednego człowieka. - Przyszedłem tutaj, by... - Kaszlę. - Czy wie pan może, kto zarządza tym krematorium? - pytam. - Czy jest może tutaj jakiś kierownik?

- Proszę chwilę zaczekać - odpowiada i odwraca się do mnie plecami. - Jonathan! - woła, a ja obserwuję, jak zbliża się do nas niski, krępy mężczyzna.

- Chciałbym odnaleźć... - zaczynam, po czym nagle czuję zmieszanie. - Grób - ciągnę po chwili. - To znaczy chciałbym powiedzieć, że grób, tyle że oczywiście... - Kiwam głową w stronę dachu krematorium, tam, gdzie prawdopodobnie znajdują się kominy.

- Pani Philips powinna panu pomóc - oświadcza mężczyzna.

- Ona przechowuje wszystkie akta i z pewnością wróciła już z lunchu. - Wskazuje palcem na mały, czerwony domek, znajdujący się po drugiej stronie dobrze utrzymanego trawnika.

- Tam pan ją znajdzie.

Dziękuję mu i udaję się do domku, spoglądając jednocześnie na główną bramę, do której zbliża się procesja samochodów, dowożąca zapewne kolejnych żałobników. Wracam myślami do ostatniego razu, kiedy tutaj byłem. Wtedy świeciło palące słońce i nie pojawił się nikt poza mamą i mną.

Pani Philips okazuje się kobietą około czterdziestki, która uśmiecha się do mnie życzliwie, gdy wchodzę do jej biura i zbliżam się do dużego drewnianego biurka.

- W czym mogę panu pomóc? - pyta.

- Miles... - zaczynam, po czym się poprawiam. - Mój ojciec - próbuję jeszcze raz. - Mój ojciec został tutaj skremowany w osiemdziesiątym piątym i przyjechałem dzisiaj z Londynu, ponieważ chciałem zobaczyć miejsce, gdzie jest jego grób, ale kiedy już się tutaj znalazłem, uświadomiłem sobie własną głupotę, ponieważ z pewnością nie pozostało nic do pochowania, kiedy już został spa... to znaczy skremowany. - Poznaję po wyrazie jej twarzy, że mówię za szybko, biorę więc głęboki wdech, po czym kontynuuję: - Zastanawiałem się, czy mogłaby mi pani powiedzieć, co się stało z jego prochami. Wiem, że moja matka ich nie wzięła. Nic ze sobą nie wzięliśmy po kremacji i...

Ale wtedy tracę cały dotychczasowy rozpęd. Pochylam głowę i wpatruję się w zamazane odbicie mojej twarzy w lakierowanym, drewnianym biurku. Strofuję się w myślach za moją krótkowzroczność. Powinienem był przewidzieć, że nic tu na mnie nie czeka.

- Jest u nas coś takiego jak Ogród Pamięci - wyjaśnia pani Philips. - Niektórzy z naszych klientów wolą, by prochy ich krewnych pozostały tutaj. Nie wie pan, czy pańska matka...

- Nie - odpowiadam. - Wątpię, by mama...

- W takim razie... - mówi trochę sztywno pani Philips.

- Jeżeli nie otrzymujemy żadnych instrukcji od rodzin zmarłych, wtedy rozsypujemy prochy w lesie za krematorium. To bardzo spokojne miejsce - dodaje z uprzejmym uśmiechem.

- Dziękuję pani - mówię i odwracam się do wyjścia. - Pójdę tam.

- Zanim pan to zrobi... - mówi pani Philips, a ja odwracam się na dźwięk jej głosu. - Może pozwoli mi pan jednak sprawdzić? - Wstaje z krzesła.

- Naprawdę nie trzeba - protestuję. - Po prostu... Ale ona jest bardziej uparta niż ja.

- Nie jest pan przecież pewien - odpowiada. - Prochy pańskiego ojca mogą być jednak w Ogrodzie i byłoby wstyd, gdyby pan tam nie poszedł po tak dalekiej podróży.

Mam zamiar podziękować jej za pomoc i wyjść. (Nie mogę sobie wyobrazić, by mama

chciała, żeby Miles był pamiętany przez kogokolwiek). Jest jednak za późno. Pani Philips zdążyła już zniknąć za wahadłowymi drzwiami, oddzielającymi to pomieszczenie od czegoś znajdującego się za nimi. Wpatruję się w swoje mokre buty i staję się niepokojąco świadomy potu, pojawiającego się na mojej i tak już mokrej od deszczu twarzy. Po chwili pani Philips wraca, niosąc w rękach ciężką, oprawioną w skórę księgę.

Kładzie ją na biurku i otwiera.

- Mówi pan, że było to w osiemdziesiątym piątym...

- W czerwcu - potwierdzam nerwowo, wiedząc, jakie będzie następne pytanie.

- A nazwisko? - pyta oczywiście.

- Roper - odpowiadam. - Miles Roper.

Przyglądam się jej uważnie, ale moje słowa nie wywołują u niej reakcji, jakiej się spodziewałem. Wprost przeciwnie: słyszę, jak mruczy je pod nosem, przerzucając kartki i śledząc rzędy nazwisk.

- A oto i jest - oznajmia radośnie, przekręcając księgę w moją stronę i dotykając palcem nazwiska Milesa. - Nie cieszy się pan teraz, że jednak sprawdziliśmy?

- Czy to znaczy, że ma swoje miejsce w Ogrodzie? - pytam, spoglądając na nią znad księgi z niedowierzaniem.

- Tak jest - potwierdza. - Rząd dwudziesty siódmy, działka numer szesnaście.

- Dziękuję pani, pani Philips.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Roper - odpowiada i wtedy bez wątpienia zauważa konsternację na mojej twarzy. - Czy wszystko w porządku?

- Tak - zapewniam, czując, jak rozluźniają się mięśnie mojej twarzy. - Myślę, że w jak najlepszym.

Deszcz zdążył już ustać i teraz siąpi z nieba jedynie drobny kapuśniaczek. Gdy przechodzę obok krematorium, słyszę dźwięki organów i stłumione głosy śpiewające pieśń *Pan jest moim pasterzem*. Zgodnie z instrukcjami pani Philips podążam za białymi, metalowymi znakami do Ogrodu Pamięci, który mieści się na prawo od krematorium. Zajmuje najwyżej kilka akrów i gdy przemieszczam się między rzędami działek, myślę o tym, jak niewiele pozostaje z nas po śmierci.

Rząd dwudziesty siódmy znajduje się w małej dolince niedaleko lasu. Idąc nim z opuszczoną głową, czuję, że miękną mi kolana, tak jakbym za chwilę miał się spotkać z Milesem twarzą Tl A w twarz. Zastanawiam się, co bym mu powiedział, gdybym zastał go teraz siedzącego na jednym z tych niewielkich skrawków ziemi, palącego papierosa i przyglądającego mi się tymi swoimi spokojnymi, oceniającymi oczami? Czy dojrzałbym w

nich skrucę bądź niewinność? Nie, oczywiście, że Miles zachowywałby się tak, jak go zapamiętałem. Minął piętnasty rok od jego śmierci. Miałby teraz pięćdziesiąt trzy lata, a nie trzydzieści osiem, które miał, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Miał tylko trzydzieści osiem lat, niewiele więcej niż ja teraz.

Idę dalej, koncentrując się na niewielkich mosiężnych tablicach na ziemi oraz stojących przy nich sztucznych i świeżych kwiatach. Gdy mijam działkę numer piętnaście, coś ścisza mnie w środku, ale potem widzę numer siedemnaście i wtedy się zatrzymuję. Wiedziałem, że mama nie zrobiłaby czegoś takiego. Wiedziałem, że wolałaby, by jego prochy zostały rozrzucone na wietrze. Księża pani Philips musiała się mylić.

Ale kiedy już mam zamiar odejść, coś zwraca moją uwagę i uważnie przyglądam się plątaninie chwastów pomiędzy dwiema działkami. Klękam i nie zwracając uwagi na zimno i wilgoć przenikające przez moje spodnie, odgarniam na bok liście szczawiu i ostu, pod którymi ukazują się matowa, mosiężna tabliczka z napisem:

Miles Stanley Roper

1947 - 1985

Panie Jezu Chryste, Zbawicielu,
Ulżyj naszej doli w trudnej chwili;
Szczerze miłowało Cię niewiele,
Niektórzy zaś miłość utracili.

* [Tłumaczenie Jan Sofiński.]

Raz po raz czytam te wybrane przez moją matkę słowa, po czym spoglądam na ponure niebo.

Nie, Miles nigdy nie kochał Chrystusa ani Boga. Miles zawsze żył zgodnie z własnymi zasadami i wątpię, by kiedykolwiek na giął się do czyichś, nawet teraz. Mosiężna tabliczka ma kolor przydymionego ognia. Przesuwam palcem po jego imieniu, ale tego zimnego dnia nie jestem w stanie wyczuć żadnego ciepła.

Tak wiele faktów z życia Milesa i - a jakże - jego śmierci, pozostaje owianych tajemnicą. Czy był zamieszany w zabójstwo Carla? A jeżeli tak, to czy osobiście pociągnął za spust? Według policji naturalnie odpowiedź na oba pytania brzmiała zdecydowanie „tak”, mimo że oczywiście Milesa nigdy nie postawiono przed sądem ani też nawet go nie przesłuchano.

To Tony Hall opowiedział wszystko policji i to on wskazał, gdzie mogą znaleźć ciało. Miles nigdy nie otrzymał szansy, by przedstawić swoją wersję wydarzeń. Tony twierdził, iż Miles chwalił się mu, że zastrzelił Carla w trakcie kłótni o jakieś dokumenty związane z prawami własności Clanu. To im wystarczyło i po śmierci Milesa sprawa zabójstwa Carla pozostała oficjalnie niewyjaśniona, ale nieoficjalnie zaprzestano dalszego śledztwa.

Tony Koleżka, bez względu na jego ewentualny udział w tej zbrodni, nigdy nie trafił do aresztu, a Clan został zamknięty i więcej go nie otwarto. Wszystkie pieniądze ze sprzedaży budynku i jego wyposażenia przeznaczono na spłatę pozostawionych przez Milesa długów.

Jeżeli chodzi o mnie, nie sądzę, by Miles dopuścił się morderstwa. To była moja naturalna reakcja jako jego syna, ale przez te wszystkie lata kurczowo trzymałem się tej wersji. Nie dla samoobrony, ale dlatego, iż naprawdę nie sądzę, by Miles mógł kogoś zamordować. Był łobuzem. Nie można temu zaprzeczyć. Nie był dobrym człowiekiem, tak samo, jak nie okazał się dobrym mężem ani ojcem. Ale nie był zły. Kierował się ambicją i chciwością, a czasami egoizmem. Nie troszczył się o nikogo, ale nie był na wskroś zły. Nie sądzę, aby stał się na tyle bezlitosny, by przyłożyć pistolet do czyjejś głowy i z zimną krwią pociągnąć za spust. To wydawało mi się zawsze bardziej w stylu Tony'ego. To znaczy wierzę, że Miles mógł o tym wiedzieć. Sądzę, że zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z Clanem. Całkiem możliwe, że namówił Tony'ego, by zrobił to dla niego. To było bardzo prawdopodobne i tłumaczyło, dlaczego w takim razie zdecydował się na ucieczkę.

A może... może się mylę... Może Miles naprawdę to zrobił. Może zastrzelił Carla z tego samego pistoletu, z którego ja zabiłem byka Jimmy'ego Dugheada. To jeszcze jedna rzecz, w którą wierzę w związku z Milesem: jeżeli chodzi o niego, wszystko mogło się zdarzyć.

Spoglądam przez ogród na budynki krematorium. Przypominają mi bunkry przeciwnuklearne, których zdjęcia wycinałem z gazet w latach siedemdziesiątych i pokazywałem je Milesowi w nadziei, że zbuduje podobny na tyłach naszego ogrodu. „Rushton nie jest celem militarnym” - pamiętam, jak mi powtarzał. „Ale ty jesteś najlepszym tajnym agentem w Wielkiej Brytanii - odpowiadałem mu. - Oczywiście, że Rosjanie ciebie pierwszego będą chcieli zabić. Jesteś jedyną osobą, która zna wszystkie tajemnice państwowe”.

I przynajmniej jeśli chodzi o to, nic się nie zmieniło. Jakiegokolwiek znał tajemnice, zabrał je ze sobą do grobu.

Sięgam do kieszeni płaszcza i wyjmuję z niej okulary, które Mickey i ja zakopaliśmy

razem z resztą naszych skarbów na polu Jimmy'ego Dugheada. Wracam myślami do wieczoru przed prawie ćwierćwieczem, kiedy skończyłem siedem lat i Miles po raz pierwszy zakrył nimi moją twarz, zanosząc mnie na górę do łóżka. „To jest rozwiązanie rządowe - wyjaśniał. - W stu procentach chroniące przed Carnage'em. Nikt ani nic nie może cię skrzywdzić, kiedy masz je na nosie”. Rozkładałem je, schylałem się i kładłem na miękkiej ziemi, tak że ciemne szkła wydają się patrzeć na mnie znad mosiężnej tabliczki.

- Do widzenia, tato - mówię, wstając, po czym odwracam się i powoli idę w kierunku samochodu.

W piątek po południu wcześniej urywam się z firmy i wracam do domu, by zabrać swoje rzeczy, po czym jadę do Shotbury, do hotelu King's Head.

Mój apartament składa się z przestronnej, niskiej sypialni i sąsiadującej z nią łazienki. W sypialni znajdują się dwa jednoosobowe łóżka, jedno dla mojego drużby, Eddiego, drugie dla mnie. Eddie, który dowiedział się wczoraj po południu, że musi dzisiaj zastąpić kogoś w Nitrogene, dołączy do mnie później. Planuje przyjechać tutaj bezpośrednio z klubu po nocnej zmianie, więc mało prawdopodobne, by zjawił się przed czwartą nad ranem. Obiecany mi wieczór picia i rozwodzenia się na temat końca mojego kawalerskiego życia będzie musiał w takim razie zostać, ku mojej uldze, odwołany.

Patrzę na zegarek - Rebecca jest właśnie w drodze powrotnej z Oslo i lada chwila będzie lądować, ale w Thorn House najprawdopodobniej pojawi się dopiero za kilka godzin. George zadzwonił dziś rano do mnie do pracy, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zaproponował mi i Eddiemu wspólny wieczór przy piwie. Wygląda na to, że według niego po Thorn House kręci się zbyt wiele druhen Rebecki i dekoratorek wnętrz, i każdą okazję przywrócenia męskiej równowagi w domu wita z otwartymi ramionami.

I tak chciałem zorganizować jakieś spotkanie, ale kiedy powiedziałem mu o problemach Eddiego z pracą, George nalegał, bym w takim razie przyłączył się do niego, Mary, Rebecki i wszystkich innych, i przyjechał na kolację. Albo też on mógłby wybrać się do mnie do baru King's Head. Odpowiedziałem, że z przyjemnością zjawię się u nich. Chciałem ich odwiedzić. A poza tym wiedziałem, że teraz nie zdołam porozmawiać z nim sam na sam.

Nie trując się wieszaniem w szafie żadnych ubrań, rzucam torbę na łóżko Eddiego, a sam padam na moje. Podkładam sobie pod plecy poduszki i zmieniam pilotem programy w telewizorze, po czym decyduję się na jakąś kreskówkę i oglądam grupę jaskrawo ubranych postaci, piskliwie opowiadających kawały i goniących się nawzajem. Zamykam oczy i myślę o mamie i towarzyszącym jej bez wątplenia Alanie, jak wsiada do wagonu sypialnego w

Szkocji, aby przybyć rankiem na czas i stawić się na ślubie swego jedyne go syna.

Gdy o ósmej zajeżdżam na podjazd, Thorn House przypomina pracującą pełną parą fabrykę. Mężczyźni i kobiety w dżinsach i jaskrawych T-shirtach przenoszą kartony z samochodu dostawczego do jednej z przybudówek. Zgodnie ze złożoną prawie dwa miesiące temu obietnicą George kazał rozstawić na trawniku przed domem imponujący biały namiot, który teraz wyraźnie kontrastuje z półmroczną dekoracją samego domu. Gdy zatrzymuję się na podjeździe i wysiadam z samochodu, widzę, jak w głównych drzwiach pojawia się Rebecca, która po chwili rusza przez trawnik, aby się ze mną przywitać. Podbiega do mnie i przytula się, a ja patrzę ponad jej ramieniem i zastanawiam się, jak długo potrwa dzisiejszy wieczór.

- Czy wszystko w porządku? - pyta, odsuwając się i kładąc ręce na moich ramionach.

- Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz... - Patrzy mi w oczy, a ja nie jestem w stanie wytrzymać jej badawczego spojrzenia. - Fred - mówi poważnym tonem. - Wszystko w porządku? Nie stało się nic strasznego, prawda?

- Nie - odpowiadam zgodnie z prawdą. - Nic strasznego.

- Ale coś przecież musiało... Wydajesz się taki smutny... Głowię się, co by tu powiedzieć.

- Eddie... - zaczynam wreszcie.

- Co Eddie? - przerywa mi Rebecca.

- Zjawi się tutaj dopiero nad ranem - kończę.

- Ach - mówi, odwracając się ode mnie i patrząc w stronę domu, gdzie jej uwagę przykuło coś, czego ja nie mogę dojrzeć. Jestem w pełni świadomy spoczywających na moich ramionach dłoni. - Czy to wszystko? - pyta, odwracając się do mnie.

- Tak.

Uśmiecha się i wsuwa swoją dłoń w moją.

- Mam ci tak wiele do pokazania, kochanie. Mama i tata przez cały tydzień przygotowywali to wszystko i wygląda... - Szarpie mnie za rękę i ciągnie przez trawnik. - Chodź i sam zobacz - oświadcza.

Katie i Susan, druhny Rebecki, są już w namiocie i cała trójka z podekscytowaniem objaśnia mi rozkład stolików i to, gdzie będzie siedziała jaka grupa gości podczas obiadu i przemówień.

- Będzie cudownie - zapewnia Katie, zataczając ręką szeroki łuk. - Wyobraź sobie, że wszyscy tutaj siedzą, a dookoła jest mnóstwo kwiatów i świec...

- Zaczekaj tylko, aż zobaczysz Rebecę w jej sukni - drażni się ze mną Susan.

Spoglądam na moją narzeczoną, piękną i ze spokojem wpatrującą się w główny stół, przy którym jutro zasiądzie jako moja żona, a obok niej ja - jej mąż.

- Zapomnij o sukni - śmieje się Susan. - Bardziej pewnie interesuje cię bielizna, prawda, Fred?

Kiwam przytakująco głową, ale moja twarz pozostaje niewzruszona. Lubię Katie i Susan, ale wolałbym, żeby ich tutaj teraz nie było. Chcę porozmawiać z Rebecą i muszę to zrobić w cztery oczy.

Nie zanoszę się jednak, bym szybko miał ku temu okazję. Po namiocie przychodzi kolej na kuchnię i półgodzinną dyskusję z Mary i George'em na temat porządku serwowania poszczególnych dań, szampana i wina. Im więcej słyszę, tym bardziej się od tego wszystkiego oddalam. Brakuje mi w tym prostoty i umiaru. Suma wydana na jutrzejsze przyjęcie rani mnie do żywego. Nie mogę myśleć, w jakich warunkach mama mieszka w Szkocji i że jest moją jedyną zaproszoną na ten ślub krewną, i o tym, jak bardzo nie pasuję do rodziny Rebecki. I naturalnie rozmyślam o Mickey i o wydarzeniach, które rozegrały się tydzień temu w domu jej rodziców, i jak właściwa była jej reakcja, no i jak niewłaściwe wydaje się wszystko tutaj, w Thorn House. Głosy Mary i George'a stają się coraz bardziej odległe, aż prawie w ogóle przestają je słyszeć. Obserwuję ich tak obojętnie, jakbym oglądał niemy film. Ale nie mogę zmienić kanału. Nie jestem w stanie wyłączyć go i odejść.

Dopiero po kolacji nadarza się sposobność porozmawiania z Rebecą na osobności.

- Wiem, że pan młody pod żadnym pozorem nie powinien robić tego w noc przed ślubem - szepcze mi do ucha, gdy przechodzimy przez jadalnię - ale ja nigdy nie wierzyłam w żadne zabobony...

- Co? - pytam, zatrzymując się w miejscu i patrząc, jak George, Mary i dziewczęta znikają po kolei za drzwiami.

- Tylko jeden szybki numer - mówi zachęcająco, popychając mnie w kierunku schodów. - Nikt nie zauważy. Wszyscy są już nieźle wstawieni.

Jej ostatnia uwaga jest prawdziwa. Z zasiadającej do kolacji szóstki ja jeden pozostałem trzeźwy, wymawiając się jazdą samochodem i umówionym spotkaniem z Eddiem w King's Hotel, by nie skosztować jutrzejszych win, które George zamówił w chwili, gdy siadaliśmy za stołem.

- No dobrze - mówię. - Ale tylko wtedy, kiedy będzie to gdzieś na uboczu. Nie chcę, by ktoś się na nas natknął.

- Nie ma sprawy - zapewnia z szerokim uśmiechem, po czym bez słowa wbiega na

górnę po schodach.

Podążam za zawitym kwiatowym wzorkiem na jej sukience na drugie piętro, a potem wzdłuż korytarza, którego jeszcze nie miałem okazji poznać. Gdy tak wlokę się za Rebeccą, uderza mnie to, że ma teraz włosy krótsze niż kiedykolwiek wcześniej i że delikatna skóra jej szyi pozostaje odkryta.

Potyka się na rogu, a potem zatrzymuje przed zamkniętymi drzwiami. Odwraca się i posyła mi pijany uśmiech.

- Gabinet taty - wyjaśnia. - Z dużym, przyjemnym biurkiem... Cóż za niegrzeczna ze mnie dziewczynka...

- Ale czy on nie...

Potrząsa z przesadą głową i odgarnia z czoła grzywkę.

- Zbyt pijany - oświadcza. - I za bardzo podekscytowany. Uwierz mi, ostatnia rzecz, jaka w tej chwili chodzi mu po głowie, to praca...

Otwiera drzwi. Wchodzę za nią do środka. W powietrzu unosi się ciężki zapach cygar. Pokój nie jest zbyt wielki, a wzdłuż jego ścian ustawiono szafy z książkami. Naprzeciwko drzwi, które zamykam za sobą, gdy Rebecca podchodzi do biurka i włącza stojącą tam lampkę, znajduje się okno z widokiem na ogród. Myślę o mojej nierozpakowanej torbie, leżącej na łóżku Eddiego w King's Head. Rebecca odwraca się do mnie i podciąga sukienkę, po czym zaczyna powoli zdejmować figi.

- Nie - mówię, nie robiąc nic, by się do niej przyłączyć.

- O co ci chodzi? - pyta, patrząc na mnie jednocześnie z podnieceniem i niepokojem.

Opieram się o drzwi.

- Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać - przyznaję. Rebecca prostuje się, podciąga figi i pozwala opaść sukience w dół.

- Tak? - pyta, krzyżując ręce na piersi. - Słucham w takim razie.

- Chodzi o nas. Chodzi o nas jako o parę.

Robię przerwę, szukając w głowie odpowiednich słów.

- Co z nami? - podpowiada Rebecca.

- Chodzi o to, że jutro mamy się pobrać - zaczynam.

- I będziemy składać przysięgę w obecności naszych przyjaciół i rodzin. A jeśli nie mamy na myśli tego, co wypowiadamy, to w takim razie w ogóle nie powinniśmy tego robić.

- Czuję, jak piecze mnie twarz, gdy kotłujące się we mnie emocje szukają ujścia. Podnoszę dłoń do twarzy i powoli masuję czoło. - Chodzi o prawdę, Rebecca. Chodzi o to, by być uczciwym wobec siebie nawzajem. No i o uczciwość wobec samego siebie.

Rebecca mówi coś, czego nie załapuję, ale gdy spoglądam na nią, widzę, że jej zazwyczaj tak spokojna i pewna siebie twarz nagle zaczyna się trząść w łagodnym świetle lampki.

- Przepraszam - mówię po chwili. - Nie dosłyszałem tego, co powiedziałaś.

- Wiedziałaś - rzuca Rebecca i teraz dostrzegam, że płacze.

- Domyśliłam się w chwili, gdy wysiadłeś z samochodu... Widząc, w jakim jest stanie, instynkt nakazuje mi podejść i ją uspokoić, ale udaje mi się zwalczyć w sobie ten odruch.

- Ale w jaki sposób? - pytam zaskoczony tym, co mi właśnie powiedziała.

- A jak sądzisz? - parska, a jej ramiona zaczynają się trząść.

- Ponieważ cię znam... ponieważ potrafię czytać z twojej twarzy... Z tego samego powodu, dla którego i ty odgadłeś...

Zanim zdążyłem wyrazić zdziwienie, jakie wywołały we mnie jej ostatnie słowa, Rebecca bierze głęboki wdech, by się uspokoić.

- Masz rację, oczywiście, że chcesz teraz o tym porozmawiać. Przepraszam, Fred. Powinna była powiedzieć ci, jak tylko to się stało.

Już mam zamiar rzec: „Powiedzieć mi o czym?”, ale się powstrzymuję.

- Śmiało - mówię zamiast tego.

Pociągając nosem, Rebecca sięga po stojące na biurku pudełko z chusteczkami, wyciąga jedną i głośno dmucha. Nie patrzy na mnie, gdy zaczyna mówić.

- Nie chciałam, żeby to się stało. Żadne z nas tego nie chciało. Byliśmy zalani. Widziałeś, że byliśmy pijani, kiedy odchodziłeś...

My?

Rebecca ponownie wydmuchuje nos.

- I Eddie powiedział, że to nie ma znaczenia... Eddie?

- ... ponieważ to była tylko zabawa, a my nie byliśmy jeszcze małżeństwem, i jedynym powodem, dla którego to się stało, był fakt, że tak bardzo upiliśmy się w parku, ale emocjonalnie nie zdradziłam cię w żaden sposób ani nic takiego...

- Eddie... - powtarzam, potrząsając głową, gdy nagle dociera do mnie, jak byłem ślepy, że nie dostrzegłem tego, co się dzieje za moimi plecami.

Przypominam sobie chwilę, kiedy zostawiłem jego i Rebeccę siedzących razem na kocu w Hyde Parku podczas urodzin Phila. Po chwili pojawia się świeższe wspomnienie, gdy Eddie rozmawiał ze mną na dziobie łodzi na Tamizie tydzień temu i przyznał, że czasem trudno być prawdziwym przyjacielem.

- Eddie... - powtarzam, kiwając tym razem głową i spoglądając w przerażone oczy

Rebecki.

- Tak mi przykro, kochanie. - Płacze. - To nic dla mnie nie znaczyło. To był jeden z tych... Przysięgam na Boga, że coś takiego nigdy się nie powtórzy...

Usłyszałem już wystarczająco.

- To nie ma znaczenia - mówię do niej miękko. Upuszczając na podłogę trzymaną w dłoni chusteczkę, Rebecca czyni próbny krok w moją stronę.

- Naprawdę tak uważasz? - pyta. Nie waham się ani przez chwilę.

- Tak.

- Zrozumiałabym, gdybyś był wściekły...

- Nie - powtarzam uspokajająco. - Nie jestem wściekły. Ani trochę.

Gdzieś z korytarza dochodzi do nas przytłumiony głos i oboje milkniemy. Po chwili nawoływanie się powtarza.

- To twój ojciec - mówię, rozpoznając głos George'a. - Woła nas.

Wyciąga dłoń i dotyka mojego policzka. Na jej twarzy widnieje w równych proporcjach ulga i niedowierzanie.

- Jesteś pewny, że...

- Tak - potwierdzam. - Ale skoro jesteśmy już przy temacie uczciwości, ja też muszę ci o czymś powiedzieć...

- Co? - pyta zaskoczona i patrzy mi w oczy.

Odwracam wzrok i ignoruję jej pytanie.

- Idź i porozmawiaj z ojcem - mówię, odsuwając się na bok i otwierając drzwi. - A kiedy skończysz, poszukaj mnie. Będę czekał na ciebie w ogrodzie.

Na zewnątrz przechadzam się po krętej ścieżce i czekam na Rebecę. Powietrze wypełnia intensywny zapach lewkonii i wistarii. Jest ciepło i zapraszające. Czując nagły przypływ energii, myślę o jutrzejszym dniu. Powiedziałem Rebecce prawdę. Naprawdę nie ma dla mnie znaczenia to, co wydarzyło się pomiędzy nią a Eddiem. To, co chcę jej powiedzieć, wyznałbym i tak, bez względu na to, czy przyznałaby się do swojej zdrady czy też nie.

Zatrzymuję się i spoglądam na kryjący się w ciemnościach ogród. I wtedy czuję, jak moje myśli bezwiednie wędrują do innej letniej nocy, innego miejsca i innej dziewczyny.

Wreszcie po kolei umilkły szepty i w internacie zapanowała cisza. Miałem szczęście, że zbliżały się egzaminy, w przeciwnym razie musiałbym czekać kilka godzin na wykonanie mojego planu.

Wyślizgnąłem się spod kołdry i siedząc na brzegu łóżka, wyciągnąłem spod niego

moją torbę gimnastyczną, którą spakowałem jeszcze przed zgaszeniem świateł, jakieś trzy kwadranse temu. Zastygłem bez ruchu, przysłuchując się oddechom wokół mnie i wyciążając słuch w oczekiwaniu oznak czyjejś bezsenności. Nie doczekałem się niczego.

Wstałem i poczułem, jak wszystkie zmysły ulegają wyostrzeniu. Miałem wrażenie, że moje ciało zostało podłączone do wzmacniacza. Słyszałem delikatny szum własnego oddechu, strzelanie kości, ale przede wszystkim nierówny łomot serca. Ogarnął mnie strach, że przeszkody w spotkaniu się z Mickey nagle okażą się nie do przeskoczenia. Nie przerażało mnie przyłapanie na nieprzestrzeganiu ciszy nocnej, ale to, że jestem daleko od Mickey.

Przez środek internatu biegł wąski, prosty korytarz, a po jego obu stronach ustawione były łóżka, każde oddzielone od sąsiednich wysokim, drewnianym przepierzeniem. Na końcu korytarza znajdowało się półtorametrowe okno, które wiodło na schodki przeciwpożarowe. Zamek okna połączony był z alarmem w gabinecie pana Pearce'a na dole. Gdy tylko klamka została poruszona, odzywał się dzwonek, a po kilku minutach zjawiał się kierownik, by sprawdzić, co się dzieje.

Po przeciwnej stronie korytarza - drogi, którą zamierzałem obrać - znajdowały się ciężkie, wahadłowe drzwi, przez które przechodziło się do łazienek, ubikacji i pozostałej części internatu. Stamtąd schody prowadziły na górę, gdzie mieszkali młodszy uczniowie, i na dół, gdzie znajdowały się sale nauki dla najstarszych. Ze względu na alarm przy oknie musiałem ryzykować zejście na dół i mieć nadzieję, że pan Pearce nie będzie właśnie robił obchodu, a „strażnicy” za zamkniętymi drzwiami zajmą się przeprowadzaniem rewizji.

Aby stłumić narastającą paranoję, starałem się pocieszyć poczuciem bezpieczeństwa, jakie zapewnia ciemność. W internacie ktoś może mnie usłyszeć, ale przynajmniej nie zostanie dostrzeżony. Kiedy znajdę się na zewnątrz, obowiązywać będzie ta sama zasada. Pomiedzy tymi dwoma miejscami - na dole - mogłem ufać jedynie własnemu szczęściu.

Odwrociłem się i ułożyłem poduszki pod kołdrę, tak że wyglądała, jakby ktoś pod nią spał. Gdy to robiłem, zdałem sobie sprawę, że to gest symboliczny. Czyniłem to dla własnego spokoju. Bardziej wnikliwa inspekcja ujawni moje oszustwo. Ale wtedy będzie już za późno: mnie już tutaj nie będzie.

Mając na sobie jedynie bokserki, które dostałem w prezencie od Mickey na zakończenie wakacji, ściskając w rękę torbę gimnastyczną, prześlizgnąłem się przez korytarz w kierunku drzwi. Po mojej lewej stronie ktoś jęknął przez sen, ale poza tym słyszałem jedynie odgłos moich własnych stóp na wydeptanej, brązowej wykładzinie.

Zanim otworzyłem drzwi, zawahałem się, wiedząc, że jeśli po drugiej stronie stoi pan Pearce albo któryś ze starszych uczniów, czyli „strażników”, zawartość torby będzie

obciążającym mnie dowodem i utknę w gabinecie kierownika, odpowiadając na mnóstwo niewygodnych pytań, podczas gdy Mickey pozostanie samotna i zignorowana na końcu szkolnej drogi.

Gdy uchyliłem drzwi na tyle tylko, by się przez nie prześlizgnąć, do internatu przedostał się snop jasnego światła. Korytarz był pusty, więc pognałem w stronę toalet, wszedłem do jednej z kabin i zamknąłem za sobą drzwi. W blasku wiszącej u góry gołej żarówki, słysząc odgłos kapiącej wody, otworzyłem torbę i zacząłem się ubierać.

Dwie minuty później pusta torba leżała porzucona za drzwiami do ubikacji, a ja stałem na szczycie schodów w czarnych, szkolnych spodniach, czarnych butach i grubym, wełnianym, ciemnogrnatowym golfie. Latarka i nóż, które zwędziłem wcześniej z kuchni, były przymocowane do paska przy spodniach. Niezupelnie to pragnąłem mieć na sobie podczas spotkania z Mickey, ale w zaistniałych okolicznościach takie właśnie ubranie miało sens. Założyłbym nawet pieluchę i kask motorowy, gdyby mogło mi to zagwarantować bezpieczne wydostanie się z internatu.

Starając się iść na palcach, tak by nie było słyhać stukotu obcasów na twardej, plastikowej powierzchni schodów, pokonałem dwa piętra w dół. Tam czekało mnie skrzyżowanie; korytarz na lewo prowadził do pralni, przebieralni i pod prysznice, a ten na prawo wiódł do sal nauki dla najstarszych uczniów i kończył się drzwiami, które oddzielały mieszkanie pana Pearce'a od reszty budynku.

Lampy na obu korytarzach były wyłączone i jedyne źródło światła stanowił księżyc, który rzucał blade cienie na wypolerowaną, jasną podłogę. Zadrzałem, gdy przypomniało mi się otwieranie drzwi w statku kosmicznym w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia*, które oglądałem w dzieciństwie. Skręciłem w lewo i szedłem korytarzem, patrząc jednocześnie na księżyc, a gdy myślałem, że może gdzieś niedaleko Mickey podziwia ten sam widok, czułem się bliżej niej.

Nie spotkałem nikogo podczas mojej wędrówki przez korytarz w stronę pralni. Wydawało się, jakby na resztę mieszkańców internatu został rzucony czar, a ja byłem myszkującym między nimi duchem, niewidzialnym dla ludzkiego oka.

Gdy już dotarłem do drzwi pralni, ale jeszcze ich nie otworzyłem, ciszę zakłóciły jakieś głosy, a ja zamarłem. Przeklinając mojego pecha, ale nie poddając się panice, powoli odwróciłem głowę i popatrzyłem na korytarz. A tam, ledwie pięć metrów dalej, w otwartych drzwiach jednej z sypialni cicho i niezrozumiale mówił coś Clarkson, starszy uczeń, na którego gniew naraziłem się podczas niedawnej rozmowy telefonicznej z Mickey. Wiedziałem, że nic nie ucieszyłoby go bardziej niż przyłapanie mnie na gorącym uczynku.

Jedynie, co musiał zrobić, to się odwrócić.

Gwałtownie podniósł mi się poziom adrenaliny, gdy czekałem na jego kolejny ruch. Ale przez kilka sekund nic się nie działo. Zamiast tego Clarkson rozprawiał o czymś z przejęciem, rytmicznie stukając w drzwi długopisem, aż wreszcie dobrze mi znanym gestem odrzucił z czoła grzywkę i zamknął drzwi.

Zapadła wtedy ciemność, ale po chwili poczułem, jakby ktoś zaświecił mi latarką w twarz: korytarz zalało światło. Mrugając nieprzyzwyczajonymi do takiej jasności oczami, czekałem, aż usłyszę swoje nazwisko. Jednak nic nie przerwało panującej ciszy. Zamiast tego usłyszałem kroki i zobaczyłem, jak Clarkson zbliża się do drugiego końca korytarza, całkowicie nieświadomy mojej obecności. Pchnął wreszcie wahadłowe drzwi i wszedł po trzech schodkach do prywatnego mieszkania pana Pearce'a.

Odmawiając pospiesznie w myślach modlitwę dziękczynną, pognałem na tyły pralni. Usiadłem na wyszczerbionym parapecie, otoczony znajomym zapachem wilgotnych strojów gimnastycznych, i zacząłem mocować się z oknem. Otworzyłem je, wyrzałem do oświetlonego księżycowym blaskiem ogrodu i wciągnąłem haust nieruchomego, ciepłego powietrza. Budynki szkolne, znajdujące się po drugiej stronie trawnika, okrywała ciemność i na tle czarnego nieba wyglądały, jakby ktoś naszkicował je węglem. Wspiąłem się na parapet i skoczyłem prosto na miękką ziemię. Zamknąłem za sobą okno i zbyt przestraszony, by użyć latarki, przebiegłem przez trawnik.

Dopiero niecały kilometr od internatu i głównego budynku szkolnego odważyłem się oderwać od drzew i krzaków i wyjść na drogę. Pod moimi stopami chrzęścił żwir, gdy biegłem zrywami pięćdziesiąt metrów, po czym zatrzymywałem się i nasłuchiwałem, by po chwili przebiec następny kawałek. W mojej głowie nieustannie pojawiał się obraz naszego kapelana i przypominały mi się historie o jego nocnych najazdach na pobliskie wsie. Jego twarz widziałem w każdym mijanym krzaku jeżyn. Dopiero jakieś dziesięć minut później, gdy zbliżyłem się do końca drogi, zacząłem się nieco odprężyć.

Wtedy dojrzałem reflektory. Samochód pokonywał właśnie zakręt alejki, która znajdowała się jakieś trzysta metrów od drogi. Bliźniacze światła drgały na odgradzającym posiadłość szkoły murze niczym stroboskopy i zanim zdążyłem pomyśleć o ucieczce, moich uszu dobiegł odgłos silnika. Pamiętając o tym, gdzie jestem i co tutaj robię, pospiesznie usunąłem się z drogi i zanurkowałem za jedną z kamiennych kolumn, stojących po obu stronach wjazdu na teren szkoły.

Samochód nie zawrócił. Zamiast tego zwolnił, a jego reflektory zataczały łuk, aż oświetliły wjazd na teren Greenaway College. Mój żołądek ścisnął się w oczekiwaniu. Wtedy

auto stanęło, a po chwili usłyszałem odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Ostrożnie wychyliłem się zza kolumny i wyjrzałem na drogę, po czym moją twarz rozpromienił uśmiech.

Przy otwartym oknie taksówki stała Mickey, pływając się w poświacie księżycy niczym aktorka na scenie. Przez ramię miała niedbale przerzuconą dżinsową bluzę, a jej włosy, które wydawały się krótsze niż podczas naszego ostatniego spotkania pod koniec wakacji, były związane w kucyki. Miała na sobie czarne obcisłe spodnie, kończące się tuż pod kolanami. Kierowca taksówki wydał jej resztę i Mickey odeszła od drzwi, po czym samochód zawrócił i odjechał tam, skąd przybył.

Stałem bez ruchu, nagle przejęty tym, że oto nadszedł moment, na który tak długo czekałem. Wyglądałem okropnie i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Sporo schudłem w ciągu ostatnich tygodni i kiedy oglądałem swoją twarz w lustrze w łazience, widziałem, jak bardzo jest wymizierowana. Ale przecież wszystko będzie dobrze, prawda? Mickey będzie mnie pamiętać takiego, jakim byłem, a nie przez pryzmat niedawnych zdarzeń, no nie? Uzbroiwszy się w odwagę, wyszedłem z mojej kryjówki i zakaszlałem.

- Cześć - rzuciłem, starając się, by w moim głosie słychać było brawurę, której nie czułem. - Pamiętasz mnie jeszcze?

- Fred! - Wciągnęła gwałtownie powietrze, upuściła na ziemię torbę i podbiegła do mnie.

Objęła mnie ramionami i mocno się do mnie przytuliła. Mówiła coś, ale niczego nie mogłem zrozumieć. Płakała i całowała moją twarz, a gdy odsunęła się powoli i dotykała palcem mego policzka, uświadomiłem sobie, że moje oczy także są pełne łez. Dzięki jej obecności tutaj poczułem się wolny. To było tak, jakby Mickey miała klucz do tych wszystkich strasznych rzeczy, które zamknąłem w mojej podświadomości. Wszystko, co ostatnio mi się przytrafiło, nagle zaczęło we mnie wzbierać i wydostawać się na powierzchnię. Objmowała mnie mocno, przyciskając swoją twarz do mojej i przechwytyjąc ustami spływające z moich oczu łzy.

- Jestem tutaj - słyszałem, jak szepcze raz po raz, gdy tak szlochałem w jej ramionach.
- Jestem tutaj, skarbie. Jestem.

Wreszcie oderwałem się od niej.

- Powinniśmy się pospieszyć - rzekłem. - Mogli już odkryć moją nieobecność. Jeżeli pomyślą, że uciekłem, to droga i ścieżki będą pierwsze na liście.

Mickey skinęła głową ze zrozumieniem.

- Znam jedno miejsce, gdzie możemy pójść - ciągnąłem, pozwalając wziąć górę

sprawom praktycznym nad uczuciami.

Podniosłem torbę Mickey i wspólnie ukryliśmy się między drzewami. Z konieczności po drodze prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Staraliśmy się iść szybko, zwalniając jedynie przy przedzieraniu się przez krzaki jeżyn i ogromne paprocie. Po upływie kwadransa dotarliśmy do szerokiego pasa oddzielającego szkolne boiska. Mickey zatrzymała się i popatrzyła przed siebie. W oddali widoczne były małe punkty świetlne, oznaczające okna w budynkach w Greenaway.

- Jak wielkie jest to miejsce? - zapytała ze zdumieniem.

- Powinnaś zobaczyć to za dnia - odparłem. - A zresztą zobaczysz. Jutro, kiedy się obudzimy.

I właśnie to była chwila, w której uświadomiłem sobie, że już podjąłem decyzję. Nie wrócę do internatu ani dzisiaj, ani jutro. Byłem teraz z Mickey. Nie pozwolę, by ponownie nas rozdzielono. Wsunąłem moją dłoń w jej i razem poszliśmy dalej.

Pięć minut później stanęliśmy przed małą, białą, rzeźbioną kapliczką z kamienia na drugim końcu boisk, setki metrów od jakiegokolwiek zamieszkałej części Greenaway. Chodziły słuchy, że jakieś dziesięć lat temu ten budynek został zniszczony przez pożar. Podczas prawie trzech lat, które spędziłem w Greenaway, wykorzystano go zaledwie raz i nawet wtedy był jedynie tłem dla szkolnego przedstawienia *Snu nocy letniej*. Wówczas - prawie rok temu - ogrodnicy powyrywali otaczające go pokrzywy i krzaki jeżyn, ale teraz natura ponownie objęła ten teren w swoje niepodzielne władanie.

Nie mieliśmy pojęcia, co czeka nas za czarnymi od dymu oknami kapliczki. Światło trzymanej przez Mickey latarki zamigotało koło zamka, który starałem się podważyć nożem. Wreszcie udało się, a ja odwróciłem się do Mickey i szybko ją pocałowałem.

- Chodź - powiedziałem, biorąc od niej latarkę. - Sprawdźmy, co jest w środku.

Gdy przechodziliśmy przez próg, omiotłem wnętrze światłem latarki. Było tam tylko jedno pomieszczenie, wielkości kortu do squasha. Nieznane na razie przedmioty przykryte były białymi prześcieradłami. Ściany były upstrzone pajęczynami i śladami po pożarze, a gdzieś blisko nas coś niewidzialnego rozbiegło się na boki. Poczułem, jak cały się spinam.

- Nie przejmuj się - rzekła uspokajająco Mickey, obejmując mnie w pasie. - To pewnie tylko jakaś polna mysz.

Skierowałem latarkę na zaokrąglony sufit i oświetliłem zniszczone freski. Pomiędzy plamami wilgoci i smugami sadzy wciąż można było dojrzeć pozostałości siedzących na chmurach aniołów. Usłyszałem, jak Mickey wzdycha.

- Kiedyś musiało być tutaj niesamowicie - oświadczyła. Bez słowa zaczęliśmy

oczyszczać teren. Znalazłszy na wpół łysą miotłę, która stała oparta o jedną ze ścian, zamiotłem kawałek pokrytej kurzem podłogi.

Mickey ściągnęła na posadzkę zakurzone prześcieradła, pod którymi ukazały się rzędy połamanych szkolnych ławek i krzeseł. Wytrzepała je i ułożyła na zamiecionej podłodze. Wtedy wyciągnęła ze swojej pozostawionej przy drzwiach torby pudełko ze świecami. Zapaliła je po kolei i kapiąc woskiem, przytwierdziła do kamiennej posadzki wokół prześcieradeł. Gdy skończyła, zrobiła krok do tyłu i przyjrzała się efektom swojej pracy.

- No cóż - rzekła. - Nie jest to Ritz, ale musi nam wystarczyć.

- Jest doskonale - odparłem, siadając na prześcieradłach ze skrzyżowanymi nogami i obserwując, jak Mickey podchodzi do drzwi i zabiera stamtąd swoją torbę. Zamknęła drzwi i odwróciła się twarzą do mnie.

Gdy szła w moją stronę, uderzyło mnie to, jak długo się już znamy i jak daleko razem zaszliśmy. Spotkanie w tym dziwnym otoczeniu sprawiało, że patrzyłem na nią tak, jakbym widział ją po raz pierwszy.

Aż do tamtej chwili Mickey była dla mnie zarówno uosobieniem licznych wspomnień, jak i człowiekiem z krwi i kości. Myśląc o niej, zawsze przypominałem sobie jedną z historii biblijnych, którą czytałem na głos w konkursie czytelniczym w szkole podstawowej w Rushton. W tej przypowieści Jezus ocalił mężczyznę o imieniu Legion, który był opętany przez demony. Jezus wypędził z niego wszystkie złe moce i umieścił je w stadzie świń* [Por. Ewangelia według świętego Łukasza 8, 27 - 33.]

Nie chodzi o to, że uważałem, iż w Mickey siedzą jakieś demony, tyle że zawsze widziałem w niej kolejne etapy dorastania. Jej śmiech był śmiechem kumpeli, która siedziała na huśtawce, a ja bujałem ją coraz wyżej i wyżej, aż do nieba. Jej łzy były łzami współtowarzysza przestępstwa, który uratował mnie przed utonięciem w rzece Elo, kiedy miałem dziewięć lat. Jej dotyk był dotykiem pierwszej dziewczyny, z którą się całowałem.

Teraz jednak było inaczej: widziałem tylko ją. Zniknął gdzieś dzieciak, razem z którym się wychowywałem. Tak jak śmierć Milesa stanowiła koniec mego dzieciństwa, tak dalsza obecność Mickey w moim życiu oznaczała dla niej wkroczenie w dorosłość. To było coś, co powinienem był dostrzec już wcześniej. Ona się zmieniła... pod tyloma względami. Jej chłopiące biodra, kiedyś proste jak od linijki, wygięły się w parę kształtnych krągłości. Moje niezdarne gmeranie przy piersiach Mickey na tyłach ogrodu jej rodziców okazało się - teraz to do mnie dotarło - zachowaniem kogoś, kto nie wie, co tak naprawdę powinien robić. W jej oczach pojawiła się mądrość i pewność siebie. Wzrok Mickey nie wyrażał już oporu wobec wszelkich autorytetów, lecz świadomość własnej wartości.

W czasie, gdy zachodziły w niej te wszystkie przemiany - nawet podczas ostatnich sześciu miesięcy, kiedy ze sobą chodziliśmy - tak naprawdę nigdy nie znalazłem czasu, by zrobić krok w tył i przyjrzeć się, jak niesamowita stała się Mickey. Nie była już dziewczyną z sąsiedztwa, ale dziewczyną, którą kochałem całym sercem.

- Jesteś piękna - rzekłem z przekonaniem. Zdałem sobie sprawę, że mówię szeptem, mimo iż wiedziałem, że jesteśmy tutaj bezpieczni.

Wzruszyła ramionami z zakłopotaniem, a jej twarz rozjaśnił zmieszany półuśmiech.

- Widzę, że jesteś tym zdziwiony - odparła również szeptem.

Usiadła przy mnie na prześcieradłach i wyciągnęła z torby całą jej zawartość. Była tam bluza, obszerny T - shirt, czteropak piwa, paczka papierosów i kilka kanapek. Na końcu pojawiła się szczoteczka i pasta do zębów.

- Musisz wybaczyć brak bieżącej wody - rzekłem, ona zaś uśmiechnęła się i zaproponowała mi swoją bluzę, a gdy pokręciłem przecząco głową, sama ją nałożyła.

Podowała mi puszkę piwa i zapaliła dla nas obojga papierosy.

- Nie miałaś żadnych problemów, aby to zdobyć? - spytałem, unosząc do ust puszkę i pociągając z niej spory łyk.

- Dziewczyny zawsze wyglądają na starsze niż są - odparła. Miała rację: ona wyglądała.

Mickey oparła się o mnie. Położyła głowę na moim ramieniu, a jej włosy ocierały się o mój policzek. Piliśmy i paliliśmy w ciszy, czując ciepło naszych ciał. Gdy tak siedzieliśmy, tylko ona i ja w tym dziwnym i zdumiewającym miejscu, czułem się tak, jakbyśmy byli astronautami w kapsule orbitującej wysoko nad ziemią.

Ale wtedy, co zdarzało się niemal przy każdym papierosie, który wypaliłem od śmierci Milesa, jakby ten zapach stanowił łączącą nas więź, powróciła świadomość jego śmierci i nagle poczułem, że spadam z powrotem na ziemię.

- Byłaś tam? - spytałem. Otworzyła usta.

- Kiedy to się stało... - dodałem. - Czy byłaś tam, kiedy Miles zginął?

W jej oczach ponownie dojrzałem, jak walczy sama ze sobą.

- Proszę - błagałem. - Mama nie chce... nie potrafi o tym mówić. A ja muszę znać prawdę.

Mickey opowiedziała mi o tym, co się wydarzyło, jak widziała Milesa, gdy szła aleją, wysiadłszy ze szkolnego autobusu, jak słyszała go kłócącego się z mamą, jak przyjechała policja, a także o tym, co stało się później w alei, gdy Miles próbował prześlizgnąć się koło policyjnego radiowozu i uderzył w drzewo.

- Myślisz, że umarł tak szybko, jak mówią? - spytałem. Papieros zadrżał w jej ustach, gdy ponownie się zaciągała.

- Przestań, Fred - poprosiła, zgasiła niedopałek, zabrała mojego papierosa i zrobiła z nim to samo. Objęła mnie ramionami.

- Strasznie mi przykro, że tak się stało. Przykro mi, że Miles nie żyje i że jesteś z tego powodu taki nieszczęśliwy.

Popatrzyłem na moje splecione dłonie i przypomniałem sobie, że właśnie w ten sposób trzymała ręce mama, dzień po dniu, gdy w Szkocji czekaliśmy na nowe wiadomości.

- Nie jestem nieszczęśliwy - zacząłem mówić, ale głos mi zadrżał. Spróbowałem jeszcze raz, mając nadzieję, że opowiedzenie o tym pozwoli mi się oczyścić. - Takie rzeczy się zdarzają. Potrafię sobie z tym poradzić. Nie musisz się martwić...

Ale kłamałem. Nie umiałem dać sobie rady z tym, co się stało. Ponownie zacząłem płakać i poczułem, jak Mickey gładzi mnie po włosach. Tym razem jednak moje łzy różniły się od tych, które spływały mi po policzkach przy wjeździe do szkoły. Tak jak wyciekająca z rany krew były bezbolesne i sygnalizowały jedynie głębokość szramy.

- Uda nam się - obiecała z mocą Mickey. - Razem uda nam się przez to przejść.

Stopniowo ustąpiły nudności, które czułem w środku, i zebrałem się w sobie na tyle, że znowu mogłem mówić.

- Miles przyjechał, by się ze mną spotkać - rzekłem.

- Przyjechał tutaj... by mi powiedzieć, że dzieje się coś niedobrego. Nie wysłuchałem go. Odrzuciłem...

- Nie miałeś pojęcia, co się wydarzy - dotarł do mnie uspokajający głos Mickey. - Nikt nie miał.

Potrząsnąłem głową i odsunąłem się od niej.

- Miles miał - oświadczyłem. - Zdawał sobie sprawę, że ma kłopoty. Wiedział, że przyjadą go szukać. Że ktoś był... że ktoś może... Powinienem był go wysłuchać. Powinienem być przy nim, kiedy mnie potrzebował. Oczy Mickey wydawały się ogromne.

- Nie - odparła stanowczo. - Nie mogłeś nic zrobić, by temu zapobiec.

Moja świadomość wyłowiła kolejną obawę.

- Czy myślisz, że... - zacząłem. - To, co gazety pisały, że zrobił... Czy myślisz, że to prawda?

Po jej policzku spłynęła łza i skapnęła na bluzę.

- Czy myślisz, że on... że Miles mógł... ?

W oczach Mickey tańczyło światło. Widziałem, że jest przestraszona.

Powietrze w kapliczce aż kłuło swoją nieruchomością. Wziąłem głęboki wdech, po czym powoli wypuściłem powietrze. Mickey nie potrafiła udzielić mi żadnej odpowiedzi. Nikt nie potrafił. Potarłem dłońmi twarz.

- Nie mówmy już o tym - poprosiłem. Położyła mi dłonie na ramionach.

- Ale skoro...

- Nie.

Byłem zdecydowany. Wziąłem do ręki moją puszkę piwa i opróżniłem ją do końca. Zamknąłem oczy i wycisnąłem pozostające w nich łzy, po czym wytarłem je z policzków wierzchem dłoni. Pozwoliłem, by na mojej twarzy pojawił się krzywy uśmiech.

- Katharsis... - rzekłem. - Uczyłem się o tym na angielskim. To oznacza...

- Wiem - przerwała Mickey. - To oznacza to, co teraz robimy. I zanim to powiesz, muszę przyznać, że masz rację: to dobre dla ciebie... dla nas...

Popatrzyłem na jej twarz, posągową, połyskującą w blasku świec. Gdy tylko się pojawiła, Miles zniknął gdzieś w ciemności, tak jakby jej radość i świeżość odepchnęły go stąd.

- To, co mówiłaś... - spytałem. - ... przez telefon. Czy to prawda?

Skinęła głową.

- Tak - odparła poważnie.

Przełknąłem ślinę, szukając w jej twarzy choćby cienia wątpliwości, ale niczego takiego nie znalazłem. Jej oczy błyszczały w świetle świec. Przypominały mi... starałem się odsunąć od siebie ten widok, ale bezskutecznie. Przypominały mi oczy Milesa, gdy podczas odwiedzin miesiąc temu szukał w głowie właściwych słów, by opisać to, co czuł. Dopiero teraz zrozumiałem, co takiego w nich połyskiwało: miłość. I właśnie miłość widziałem teraz w oczach Mickey, uczucie, którego Miles nigdy nie umiał wyrazić, ja natomiast byłem teraz przekonany, że potrafię to zrobić.

- Kocham cię - rzekłem do niej.

Nigdy nikomu tego nie powiedziałem, ale teraz bez trudu wydostało się to z moich ust. Przecież były to w końcu jedynie słowa, a głębia uczuć, którą w sobie zawierały, od miesięcy spoczywała ukryta głęboko w moim wnętrzu. Wypowiedzenie ich głośno stanowiło najbardziej naturalną rzecz na świecie, ponieważ tak właśnie czułem. Mickey żyła we mnie. Byliśmy złączeni ze sobą. Pragnąłem, abyśmy istnieli już zawsze. Marzyłem, że nigdy nie rozpadniemy się na dwie części, i nie miałem najmniejszego zamiaru ponownie się z nią rozstawać.

- Chodź do mnie - rzekła, kładąc się na prześcieradłach i wyciągając do mnie ręce.

ROZDZIAŁ ÓSMY

MICKEY

Jest piątkowy wieczór i Joe chce pójść z Tylerem do kina. Tydzień, który upłynął od naszego powrotu z Rushton, był dosyć kłótniwy i uważam, że mój syn w pełni zasługuje na jakąś odskocznnię, ale nie jestem w najlepszym nastroju. Wolałabym także zachować ostrożność wobec Tylera i jego rodziców, Judith i Mike'a. Mieszkają w wielkim domu niedaleko parku i jeżdżą dużym mercedesem. W zasadzie są bardzo miłymi ludźmi, w taki hałaśliwy, nastroszony sposób. Martwię się, ponieważ od kiedy Joe ich poznał, zaczyna kwestionować nasz dotychczasowy styl życia.

Wiem, że to świetnie, iż Joe udziela się towarzysko i że tak dobrze dogaduje się z Tylerem, ale nie jestem przygotowana na to, jak się teraz czuję: a mam wrażenie, jakby ktoś pozbawiał mnie wszelkiej kontroli nad własnym dzieckiem. Kiedy był tylko Joe i ja, wspólnie podejmowaliśmy decyzje i nigdy nie miałam zastrzeżeń do sposobu, w jaki spędza swój wolny czas. A teraz jego horyzonty wydają się poszerzać i zmieniać. W tym tygodniu powodem kłótni stała się kwestia zbliżających się wakacji. Tyler i jego rodzice jadą na pełną uciech wycieczkę do Ameryki, a Joe, co potrafię zrozumieć, jest zazdrosny. Najbardziej boję się tego, że rodzice Tylera z czystej sympatii zaproponują, by Joe pojechał razem z nimi, i będę musiała coś im odpowiedzieć. Nie jestem pewna, czy potrafię podjąć taką rodzicielską decyzję, nie mówiąc już o kosztach tej wyprawy.

Mój stres dodatkowo pogłębia fakt, że mieliśmy okropny tydzień w kwiaciarni. Cały czas padało i zjawilo się bardzo niewielu klientów. Zapłaciłam Lisie i Marge, mojej drugiej pracownicy, udzieliłam też Lisie pożyczki i w rezultacie na moje potrzeby zostało dramatycznie mało.

Joe stoi w kwiaciarni i kopie szkolną torbę, gdy rozmawiamy o jego wypadzie do kina, który pociągnie za sobą konieczność rozmielenia mojego ostatniego banknotu dziesięciofuntowego. To znaczy o tym akurat nie powiedziałam Joe.

- Ale to jest film dozwolony od dwunastu lat - protestuję zamiast tego.

- No to co? - odparowuje Joe.

- To, że ty masz dopiero dziewięć - przypominam mu.

- Mama Tylera nie robi z tego problemu - mówi z rozdrażnieniem.

- Joe, nie obchodzi mnie, co mówi mama Tylera. - Nagle czuję się bardzo zmęczona. -

Martwię się o ciebie, to wszystko.

- Ale widziałem już masę filmów od piętnastu lat, a nawet kawałek takiego od

osiemnastu.

- No cóż, nie chodzi o to - mamroczę, wiedząc, że jest akurat odwrotnie. - To kwestia nadzoru rodzicielskiego.

- A więc nadzoruj mnie rodzicielsko - odpowiada Joe, wpatrując się we mnie oczami jak paciorki.

Wzdycham wyprowadzona z równowagi.

- To naprawdę nie jest nic brzydkiego - ciągnie Joe. Zna mnie wystarczająco dobrze, by dostrzec szczelinę w moim pancerzu i dobrze ten fakt wykorzystać. - To tylko kreskówka i wszyscy w szkole już ją widzieli. Będzie mi naprawdę głupio, kiedy powiem Tylerowi, że nie mogę iść.

Nie dodaje: „przez ciebie”, ale i tak oboje wiemy, co ma na końcu języka. Patrzę na niego i widzę w jego twarzy moje własne, buntownicze spojrzenie. Jakaś część mnie pragnie znaleźć odpowiednie słowa, by wytłumaczyć synowi, że nie chcę, by dorastał, ale to bez sensu. Nie zrozumiałby tego i uznał mnie tylko za okropną, starą zrzędę, gdybym mu powiedziała, że bycie dorosłym nie jest wcale takie przyjemne i że powinien, jeżeli ma choć odrobinę zdrowego rozsądku, trzymać się dzieciństwa tak długo, jak to tylko możliwe. A poza tym okazałabym się wówczas największą hipokrytką na ziemi. Zawsze pragnęłam szybciej dojrzeć, być starsza, niż wskazywała metryka, przeciwstawiać się wszystkim dotyczącym wieku zakazom ustalonym przez rządy i rodziców, a więc nie mogłam nakazać mu być innym. A poza tym sądzę, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o wiek, ale o dojrzałość, a skoro Joe jest na tyle dojrzały, by odpowiednio mnie podejść, to prawdopodobnie jego psychika da sobie radę z filmem dozwolonym od lat dwunastu i nie zostanie spaczona na resztę życia.

- No dobrze, już dobrze, możesz iść - zgadzam się wreszcie. - Ale nie spodziewaj się z mojej strony zrozumienia i współczucia, kiedy cię nie wpuszczą.

- Nie martw się o to - uśmiecha się Joe. - Mama Tylera już zaklepała bilety.

Patrzę, jak przerzuca torbę przez ramię i idzie na górę do mieszkania. Kiedy znika z zasięgu mojego wzroku, pocieram dłońmi twarz i staram się zapanować nad wszechogarniającą frustracją.

Chwilę później w drzwiach pojawia się Lisa i strzepuje krople z parasolki.

Oddyham głęboko i staram się do niej uśmiechnąć.

- I co słyhać? - pytam. Idzie dziś wieczorem na randkę i pozwoliłam jej w związku z tym wyskoczyć na godzinkę na zakupy.

- Już się nie mogę doczekać - zwierza się, a jej oczy błyszczą z podekscytowania. - Mam zamiar rozłożyć go na łopatki, nawet jeżeli to tylko takie moje gadanie.

Ten szczęśliwy dżentelmen ma na imię Spike i pracuje w sklepie z płytami reggae na końcu ulicy. Już od jakiegoś czasu ma na Lisę oko, ale do tej pory zachowywał się tak luzacko, iż ona w ogóle nie połąpała się, że ich przypadkowe spotkania nie były wcale cudownymi zbiegami okoliczności, jak się jej wydawało. Dzisiejsza randka ma się odbyć w klubie reggae i ten fakt doprowadzał Lisę do szału w związku ze znalezieniem właściwego image'u. Rzuciłam w przestrzeń, że ona wyglądałaby dobrze nawet w worku, ale Lisa się nie zgodziła.

Podchodzi teraz do mnie i otwiera dużą reklamówkę.

- Popatrz - mówi, wyciągając z niej parę czarnych spodni. Gdy przykłada je do siebie, loczki fruwią dokoła jej twarzy.

- Fantastyczne - przyznaję.

- No i jeszcze to - kontynuuje, wyciągając z torby obcisły top, i przytrzymuje go brodą, bym mogła zobaczyć efekt. - Zdecydowanie za drogi, ale raz się żyje.

- Świetnie wyglądasz - mówię, uśmiechając się zachęcająco i usiłując nie myśleć o tym, jak została wydana moja pożyczka.

Lisa składa starannie swoje nowe ciuchy i pakuje je z powrotem do torby.

- Jakies plany na wieczór? - pyta.

- Joe idzie do kina, więc ja pewnie przygotuję sobie długą kąpiel albo coś w tym rodzaju.

- Użyj kilku kropel mojego olejku różanego. Czyni cuda.

- Dzięki.

Następuje chwila ciszy, podczas której Lisa bacznie mnie obserwuje.

- Czy wszystko w porządku? - pyta wreszcie. Wzruszam ze znużeniem ramionami.

- Jestem po prostu zmęczona.

Kiwa głową i ze współczuciem przechyla ją na bok.

- Ani słowa? - pyta miękko.

W niedzielę późnym wieczorem, kiedy ja i Joe wróciliśmy do domu, przedstawiłam Lisie odpowiednio spreparowaną relację z wizyty Freda w Rushton. Stwierdziła, że Fred na pewno skontaktuje się ze mną w nadchodzącym tygodniu, uścisnęła mnie uspokajająco i poradziła, bym nie traciła wiary. Ja jednak poczułam się zirytowana i zakończyłam naszą rozmowę. Byłam zbyt zdezorientowana, by wyznać jej, co naprawdę czuję, i uwierzyć jej zapewnieniom. Tak dużo jej nie opowiedziałam, przemilczałam zbyt wiele faktów z przeszłości, która zazębia się z rzeczywistością, więc wdawanie się w dalsze szczegóły było bezcelowe.

W rezultacie w tygodniu prawie nie podejmowałyśmy tego tematu, ale czułam, że Lisa bacznie mnie obserwuje, właściwie wyczuwając, że liczę dni, które pozostały do ślubu Freda.

Potrząsam głową.

- Nie, ale myślę, że to tylko zmęczenie. Lisa dotyka mego ramienia.

- Przykro mi - mówi, a ja wiem, że naprawdę tak myśli.

- Niepotrzebnie. Dobrze się czuję, naprawdę - kłamię. Podchodzę do drzwi, nie ufając własnej odwadze. - Idź na górę i przygotuj się. Ja tu zostanę do zamknięcia.

Kiedy znika na schodach, opieram się na chwilę o drzwi i patrzę na zatrzymujący się na pobliskim przystanku autobus. Drzwi otwierają się z sykiem i obserwuję wsiadających ludzi. Mam wrażenie, jakby cały świat był w ciągłym ruchu. Jedyne ja pozostaję w miejscu.

Nie mogę znieść myśli, że Fred może być tu gdzieś niedaleko. Czuję się przez to jak w pułapce. On jest tutaj, za szybą każdego przejeżdżającego samochodu, w każdym sklepie, w słuchawce mego telefonu. Nie zdając sobie z tego sprawy, pozwoliłam, by ponowne pojawienie się Freda w moim życiu doprowadziło do tego, że teraz nasze drogi stały się dla mnie nierozzerwalne. Czuję się tak, jakby owijał się wokół wszystkiego, co jest dla mnie ważne, i wrywał mnie z bezpiecznego świata, który z takim mozołem sobie zbudowałam. Obserwuję zmęczone twarze pasażerów autobusu i czuję ciężar ich wyczerpania.

Zamykam na chwilę oczy i przypominam sobie rozmowę, którą przeprowadziłam z Fredem w Rushton. Przeżywałam ją na nowo przez cały tydzień, próbując odnaleźć w sobie choć część tej stanowczości, z jaką oświadczyłam Fredowi, że już więcej nie mogę się z nim spotkać. Miałam rację. Wiem, że miałam rację, ale świadomość tego nie sprawia, bym czuła się choć odrobinę lepiej. Może powinnam była przespać się z nim i mieć to już z głowy. Może gdybyśmy wreszcie się kochali, czułabym się teraz lepiej. Może dzięki temu zakończylibyśmy stare dzieje we właściwy sposób.

Wiem, że starałam się wtedy chronić siebie i Joe, ale teraz nie widzę żadnej korzyści płynącej z mojej odwagi. Przedstawiłam Fredowi wszystkie argumenty przeciwko naszemu ewentualnemu związkowi i ani jednego za. Usunęłam się na bok i zamiast być silna, całą swoją moc przekazałam Fredowi. Od chwili, gdy obudziłam się w niedzielę, zeszałam na dół i znalazłam na sofie złożone koce i ani śladu Freda, czułam w środku okropną pustkę, jakby jakaś część mnie została mi odebrana.

To moja wina. Jemu pozostawiłam podjęcie decyzji i bez względu na to, co mówiłam, oczekiwałam, że się pojawi albo przynajmniej zadzwoni. A tu nic. Odepchnęłam go od siebie i zniknął. To przecież jasne. Za mniej niż dwadzieścia cztery godziny poślubi Rebeccę, która - jak zauważyłam głośno (i głupio) - bardzo go kocha i uczyni go szczęśliwym. I to by było

wszystko. Biorę głęboki wdech, odwracam kartonik z napisem „Otwarte” na drugą stronę i zaciągam żaluzje. Gdy kończę sprzątać kwaciarnię i wchodzę na górę, Joe jest już gotowy do wyjścia.

Przebrał się w T - shirt, który wygrał na imprezie promocyjnej firmy Freda. Jest już przepecony, ale nie znajduję w sobie energii, by kłócić się jeszcze i o to. Stoi w kuchni i kroi banana scyzorykiem, który dostał od Freda.

- Czy Fred mógłby do nas jutro przyjść? - pyta.

- Nie, kochanie. - Wzdycham. - Jest zajęty.

- Moglibyśmy do niego zadzwonić - proponuje z nadzieją Joe. - I zaprosić na wspólne puszczenie latawca.

Odwracam się twarzą do Joe, zaskoczona jego gruboskórnością.

- Nie sądzę, byśmy jeszcze widywali się z Fredem - mówię ostrożnie. - Wiesz przecież, że jutro się żeni?

Joe marszczy czoło.

- Z tamtą kobietą? Przytakuję.

- Ona jest okropna. - Marszczy nos.

- No cóż, Joe, my tego nie wiemy - stwierdzam rozsądnie.

- A to, czy jest okropna czy też nie, nie ma żadnego znaczenia. Fred ją kocha i już.

- Nie rozumiem, jak...

- Koniec dyskusji - oświadczam trzęsącym się głosem.

- Chodzi o to, że Fred będzie miał teraz nowe życie. I w tym życiu zabraknie miejsca dla nas.

- Aha. - Joe wygląda na przygnębionego, gdy wreszcie dociera do niego prawda.

Odkłada scyzoryk i mam wrażenie, że cały się skurczył, gdy wciska ręce w kieszenie, a ja przez chwilę nienawidzę Freda. Nienawidzę go za pojawienie się w naszym życiu i ponowne zniknięcie. Nienawidzę go za to, że czuję się jak idiotka. I nienawidzę go za to, że zawiódł Joe. Przez cały czas wiedziałam, że jest niebezpieczny, jednak jeszcze raz w to wszystko brnęłam, topiąc się w tych samych uczuciach, tyle że za drugim razem wszystko jest o wiele, wiele bardziej bolesne. No i tym razem jestem odpowiedzialna nie tylko za siebie, ale i za mojego syna.

Odwracam się w stronę zlewu i unoszę głowę tak, by z oczu nie płynęły łzy. Joe nie rozumie tej aluzji. Słyszę, jak podchodzi do mnie.

- Mamo? - pyta. - Czy ty kiedyś wyjdiesz jeszcze raz za mąż?

Odwracam się do niego i staram się uśmiechnąć.

- A co to za niemądre pytanie. - Mydlę mu oczy, ale Joe tak łatwo nie daje się zbyć.

- Tak czy nie?

- No cóż, nikt mi się nie oświadczył, Joe. Nie możesz tak po prostu postanowić, że wychodzisz za męża. Najpierw musisz znaleźć kogoś odpowiedniego.

- Ale powiedzmy, że znajdziesz kogoś. Kogoś takiego jak Fred...

Z trudem przełykam ślinę.

- Nie wiem. To zmieniliby wszystko. To znaczy, dobrze nam tak jak jest, prawda?

Ku mojemu zdziwieniu Joe uśmiecha się do mnie ze zrozumieniem i staje się jasne, że nie ma sensu kryć przed nim moich uczuć. Podchodzi do mnie, wyglądając tak pewnie i mądrze, że czuję, jak się kurczę, jakbym to ja była dzieckiem, a on dorosłym.

- Wiesz, nie miałbym nic przeciwko temu - mówi, ściskając mnie mocno. Całuję go w czubek głowy, gdy opiera policzek o mój sweter. - Pragnę tylko, żebyś była szczęśliwa, mamó. To wszystko.

Chcę mu odpowiedzieć, że jestem, ale nie mogę z powodu spływających na jego włosy łez.

Czułam się tak, jakby moje serce miało zaraz eksplodować. Nie obchodziło mnie to, że jest zimno, wokół pełno kurzu, a my leżymy na twardej podłodze, przykrytej jedynie prześcieradłami. Jeżeli chodzi o mnie, było to najwspanialsze miejsce na świecie, a my dryfowaliśmy na miękkim, puchowym materacu. Gdy Fred delikatnie ułożył się na mnie, a ja objęłam ramionami jego szyję, poczułam wszechogarniającą ulgę i na chwilę zamknęłam oczy, delektując się tym poczuciem bezpieczeństwa, które dawał mi uścisk kogoś, kto znaczył dla mnie więcej niż wszystko inne na świecie. Wreszcie byłam z nim i tylko to się liczyło.

Tak wiele czasu spędziłam, wyobrażając sobie tę chwilę, ale teraz, kiedy już nadeszła, w niczym nie przypominała moich wcześniejszych wyobrażeń. Bałam się, że mój plan spotkania z Fredem nie wypali i zostanę złapana w drodze z Rushton, że Pippa nie zapewni mi wystarczającego alibi, albo że Fred nie będzie się mógł wyrwać, by się ze mną zobaczyć.

Myślałam też, jak to będzie, kiedy już się spotkamy. Martwiłam się, że nie będę wiedziała, co powiedzieć, ponieważ nigdy nie rozmawiałam z kimś, kto stracił ojca. W najgorszych momentach obawiałam się, że Fred będzie odległy i zimny, że może wyrósł już ze mnie, albo że po prostu zamknie się w sobie i nie będzie potrzebował mojej bliskości. Ale teraz wszystkie moje lęki wydawały się absurdalne i opadło całe napięcie, które czułam podczas ostatnich kilku tygodni.

Odchodziłam od zmysłów, zamartwiając się o Freda. Jedyne, czego pragnęłam się dowiedzieć, to gdzie on jest. Zgadłam, że Louisa prawdopodobnie będzie chciała wysłać go z

powrotem do szkoły i musiałam mieć pewność, że wszystko z nim w porządku. Wobec braku kontaktu z Fredem, śmierć jego ojca wydawała się tysiąc razy straszniejsza. Każde moje uczucie było pomnożone przez dwa, tak jakbym przeżywała szok, gniew i strach także za Freda. Podczas jego nieobecności odbierałam każdą uwagę ludzi w szkole i wściekłość moich rodziców jak silny cios, tak jakby Miles był moim ojcem i wszystko to było skierowane bezpośrednio przeciwko mnie. Kiedy już o tym porozmawialiśmy, miałam wrażenie, jakbym spadła z liny, na której się huśtałam, i wylądowała na bezpiecznym materacu. Nie uczyniło to wszystkiego normalnym, ale przynajmniej kiedy opowiedziałam Fredowi o tym, co się wydarzyło, fakty - jakkolwiek przerażające - straciły nieco ze swej potworności.

Pogłoski, że Miles jest mordercą, sprawiły, iż życie w domu stało się nie do zniesienia. Wydawało się bez znaczenia to, że prawie pod naszymi drzwiami ktoś w przerażający sposób stracił życie. Wszyscy ludzie interesowali się tylko znalezionym w Clanie ciałem. Aby jakoś pogodzić się z tym, że się znało i mieszkało w sąsiedztwie kogoś, kto mógł popełnić coś tak strasznego jak morderstwo, domniemana zbrodnia Milesa stała się bardziej brutalna, niż opisały ją gazety, a jego ofiara, człowiek zupełnie tutaj nieznanym, nabrał nagle bardziej wyrazistych cech, niż mógł posiadać w rzeczywistości.

Najbardziej nienawidziłam sposobu, w jaki wszyscy używali śmierci Milesa jako okazji do podbudowywania własnego ego, do udowadniania, jak w porównaniu z nim są dobrzy, uczciwi i prawdomówni. Scott powiedział mi, że w Gordon Arms ludzie unikają krzesła, na którym zwykł siadać Miles. Rozmawiali szeptem, wspominając, że mieli przecucia co do jego gwałtownego, niekontrolowanego sposobu zachowania. Zamiast pamiętać o jego dobrych cechach i o tym, że - jakkolwiek sporadycznie - był członkiem naszej społeczności, wszyscy postanowili wspominać go jako wyrzutka, złego ducha, który razem ze swoim lśniącym samochodem i modnymi ubraniami nigdy tutaj nie pasował. Nawet udział Louisy w spotkaniach towarzystw religijnych był teraz odbierany jako zabobonny plan mający na celu gromadzenie niebiańskich punktów, aby próbować chronić siebie przed mężem tyranem.

Bardzo żałowałam Milesa, ale wyglądało na to, że byłam jedyną osobą na całym świecie, która opłakiwała jego śmierć. Na własne oczy widziałam, jak bardzo się bał i jak prawie udało mu się przechytryć policję. Niczego mocniej nie pragnęłam niż tego, by wrócił, wyznał całą prawdę i kazał pójść mieszkańcom Rushton do wszystkich diabłów. Kawałki policyjnej taśmy wciąż powiewały wokół częściowo spalonego dębu w dole alei, gdzie rozbił się Miles, i za każdym razem, kiedy tamtędy przechodziłam, zbierało mi się na płacz. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo, kto już nie żyje, i w snach prześladował mnie obraz porsche

zgniatającego się jak puszka na potężnym drzewie. W moich nozdrzach ciągle wydawał się obecny smród spalenizny i przez cały czas czułam się podminowana. Każdego ranka budziłam się w panice, że lada moment może uciec ze mnie życie, jeżeli tylko nie będę wystarczająco czujna.

Nie wiedziałam, czy Louisa czuje wstyd, który zdaniem jej dawnych sąsiadów powinna odczuwać. Zobaczyłam za to, że sąsiedni budynek został wystawiony na sprzedaż. Miejsce, które kiedyś było moim drugim domem, wyludniło się i zaczęła je otaczać upiorna aura. Dzieci ze wsi opowiadały teraz o nim mrożące krew w żyłach historie i robiły zakłady, które z nich ośmieli się podbiec do okien. Kilka dni temu po przebudzeniu odkryłam, że ktoś namalował sprayem słowo „morderca” na ścianach werandy, i poczułam wściekłość, tak jakbym sama została wytatuowana we śnie.

- Ale najgorsze dla mnie było to, że po śmierci Milesa nigdy nie wspomniano o Fredzie. Nie pasował do skandalicznej sagi o swym ojcu. Został odsunięty na bok, jakby nigdy nie był częścią jego życia.

A na dodatek w ciągu jednej nocy mój związek z Fredem jakby przestał istnieć. Rodzice, którzy i tak nigdy nie przyjęli do wiadomości uczuć, jakie żywiłam wobec Freda, teraz kategorycznie zaprzeczyli, że one kiedykolwiek istniały. Nawet w szkole Fred i ja - „my”, którymi wcześniej wszyscy tak się interesowali - zostaliśmy wymazani przez „nich”, tych skandali stów Roperów.

Dlatego właśnie od chwili, gdy zobaczyłam, jak umiera Miles, czułam potrzebę pokazania Fredowi, że nadal go kocham. Musiałam mu powiedzieć, że ja go nie osądzam, że dla mnie jest nadal moim Fredem, bez względu na to, co się wydarzyło. Ale nade wszystko pragnęłam kontaktu fizycznego. Czułam się go tak spragniona, tak bardzo potrzebowałam przytulenia, że teraz, kiedy leżeliśmy na ziemi, byłam nienasycona.

Twarz Freda zamigotała w ciemnościach.

- Nie przygniatał cię? - wyszeptał, unosząc się na łokciu.

- Nie - odszepnęłam, oplatając go nogami najmocniej, jak potrafiłam. - Pragnę całego ciebie.

- Ja ciebie także - wymruczał.

Uniosłam się lekko i ujęłam w dłonie twarz Freda, tak że jego nos prawie dotykał mojego.

- Fred... chcę to zrobić...

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.

- Jesteś pewna? To znaczy, nie chcesz poczekać? Odsunęłam się od niego, by lepiej

widzieć jego twarz, przestraszona, że on może nie podzielać moich uczuć.

- Zaczekać do kiedy? - zapytałam. Fred popatrzył mi głęboko w oczy.

- Och, Mickey - westchnął. - Wszystkie nasze plany...

- To nie ma znaczenia. Nic się nie liczy. Tylko to, co jest teraz - wyszeptalam, wtulając twarz w jego szyję i wdychając zapach jego skóry. - Nie chcę już dłużej czekać. A ty?

- Oczywiście, że nie. Boże, Mickey... - odparł, obejmując mnie jeszcze mocniej. Zamknęłam oczy, czując, jak moje ciało dopasowuje się do jego, gdy znowu zaczęliśmy się całować.

Uniosłam w górę jego bluzę i przekręciliśmy się na bok, a Fred z uśmiechem zdjął ją całkowicie.

- Mamy na sobie zbyt wiele ciuchów - rzekł bez tchu.

- Wiem - zachichotałam. - Zobaczysz, że pierwsza się ich pozbędę.

Z zapamiętaniem uklękliśmy i zaczęliśmy się rozbierać, odrzucając ubrania na bok. Czułam na skórze chłodne powietrze, ale w środku cała płonęłam. Nadzy, uklękliśmy naprzeciwko siebie.

Twarcz Freda w blasku świec wydawała się idealnie gładka, a jego skóra blada, prawie przezroczysta.

- Spójrz tylko na siebie... - westchnął i wyciągnął dłoń, by dotknąć mojej piersi.

Nie mogłam uwierzyć w to, jak niesamowicie wygląda nago. Znałam jego ciało od zawsze, ale teraz czułam się tak, jakbym po raz pierwszy dojrzała w nim mężczyznę. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam twardych mięśni jego ramienia, pozwalając jednocześnie mojemu wzrokowi wędrować po gładkiej skórze jego nagiego brzucha.

Nie odczuwałam żadnego zakłopotania, którego wcześniej się obawiałam. Czułam się natomiast tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na całej planecie i jakby tego, co właśnie robimy, nie dokonał przed nami jeszcze nikt. Klęcząc przed Fredem, mając nad głową anioły, uważałam się za niesamowicie romantyczną i nieprzepracowaną pierwowotną. W niczym nie przypominało to szkolnych opowieści. Okazało się czymś zupełnie innym od moich wyobrażeń, jak to będzie, kiedy już znajdziemy się we Francji we wspólnym śpiworze.

- Jesteś wspaniały - wyszeptalam. - Och, Fred, Fred. Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Uciszył mnie pocałunkiem, a nasze ciała zetknęły się ze sobą. Całowaliśmy nawzajem swoją skórę, a dłońmi poznawaliśmy nasze nagie ciała, najpierw niepewnie, a potem z coraz większą śmiałością. Fred zamknął mnie w swoich ramionach i ułożył na prześcieradłach, po czym okrył pocałunkami każdy skrawek mego ciała. Wygięłam się w łuk, a palcami

przeczesałam jego włosy.

- Jesteś piękna, Mickey - wymruczał pomiędzy pocałunkami.

Wreszcie przyciągnęłam go do siebie i popatrzyliśmy sobie w oczy. Moje serce waliło tak mocno, jak nigdy wcześniej.

- Czy kiedy nadejdzie ranek, nadal będziesz mnie kochał, Fredzie Roperze? - zapytałam z uśmiechem.

- Będę cię kochał, gdy nadejdzie ranek i każdego ranka aż do końca życia. Bez względu na to, co się stanie, zawsze będę twój, Mickey, przysięgam ci to.

Wtedy poczułam, jak na mnie napiera, a po chwili znalazł się we mnie.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię - szlochałam, całując jego twarz.

- Jesteś doskonała - jęknął. - Och, Mickey...

- Roper!

Gruby, męski głos rozerwał ciszę niczym pocisk armatni. Ze skowytem szarpnęłam głową, chroniąc twarz przed bezlitosnym światłem i zastygając w bezruchu niczym skazaniec na więziennym ogrodzeniu. Czułam, jak Fred się ode mnie odrywa, gdy w panice chwycił zakurzone prześcieradła i naciągnął je na nasze nagie ciała.

- Mówiłem panu - usłyszałam jeszcze jeden głos, a po chwili śmiech.

- Clarkson - jęknął Fred.

Spojrzałam z ukosa ponad brzegiem prześcieradła i dojrzałam chłopaka z długą, ciemną grzywką, który ze skrzyżowanymi na piersiach rękami opierał się o drzwi.

- Wystarczy, Phillip - oświadczył starszy mężczyzna i klepnął Clarksona w ramię. Ten wskazał palcem na Freda, a na jego twarzy widniał sarkastyczny uśmiech, po czym oderwał się od futryny i odsunął na bok, odgarniając z czoła grzywkę.

Zwinęłam się w kulkę, gdy starszy mężczyzna ponownie się odezwał.

- Doprowadź się do przyzwoitości, Roper - nakazał Fredowi. - Chcę widzieć ciebie i twoją... przyjaciółkę... na zewnątrz. Natychmiast.

Trzasnęły za nim drzwi, a przeciąg zdmuchnął nasze świeczki. Na twarzy Freda widać było udrękę. Ukląkł i przeczesał dłonią włosy.

- O Boże.

Usiadłam i poszukałam ubrań. Czułam, jak całe moje ciało cierpi z upokorzenia, i zaczęłam szczękać zębami.

- Och, Mickey - rzekł Fred z rozpaczą w głosie. - Tak mi przykro. Tak mi cholernie przykro.

- Czy jest tutaj jakieś inne wyjście? - spytałam szaleńczo, wciągając pospiesznie

rybaczki. - Na pewno...

- Nie. To są jedyne drzwi. Jesteśmy w pułapce. Patrzyłam na niego, gdy się ubieraliśmy, zagryzając wargi i czując, jak atmosfera intymności, która otaczała nas zaledwie kilka chwil temu, rozwiała się w chmurach otaczającego nas zewsząd kurzu. Trzęsły mi się kolana, gdy wkładałam trampki. Moje ciało ciągle było w szoku. Nie mówiąc ani słowa, przyglądałam się, jak Fred z wściekłością przydeptuje świeczki. Podał mi dłoń i pomógł się podnieść. Stał przez chwilę i ścisnął w ciemności moją dłoń, ale żadne z nas nie potrafiło przywołać właściwych słów. Zamknęłam oczy, pragnąc, byśmy znaleźli się zupełnie gdzie indziej, ale było za późno.

Drzwi ponownie się otworzyły, a pomieszczenie wypełniło zimne światło latarki.

- Chodźcie. Miejmy to już za sobą - zarządził starszy mężczyzna, który najwyraźniej był jednym z nauczycieli. Potykając się, ruszyłam za Fredem w sterylnym świetle, które prowadziło do drzwi i naszego przeznaczenia.

Droga powrotna była koszmarem. Kierownik internatu, który przedstawił mi się jako pan Pearce, zaparkował auto tuż przy bramie wjazdowej. Tam czekał jeszcze jeden nauczyciel. Fredowi kazano wsiąść do jego samochodu, a ja musiałam zostać na tylnym siedzeniu wozu pana Pearce'a razem z Clarksonem. Gdy jechaliśmy żwirową drogą do internatu, odsunęłam się od niego w najdalszy kąt auta, czując na sobie jego świdrujące spojrzenie.

Szkoła okazała się znacznie większa, niż to sobie wcześniej wyobrażałam. Wyglądała strasznie ciemno i ponuro. Duży zegar na wieży nad okazałym wejściem wskazywał północ, gdy dwa samochody zatrzymały się na podjeździe.

Pan Pearce wysiadł i otworzył mi drzwi, ale ja siedziałam sztywno, bojąc się poruszyć.

- Chodź - rzekł.

Nie patrząc na niego, wysiadłam na żwirowany podjazd. Słyszałam, jak zatrzymuje się drugi samochód. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że wysiada z niego Fred. Nasze spojrzenia skrzyżowały się, ale nie mogliśmy wydobyć z siebie głosu, gdy zbliżał się w moją stronę.

- Pójdziemy do mnie, Jeny - rzucił pan Pearce do drugiego mężczyzny, który skinął głową.

Clarkson zatrzasnął za sobą drzwi i obszedł dookoła samochód pana Pearce'a, gdy Fred i ten drugi nauczyciel podchodzili do nas.

- Jestem pod wrażeniem, Roper - rzekł do Freda, po czym zagwizdał. - Niezła...

Fred wydał z siebie gardłowy ryk i rzucił się z pięściami na Clarksona.

- Spoko, mały - zaśmiał się Clarkson, schodząc mu z drogi i naśladując Freda, którego

odciągnął drugi nauczyciel.

- Zabiję cię - warknął Fred, a nauczyciel trzymał go za bluzę.

- Chciałbym to zobaczyć - naigrawał się Clarkson. - Myślałem, że to, co przytrafiło się twojemu ojcu, wybiję ci z głowy takie rzeczy.

- Wystarczy - nakazał Clarksonowi pan Pearce. - Na dziś to wszystko. A teraz idź do swojego pokoju.

Clarkson uśmiechnął się i mrugnął do mnie, po czym odszedł w stronę wejścia do dużego budynku, wpychając ręce do kieszeni i beztrudnie sobie pogwizdując. Dostrzegłam, że Fred trzęsie się, widząc, jak tamten odchodzi, i poczułam, że moje tętno przyspiesza. Miałam ochotę zetrzeć Clarksona w proch.

- Chodźmy i rozwiążmy ten problem - rzekł pan Pearce, kiwając głową do drugiego nauczyciela, który stał tuż przy Fredzie. Przez chwilę rozważałam ucieczkę i wiedziałam, że Fred podążyłby za mną, ale pan Pearce najwyraźniej czytał w moich myślach i skierował mnie w stronę drzwi.

Desperacko obejrzałam się przez ramię na Freda, starając się powstrzymać łzy.

Weszłam za panem Pearce'em do ciepłego, wyłożonego boazerią korytarza. Stał tam drewniany wieszak z płaszczami i parasolkami oraz kilka par butów. Śpiący na dywaniku koło schodów labrador leniwie podniósł głowę.

- Proszę tędy... - rzekł stanowczo pan Pearce i chwycił mój łokieć, kierując mnie w stronę drzwi po lewej stronie. Otworzył je i znalazłam się w niewielkim gabinecie.

- Ale... - zaczęłam, gdy zorientowałam się, że Fred nie idzie za nami.

Pan Pearce kiwnął głową w stronę drugiego nauczyciela, który powiódł Freda schodami na górę, a zanim zdążyłam cokolwiek dodać, pan Pearce wszedł za mną do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Był wysoki, miał gęstą, ciemną brodę i czujne, niebieskie oczy. Był młodszy, niż wcześniej sądziłam, przypuszczalnie młodszy nawet od moich rodziców.

- Możesz usiąść - rzekł, wchodząc za duże, obite skórą biurko.

Stałam buntowniczo w jednym miejscu i rozglądałam się po gabinecie. Większą część jednej ściany zajmowały oprawione w ramki zdjęcia szkolnych drużyn sportowych, a pozostałe dwie od podłogi do sufitu zakrywały szafki z książkami. Na dużym biurku stała szklana, zielona lampka, którą włączył pan Pearce.

- Gdzie poszedł Fred? Chcę zobaczyć się z Fredem - zażądałam, starając się powstrzymać drżenie brody i patrząc na niego zmrużonymi oczami.

- Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę - odparł i rzucił klucze na biurko.

- Pan mnie nie może powstrzymać - podniosłam głos. Pan Pearce wziął głęboki

wdech, po czym spojrzał na mnie z powagą.

- Obawiam się, że mogę - odpowiedział, a ja poczułam, jak rodzi się we mnie wściekłość.

- Nie! - krzyknęłam i odwróciłam się do drzwi.

W ułamku sekundy pan Pearce znalazł się po drugiej stronie biurka i przytrzymał ręką drzwi. Desperacko naciskałam klamkę.

- Puść mnie! - krzyczałam. - Puść mnie!

Pan Pearce mocniej chwycił drzwi, a ja nie potrafiłam sobie z nimi poradzić. Po mojej twarzy popłynęły gorące łzy wściekłości.

- Proszę... przestań - rzekł, dotykając mojego ramienia. - To nic nie da. - Odwrócił mnie, przytrzymał za ramiona i pochylił się, by popatrzeć mi w twarz. - Po prostu się uspokój, dobrze?

- Ale... co macie zamiar mu zrobić? - zaszlochałam.

Pan Pearce odciągnął mnie od drzwi i posadził na czerwonym, skórzanym krześle.

- Posłuchaj, eee... - rzekł spokojnie, pochylając się do przodu.

- Mickey - mruknęłam, ze złością wycierając rękawem łzy.

- Mickey. No dobrze... Mickey, istnieje tutaj coś takiego jak in loco parentis. Czy wiesz, co to znaczy?

Potrząsnęłam głową.

- To znaczy - ciągnął irytująco spokojnie - że jestem odpowiedzialny za wszystkich mieszkających tutaj chłopców. W internacie znajdują się pod moją opieką. Wedle prawa muszę zachowywać się tak jak ich rodzice, gdyby byli tutaj obecni.

- Fred nie potrzebuje pana. Jest wystarczająco dorosły, by robić to, na co ma ochotę - odwarknęłam.

- Nieprawda. Nie według prawa i nie według zasad panujących w tej szkole.

- A ja uważam, że wasze zasady są głupie - wyrzuciłam z siebie. - Zamykacie tutaj ludzi jak zwierzęta...

- To jest placówka edukacyjna, Mickey, a nie zoo. Nasze zasady mają swój cel. Zostały stworzone dla dobra chłopców.

- Fred nie potrzebuje ochrony.

- Muszę się z tobą tutaj nie zgodzić. Ile masz lat?

- Siedemnaście - skłamałam.

Pan Pearce wyglądał na niewzruszonego i uniósł brwi.

- Będę potrzebował numer telefonu twoich rodziców. Założę się, że nie wiedzą, gdzie

jesteś?

Siedziałam bez słowa, czując się osaczona, a dłonie zacisnęłam w pięści. Nienawidziłam tego człowieka i wszystkiego, co sobą reprezentuje.

- Czy możesz podać mi swój numer telefonu? - zapytał pan Pearce, wracając za biurko i podnosząc słuchawkę.

- Idź pan do diabła - warknęłam. Pan Pearce powoli odłożył słuchawkę.

- Posłuchaj, Mickey - rzekł spokojnie, ignorując moją ostatnią uwagę. - Rozumiem, że jesteś wściekła, a zaistniała sytuacja jest raczej delikatna, ale lepiej już jej nie pogarszajmy. Myślę, że najlepiej będzie, jak zostaniesz tutaj na noc, a twoi rodzice rano przyjadą cię odebrać. - Spojrzał na mnie, ale ja ciągle odmawiałam współpracy. - Jeżeli to sprawi, że poczujesz się lepiej, obiecuję ci, że nie powiem im o... no wiesz o czym. - Zakaszał.

Zagryzłam wargi i popatrzyłam w sufit. Dojrzałam, jak z żarówki zwisa pajęczyna. Byłam zdecydowana w ogóle się nie odezwać, ale pan Pearce nie dał się zbić z tropu.

- Mamy całą noc - rzekł, ponownie podnosząc słuchawkę. - Jeśli wolisz, mogę otrzymać twój numer od mamy Freda.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było wplątanie w to wszystko Louisy. Nie miałam innego wyjścia, jak mu powiedzieć. Obserwowałam, jak wykręca numer. Zgadłam, że odebrał tata i skuliłam się na krześle, gdy pan Pearce z nim rozmawiał.

- Dzień dobry, tu Andrew Pearce z Greenaway College - powiedział, drapiąc się po brodzie. - Bez wątpienia zastanawiał się pan, gdzie jest pańska córka, Mickey?

Popatrzył na mnie.

- Tak, zgadza się... jej przyjaciel Frederick Roper... Wyłączyłam się i bezmyślnie gapiłam w ścianę, a w moich oczach zbierały łzy. Wreszcie pan Pearce odłożył słuchawkę.

- Chodź - rzekł, wstając i odprowadzając mnie do drzwi. - Moja żona się tobą zaopiekuje. Sue? - zawołał, wychodząc na korytarz, a jego głos przybrał jowialne brzmienie, jakby nic się nie stało. Spojrzałam na niego zdumiona: jak może być tak pogodny, przecież przed chwilą zniszczył cały mój świat. W drzwiach koło schodów pojawiła się niska kobieta z kręconymi włosami. Miała na sobie białoróżowy dres i uśmiechała się do mnie, gdy szła w naszą stronę, spokojnie przeganiając psa. - Czy mogłabyś zainstalować Mickey w naszym wolnym pokoju...

Pokój mieścił się na piętrze na tyłach domu. W oknach wisiały plisowane, niebieskie zasłonki, a ściany pokrywała nakrapiana, niebieskofioletowa tapeta. Usiadłam na miękkim łóżku, czując się przeraźliwie samotna. Zdażyłam już sprawdzić okno, ale było zamknięte, a poza tym wiedziałam, że państwo Pearce będą nasłuchiwać każdego mojego kroku. Fred

znajdował się gdzieś po drugiej stronie ściany, może zaledwie kilka metrów ode mnie, ale równie dobrze mógł być w Australii.

Niebieski dywan rozmazywał się w niewyraźną plamę, gdy na kolana skapywały mi łzy. Zaledwie pół godziny temu leżałam nago w ramionach Freda, a wydawało się, jakby minęły już całe wieki, i mimo iż byłam teraz kompletnie ubrana, miałam wrażenie, że jestem bardziej obnażona niż kiedykolwiek. Czułam się też upokorzona z powodu przyłapania na gorącym uczynku. Na pewno śmieszyłoby mnie to, gdyby przytrafiło się komuś innemu. Wyobraziłam sobie, jak Annabel i Pippa wzdychałyby z pełnym zachwytem przerażeniem, gdyby się o tym dowiedziały. Ale mnie wydawało się to tragiczne. Nie mogłam otrząsnąć się ze wstydu, że pan Pearce i ten ohydny Clarkson widzieli nas. To sprawiało, że wszystko wydawało się takie plugawe i brudne. Nieważne, jak mocno starałam się pamiętać o tym, że nasze kochanie się było piękne i niesamowite, wspomnienie tego zostało zniszczone przez innych ludzi, a ja miałam ochotę ich zabić.

Wszystko było idealne. Albo przynajmniej na tyle idealne, na ile pozwalały nam warunki. Ale teraz, kiedy ja i Fred zostaliśmy rozdzieleni, czułam się gorzej niż wtedy, gdy w ogóle nie mogłam się z nim spotkać. Nie potrafiłam znieść myśli o tym, co się z nim teraz dzieje ani jak potwornie musi się czuć. Ja przynajmniej byłam sama. Biedny Fred znalazł się z powrotem w internacie, gdzie wszyscy się o nas dowiedzą.

Nie wiem, jak długo siedziałam na łóżku, ale wreszcie usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju weszła pani Pearce i na stoliku koło łóżka postawiła parujący kubek.

- Przygotowałam ci gorącą czekoladę - rzekła, a ja spod oka zerknęłam na filiżankę, ale nic nie odpowiedziałam. - Mickey? - Pani Pearce położyła dłoń na moim ramieniu i usiadła przy mnie na łóżku. Zatrzeszczały sprężyny. - Dobrze się czujesz? - spytała miękko.

- To niesprawiedliwe - szepnęłam. - Niesprawiedliwe.

- Rano wszystko będzie wyglądało lepiej - odparła. Popatrzyłam na nią, a moje oczy zwężyły się ze wstrętem.

- Nieprawda. Nieprawda. Pani nie rozumie. To nie jest wina Freda...

- Posłuchaj, jeżeli to sprawi, że będziesz się czuć lepiej, to wiedz, że Fred nie zostanie wydalony. I tak opuszcza tę szkołę za dwa tygodnie, tuż po egzaminach. Biedny chłopak, już wystarczająco wiele musiał przejść.

Jej słowa nie przyniosły mi ulgi. Były ostatnimi, jakie pragnęłam usłyszeć, ale coś w jej tonie sprawiło, że stałam się nieco mniej zgorzkniała. Odwróciłam się do niej, mając nadzieję przemówić do jej uczuć.

- Czy mogę się z nim zobaczyć? Tylko na chwilę - błagałam.

- Nie sędę, aby to było możliwe - odrzekła, wyciągając rękę i odsuwając kołdrę. - A już na pewno nie dzisiejszej nocy. Posłuchaj, najlepsze, co możesz w tej chwili zrobić, to spróbować trochę odpocząć. Rano zobaczymy, co się da zrobić.

Niechętnie przechyliłam się do tyłu i podciągnęłam w górę nogi, obejmując kolana.

- Proszę - rzekła pani Pearce, podając mi chusteczkę. Wydmuchnęłam nos.

- Dzięki - mruknęłam.

- Spróbuj teraz zasnąć. Na pewno jesteś bardzo zmęczona.

- Uśmiechnęła się do mnie, a w jej oczach błysnęła sympatia.

- Rankiem wszystko będzie wyglądało inaczej.

Skinęłam bezgłośnie głową. Wstała i wyszła z pokoju, rzucając mi przed zamknięciem drzwi pełne troski spojrzenie. Wtedy skuliłam się i szlochając, starałam się zasnąć.

Rankiem nic nie wyglądało inaczej. Zostałam wyrwana z nierównego snu przez przeszywający dźwięk elektrycznego dzwonka. Usłyszałam jakieś hałasy, więc zwlokłam się z łóżka i rozchyliłam zasłony. Jakies piętnaście minut później odezwał się kolejny dzwonek. Wyrzalam przez okno. Drzwi od głównej części budynku były otwarte i wysypała się przez nie cała grupa chłopców w szkolnych mundurkach, biegnących pospiesznie w deszczu. Oparłam się o parapet, przysunęłam twarz do szyby i wytarłam rękawem parę, mając nadzieję odnaleźć w tłumie twarz Freda. Ale nie było go tam.

Zgodnie z moimi przewidywaniami tata pojawił się wcześniej. Dziwnie było zobaczyć go w szkole Freda. Ubrany w swój najlepszy, najciemniejszy garnitur, wydawał się tutaj nie na miejscu. Ani słowem nie odezwałam się, gdy podziękował państwu Pearce'om i zapewnił ich, że zostanę odpowiednio ukarana. Kiedy szłam z nim do samochodu, czułam, jak ogarnia mnie lodowata obojętność. Nie obejrzałam się za siebie, gdy opuszczaliśmy teren szkoły.

Tata i ja w drodze do Rushton nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa. Siedziałam ze wzrokiem utkwionym w wycieraczkach i obserwowałam, jak przesuwają się tam i z powrotem. Czułam się, jakby mnie biczowano. Nie obchodziło mnie, co zrobią ze mną rodzice. Już otrzymałam najgorszą karę na świecie.

Kiedy dotarliśmy do domu, mama czekała w jadalni i z wściekłością paliła papierosa. Zauważyłam, że popielniczka na stole jest pełna.

- Nie wierzę - zaczęła, potrząsając z furją głową. - Co za upokorzenie. Nie masz pojęcia...

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał tata, wreszcie odzyskując głos. - Dlaczego uciekłaś?

Popatrzyłam na niego zaskoczona, jak mógł mi zadać takie pytanie. Czy mogłam w takim razie sprawić, by zrozumiał, że ja i Fred kochamy się i że spotkanie z nim było jedyną

rzeczą, na której mi zależało?

Mama stała z rękami na biodrach, a jej oczy ciskały błyskawice.

- Odpowiedz ojcu - nakazała.

Zignorowałam ją, zaciskając usta i patrząc na zwisającą nad stołem lampę. Kątem oka dostrzegłam, jak tata spojrział na mamę, i wyczułam zmianę taktyki.

Tata odkasznął.

- Czy Fred? Czy on... no wiesz... dotykał cię? - zapytał. Poczułam, jak coś we mnie pęka. Popatrzyłam na moich rodziców, czując, jak przepelnia mnie nienawiść.

- Uprawialiśmy seks. - Zaśmiałam się szyderczo. - Oczywiście, że mnie dotykał.

Mama wydała z siebie skowyt i odwróciła się.

- Och, Geoffrey! - zawołała, przyciskając dłoń do ust.

- Nie traktujcie mnie jak dziecka! - krzyknęłam.

- Ale ty jesteś dzieckiem - odparł lodowato tata.

- Nie możecie zabronić mi robić tego, na co mam ochotę! - wrzasnęłam, zmierzając w jego stronę. Przez chwilę sądziłam, że ma zamiar uderzyć mnie w twarz, ale tak się nie stało.

- Możemy i zrobimy to. Już nigdy więcej nie spotkasz się z Fredem. Nigdy. Czy mnie słyszysz?

- A właśnie, że się z nim spotkam. Nie obchodzi mnie, co mówicie. Kochamy się i mamy zamiar być razem.

- A właśnie, że nie - oświadczył tata. - Zdasz egzaminy i zaczniesz nam okazywać nieco więcej szacunku.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęłam do niego. - Nienawidzę was obojga! Nic was nie obchodzę!

- Dość tego! - krzyknęła mama, doprowadzona do wściekłości. - Czy nie rozumiesz? Wystarczy tych głupot. - Ruszyła w moją stronę, ale tata ją przytrzymał.

Przez chwilę wpatrywałam się w nią z nienawiścią, po czym odwróciłam się na pięcie i pobiegłam na górę do swojego pokoju, gdzie z całej siły zatrasnęłam za sobą drzwi.

Mieszkanie wydaje się nienormalnie ciche, kiedy nie ma Joe i Lisy. Przeskakuję po kanałach telewizyjnych, czując się bezsensownie niepotrzebna. Nie ma nic, co warto byłoby obejrzeć, więc wyłączam telewizor i przygotowuję sobie kąpiel. Przekopuję się przez drewniane pudełko Lisy z esencjami aromaterapeutycznymi i znajduję to, czego szukam. Otwieram flakonik z olejkiem różanym i wdycham intensywny zapach, zastanawiając się jednocześnie, czy naprawdę może pomóc mi się zrelaksować.

Potrzeba trzydziestu róż, by otrzymać jedną jedyną kroplę esencji. Stan zakochania

mogłam wówczas porównać do zanurzania się w całej butelce takiego olejku. Było to niezwykłe, mocne i niebezpieczne, a każde uczucie od tamtej pory wydawało się niesamowicie rozcieńczone. Gdy ostrożnie wlewam kilka kropel pod strumień wody, uderza mnie to, że od czasów Freda połowę życia przeżyłam w takim stałym stanie rozczarowania.

pamiętnik. Przelewanie na papier tego, co czuję, wydawało się jedynym sposobem na uporządkowanie oszalałych z rozpaczy myśli. Przez rok prowadziłam zapiski każdego dnia, niczym więzień pałający bezsilną nienawiścią, miotając się naprzeciwko rozwścieczającej ściany władzy rodzicielskiej. Na początku moje drobiazgowo wynurzenia były płamionymi łzami i przepełnione żalem. Długie wywody dublowałam w listach do Freda, ale kiedy nie otrzymywałam od niego żadnej wiadomości, moje pamiętnikowe zapiski stały się gorzką tyradą, prowadzącą do dezorientacji, a w końcu i depresji.

Potem pisałam, by utrzymać moje uczucia przy życiu, z patosem odtwarzając wydarzenia z mojej samotnej egzystencji.

Miałam nadzieję, że pewnego dnia te strony będą stanowiły dowód. To znaczy, jeśli jakimś cudem kiedyś jeszcze spotkam Freda, pokażę mu te wszystkie tomiska, aby doświadczył takiego smutku jak ja. Albo jeżeli nastąpi najgorsze i umrę, moi rodzice będą mogli to przeczytać i zaszlochają nad nieszczęściem, które na mnie sprowadzili.

Przez większą część dzieciństwa goniłam za dorosłością, pragnąc osiągnąć wreszcie pełnoletność, ale bez Freda ledwie starczyło mi energii, by zdmuchnąć świece na torcie, który babcia Richie upiekła na moje szesnaste urodziny. Oczywiście oblałam egzaminy, w zasadzie bardziej w formie protestu niż z jakiegoś innego powodu. Skoro świat pragnął traktować mnie jak upośledzone umysłowo dziecko, uznałam, że tak właśnie będę się zachowywać. Nie miałam po co żyć, a w mojej świadomości tam, gdzie kiedyś znajdowała się tętniąca marzeniami przyszłość, bez Freda była teraz pustka.

Gdy patrzę wstecz, ironią wydaje się fakt, że końcem mego dzieciństwa okazała się nie chwila, kiedy straciłam dziewictwo z Fredem, ale moment, w którym zatrzasnęłam przed rodzicami drzwi do mojego pokoju. Byłam bardziej rozdrażniona i dziecinna niż kiedykolwiek wcześniej, ale kiedy włożyłam wiszący na drzwiach szlafrok i zacisnęłam pięści w bezradnej frustracji, uświadomiłam sobie, że przegrałam, i po raz pierwszy poczułam się pokonana.

Nie mogę winić moich rodziców za ich zachowanie. Byli przestraszeni tym, że zbyt szybko dorastam. I nie mogę też winić pana Pearce'a, kierownika internatu Freda, za rozdzielenie nas, ponieważ jego postępowaniem także kierował strach. Miał ręce związane poczuciem odpowiedzialności i ewentualnymi konsekwencjami pozwolenia swoim

podopiecznym żyć według własnych reguł. I właśnie ten ich strach wślizgnął się pod zabarykadowane drzwi mojego pokoju, a ja stałam się dorosła.

Od tamtej chwili miałam zupełnie inne spojrzenie na świat. Tam, gdzie kiedyś musieli mnie powstrzymywać rodzice, teraz zatrzymywałam się sama. Z egocentryczki przekształciłam się w cenzora własnego zachowania. Świat przestał być cudownym miejscem, z którego można czerpać całymi garściami. Już nigdy więcej nie otworzyłam atlasu i nie zawołałam: „Stop!”. Nigdy więcej nie snułam wyszukanych mrzonek. Nawet kiedy poznałam Dana i przeprowadziłam się do Londynu, pewna część mojej duszy zawsze pozostawała ostrożna.

Może gdybyśmy, ja i Fred, mieli ze sobą kontakt, wszystko byłoby inaczej. Jednak furia nieuchronnie przekształciła się w apatię, a ból w odrętwienie. Zapiski w pamiętniku zaczęły pojawiać się coraz rzadziej, aż wreszcie zanikły zupełnie. Nasze chwile namiętności w kapliczce przeżywałam w myślach tysiące razy, aż w końcu wspomnienie to zaczęło tracić wyrazistość. Wreszcie cały mój związek z Fredem przestał wydawać się realny. To było dawno i nieprawda. Wszyscy i wszystko ruszyło naprzód. Nawet artykuły z gazet na temat Milesa, które kiedyś zdawały się takie ważne, znalazły się w kocie kuwecie.

Odchylam głowę do tyłu i pozwalam wodzie spływać po moich włosach. Czuję, że kosmyki unoszą się wokół mojej głowy niczym wodorosty, i zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie była ostrożna. Przed oczami mam zeszły weekend. Odczuwam ciepło promieni słonecznych na polu Jimmy’ego Dugheada i widzę siebie, jak stoję tam z Joe i Fredem i patrzę na panoramę Rushton. Czy życie naprawdę zawsze mogłoby tak wyglądać?

Siadam nagle i zła na siebie wyciskam wodę z włosów. Nie mogę tego robić. Zeszły weekend nie był obietnicą nadchodzących wydarzeń, lecz jedynie przyjemnym posmakiem tego, co minęło, i głupia jestem, myśląc, że jest w tym coś prawdziwego. Nie było to bardziej rzeczywiste od reklamy telewizyjnej ukazującej szczęśliwą rodzinę. Życie tak nie wygląda: rodzice to aktorzy, a dzieci mają na twarzy makijaż, by ich policzki wyglądały na bardziej rumiane.

Podciągam kolana pod brodę i stawiam czoło faktom: Fred nie jest mój, lecz Rebecki. Jutro stanie w kościele przy jej boku i będzie wyglądał niesamowicie przystojnie, a jego wyobrażenie o szczęśliwej parze pełnej nadziei ma jej twarz, nie moją.

Zazdrość nie jest chwalebnyim uczuciem, ale czuję się od niej wprost chora. Nie sądzę, by olejek różany mi pomógł. Mam wrażenie, że w moich żyłach pulsuje gorąca, zielona odraza.

Przez chwilę fantazjuję sobie na temat telefonu do Rebecki.

- Cześć, Rebecca, tu Mickey - mówię na głos. - Fred cię nie kocha. On kocha mnie.

Gdy tylko to powiedziałam, wydaję z siebie głośne westchnienie. Jak coś takiego mogło mi przyjść do głowy? Jaki byłby ze mnie człowiek, gdybym to zrobiła? Dlaczego mam rujnować jej życie? Ona nie zrobiła niczego złego. To nie wina Rebecki, ale Freda.

Oczywiście, że mogłabym wziąć sprawy w swoje ręce. Gdybym miała wystarczająco dużo odwagi, mogłabym doprowadzić do zerwania Freda i Rebecki. Mogłabym być tą osobą, która staje w kościele i wypowiada na głos powód, dla którego państwo młodzi nie powinni zostać połączeni świętym węzłem małżeńskim, ale co by to dało? Nie byłabym dziewczyną, z którą uciekł Fred, ale osobą, która zniszczyła wszystkim dzień.

Wiem, że jestem niesprawiedliwa, ponieważ według ogólnie przyjętych standardów Fred nie zrobił niczego złego, ale i tak gardzę nim za obranie łatwej ścieżki. Przez całe swoje życie kroczył tak ostrożnie, że stał się w tym mistrzem, więc pewnie stanowi przykład, w jaki sposób my wszyscy powinniśmy się zachowywać. Należałoby więc oklaskiwać jego dojrzałość, a nie ją potępiać.

Oczywiście, że nie porzuciłby Rebecki. Zresztą dlaczego miałby to zrobić? Przyzwyczał się do bycia Wilsonem i zbudował pełne sukcesów życie wokół osoby, którą jest teraz. Dlaczego więc ja przywiązuję taką wagę do naszej przeszłości i do osoby, którą kochałam tyle lat temu? Czy to naprawdę wystarczy, by oczekiwać, że on zmieni całe swoje życie?

No a poza tym nie zaoferowałam mu niczego poza całą masą wątpliwości. Nawet kiedy znaleźliśmy się na granicy lekkomyślności, nawet kiedy był tuż przy mnie, wciąż się cofałam i nie zaryzykowałam dla niego utraty mojego poczucia bezpieczeństwa. Skoro nie zadziałałam wtedy, dlaczego Fred miałby to zrobić teraz?

Powodem, dla którego wszystko we mnie kipi, jest jednak fakt, że ponowne spotkanie z Fredem o czymś mi przypomniało. O dziewczynie, która nie bała się brać spraw w swoje ręce. Siedząc tak i drżąc mimo gorącej wody, czuję wstyd, kiedy porównuję się z osobą, którą byłam kiedyś.

Wychodzę z wanny, wkładam jakieś stare dzinsy i rozpoczynam polowanie na suszarkę. Odnajduję ją w pokoju mojego syna i siadam na jego łóżku. Pod kołdrą widać wybrzuszenie. Wkładam rękę i wyciągam żółwia - maskotkę Joe. Ma go już od kilku lat. Wykręcam uszy mojego dobrego znajomego. Chwytam jego głowę, starając się odnaleźć na niej twarde miejsce, którego przyciśnięcie aktywuje elektroniczny głos.

- Powiedz swoje życzenie - mówi żółw, a ja się uśmiecham.

- No cóż, zółwiu - mówię na głos. - Chciałabym być znowu młoda. - Unoszę głowę i widzę swoje odbicie w małym lustrze Joe. Czuję, jak pod powiekami zbierają mi się łzy, gdy staram się wyznać swoje prawdziwe życzenie. - I chciałabym... - mówię ochryple, spoglądając na swoje przemoczone, poplątane włosy i zmęczoną twarz. - Chciałabym...

Następnego ranka budzę się wcześniej i nie mogę ponownie zasnąć. Leżę w łóżku i odczuwam dziwny spokój. Jest sobota, dzień ślubu Freda. Przez cały tydzień bałam się tego momentu, ale czuję się dziwnie normalnie. Fred podjął decyzję. Po tych wszystkich latach pojawił się w moim życiu, by znowu z niego zniknąć, a ja muszę sobie z tym jakoś poradzić.

Sprawdzam, czy Lisa jest w domu, po czym decyduję się na szybki wypad na giełdę kwiatową, by przywieźć trochę świeżego towaru. Wrócę, nim Joe i Lisa się obudzą, i na pewno przyniesie to więcej korzyści niż siedzenie na łóżku i czekanie na rozpoczęcie dnia. Na wszelki wypadek zostawiam synowi kartkę z informacją, gdzie jestem.

Uwielbiam jeździć po Londynie tuż przed świtem. Cudownie jest przemykać ulicami, nie tracąc czasu w żadnym korku. Gdy przejeżdżam przez Ladbroke Grove i mijam Holland Park, a potem Shepherd's Bush, na ulicach nie widać żadnych pojazdów oprócz dziwacznej maszyny do sprzątania ulic i ciężarówki z mlekiem. Nad drogą zwisają uliczne lampy, jakby zostały porozwieszane po to, by ułatwić mi podróż, a ja prowadzę moją tradycyjną grę, starając się pobić rekord przejechania na czternastu zielonych światłach pod rząd.

Prawie mi się to udaje, ale kiedy zbliżam się do Earls Court, zatrzymuje mnie czerwone światło numer trzystaście. Opuszczam szybę, by poczuć świeże powietrze. Z boku zaparkowany jest samochód dostawczy z piekarni i gdy mężczyzna wyładowuje wielkie kosze, wdycham zapach świeżych bagietek.

Lubię przyglądać się innym ludziom zmagającym się z życiem o tej porze dnia. Przede mną miga jaskrawy neon całodobowej apteki, a po drugiej stronie ulicy kioskarz porządkuje pierwsze wydania sobotnich gazet. Mruczy coś pod nosem, gdy przez ulicę przechodzi dwóch chłopaków. Mają na sobie T - shirty i wyglądają na zziębniętych i zdezorientowanych, jakby przed chwilą wyszli z jakiegoś klubu. Jeden zarzuca drugiemu rękę na ramię i razem powoli przechodzą na drugą stronę. Na końcu ulicy, zza ciemnych okien pubu migoce podświetlane logo producenta piwa, a do środka zagląda jakiś włóczęga.

Gdy niebo zaczyna się rozjaśniać, zjeżdżam na bulwar, a czubki drzew w Battersea Park robią się coraz bardziej wyraźne. Światła na moście Alberta migocą, gdy zbliżam się do niego, a przepływająca pod spodem barka głośno wyje, przecinając jednocześnie gładką powierzchnię wody.

Skrećam w prawo na giełdę New Covent Garden, zaraz za schroniskiem dla psów.

Przejeżdżam wzdłuż barierek i zatrzymuję się na parkingu.

Sobota na giełdzie kwiatowej jest spokojnym dniem. Zazwyczaj przyjeżdżam w poniedziałek, kiedy od trzeciej nad ranem kłębi się tutaj prawdziwy tłum. Ale w soboty jest kameralnie, a ja lubię mieć dużo przestrzeni i czasu na pogawędki z niektórymi handlarzami.

Parkuję tam, gdzie zawsze, i obserwuję, jak kierowcy ciężarówek popijają kawę ze styropianowych kubków. Na giełdzie zawsze jest dość chłodno, aby kwiaty dłużej zachowały świeżość, sięgam więc za siedzenie i wyciągam watowaną marynarkę, którą trzymam tam specjalnie na tę okazję.

Na parkingu panuje cisza i wciąż wydaje się, że to środek nocy. Tak zresztą jest. Ale kiedy zmierzam w stronę wielkiego magazynu i przekraczam obrotowe drzwi, wszystko ulega zmianie.

Wewnątrz jest jasno jak w środku dnia. Ogromną przestrzeń zapełniają stragany i ludzie. Puszczana jest także żywa muzyka, jednak ledwie ją słyhać ponad szmerem tłumu. Jak zawsze zatrzymuję się i wdycham intensywny zapach miliona kwiatów. Czuję, jak moje samopoczucie zdecydowanie się poprawia, gdy karmię oczy feerią barw. Zawsze zadziwia mnie fakt, że znajdujące się tutaj rośliny pochodzą z całego świata. Dostawcy przywożą je z Holandii, Kolumbii, Izraela, Wioch i Afryki. Obok tradycyjnych stoisk z różami, goździkami i chryzantemami każdego możliwego gatunku i koloru spotkać tu można także moje ukochane egzotyczne, dziwaczne kwiaty z Azji i Karaibów. Za każdym razem uda mi się znaleźć coś nowego.

Obrzeża ogromnej hali zarezerwowane są dla straganów z różnościami oraz dla dostawców liści i paproci. Podchodzę do stoiska Mirandy, gdzie wstążki, koszyki, suszone rośliny, kwiaty z aksamitu i inne dodatki są tak ciasno upakowane, że zawsze dziwi mnie, jak ona znajduje tam jeszcze miejsce dla siebie samej. Krząta się właśnie za kolekcją zwierząt z suszonego mchu. Trafiają do dużych hoteli, robi się z nich bardziej egzotyczne aranżacje kwiatowe; muszę zanurkować pod wielkiego wielbłąda, by się do niej dostać. Gawędzimy przez chwilę, a Miranda pakuje dla mnie trochę dodatków, które na szczęście zgodziła się dać mi na kredyt.

Wychodzę zza wielbłąda i witam się z Hilary, moją dostawczynią lili. Otaczają ją pudełka, do których zaglądam. Białe kwiaty o długich łodygach są bez skazy i tak aksamitne, że mam ochotę wyciągnąć rękę, by ich dotknąć.

Harry, mój kolejny znajomy, stoi zanurzony po uda w różnokolorowych peoniach i różach. Pochodzi ze wschodniego Londynu i w branży kwiatowej pracuje od zawsze. Uśmiecha się na mój widok.

- Witaj, Mickey - mówi ze swoją zwykłą serdecznością. - Uroczu dziś wyglądasz.

- Cześć, Harry - odpowiadam, machając ręką na jego wyjątkowo chybiony komplement. - Zajęty?

- Nie - mówi. - Na razie spokojnie. Jednak czasem miło mieć chwilę wytchnienia.

Harry rozkłada się około północy i często jest tutaj aż do południa. Zazwyczaj nie mamy okazji, by ze sobą porozmawiać.

- Co mogę ci zaproponować?

- Obawiam się, że dzisiaj nic. Jestem pusta jak bębenek. Tak naprawdę przyjechałam tylko popatrzeć.

- Czy widziałaś się już z Jimmym? - pyta nagle, najwyraźniej o czymś sobie przypominając.

- Nie. - Wzruszam ramionami. - A o co chodzi?

- Szukał cię.

- Mnie? - pytam zaalarmowana. Jimmy to jeden z kierowników. Z nim zazwyczaj załatwiam wszystkie płatności i czuje jak zaczynają mnie piec policzki, gdy uświadamiam sobie, że najwyraźniej limit mojego kredytu musiał zostać przekroczony.

- Mówił, że ma dla ciebie wiadomość.

Natychmiast odkładam na bok troski o pieniądze i myślę o Joe. Wyłączyłam komórkę, więc może zadzwonił tutaj. Ale nie mam pojęcia, co w takim razie mogło się stać.

Dziękuję Harry'emu i pędzę po schodach na półpiętro, gdzie znajdują się wszystkie biura. Wpadam po drodze na Vince'a, jednego z portierów.

- Jimmy cię szukał - oznajmia.

- Wiem. Widziałeś go?

- Chyba jest tam. - Kiwa głową w stronę biur.

- Czy wiesz, o co mu chodzi?

- Ktoś do ciebie dzwonił - mówi, a moje serce zaczyna bić jeszcze szybciej.

Znajduję Jimmy'ego przy drzwiach. Przekroczył już dawno trzydziestkę i jest zupełnie łysy. Trzyma tacę pełną poprzesianych roślin i muszę zaczekać, aż ją odstawi.

- Tutaj jesteś. Zaczekaj chwilę - mówi, stawiając bratki na ziemi. Szuka czegoś w kieszeni dzinsów. - Mam to dla ciebie.

- Wyciąga kawałek kartki i czyta ją. - Ten facet... dzwonił jakieś pół godziny temu. Fred jakiś albo coś w tym rodzaju...

- Fred? - pytam, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

- Co powiedział?

- Powiedział, że to ważne. Kazał mi przekazać ci, byś się z nim spotkała - mówi Jimmy i podaje mi kartkę. Biorę ją od niego i czytam nabazgrane wyrazy.

- Po prostu się z nim spotkać? To wszystko? - pytam.

- Nie mówił gdzie ani kiedy?

- Powiedział, że jeśli chcesz, to będziesz wiedziała gdzie. Przez chwilę gapię się na Jimmy'ego, a w mojej głowie kotłują się tysiące myśli.

- Jesteś pewien, że to wszystko? - powtarzam.

- Połączenie było kiepskie. Pewnie dzwonił z komórki, ale tak właśnie powiedział: „Jeśli zechce, to będzie wiedziała gdzie”. To wszystko.

- Aha - mamroczę.

- Kim jest ten facet? Jakiś tajemniczy pośrednik? - pyta Jimmy.

- Coś w tym rodzaju.

- Przykro mi, że nie mogę nic więcej pomóc - mówi Jimmy, wzduszając ramionami.

- Nic nie szkodzi. Dzięki - bąkam, mnąc kartkę papieru.

Zanim docieram do Rushton, robi się jasny, pogodny ranek. Nie jadę do domu moich rodziców. Zamiast tego parkuję samochód koło kościoła i gaszę silnik. Czuję się chora z niecierpliwości. To absurdalne przyjeżdżać tutaj. Freda nie będzie, gonię jedynie za głupią fantazją. Jednak wciąż trzęsę się z emocji, których nie potrafię nazwać. Opieram ręce na kierownicy i biorę głęboki wdech.

Zadzwoiłam z giełdy do Joe, by sprawdzić, czy może on nie rozjaśni nieco całej sytuacji, ale wyrażał się równie tajemniczo jak Jimmy.

- Rozmawiałeś z Fredem? - zapytałam, starając się, by w moim głosie nie było słycać podekscytowania.

- Tak - ziewnął. - Zobaczyłem kartkę od ciebie i powiedziałem mu, że jesteś na giełdzie.

- Nie mówił nic więcej?

- Nie. Wszystko w porządku?

- Nie jestem pewna, skarbie. Czy możesz przekazać Lisie, by sama otworzyła kwiaciarnię? Muszę coś załatwić.

- Co?

- Jeszcze nie wiem - odpowiadam zgodnie z prawdą.

I nie wiem tego nadal. Wsiadam z auta i rozglądam się. W zasięgu wzroku nie ma żywej duszy, a ciszę przerywa jedynie ćwierkanie wróbli na ogromnych wierzbach. Niebo jest bładniebieskie i bezchmurne.

Powoli idę w stronę furtki. Łamałam sobie głowę, starając się domyślić, gdzie Fred chciał się ze mną spotkać, i jedyne, co mi przyszło do głowy, to miejsce, w którym po raz pierwszy się pocałowaliśmy. Ale gdy się zbliżam, wiem, że go tutaj nie znajdę.

Krzyżuję ręce na piersiach, a w mojej głowie kłębią się wspomnienia niczym migawki z filmu. Wydaje mi się, że w ciszy rozlegają się piski zachwyty, gdy rzucamy patyki do wody, słyszę też trzask naszych poniszczonych kaset. Przesuwam palcem po starym, drewnianym ogrodzeniu kościelnym, czując jego chropowatość i przypominając sobie długie letnie dni, podczas których zabijaliśmy czas, tak jakby nigdy nie miały się one skończyć.

Odwracam się i opieram o furtkę, szukając wzrokiem samochodu Freda, ale droga pozostaje pusta. Gdy mijają kolejne minuty, czuję, jak pod powiekami gromadzą się łzy rozczarowania. Fred nie przyjedzie. Albo minęliśmy się, albo przyjechałam w niewłaściwe miejsce. W dobie rozkwitu komunikacji ponownie daliśmy plamę. Zagryzam wargi, czując się kompletnie zagubiona.

Wtedy słyszę długi, niski dźwięk klaksonu samochodowego. Dochodzi gdzieś od mostu.

Po chwili biegnę, biegnę, aż nie mogę złapać tchu. Podnoszę głowę, zbliżając się do mostu, i staję. Na murku obok samochodu siedzi Fred i przygląda mi się. Przez chwilę zaskoczona jestem tym, jak staro wygląda. Gdzie się podziały te wszystkie lata? Jak to się stało, że tak szybko przestał być dzieckiem?

Podchodzę do mostu i zatrzymuję się kilka metrów od Freda. Gdy wstaje, ginie gdzieś cała rzucająca się przed chwilą w oczy dojrzałość. Zamiast tego widzę małego chłopca, czekającego, bym objęła dowodzenie, chłopca, który nie zdaje sobie sprawy, że to właśnie on był zawsze moją siłą napędową.

- Miałem nadzieję, że przyjedziesz - mówi. Wygląda na zmęczonego, ale mimo to jego oczy błyszczą, gdy nasze spojrzenia się krzyżują.

- Co się dzieje? - pytam zdławionym głosem, starając się wyczytać coś z jego twarzy. - Czy ty się przypadkiem dzisiaj nie żenisz?

Potrząsa głową, a jego ramiona opadają, gdy trąca nogą lśniące kamyki.

- Nie. Już nie.

Wpatruję się w niego, uświadamiając sobie znaczenie tego, co właśnie powiedział.

- To znaczy...

- To skończone. To znaczy Rebecca... to... skończone. Moje oczy rozszerzają się. Pragnę wyciągnąć rękę i go dotknąć.

- Czy było okropnie? - pytam.

Fred kiwa potakująco głową i na chwilę zapada cisza. Słyszę świergot ptaków i cichy szmer wody, gdy tak wpatrujemy się w siebie. To tak, jakbyśmy znowu byli dziećmi i brali w posiadanie cały świat, zawierając pakty i dzieląc tajemnice, które są tylko nasze. Nieoczekiwanie życie staje się niesamowicie cenne i tak niewiarygodnie krótkie. Przyszłość, która wydawała się tak doczesna i nieuchronna, teraz aż kipi od niekończących się możliwości, a ja uśmiecham się bardzo szeroko, aż bolą mnie mięśnie twarzy.

Czynimy ostatni krok w swoją stronę i dzielą nas ledwie centymetry. W powietrzu unosi się tak wiele pytań, ale to nie ma znaczenia: na wszystkie z nich jest odpowiedź twierdząca.

- Wygląda na to, że uratowałeś mi życie - mówię.

- Cóż, byłem ci to winien - odpowiada Fred i wyciąga rękę. Chwytam je i patrząc, jak nasze palce się łączą, wiem, że cokolwiek się zdarzy, już nie pozwolę mu odejść.